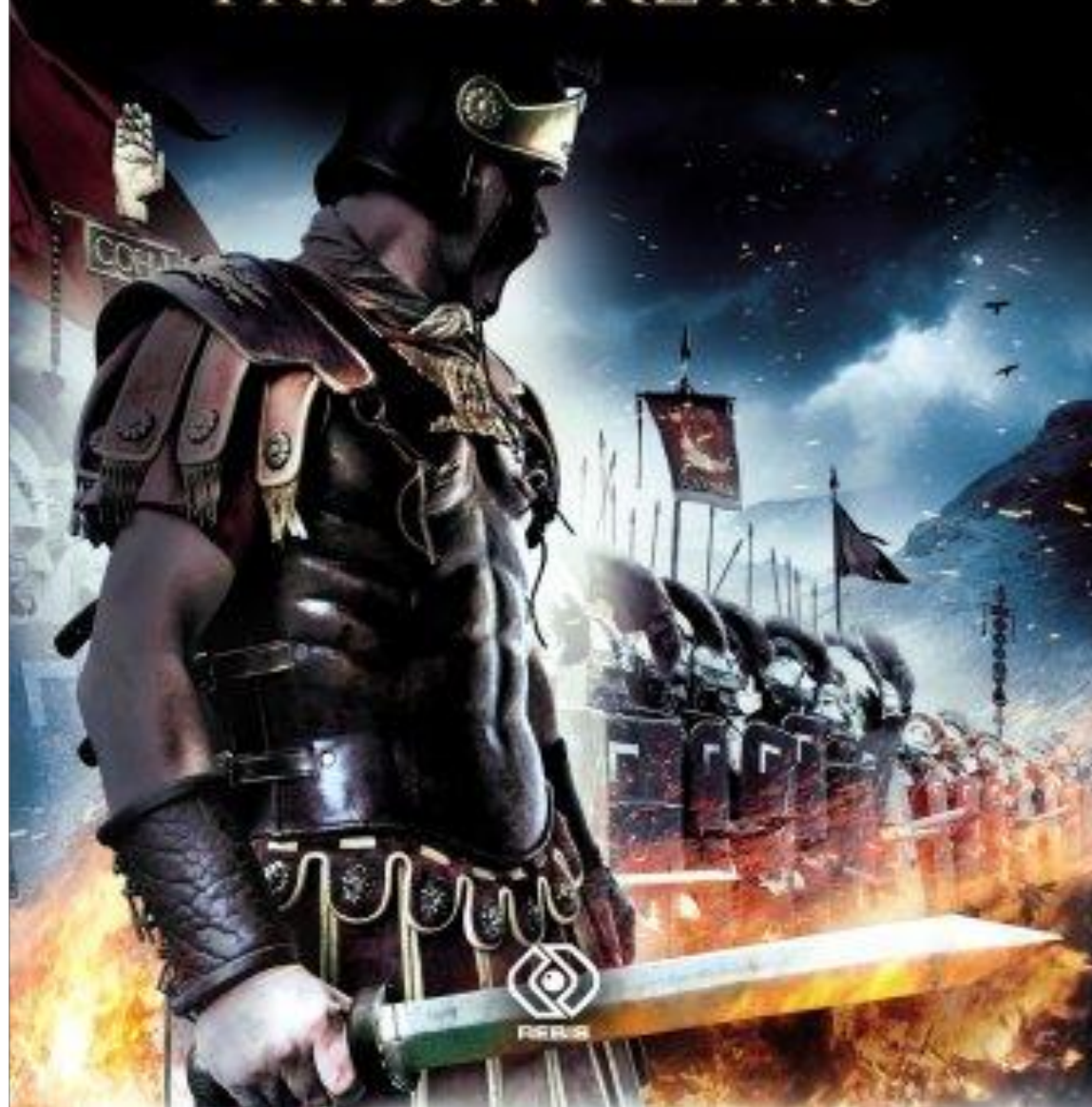


ROBERT FABBRI
WESPAZJAN
TRYBUN RZYMU



ROBERT FABBRI

WESPAZJAN

Trybun Rzymu

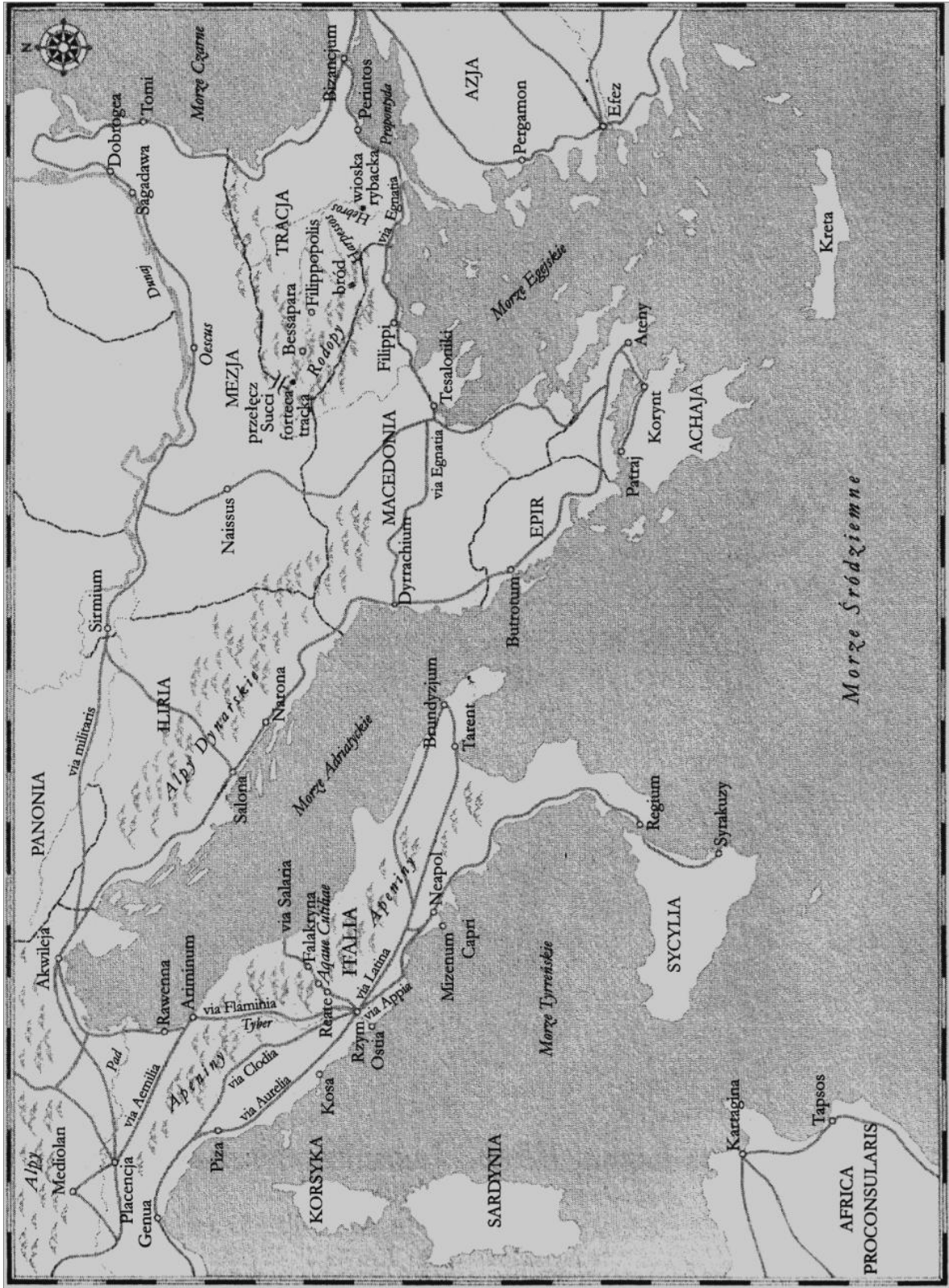
Vespasian: Tribune of Rome

Przełożył

Konrad Majchrzak

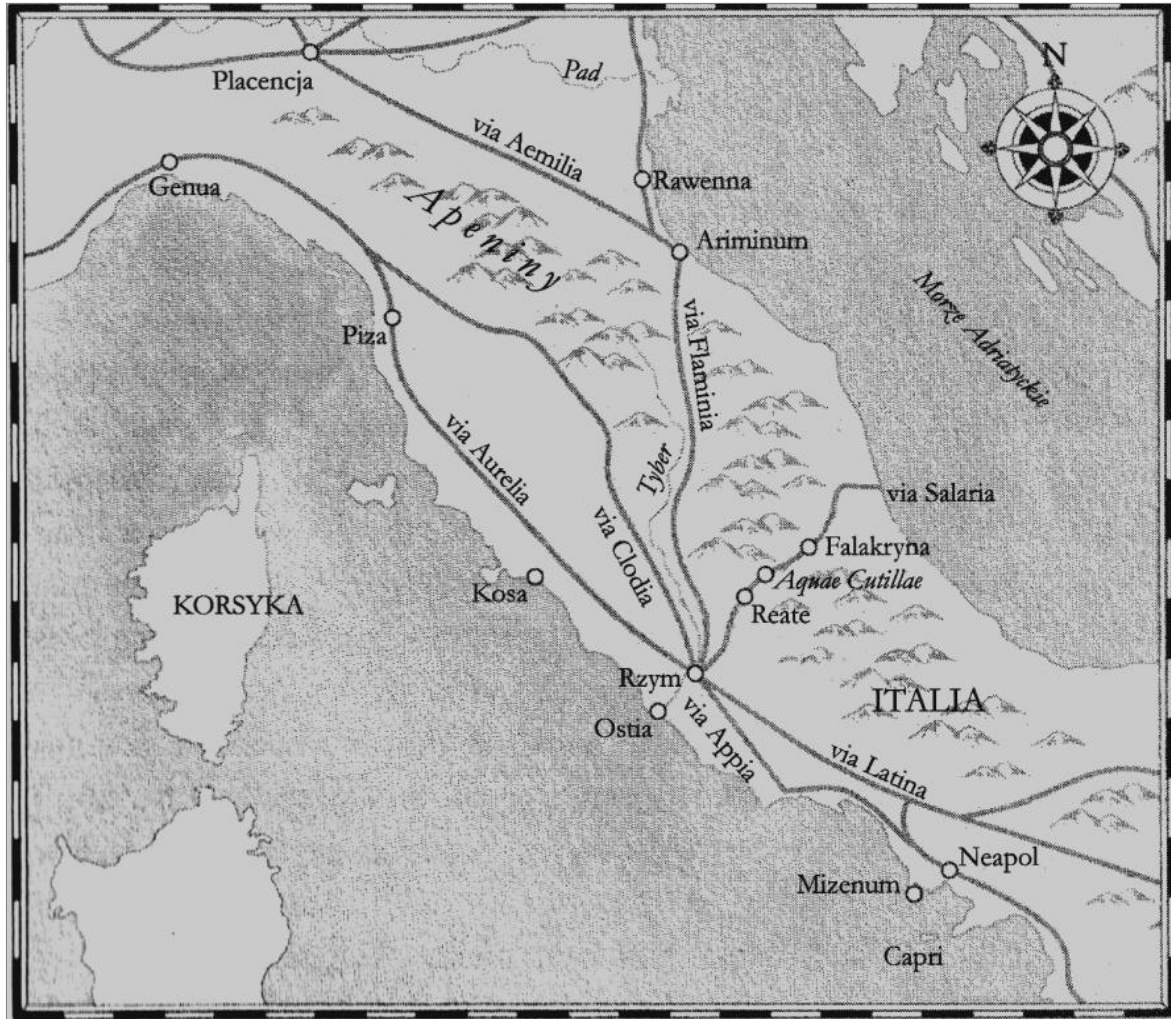


Dla Leona, Elizy i Lucasa z wyrazami miłości



PROLOG

FALAKRYNA, OSIEMDZIESIĄT MIL
NA PÓLNOCNY WSCHÓD OD RZYMU, 9 R.



Niechaj z pomocą bogów nasze wysiłki uwieńczy sukces. Proszę cię, Ojczy Marsie, byś oczyścił moje gospodarstwo, ziemię i rodzinę w sposób, jaki uznasz za najlepszy.

Recytując tę starodawną modlitwę, Tytus Flawiusz Sabinus pokornie wznosił dłonie ku niebu, zwracając się do rodzinnego bóstwa opiekuńczego. Z szacunku dla boga, o którego przychylność zabiegał, okrywał głowę skrajem śnieżnobiałej togi. Wokół stali wszyscy domownicy: żona Wespazja Polla z ich nowo narodzonym synem w ramionach, przy niej jego matka, dalej starszy, prawie pięcioletni syn. Za nimi wyzwoleńcy i wreszcie niewolnicy. Zebrali się wokół granicznego kamienia, w najdalej wysuniętym na północ punkcie posiadłości, pośród pachnących sosnową żywicą Apeninów.

Tytus zakończył modlitwę i opuścił ręce. Starszy syn, o takich samych imionach, Tytus Flawiusz Sabinus, podszedł do kamienia i uderzył weń czterokrotnie gałązką oliwną. Potem uroczysta procesja wokół ziem Tytusa dobiegła końca i wszyscy ruszyli z powrotem ku rodzinnej siedzibie.

Obejście posiadłości zajęło im ponad osiem godzin i z tego, co młody Sabinus był w stanie zauważyć, w tym czasie nie wydarzyło się nic niefortunnego. Ojciec odmówił modlitwę na każdym rogu posiadłości; nie było źle wróżących przelotów ptaków; nie uderzył grom z zimnego, jasnego listopadowego nieba; zwierzęta ofiarne, wół, świnia i baran, szły potulnie.

Barana prowadził Sabinus; zwierzę miało rogi przyozdobione jaskrawymi wstążkami i nieświadome swego losu wodziło wokół ospałym spojrzeniem.

W zwyczajnych okolicznościach Sabinus ani trochę nie przejąłby się rychłą śmiercią barana. Wielokrotnie już widział składane w ofierze czy zarzynane zwierzęta, a kiedyś nawet pomagał Pallonowi, synowi zarządcy, ukręcać kurom głowy. Śmierć była naturalnym elementem życia. Teraz jednak chciał, żeby to zwierzę żyło, ponieważ złożenie go w ofierze miało oczyścić życie jego maleńkiego brata. Żałował, że nie może przerwać tej ceremonii, która właśnie zbliżała się do punktu kulminacyjnego, ale wiedział, że taki postępek ściągnąłby na niego gniew bogów, a ich lękał się tak bardzo, jak nienawidził swojego małego braciszka.

W dniu jego urodzin, zaledwie dziewięć dni wcześniej, Sabinus podsłuchał, jak babka Tertulla mówi do ojca, że poświęcony Marsowi dąb, który rósł na terenie posiadłości, wypuścił pęd tak gruby, jakby wyrastało tam kolejne drzewo. Kiedy urodziła się jego siostra, pojawiła się krótka, cienka, słaba gałązka, która szybko uschła i umarła... tak jak i ona. Kiedy on przyszedł na świat, świeży pęd był długi i zdrowy, zapowiadający pomyślność, okazał się jednak niczym w porównaniu z tym, co ten znak wróżył jego bratu. Słyszał, jak ojciec

wykrzykuje podziękowania Marsowi za takie dziecko i obiecuje najlepszemu wołu, świnie i barana na ceremonię oczyszczenia, podczas której oficjalnie uznaje za swojego syna i nada mu imię.

- Będę się nim opiekował z największą uwagą - powiedział wtedy Tytus, całując swoją matkę w policzek. - Przeznaczeniem tego chłopca jest zejść daleko.

Tertulla wybuchnęła śmiechem.

- Starcze zdziecinnienie dopada cię wcześniej niż mnie, Tytusie. Kiedy republika jest martwa i jeden człowiek włada państwem, jak daleko wolno będzie zejść dziecku pochodzącemu z prowadzącej na wzgórzach gospodarstwo rodziny ekwitów?

- Możesz się śmiać do woli, matko, ale jeśli znaki wskazują na wielkość, taka jest wola bogów i nawet cesarz nie ma władzy, by ją zanegować.

Od chwili, kiedy Sabinus usłyszał tę wymianę zdań, z trudem powstrzymywał łzy za każdym razem, kiedy widział brata w ramionach matki. Niemal pięć lat cała rodzina skupiała na nim swoją miłość i troskę, teraz otoczą nimi również jego brata i okażą mu większe względy.

Zbliżali się już do zabudowań, a on był gotów odgrywać swoją rolę w tej ceremonii z godnością, jaka przystoi Flawiuszom, starodawnej sabińskiej rodzinie, w której się urodził. Nie zamierzał rozczarowywać swojego ojca, Tytusa.

Orszak wszedł na podwórzec stajenny i ustawił przed znajdującym się w głębi, poświęconym Marsowi kamiennym ołtarzem, na którym leżał stos nasączonego oliwą drewna. Po prawej stronie w żelaznym stojaku tkwiła zapalona pochodnia; po lewej na drewnianym stole leżały topór i nóż.

Sabinus upewnił się, że ma barana po swojej prawej ręce, tak jak mu wcześniej pokazywano, po czym rozejrzał się po zgromadzonych. Matka, trzymając jego opatulonego braciszka, stała obok ojca. Miała na sobie oficjalny strój. Czarna wełniana szata, *stola*, sięgała kostek; szkarłatny płaszcz, *palla*, nasunięty lekko na ciasno splecione kruczoczarne włosy, był udrapowany na lewym ramieniu. Poczowała spojrzenie Sabinusa i popatrzyła w jego stronę; wąskie usta ułożyły się w uśmiech, który rozjaśnił jej szczupłą twarz. Ciemne oczy przepełniała miłość i duma, kiedy widziała swojego małego syna stojącego w todze, niczym pomniejszone odbicie jej męża.

Obok niej stała babka. Przyjechała ze swojej nadmorskiej posiadłości w Kosie, na północ od Rzymu, na narodziny dziecka i ceremonię nadania mu imienia. Miała przeszło siedemdziesiąt lat i wciąż nosiła włosy uczesane na sposób modny w ostatnich latach

republiki, ufryzowane tylko nad czołem, zebrane w węzeł z tyłu głowy, co podkreślało krągłość twarzy, którą przekazała zarówno synowi, jak i wnukom.

Za rodziną stali wyzwoleńcy. Salwio, zarządca posiadłości, który zawsze miał dla Sabinusa ciasteczko miodowe albo suszoną figę, trzymał wołu za postronek. Jego dwudziestoletni syn Pallo ścisnął w dłoni powróż świni. Zwierzęta nie okazywały niepokoju, lekki wiaterek powiewał wstążkami, którymi je przyozdobiono. Sabinus mgliście pamiętał mężczyzn i kobiety, tworzących około dwudziestoosobową grupę, ale nie znał ich imion ani obowiązków.

Niewolników, którzy stali na końcu, a było ich prawie pięćdziesięcioro, w zasadzie nigdy nie zauważał, dzisiaj jednak znaleźli się tutaj, by być świadkami nadania imienia nowemu członkowi rodziny i wziąć udział w wydanej z tej okazji uczcie.

Tytus podszedł do ołtarza, pochylił głowę i szeptem odmówił krótką modlitwę; potem wziął pochodnię i przytknął do nasączonych oliwą bierwion. Natychmiast buchnęły płomieniem, posyłając w niebo kłęby gryzącego dymu.

- Ojciec Marsie, pozwól, by moje zbiory, ziarno, winnice i plantacje rozkwiły i przynosiły jak największy pożytek, w której to intencji kazałem oprowadzić te zwierzęta ofiarne wokół mojej ziemi. Zachowaj w zdrowiu moje muły, pastuchów i stada. Obdarz dobrym zdrowiem mnie, moją rodzinę i nowo narodzonego syna.

Wespazja delikatnie umieściła dziecko w jego ramionach. Sabinus obserwował w zaciętym milczeniu, jak ojciec je podnosi.

- W twojej obecności i z Nundiną, boginią oczyszczenia, jako świadkiem, przyjmuję go do swojej rodziny, nadając mu imiona Tytus Flawiusz Wespazjan, i oświadczam, że jest wolno urodzonym obywatelem Rzymu. Niechaj ta *bull*a zapewni mu twoją opiekę. - Wsunął niemowlęciu przez główkę rzemyk ze srebrnym amuletem; chłopiec miał go nosić aż do pełnoletności, by chronił go od uroku.

Następnie Tytus oddał dziecko małżonce i podniósł stojący przy ołtarzu dzban wina oraz trzy płaskie krusze ciastka upieczone z mąki z solą. Wylał kilka kropli wina i pokruszył ciasto na łby zwierząt ofiarnych. Wziął topór, podszedł do wołu, dotknął ostrzem karku zwierzęcia i uniósł, by zadać cios. Wół pochylił łeb, jakby godził się ze swoim losem. Wytrącony z równowagi pozorną uległością zwierzęcia Tytus znieruchomiał i rozejrzał się wokół. Małżonka uchwyciła jego spojrzenie i otwierając szerzej oczy, zachęciła do działania. Wtedy zawołał ku czystemu błękitnemu niebu:

- W intencji oczyszczenia mojego gospodarstwa, mojej ziemi uprawnej i całej posiadłości oraz jako przebłaganie składam ci ofiarę z najlepszego wołu. Ojczy Marsie, przyjmij łaskawie ten dar.

Błyskawiczny ruch topora przeciął powietrze. Wół zadrzał tylko raz, kiedy ostrze opadło mu na kark i odcięło gładko głowę do połowy, śląc w powietrze fontanny szkarłatu, które spryskały Sabinusa i innych. Nogi ugięły się pod zwierzęciem i padło martwe na ziemię.

Ochlapany krwią Tytus odrzucił topór i wzięwszy do ręki nóż, podeszedł do spokojnej świni. Powtórzył modlitwę, po czym podłożył rękę pod szczękę zwierzęcia, podciągnął łeb do góry i szybkim, gwałtownym ruchem poderżnął mu gardło.

Przyszła kolej na barana. Sabinus otarł oczy z ciepłej, lepkiej krwi i chwycił mocno zwierzę z obu stron, podczas gdy ojciec powtarzał modlitwę. Baran uniósł łeb i beknął raz, kiedy Tytus przesunął mu nożem po gardle. Zalewane krwią przednie nogi zwierzęcia zadrzały i ugięły się. Sabinus podtrzymał wykrwawiające się spokojnie na śmierć stworzenie. Wkrótce tylne nogi barana odmówiły posłuszeństwa, a kilka chwil później i serce.

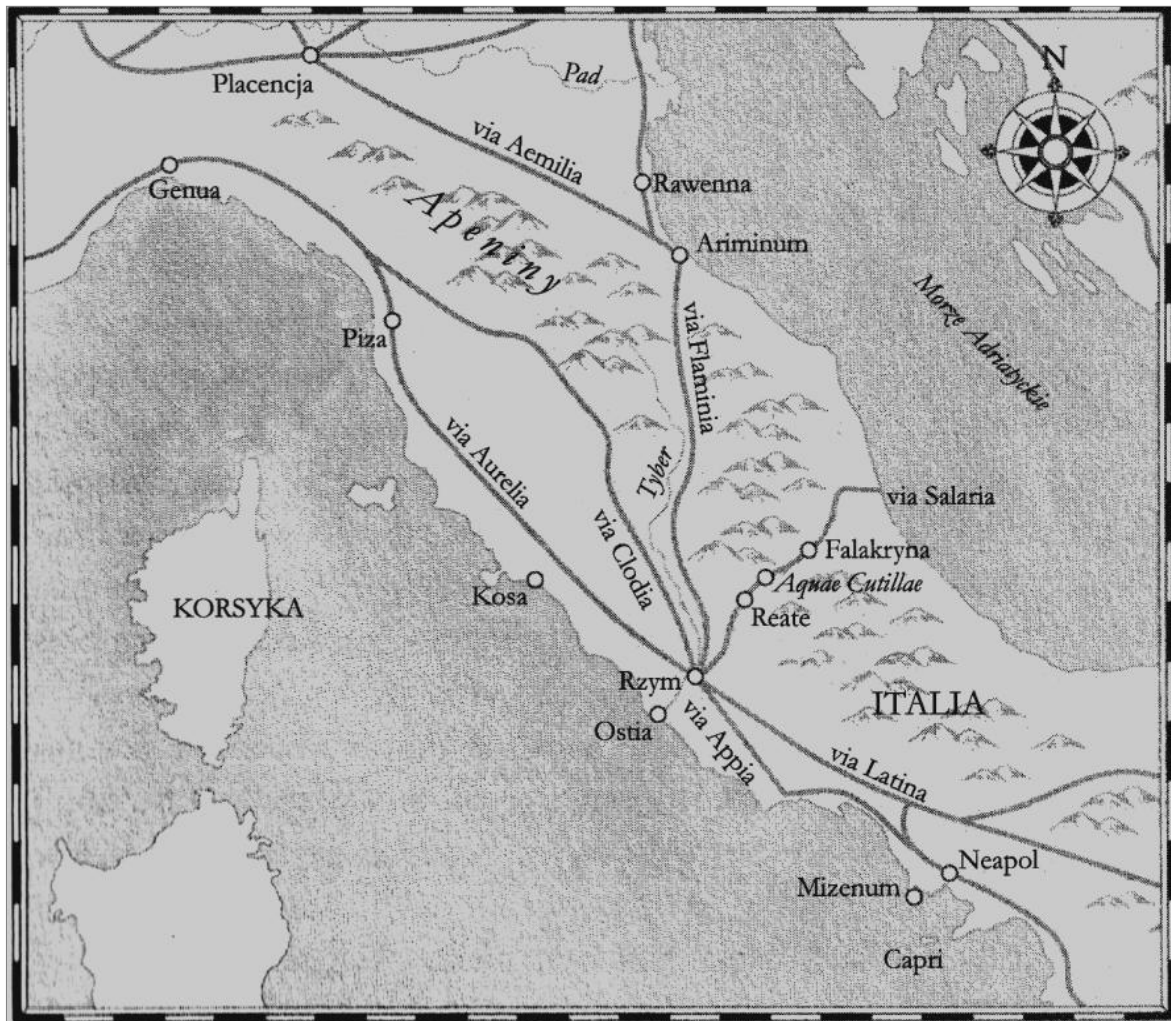
Salwio i Pallo przewrócili martwe zwierzęta na grzbiet, żeby Tytus mógł rozkroić ich brzuchy. Domownicy wstrzymali oddech, kiedy dwóch mężczyzn rozchyłało żebra, by odsłonić wnętrzności. Odór wypełnił powietrze, kiedy Tytus zanurzył ręce najpierw w trzewiach wołu, potem świni i wreszcie barana, z wielką zręcznością usuwając serca, które rzucił w ogień jako ofiarę dla Marsa. Teraz już całkowicie skąpany we krwi wyciął wątroby i położył na drewnianym stole. Oczy otworzyły mu się szeroko ze zdumienia, kiedy oczyszczał te narządy; gestem zachęcił zgromadzonych, by podeszli bliżej i przyjrzeni się wątrodom, które jedną po drugiej podnosił. Na powierzchni każdej z nich widniały duże plamy. Serce Sabinusa podskoczyło; nie były idealne.

Widział już dość zwierząt ofiarnych, by wiedzieć, że wątroba z nienaturalną plamą to najgorszy z możliwych znaków; tego rodzaju znaki na wszystkich trzech to już prawdziwa katastrofa. Mars nie zamierzał zaakceptować jego brata, który okazał się chuchrem.

Kiedy podeszedł bliżej, zobaczył wyraźnie kształt znaków. Miało jednak minąć wiele lat, nim zdołał pojąć ich prawdziwe znaczenie.

CZEŚĆ I

AQUAE CUTILLAE,
PIĘCDZIESIĄT MIL NA
PÓŁNOCNY WSCHÓD OD RZYMU, 25 R.



Rozdział pierwszy

Wespazjan poczuł zapach pieczonej wieprzowiny, kiedy jego wierzchowiec pokonywał ostatnie kilkaset kroków dzielące go od usytuowanego na wzgórzu domu, należącego do nowej posiadłości rodziców w *Aquae Cutillae*. Promienie zachodzącego, wciąż jeszcze ciepłego słońca muskały płytki terakotowe i kamienie niskich budynków, wydobywając różne odcienie czerwieni, barwę bursztynu i miedzi, tak że wszystkie zabudowania jarzyły się pośród ciemnych drzew iglastych i figowców, które go otaczały. Było to piękne miejsce na rodzinną siedzibę; położone wysoko na pogórzu Apeninów, od północy i wschodu osłaniały je góry, a od południa i zachodu rozciągała się równina Reate. Spoglądał na miejsce, które było jego domem przez ostatnie trzy z szesnastu już prawie lat życia, odkąd rodzina przeprowadziła się tam dzięki pieniądзом, jakie ojciec zarobił, pobierając w prowincji Azja podatki od gospodarstw rolnych.

Pragnąc jak najszybciej znaleźć się w domu, chłopak wbił pięty w boki spoconego konia, ponaglając zmęczonego wierzchowca. Nie było go przez trzy pracowite dni, podczas których w ramach przygotowań do zimy przepędzał ponad pięćset mułów z letnich pastwisk na wschodnim krańcu posiadłości na pola znajdujące się bliżej budynków gospodarskich. Tutaj miały spędzić najzimniejsze miesiące, mając dostęp do paszy i ochronę przed śniegiem, jak również wichurami, które o tej porze roku ze świstem spływają z gór. Wiosną sprzeda się je wojsku, do tego czasu kłaczę się ożrebią i cały proces zacznie się od nowa. Muły oczywiście ani myślały się przemieszczać i długotrwałe zmagania zakończyły się zwycięstwem ludzi, dzięki uporowi i rozsądnemu stosowaniu bata przez Wespazjana i jego towarzyszy. Niestety przy okazji wyszło na jaw, ile sztuk zniknęło ze stada, i to przyćmiło nieco zadowolenie z wykonania zadania.

Wespazjanowi towarzyszyło sześciu wyzwoleńców oraz Pallo, który przejął zarządzanie posiadłością po tym, jak dwa miesiące wcześniej, na drodze pomiędzy *Aquae Cutillae* a inną rodzinną posiadłością w Falakrynie, gdzie Wespazjan się urodził, zamordowano jego ojca. Od tamtego zdarzenia nigdy nie podróżowali pojedynczo czy nieuzbrojeni, nawet na terenie posiadłości. Otoczone wzgórzami i jarami *Aquae Cutillae* było idealną okolicą, gdzie mogli się ukrywać bandyci i zbiegli niewolnicy. Porywali żywy inwentarz z posiadłości i napadali na podróżnych korzystających z *via Salaria*, która obiegała

jej południowy kraniec, łącząc Rzym z Reate, a potem prowadziła dalej, przez Apeniny do Morza Adriatyckiego. Obecnie tylko głupiec podróżowałby bez ochrony, nawet w pobliżu tak znaczącego miasta jak Reate, widocznego na wzgórzu leżącym dziewięć mil na zachód.

Zapach jedzenia stawał się intensywniejszy, w miarę jak się zbliżali do gospodarstwa, widać też już było krzątanie niewolników. Wespazjan miał wrażenie, że ruch wokół domu jest większy niż zazwyczaj.

- Wygląda na to, że moi rodzice wydają ucztę, by uczcić powrót bohaterskich poganiaczy mułów po ich dorocznych zmaganiach z czworonożnym nieprzyjacielem. - Uśmiechnął się do Pallona.

- I bez wątpienia oczekuje się, że pomalujemy sobie twarze na czerwono i odbędziemy tryumf, uroczystie objeżdżając posiadłość - odparł Pallo. Dobry humor młodego pana był zaraźliwy. - Szkoda, że nie okazaliśmy miłosierdzia, bo moglibyśmy przywieźć do domu kilku jeńców, żeby złożyć ich w ofierze Marsowi Zwycięskiemu w podziękę za nasze zwycięstwo.

- Miłosierdzia? - wykrzyknął Wespazjan, zapalając się do żartów. - Wrogowi tak okrutnemu i bezwzględnemu jak ten, któremu stawiliśmy czoło? Nigdy... to by doprowadziło do powstania mułów na terenie całej posiadłości i bardzo szybko to one prowadziłyby nas w swoim triumfalnym pochodzie, a ty i ja, Pallonie, bylibyśmy niewolnikami jadącymi na rydwaniu głównodowodzącego muła z zadaniem szeptania mu do długiego ucha: „Pamiętaj, jesteś tylko mułem”. - Wespazjan przejechał przez ciężkie drewniane wrota domostwa, a za nim rozbrzmiewał śmiech i porykiwania jego udających zwierzęta towarzyszy.

Budynki gospodarstwa stały wokół prostokątnego dziedzińca, mierzącego sześćdziesiąt kroków na trzydzieści; prawy bok zajmował główny dom mieszkalny, na pozostałe trzy składały się stajnie, stodoły, kwatery wyzwoleńców, warsztaty i baraki niewolników pracujących w polu. Poza stajnią, gdzie na piętrze mieszkali niewolnicy domowi, wszystkie budynki były jednokondygnacyjne. Na dziedzińcu krzątali się niewolnicy, wyzwoleńcy i ludzie wolni, zajęci swoimi obowiązkami, ale wszyscy byli na tyle czujni, by z szacunkiem skłonić głowy przed synem pana. Wespazjan zsiadł z konia i oddając go chłopcu stajennemu, spytał, co jest powodem takiej wzmożonej krzątania. Chłopak, nieprzyzwyczajony, by którykolwiek członek rodziny zwracał się do niego bezpośrednio, poczerwieniał i jękając się, łaciną z silnym obcym akcentem odpowiedział, że nie wie. Domyślając się, że nikt poza rodziną nie będzie w stanie mu wyjaśnić, co się dzieje, Wespazjan postanowił poczekać i spytać ojca, który, jak sądził, wezwie go do siebie, kiedy tylko odbierze od zarządcy sprawozdanie dotyczące stanu żywego inwentarza. Ruchem głowy

odprawił stajennego i skierował się do domu, wchodząc bocznymi drzwiami wprost do perystylu, otoczonego krytą kolumnadą ogrodu, przy którym mieścił się jego pokój. Miał nadzieję, że uda mu się uniknąć spotkania z matką, ale zobaczył ją, jak wychodzi z *tablinum*, gabinetu sąsiadującego z atrium.

- Wespazjanie - zawołała, zatrzymując syna.

- Tak, matko - odparł nieufnym tonem, napotykając jej surowy wzrok.

- Kiedy bawiłeś się w gospodarza, przyszła wiadomość od twojego brata. Wraca do domu, spodziewamy się go już dzisiejszego wieczoru.

Jej lekceważący ton w jednej chwili zepsuł mu doskonały nastrój.

- Zatem nie są to przygotowania do uczczenia mojego powrotu po trzech dniach spędzonych w polu? - zapytał, nie mogąc się powstrzymać, by jej nie zirytować.

Popatrzyła na niego lekko zdziwionym wzrokiem.

- Nie zachowuj się impertynencko. Skąd ci przyszło do głowy, że mógłbyś zostać uhonorowany za wykonywanie fizycznych prac na terenie posiadłości? Sabinus służył Rzymowi. W dniu, w którym postanowisz zrobić to samo, zamiast włóczyć się po wzgórzach, bratając się z wyzwolencami i mułami, możesz się spodziewać jakiegoś uhonorowania. A teraz idź i się umyj. Oczekuję od ciebie przyzwoitego zachowania wobec brata, choć wątpię, by przez lata jego nieobecności twoje uczucia się zmieniły. W każdym razie nie zaszkodziłoby, gdybyś spróbował żyć z nim w zgodzie.

- Spróbowałbym, matko - odparł Wespazjan, przesuwając dłonią po spoconych, krótko przyciętych ciemnobrązowych włosach - gdyby on mnie lubił, a nie poniewierał mną i mnie upokarzał. Cóż, jestem teraz cztery lata starszy i silniejszy, więc niech lepiej uważa, bo już nie będę tego znosił tak jak wtedy, kiedy miałem jedenaście lat.

Wespazja Polla przyglądała się okrągłej twarzy syna o oliwkowej cerze i w wesołych zazwyczaj dużych brązowych oczach dostrzegła twardą determinację, jakiej nigdy wcześniej u niego nie widziała.

- Cóż, porozmawiam z Sabinusem i poproszę, by zachowywał się spokojnie, tak jak spodziewam się tego po tobie. Pamiętaj, że ty nie widziałeś go cztery lata, natomiast twój ojciec i ja osiem, bo kiedy wstąpił do armii, byliśmy już w Azji. Nie życzę sobie, żeby wasze spory zakłóciły rodzinne spotkanie po latach.

Nie dając mu szansy na odpowiedź, oddaliła się szybko w kierunku kuchni. Bez wątplenia, by zastraszać jakąś pomywaczkę, pomyślał Wespazjan, udając się do swojego pokoju, żeby się przebrać. Humor miał już jednak kompletnie zwarzony wiadomością o przyjeździe brata.

Wespazjan nie tęsknił za Sabinusem przez te cztery lata, podczas których brat służył w legionie IX *Hispana* jako trybun wojskowy, najmłodszy stopniem dowódca, w Panonii i w Afryce. Nigdy się ze sobą nie zgadzali. Wespazjan nie wiedział dlaczego, było mu to zresztą obojętne, po prostu tak było. Brat go nienawdził, a on z kolei nie znosił Sabinusa. Niemniej byli braćmi i nic nie mogło tego zmienić, dlatego przy ludziach ich stosunki przybierały lodowato formalny charakter, prywatnie zaś... cóż, już we wczesnym dzieciństwie Wespazjan nauczył się unikać sytuacji, w których pozostawałby z bratem sam na sam.

Na kufrze w niewielkiej sypialni postawiono dla niego miskę z ciepłą wodą. Zaciągnął zasłonę przy wejściu, rozebrał się i splukał z siebie kurz, jaki go oblepił przez trzy długie dni przeganiań mułów. Wytarł się lnianą płachtą, po czym włożył i opasał czystą białą tunikę, ozdobioną z przodu cienkim purpurowym paskiem oznaczającym stan ekwitów. Wziął pióro i świeży zwój, usiadł przy stoliku, który poza łóżkiem był jedynym meblem w tym małym pokoju, i zaczął spisywać z woskowanej tabliczki liczby dotyczące mułów. Ścisłe rzecz biorąc, należało to do obowiązków zarządcy, ale Wespazjan lubił prowadzić wszelkie zapisy, włącznie z tymi dotyczącymi żywego inwentarza, i uważał tę pracę za dobrą praktykę i przygotowanie do dnia, w którym odziedziczy którąś z rodzinnych posiadłości.

Praca zawsze świetnie mu robiła, choć niechętnie spoglądano na ekwite parającego się pracami fizycznymi. Babka podsycala jego zainteresowanie gospodarstwem podczas tych pięciu lat, kiedy razem z bratem mieszkali w jej posiadłości w Kosie, kiedy to ich rodzice przebywali w Azji. Wtedy bardziej ciekawiły go zajęcia wyzwoleńców i niewolników pracujących na polach niż wiedza, jaką przekazywał mu nauczyciel. W rezultacie miał duże luki w retoryce i znajomości literatury, natomiast wiedział wszystko o mułach, owcach i winorośli. Jedyną dziedziną, w jakiej jego nauczyciel odniósł sukces, była arytmetyka, ale stało się tak wyłącznie dlatego, że Wespazjan rozumiał wagę tego przedmiotu przy obliczaniu zysków i strat posiadłości.

Niemal już skończył, kiedy do pokoju wszedł ojciec. Wespazjan wstał, pochylił głowę w geście pozdrowienia i czekał.

- Pallo mówi, że w ubiegłym miesiącu straciliśmy szesnaście sztuk ze stada, czy to się zgadza?

- Tak, ojczu. Właśnie kończę zapisywanie, ale wygląda na to, że rzeczywiście było ich szesnaście. Pasterze mówią, że nie są w stanie powstrzymać rozbójników, którzy porywają sztukę to tu, to tam. Za duży teren do pilnowania.

- To się musi skończyć, inaczej te dranie nas zniszczą. Teraz, kiedy wraca Sabinus, zastawimy na łajdaków pułapki i miejmy nadzieję, że paru dopadniemy. Zobaczymy, co wolą, gwoździe w stopach i nadgarstkach czy trzymanie łap z dala od mojej własności.

- Tak, ojcie - rzucił Wespazjan w stronę pleców oddalającego się rodzica.

Tytus zatrzymał się w wejściu i spojrzał na syna.

- Dobrze się sprawiłeś, Wespazjanie - powiedział spokojniej - przepędzając tyle mułów z tak niewielką liczbą ludzi.

- Dzięki, ojcie. Lubię tę pracę.

Tytus skinął głową.

- Wiem - powiedział z półuśmiechem i lekkim żalem w głosie i odszedł.

Podniesiony na duchu ojcowską pochwałą, Wespazjan dokończył obliczenia, potwierdzając, że rzeczywiście stracili szesnaście zwierząt, po czym uporządkował biurko i położył się, by odpocząć przed przyjazdem brata. Kiedy pół godziny później Sabinus się pojawił, Wespazjan przespał to wydarzenie.

*

Poderwał się nagle ze snu; było już ciemno. Przestraszony, że spóźnił się na kolację, wyskoczył z łóżka i pospieszył do oświetlonego pochodniami perystylu. Z atrium dobiegł go głos matki, więc skierował się w tamtą stronę.

- Musimy wykorzystać wpływy mojego brata Gajusza, by w najbliższym czasie zapewnić chłopcu stanowisko trybuna wojskowego - mówiła. Wespazjan zwolnił, uświadomiwszy sobie, że chodzi o niego. - W przyszłym miesiącu skończy szesnaście lat. Jeśli ma zajść wysoko, na co wskazywały znaki przy jego narodzeniu, nie można pozwolić, by dalej wałęsał się po posiadłości, unikając obowiązków wobec rodziny i Rzymu.

Wespazjan podszedł bliżej, zaintrygowany wzmianką o przepowiedni.

- Rozumiem twoje zatroskanie, Wespazjo - odparł ojciec. - Jednakże chłopiec poświęcił zbyt wiele czasu i energii na zajmowanie się gospodarstwem, a nie na naukę rzeczy koniecznych do przetrwania pośród polityków Rzymu, że już nie wspomnę o armii.

- Fortuna będzie go miała w swojej pieczy, żeby przepowiednia się spełniła.

Wespazjan się niecierpliwił; dlaczego matka mówi tak niejasno?

- A co z Sabinusem? - zapytał Tytus. - Czy nie powinniśmy koncentrować się na nim jako na starszym synu?

- Rozmawiałeś już z nim. Jest dorosłym mężczyzną wystarczająco ambitnym i bezwzględny, by osiągnąć swoje cele, może nawet awansować powyżej pretora i przewyższyć mojego brata, co byłoby dla naszej rodziny wielkim zaszczytem. Oczywiście

będziemy go wspierać w każdy możliwy sposób, ale tylko wspierać, a nie popychać. Tytusie, czy nie widzisz, że to Wespazjan jest drogą tej rodziny do sławy? Teraz przyszedł nasz czas. Dobrze wykorzystałeś pieniądze, które zarobiłeś jako poborca podatkowy w Azji. Kupiłeś tę ziemię tanio i z powodzeniem nią gospodarowałeś. Dzięki temu i mojemu posagowi przy ostatnim spisie zostaliśmy ocenieni na ponad dwa miliony sestercji. Dwa miliony sestercji, Tytusie. To i wpływy mojego brata wystarczą, by zagwarantować naszej rodzinie dwa miejsca w senacie; ale trzeba je sobie zapewnić, a nie da się tego zrobić tutaj, w Górach Sabińskich.

- Pewnie masz rację. Wespazjan powinien rozpocząć karierę, a najwyraźniej trzeba go będzie do tego popchnąć. Ale jeszcze nie teraz. Zaplanowałem coś dla niego i Sabinusa, skoro jest już na miejscu. Zresztą niczego nie można zrobić, dopóki wybrani na następny rok sędziowie nie obejmą w styczniu stanowisk.

Wespazjan był tak pochłonięty słuchaniem, że nie zauważył nikogo w pobliżu, dopóki czyjaś ręka nie chwyciła go za włosy.

- Skradasz się i podsłuchujesz, braciszku? Twoje zachowanie ani trochę się nie poprawiło, co? - Usłyszał znajomy głos Sabinusa i jednocześnie poczuł mocniejsze szarpnięcie.

Wespazjan wbił łokieć w brzuch brata i wyrwał się. Szybko odwrócił się przodem, unikając wymierzonego w nos uderzenia, i sam wyprowadził cios. Jednak Sabinus pochwycił jego pięść w żelazny uścisk i spychał powoli w dół, wykręcając mu rękę w nadgarstku, nadwerężając stawy palców i zmuszając go do przykłęknięcia. Wiedząc, że został pokonany, zaprzestał zmagania.

- Masz teraz w sobie nieco woli walki, co? - rzucił Sabinus, spoglądając na niego srogo. - Rekompensujesz tym brak manier. To bardzo nieuprzejme nie powitać starszego brata po czterech latach jego nieobecności.

Wespazjan podniósł wzrok. Sabinus się zmienił; nie był już tamtym pulchnym szesnastolatkiem, który gnębił go cztery lata temu, stał się mężczyzną. Tkanę tłuszczową zastąpiły mięśnie, wyrósł, twarz mu zeszcupiała, z okrągłej zrobiła się bardziej kwadratowa, tylko brązowe oczy się nie zmieniły i błyszczały złośliwie, kiedy spoglądały na Wespazjana znad charakterystycznego dla mężczyzn z ich rodziny wydatnego szerokiego nosa. Wyglądało na to, że wojskowe życie mu służy. Trzymał się z wyniosłą godnością, co powstrzymało Wespazjana od rzucenia jakiejś ciętej uwagi.

- Przepraszam, Sabinusie - wymamrotał, podnosząc się. - Chciałem cię powitać, ale zasnąłem.

Sabinus, słysząc to, uniósł brwi.

- No cóż, braciszku, od spania jest noc. Lepiej to zapamiętaj, skoro już niedługo będziesz mężczyzną. Wciąż masz ten wiejski akcent... bardzo zabawny. Chodź, rodzice czekają.

Wszedł do domu, zostawiając za sobą płonącego ze wstydu Wespazjana. Okazał bratu słabość, a ten go pouczył i potraktował protekcyjnie; to było nie do zniesienia. Obiecując sobie, że już nigdy nie okaże się tak zniewieściały, by ucinąć sobie drzemkę w ciągu dnia, pospieszył za Sabinusem. Wciąż go intrygowało wspomniane przez matkę proroctwo. Rodzice je znali, a kto jeszcze? Sabinus? Wątpił, by tak było; w tamtym czasie jego brat był jeszcze za mały, a nawet gdyby coś wiedział, nie przyznałby się do tego. Kogo zatem zapytać? Rodziców... i przyznać, że podsłuchiwał? W żadnym razie.

Weszli do głównego budynku przez tablinum, a stamtąd do atrium. Tytus i Wespazja czekali na synów, siedząc na dwóch barwnie pomalowanych drewnianych krzesłach, obok *impluvium*, basenu, w którym zbierała się woda deszczowa wpadająca przez otwór w dachu. Przy każdym rogu sadzawki stała kolumna podtrzymująca dach. Pomalowano je na ciemnoczerwony kolor ostro kontrastujący z bladymi odcieniami zieleni, błękitu i żółci kamiennej mozaiki posadzki, ilustrującej szczegółowo, z czego żyje rodzina i jak spędza wolny czas.

Październikowy wieczór był chłodny, jednakże atrium miało zarówno ocieplaną ogrzany powietrzem hypokaustu podłogę, jak i duże otwarte palenisko na prawo od tablinum, gdzie płonęły wielkie polana. Migotliwe światło ognia oraz kilkunastu lampek oliwnych oświetlało upiorne maski pośmiertne przodków Flawiuszów, którzy czuwali nad rodziną z niszy znajdującej się pomiędzy ogniskiem i *lararium*, ołtarzem poświęconym bożkom domowym. Całe ściany pokrywały ledwie widoczne w przyćmionym świetle ozdobne freski o tematyce mitologicznej, namalowane głęboką czerwienią i żółcią, przerywane wejściami do mniej ważnych pomieszczeń.

- Siadajcie, chłopcy - powiedział wesoło ojciec, najwyraźniej uradowany, że po ośmiu latach zebrał przy sobie całą rodzinę.

Bracia usiedli na taboretach naprzeciwko rodziców. Młoda niewolnica przetarła im dłonie wilgotnym płótnem; inna podała każdemu kielich z ciepłym, przyprawionym korzeniami winem. Wespazjan zauważył, że Sabinus zerka z podziwem na odchodzące dziewczęta.

Tytus wylał kilka kropli wina na podłogę.

- Dziękuję bóstwom naszego domu za szczęśliwy powrót mojego starszego syna - powiedział z powagą. Podniósł kielich. - Wasze zdrowie, synowie.

Wszyscy czworo wypili i odstawili kielichy na stojący pośrodku niski stolik.

- Cóż, Sabinusie, armia dobrze cię traktowała, hę? Nie wcisnęli cię do służby garnizonowej, brałeś udział w prawdziwej wojnie. Pewnie nie mogłeś uwierzyć we własne szczęście. - Tytus zachichotał, dumny z syna, który w wieku dwudziestu lat już był zaprawionym w boju żołnierzem.

- Tak, ojcze, masz rację - odparł Sabinus, z pełnym zadowolenia uśmiechem spoglądając ojcu w oczy. - Pewnie wszyscy byliśmy rozczarowani, kiedy wcielili mnie do IX Legionu *Hispana* w Panonii. Trudno byłoby mi się tam wykazać przy tych sporadycznych napadach spoza granicy.

- Ale uratował cię bunt Takfarinasa w Numidii - odezwała się Wespazja.

- Powinniśmy dziękować bogom za buntowniczych królów, którzy mają pomysły przewyższające ich możliwości - oświadczył Tytus, wznosząc kielich i uśmiechając się do pierworodnego.

Sabinus z entuzjazmem spełnił toast.

- Za Takfarinasa, szaleńca, który groził odcięciem dostaw zboża do Rzymu, po czym wysłał emisariuszy, by negocjowali z cesarzem.

- Znamy tę historię - powiedział z uśmiechem Tytus. - Tyberiusz kazał ich natychmiast stracić przed swoim obliczem, oświadczając: „Nawet Spartakus nie ośmielił się rozmawiać przez wysłańców”.

Sabinus zawtórował ojcu śmiechem.

- I właśnie wtedy wysłał nas do Afryki, żebyśmy wzmocnili III Legion *Augusta*, jedyny, jaki stacjonował w tej prowincji.

Podczas gdy Sabinus ciągnął swoją opowieść, Wespazjan, nie mogąc wpaść na to, kogo zapytać o znaki towarzyszące swoim narodzinom, wrócił myślami do problemu złodziei mułów. Miał on większe znaczenie dla jego życia niż historie buntów i długich marszów, w których to sprawach nie miał żadnego doświadczenia i które niewiele go interesowały. Choć Hieron, jego grecki nauczyciel walk, dopilnował, aby sprawnie władał krótkim obosiecznym mieczem, zwanym *gladius*, i oszczepem, *pilum*, oraz powalał na łopatki większość przeciwników podczas zapasów, czuł, że za sprawą swojej barczystej budowy i szerokich muskularnych ramion pasuje przede wszystkim do zadań związanych z uprawą ziemi; tam miały się rozgrywać jego bitwy, w codziennych staraniach, żeby rodzinna posiadłość

przynosiła zyski. Niech Sabinus robi karierę w szerokim świecie i pnie się w górę *cursus honorum*, po szczeblach wojskowych i cywilnych stanowisk.

- Przypominam sobie uczucie, jakie mi towarzyszyło, kiedy ruszałem na wojnę - powiedział ojciec tęsknym tonem i Wespazjan ponownie zwrócił uwagę na rozmowę. - Byliśmy w świetnych nastrojach, przekonani o zwycięstwie, bo Rzym nie zgodzi się na nic innego; cesarstwo nie toleruje klęski. Jesteśmy otoczeni przez barbarzyńców i nie można pozwolić, by pomyśleli, że Rzym jest słaby. Muszą wiedzieć, że jeśli rzucą wyzwanie Rzymowi, rezultat będzie jeden... i to nieunikniony: śmierć mężczyzn i niewola ich rodzin.

- Nieważne jakim kosztem? - wtrącił się Wespazjan.

- Żołnierz musi być gotów oddać życie za większe dobro, jakim jest Rzym - odezwała się zdecydowanym tonem matka - mając pewność, że zwycięskie cesarstwo obroni jego rodzinę, ziemię i styl życia przed tymi, którzy chcą je zniszczyć.

- Właśnie tak, moja droga! - wykrzyknął Tytus. - I to jest zasada, która spaja legion.

- I dzięki której nasze morale pozostało wysokie przez te dwa lata, które spędziliśmy w Afryce - dodał Sabinus. - Wiedzieliśmy, że każdy z nas da z siebie wszystko, by zwyciężyć. To była brudna wojna... żadnych rozstrzygających bitew, tylko napady i akcje odwetowe. Wykurzyliśmy ich jednak z kryjówek w górach i rozprawialiśmy się z jedną grupą po drugiej. Paliliśmy warownie, braliśmy w niewolę ich kobiety i dzieci i zabijaliśmy wszystkich mężczyzn zdolnych nosić broń. Był to powolny, krwawy proces, ale wytrwaliśmy.

- Ha, a nie mówiłem, Wespazjanie? - zawołał rozpromieniony Tytus. - Teraz, kiedy Sabinus wrócił do domu, mamy kogoś, kto będzie wiedział, jak postąpić z tymi szczurami czającymi się w górach. Wkrótce ci nędzni złodzieje mułów zawisną na krzyżach.

- Złodzieje mułów, ojcze? Gdzie? - spytał Sabinus.

- W górach, po wschodniej stronie posiadłości - odparł Tytus. - I nie chodzi tylko o muły. Zabrali też owce i kilka koni, a dwa miesiące temu zamordowali Salwiona.

- Salwio nie żyje? Przykro mi to słyszeć. - Sabinus lubił tego dobrego człowieka, który w czasach jego dzieciństwa zawsze miał dla niego jakieś łakocie. - Już to jest wystarczającym powodem do zemsty. Wezmę oddział naszych wyzwolenców i pokażę tym kanaliom, jak Rzym obchodzi się z takimi jak oni.

- Wiedziałem, że chętnie się z nimi rozprawisz. Doskonale, mój chłopcze. Weź ze sobą brata, czas, żeby zobaczył coś więcej niż tylko zad muła. - Tytus uśmiechnął się do Wespazjana, pokazując, że tylko się z nim droczy, ale Wespazjan nie czuł się urażony; złodziejom mułów należała się kara, bo działali na szkodę posiadłości. Tego rodzaju walka go

interesowała, coś realnego, blisko domu, a nie zmagania w dalekich stronach z obcymi plemionami, o których prawie nie słyszał.

Sabinus nie wyglądał na zachwyconego, ojciec jednak nalegał:

- To będzie dla was okazja, żebyście się lepiej poznali jako mężczyźni, a nie walczące ze sobą przy każdej okazji łobuziaki.

- Skoro sobie tego życzysz, ojcze.

- Owszem. Możecie wyruszać obaj, odbyć własną minikampanię i przyszpilić paru buntowników, he? - Tytus się roześmiał.

- Jeśli chłopcy mają ich ująć przy pomocy zaledwie garstki wyzwoleńców, w niczym nie będzie to przypominało walki ze wsparciem całego legionu - powiedziała Wespazja, dodając szczyptę rozwagi do entuzjazmu męża.

- Nie martw się, matko, w ciągu tych dwóch lat w Afryce nauczyłem się wywabiać na otwarty teren skorych do plądrowania buntowników. Znajdę na nich sposób. - Sabinus emanował taką pewnością siebie, że Wespazjan wierzył w jego słowa.

- Widzisz, Wespazjo - odezwał się Tytus, wyciągając ramię nad stolikiem i poklepując starszego syna po kolanie - armia go ukształtowała, tak jak uczyniła to ze mną i jak wkrótce uczyni z Wespazjanem.

Wespazjan zerwał się z miejsca, patrząc na ojca z niepokojem.

- Nie mam ochoty wstępować do wojska, ojcze. Dobrze mi tutaj, lubię pomagać w prowadzeniu posiadłości i jestem w tym dobry.

- Mężczyzna nie ma prawa do ziemi, jeśli o nią nie walczył, braciszku - rzucił drwiąco Sabinus. Jak mógłbyś chodzić w Rzymie z podniesioną głową pośród równych sobie, skoro nie walczyłeś u ich boku?

- Twój brat ma rację, Wespazjanie - oświadczyła matka. - Będą się z ciebie wyśmiewać jako z człowieka zajmującego się rolą, której nigdy nie bronił. Byłby to straszny wstyd dla ciebie i dla całego rodu.

- To nie pojedę do Rzymu. Tutaj jest moje miejsce i tutaj chcę zakończyć życie. Niech Sabinus urządza się w Rzymie.

- I zawsze będziesz żył w cieniu brata? - rzuciła ostrym tonem Wespazja. - Mamy dwóch synów i obaj będą jaśnieć. Syn marnujący życie na uprawę roli byłby niewybaczalną obrazą dla bóstw rodzinnych. Siadaj, Wespazjanie, nie życzymy sobie więcej takich słów.

- Racja - przytaknął ojciec i się roześmiał. - Nie możesz spędzić życia w górach jak jakiś kmiotek. Pojedziesz do Rzymu i wstąpisz do armii, bo taka jest moja wola. - Podniósł kielich i jednym haustem dopił resztę wina, po czym raptownie wstał. - Jak wiecie, człowieka

ocenia się przede wszystkim po osiągnięciach jego przodków. - Tytus zamilkł i szerokim gestem wskazał na pośmiertne maski Flawiuszów w niszy. - Wziąwszy to pod uwagę, jestem człowiekiem o niewielkim znaczeniu, a wy dwaj znaczenie jeszcze mniej.

Skoro mamy poprawić status naszej rodziny - ciągnął - będziecie musieli mozolnie wspinać się po szczeblach kariery urzędniczej jako ludzie nowi. Jest to trudne, ale możliwe, co już w starej republice udowodnili Gajusz Mariusz i Cynceron. Jednak czasy się zmieniły. By zająć daleko, potrzebujemy patronów o wyższej niż nasza pozycji, a także poparcia urzędników z otoczenia cesarza. A żeby przyciągnąć ich uwagę, musicie się wykazać w dwóch dziedzinach, które Rzym darzy największym szacunkiem: wojennym męstwem i umiejętnościami administracyjnymi.

Ty, synu - zwrócił się do Sabinusa - już udowodniłeś, że jesteś sprawnym żołnierzem. Natomiast ty, Wespazjanie, wkrótce podążysz tą samą ścieżką. Wykazałeś się już zdolnościami administracyjnymi, pomagając w zarządzaniu rodzinnymi posiadłościami, czym z kolei ty, Sabinusie, niewiele się interesowałeś.

Na te słowa Wespazja popatrzyła z dumą na synów i uśmiechnęła się lekko; wiedziała, do czego zmierza mąż.

- Pierwszym krokiem Wespazjana będzie służba w legionach. Twoim zaś kolejnym posunięciem, Sabinusie, będzie objęcie niższego urzędu w Rzymie, należącego do kategorii *vigintiviri*. Chcę, byście w ciągu następnych dwóch miesięcy dzielili się swoją wiedzą i nawzajem uczyli. Wespazjan pokaże ci, jak zarządzać posiadłością. W zamian ty nauczysz go podstawowych umiejętności, jakie potrzebne są legionistom, co mu pozwoli nie tylko przeżyć, ale i odnosić sukcesy.

Wespazjan i Sabinus patrzyli na ojca z niedowierzaniem.

- Żadnych protestów - mówił dalej ojciec - taka jest bowiem moja wola, której się podporządkujecie, niezależnie od tego, jakie życie względem siebie uczucia. Chodzi o dobro rodu, a ono jest ważniejsze od waszych błahych sporów. Może nauczy was to cenić się wzajemnie, czego nie potrafiliście. Zaczniecie zaraz po tym, jak rozprawicie się ze złodziejami mułów. Jednego dnia nauczycielem będzie Sabinus, a następnego Wespazjan i tak dalej, aż stwierdzą, że obaj jesteście gotowi wyruszyć do Rzymu. - Tytus spoglądał na synów, przytrzymując kolejno ich spojrzenia. - Przyjmujecie takie rozwiązanie? - zapytał tonem, który dopuszczał tylko jedną odpowiedź.

Bracia popatrzyli po sobie. Jaki mieli wybór?

- Tak, ojciec - odpowiedzieli zgodnie.

- Doskonale. Zatem chodźmy coś zjeść.

Tytus poprowadził rodzinę do *tricinium*, gdzie ustawiono łoża biesiadne, i klasnął w dłonie. Jadalnia natychmiast zaroїła się od niewolników z półmiskami potraw. Waro, zarządca domu, gestem nakazał im czekać, podczas gdy rodzina przy pomocy sprawnych niewolnic układała się wygodnie na trzech dużych łożach ustawionych wokół niskiego kwadratowego stołu. Dziewczęta zmieniły biesiadnikom sandały na domowe pantofle, po czym ułożyły przed nimi serwetki i wytarły dłonie. Kiedy wszystko było gotowe, Waro kazał podać *gustatio*, przystawki.

Sabinus rozejrzał się po półmiskach z oliwkami, pieczoną wieprzowiną i smażonymi kiełbaskami w migdałach, sałatą z porami i kawałkami tuńczyka z plasterkami gotowanych jajek. Wybrał wyglądającą szczególnie krucho kiełbaskę, przełamał na pół i popatrzył na brata.

- Ilu tych bandytów jest w górach? - zapytał.

- Nie wiem - przyznał się Wespazjan.

Sabinus skinął głową, pogryzając kiełbaskę.

- No to jutro rano trzeba będzie się tego dowiedzieć.

Rozdział drugi

- Przychodzą stamtąd - objaśniał Wespazjan Sabinusowi, wskazując pasmo poszarpanych gór.
- Po tamtej stronie nie ma nic poza ciągnącymi się przez wiele mil górami i dolinami.

Była trzecia godzina dnia; zsiadli z koni i podczołgali się do szczytu, sponad którego teraz ostrożnie wyglądali. Poniżej rozpościerał się porośnięty trawą teren, jakieś pół mili dalej schodzący do wąwozu, który oddzielał go od leżących na wschodzie skalistych stoków. Na prawo mieli las ciągnący się od szczytu do połowy zbocza prowadzącego do wąwozu.

Sabinus jakiś czas przyglądał się ukształtowaniu terenu, układając plan.

Bracia wyjechali tuż po świcie, zabierając ze sobą Pallona, sześciu innych wyzwoleńców i dwa tuziny mułów. Ludzi wybrał Pallo, który chciał pomścić ojca. Wyzwoleńcy pracowali w posiadłości jako nadzorcy niewolników czy wykwalifikowani rzemieślnicy. Trzech młodszych, Hieron, Lykos i Symeon, podobnie jak Pallo, urodziło się niewolnikami. Pozostali, Baseos, Atafanes i Ludowikus, ogromny Germanin z imbirowej barwy włosami, dostali się do niewoli w rezultacie pogranicznych potyczek i każdy z innego powodu - uniknęli egzekucji, zostali natomiast sprzedani w niewolę. Jedno ich łączyło: wszystkich Tytus wyzwolił za lojalną służbę rodzinie i teraz byli obywatelami Rzymu noszącymi imię Flawiuszów i gotowymi w razie potrzeby za nie zginąć. Każdy miał wiązkę dziesięciu oszczepów przerzuconą przez grzbiet wierzchowca, a przy pasie u prawego boku *gladius*. Wszyscy mieli też myśliwskie łuki, oprócz Baseosa, starego, krępego Scyta o skośnych oczach, i Atanatesa, wysokiego Parta w średnim wieku o delikatnych rysach twarzy; ci dwaj używali krótkich wygiętych łuków kompozytowych, popularnych wśród jeźdźców Wschodu.

- Zatem, chłopcy, tutaj zostawimy przynętę - oznajmił w końcu Sabinus i zaczął przydzielać zadania. - Wespazjanie, ty i Baseos zabierzecie muły w dół zbocza i przywiążecie każdego z osobna pomiędzy lasem a wąwozem. Potem postawicie namiot i rozpalicie duże ognisko; użyjcie trochę wilgotnego drewna, żeby było sporo dymu. Chcemy, żeby nas zauważono.

Pallonie, weźmiesz Lykosa i Symeona i okrążycie tę górę, zejdzicie do wąwozu kilka mil stąd na północ, po czym cofniecie się do drugiego końca łąki. Kiedy już tam będziecie, podejdziecie jak najbliżej mułów, ale tak, żeby żaden obserwator nie mógł dojrzeć was ze

szczytów. Ja i reszta zejdziemy na skraj lasu najbliżej mułów, jak się da. Wespazjanie, dajesz nam godzinę na zajęcie pozycji, po czym ruszasz z Baseosem na drugą stronę góry, jakbyście wybierali się na polowanie, następnie w lesie zawracacie i dołączacie do nas. A potem zaczekamy. Jeśli będziemy mieli szczęście i przyciągniemy uwagę tych obwiesi, pozwolimy im dotrzeć do mułów i dopiero wtedy ich zaatakujemy. Pallo ze swoimi chłopcami odetnie im drogę ucieczki wąwozem i będziemy ich mieli w pułapce. A więc, chłopcy, do roboty.

Zadowolony z siebie Sabinus rozejrzał się po twarzach towarzyszących mu mężczyzn; skinęli głowami. Plan wydawał się sensowny.

*

Wespazjan i Baseos szli w dół zbocza przez las, prowadząc swoje wierzchowce. Muły uwiązali na długich powrozach, rozstawili namiot i rozpalili dymiące ognisko. Widzieli przed sobą skraj lasu, gdzie przywiązawszy konie do drzew, czekał Sabinus ze swoimi ludźmi. Wespazjan przysiadł obok brata.

- Widziałem, jak chłopcy Pallona wchodzą do wąwozu dwie mile na północ stąd. Mam nadzieję, że nikt inny ich nie zauważył - wyszeptał.

- To bez znaczenia - burknął Sabinus. - Nikt ich nie skojarzy z tymi mułami, mogą być grupą zbiegów poszukujących zdobyczy.

Przygotowali się na dłuższe oczekiwanie. Niżej na zboczu, sto kroków od nich, muły pasły się spokojnie. Dzień mijał powoli i ognisko zaczęło przygasać, aż w końcu unosiła się z niego jedynie cienka smuzka dymu.

- Co będzie, kiedy się ściemni? - spytał Wespazjan, przełamując bochenek chleba i podając połówkę Sabinusowi.

- Wyślę dwóch chłopców, żeby podsycili ogień i sprawdzili, co z mułami, ale mam nadzieję, że nie będziemy musieli tak długo czekać - odparł Sabinus, pokonując naturalną antypatię do brata i przyjmując ofiarowany mu chleb. - Zatem, braciszku, nauczę cię być legionistą, a ty nauczysz mnie liczyć muły czy czym tam się zajmujesz. Tylko postaraj się, żeby to było warte zachodu.

- To coś znacznie więcej niż zwykłe liczenie inwentarza, Sabinusie. Nasze posiadłości są ogromne, trzeba dbać o mnóstwo spraw. Mamy pracujących dla nas wyzwoleńców. W zamian za małe gospodarstwa rolne wykuwają narzędzia rolnicze, strzygą owce, nadzorują zapładnianie klaczy, opiekują się słabszymi źrebiętami i jagniętami, pilnują niewolników na polach i tak dalej. Są wreszcie sami niewolnicy. - Wespazjan zapalał się coraz bardziej, mimo że brat miał już całkiem nieobecne spojrzenie. - Trzeba im przydzielać różnorodne zadania, zależnie od pory roku: orkę, przycinanie winorośli, sprzątanie pszenicy z pól czy winobranie,

młóckę, wytłaczanie oliwy, deptanie winogron, wyrabianie amfor. Jaki sens miałyby uzyskanie trzystu kwart oliwy, gdyby nie było w czym jej przechowywać? Chodzi więc o planowanie, pewność, że o każdej porze roku dobrze wykorzystuje się siłę roboczą i każdego człowieka. Trzeba też wszystkich nakarmić i zapewnić im dach nad głową - ciągnął niezrażony milczeniem brata - co pociąga za sobą zakup mnóstwa różnych towarów. Trzeba je nabyć odpowiednio wcześniej, o takiej porze roku, kiedy są najtańsze, zatem trzeba dobrze znać miejscowy rynek. I odwrotnie, nasze produkty trzeba sprzedawać w najbardziej sprzyjającej porze roku. Ciągłe trzeba planować, Sabinusie, ciągle planować. Wiesz, co powinniśmy teraz sprzedawać?

- Nie mam pojęcia, ale zakładam, że mi powiesz.

Wespazjan z uśmiechem popatrzył na brata.

- Sam się domyśl - powiedział - a odpowiedzi udzielisz mi jutro podczas naszej pierwszej lekcji.

- W porządku, ty zadowolony z siebie smarkaczu, zrobię to, ale nie jutro, bo jutro jest moja kolej. - Sabinus obdarzył Wespazjana złowrogim spojrzeniem. - A zaczynamy marszobiegami, dwadzieścia mil w pięć godzin, a po nim ćwiczenia z mieczem.

Wespazjan przewrócił oczyma, ale się nie odezwał. Oderwawszy kawałek chleba, włożył go do ust i uświadomił sobie, że z nich dwóch w najbliższych kilku miesiącach Sabinus będzie miał większe możliwości dokuczenia mu. Odpędził tę nieprzyjemną myśl i pogryzając chleb, rozejrzał się wokół.

Słońce, które już dawno minęło najwyższy punkt na niebie, znalazło się teraz za ich plecami, oświetlając skaliste zbocze po drugiej stronie wąwozu. Wespazjan kątem oka dostrzegł nagły błysk. Szturchnął Sabinusa.

- Tam, przy tym leżącym drzewie - wyszeptał, wskazując ręką. - Coś błysnęło.

Sabinus podążył wzrokiem za palcem brata i zauważył kolejny błysk. Przez rozedrgane upałem powietrze z trudem dostrzegł grupę około dziesięciu mężczyzn prowadzących konie wąską ścieżką pomiędzy głazami w stronę wąwozu. Kiedy dotarli niżej, szybko dosiedli koni i przejechali skrajem doliny jakieś sto kroków na południe. Tam nie było już tak stromo i mogli nakłonić wierzchowce do zejścia po zboczu, a potem pokonali strumień i zaczęli wspinać się po drugiej stronie wąwozu ku pastwisku Flawiuszów.

- No dobrze, chłopcy, mamy towarzystwo. Poczekamy, aż odwiążą większość mułów, zanim uderzymy. Kiedy zaczną się wycofywać, puszczane luzem zwierzęta będą im przeszkadzały. Atakujcie, robiąc jak najwięcej hałasu. Ci, którzy potrafią strzelać z łuku

podczas jazdy, niech tak robią, reszta niech czeka, aż znajdziemy się na odległość rzutu oszczepem, i dopiero wtedy je ciska, ale uważajcie na muły.

- Nie martw się, Sabinusie - oświadczył ponurym głosem Pallo. - Nie zamierzam marnować oszczepów na muły.

Pozostali uśmiechnęli się tylko i poszli po konie.

- Trzymaj się blisko mnie albo Pallona, braciszku - mruknął Sabinus, kiedy najciszej jak się dało dosiadali wierzchowców. - Ojciec życzy sobie, żebyś wrócił w jednym kawalku. Żadnego strugania bohatera. Natomiast zupełnie nie robi różnicy, czy tych drani dostaniemy żywych czy martwych.

Myśl, że może będzie musiał własnoręcznie zabić człowieka, wstrząsnęła Wespazjanem. Nie zajmował się dotąd wymierzaniem sprawiedliwości przestępcom, można by rzec, że żył pod kloszem. Postanowił jednak sprawić się dobrze i nie dostarczyć bratu pretekstu, by miał o nim gorszą opinię niż do tej pory. Ścisnął mocno udami i łydkami boki wierzchowca i sięgnął do tyłu po pięć lekkich oszczepów. Cztery wziął do lewej ręki, w której trzymał wodze, piąty ujął prawą. Wsunął palec wskazujący w skórzaną pętelkę znajdującą się w połowie drzewca, która przy rzucie działała jak proca, poważnie zwiększając zasięg i prędkość oszczepu. Był przygotowany. Zerknął na innych, którzy także sprawdzali broń, tyle że miny mieli nonszalanckie. Wszyscy już nieraz przez to przechodzili, a on był nowicjuszem. Czuł suchość w ustach.

Czekali w milczeniu, obserwując, jak mężczyźni skradają się po stoku, tak żeby nie spłoszyć mułów. Dwóch zostało w wąwozie, żeby zabezpieczać odwrót.

- Pallo i jego chłopcy zajmą się nimi - oświadczył Sabinus, najwyraźniej odczuwając ulgę, że szanse nieco się wyrównały.

Wespazjan doliczył się jedenastu. Dosiadali przeróżnych wierzchowców, bez wątpienia skradzionych z posiadłości jego rodziców czy sąsiednich. Ubrani byli nędznie; niektórzy nosili spodnie charakterystyczne dla barbarzyńców z północy i wschodu. Kilku miało na ramionach porządne płaszcze, najwyraźniej własność zamożnych podróżnych, którzy padli ich ofiarą. Żaden nie golił się od tygodni; zmierzwione brody i długie włosy potęgowały grozę, która, jak wyobrażał sobie Wespazjan, na krańcach cesarstwa towarzyszyła napadom wrogich plemion.

Dotarli do mułów. Sześciu zsiadło z koni i podkradło się do namiotu. Na dany sygnał przebili skórę oszczepami, by zabić tych, którzy, jak sądzili, są w środku. Stwierdziwszy, że namiot jest pusty, wrócili do mułów i zaczęli je odwiązywać. Ich towarzysze krążyli powoli wokół, utrzymując zaniepokojone zwierzęta w stadzie, oszczepy i łuki trzymali w pogotowiu.

Sabinus ruszył ostro naprzód, wrzeszcząc ile tchu w płucach, kiedy wypadł zza osłony:

- Brać drani, nie pozwólcie żadnemu ujsć!

Inni popędzili za nim, w rozproszeniu, wydając różne okrzyki wojenne swoich ludów. W kilka chwil przebyli połowę odległości dzielącej ich od zdezorientowanej bandy. Złodzieje, którzy zsiadli z koni, usiłowali teraz odnaleźć swoje wierzchowce pośród spłoszonych mułów, które ciągnęły za sobą powrozy, oplątując nimi nogi ludzi, koni i innych mułów.

Baseos i Atafanes wypuścili pierwsze strzały. Wespazjan zapomniał o pokrzykiwaniu, obserwując z podziwem, jak ci dwaj napinają łuki, zwalniają cięciwy, ponownie nakładają strzały i znów napinają łuki w takim tempie, że przez cały czas w powietrzu mkną dwie posłane przez nich strzały, a do tego doskonale kontrolują wierzchowce samymi nogami.

Pierwsze strzały trafiły w kotłowanie, powalając dwóch bandytów i muła, który padł, rżąc przeraźliwie i kopiając, co spowodowało, że pozostałe zwierzęta zaczęły wierzgać i stawać dęba.

- Kazałem uważać na te przeklęte muły, kretyni! - wrzasnął Sabinus do Baseosa i Atafanesa, którzy ostro skręcili w lewo, żeby ominąć największy zamęt.

Ci z bandy, którzy siedzieli na koniach, wyrwali się z chaosu i ustawili wierzchowce na stoku, przodem do atakujących, szyjąc z łuków. Wespazjana, który poczuł pęd powietrza, kiedy jedna ze strzał przeleciała mu koło ucha, ogarnęła fala przerażenia. Skamieniał, podczas gdy Sabinus, Ludowikus i Hieron ciskali oszczepami. Atak z góry zwiększył impet; dwa ostrza trafiły w cele z ogromną siłą. Jeden przeszył brzuch jeźdźcy i wbił się w zad jego wierzchowca, przyszpilając człowieka do zwierzęcia. Koń, wierzgając, usiłował pozbyć się wyjącego jeźdźcy. Drugi oszczep przebił na wylot koński łeb; zwierzę padło jak kłoda, przygniatając jeźdźcy, obryzgując mężczyznę i jego towarzyszy gorącą, lepką krwią. To wystarczyło pozostałym trzem, którzy zawrócili konie i zaczęli umykać w dół, ku wąwozowi, gdzie ich tylna straż już pierzchła.

- Zostawcie ich ludziom Pallona! - krzyknął Sabinus, kiedy razem z Ludowikiem zawrócili konie w stronę mułów.

Wespazjan, zawstydzony swoim wahaniem, ruszył za nimi, pozostawiając Hierona, żeby zajął się złoczyńcą, któremu tymczasem udało się uwolnić spod martwego wierzchowca. Stanął na nogi, ocierając oczy z końskiej krwi, tylko po to, żeby zobaczyć błysk Hieronowego miecza. Odcięta głowa spadła na ziemię; oczy wpatrywały się z niedowierzaniem w drgające ciało, podczas gdy z mózgu uchodziły resztki krwi, a wraz z nią życie.

Tymczasem Baseos i Atafanes mieli pełne ręce roboty. Trzech członków zgrai przesytych strzałami leżało w trawie, ale kolejny rzucił się do ucieczki. Sabinus wyciągnął miecz i pognął za nim. Mężczyzna obejrzał się przez ramię i choć musiał wiedzieć, że nie ma szansy, spieszył... nadaremnie. W jednej chwili Sabinus znalazł się przy nim i płazem miecza uderzył go w głowę, pozbawiając przytomności.

Wespazjan spojrzął w dół, w stronę doliny, i zobaczył, że jeden z trzech uciekających jeźdźców, trafiony strzałą z łuku, spada z wierzchowca. Pozostali dwaj, widząc, że mają odciętą drogę ucieczki, a ich dwóch towarzyszy leży na ziemi z rozplatanymi gardłami, natychmiast skierowali konie w lewo i pogalopowali skrajem doliny na północ. Wespazjan ruszył cwałem, wiedząc, że umkną, jeśli nie odetnie im drogi. Pragnienie, aby ci dwaj nie uniknęli kary, wzmocnione ogromną chęcią wykazania się, wzbudziło w nim nowe, nieznane wcześniej uczucie: żądzę krwi. Wiatr targał grzywą jego wierzchowca, kiedy pędził skosem w dół zbocza, zbliżając się do dwójki uciekinierów. Słyszał, że Sabinus i Hieron, jadąc za nim, krzyczą, by zaczekał, ale wiedział, że nie ma na to czasu.

Odległość pomiędzy nim a uciekającymi szybko się zmniejszyła, uniósł się więc w siodle i z całej siły cisnął oszczepem w prowadzącego jeźdźcę. Ostrze wbiło się głęboko w koński brzuch i wierzchowiec przekoziółkował i wylądował na jeźdźcu, łamiąc mu kręgosłup, czemu towarzyszyło obrzydliwe chrupnięcie. Drugi mężczyzna musiał zwolnić, żeby ominąć wierzgające zwierzę, dzięki czemu Wespazjan go dogonił. Wtedy tamten zamachnął się szaleńczo mieczem, celując w głowę młodzieńca. Wespazjan uchylił się przed ciosem i rzucił na tracącego równowagę przeciwnika. Spadli ciężko na ziemię i przetaczali się, a każdy próbował chwycić przeciwnika za ramię, gardło, włosy, cokolwiek. Kiedy wreszcie się zatrzymali, Wespazjan stwierdził, że leży pod rabusiem, pobawiony tchu i zdeorientowany. Gdy usiłował zaczerpnąć powietrza, na jego twarzy wylądowała pięść, a on poczuł przeszywający ból i usłyszał chrupnięcie kości nosa; krew trysnęła mu w oczy. Dwie szorstkie dłonie zacisnęły się na jego szyi i wtedy zrozumiał, że walczy o życie; dotychczasową chęć zabijania zastąpił instynkt przetrwania. Przerażony, wykręcał się gwałtownie i wił, daremnie próbując wyswobodzić się z uścisku napastnika. Oczy zaczęły wychodzić mu z orbit. Przez zasłonę krwi spojrzął na twarz mężczyzny; spękane wargi obnażyły szczerbate zęby, wyginając się w obrzydliwym uśmiechu, cuchnący oddech owionął Wespazjana. Chaotycznie okładał przeciwnika pięściami po głowie, ale nacisk na jego tchawicę wciąż się zwiększał. Kiedy już tracił przytomność, usłyszał głuchy łomot i poczuł drzenie przebiegające przez ciało bandyty. Spojrzął w górę. Oczy mężczyzny były

szeroko otwarte w wyrazie zaskoczenia, usta zwiotczały; z prawego nozdrza sterczał zakrwawiony grot oszczepu.

- Co ci mówiłem o struganiu bohatera, ty durny smarkaczu?

Wespazjan skupił wzrok i przez krew wciąż zalewającą mu oczy dojrzał spieszonego Sabinusa trzymającego obiema rękoma oszczep, na który było nadziane bezwładne już ciało złoczyńcy. Z pogardą odrzucił trupa na bok i wyciągnął rękę, by pomóc bratu wstać.

- No tak - mruknął ze złośliwym uśmiechem. - Jeśli wydawało ci się kiedyś, że w twojej twarzy jest coś urodziwego, ta mała eskapada to zrujnowała. Może to cię nauczy w przyszłości słuchać starszych i mądrzejszych.

- Zabiłem tego drugiego? - Wespazjan wydusił przez usta pełne krwi.

- Nie, zabiłeś pod nim konia, a koń zabił jego. Chodź już, mamy jednego żywego i trzeba go ukrzyżować.

*

Idąc w górę stoku, Wespazjan przyciskał do krwawiącego nosa strzęp tuniki zabitego; tkanina cuchnęła, ale to mu pomogło zachować przytomność. Teraz, kiedy napięcie opadło, ból dosłownie rozsadał mu czaszkę. Dyszał ciężko i musiał się wspierać na Sabinusie. Hieron szedł za nimi, prowadząc konie.

Dotarli do mułów, które uspokajały się po niedawnych przeżyciach. Baseos i Atafanes spędzili już te, które się rozbiegły, i złapali osiem koni rzezimieszków. Pallo i Symeon zajęci byli tworzeniem z tych wszystkich zwierząt jednej kolumny. Tylko dwa muły zabito; cztery inne miały niegroźne rany.

- Niezła robota jak na jeden dzień, co, chłopcy? Dwa muły mniej, osiem koni więcej, ojciec nie będzie musiał postawić was przed sądem za nieostrożne strzelanie - powiedział Sabinus do Baseosa i Atafanesa i zachichotał.

- Mielibyśmy trzy konie więcej, gdyby wam, ciskającym tymi kijami, chciało się celować w jeźdźców, a nie w ich wierzchowce - roześmiał się Baseos.

Atafanes poklepał go po plecach.

- Dobrze powiedziane, mój przysadzisty przyjacielu, łuk jest o wiele skuteczniejszą bronią niż oszczep, co już przeszło siedemdziesiąt lat temu udowodniło pokolenie mojego dziadka pod Karrami.

Sabinus nie lubił, jak przypominano największą klęskę Rzymu poniesioną na Wschodzie, kiedy to w ciągu zaledwie jednego dnia siedem legionów Marka Krassusa zostało niemal unicestwionych pod gradem partyjskich strzał. Tego dnia stracono siedem legionowych orłów.

- Dostyc tego, ty chudy dręczycielu koni z haczykowatym nochalem. W końcu jesteś tutaj, bo schwytali cię prawdziwi żołnierze, którzy stają do walki, a nie strzelają i umykają. Co się stało, zabrakło wam strzał?

- Owszem, jestem tutaj, ale wolny, podczas gdy kości waszych żołnierzy wciąż leżą w piaskach mojej ojczyzny i nigdy nie będą wolne.

Sabinus nie miał ochoty wdawać się w sprzeczkę; chłopcy walczyli dobrze i mogli być w swobodniejszym nastroju. Rozejrzał się, szukając wzrokiem jeńca, który związany leżał na brzuchu, wciąż nieprzytomny.

- No dobrze, zróbmy swoje i wracajmy do domu. Lykosie, wykop dół.

Wkrótce z lasu wychynęli Ludowikus i Hieron, ciągnąc dwa mocne, świeże konary. Za pomocą narzędzi, które najwyraźniej w tym celu zabrali ze sobą, wycięli dwa złącza, złożyli krzyż i zaczęli zbijać. Jeniec oprzytomniał. Podniósł głowę, a kiedy zauważył, co mu szykują, zaczął krzyczeć. Wespazjan zobaczył, że chłopak jest młodszy od niego.

- Sabinusie, nie rób tego, on ma nie więcej niż czternaście lat.

- Co zatem zalecasz, braciszku? Dać mu po łapach, pouczyć, że to nieładnie kraść nasze muły, i odesłać do właściciela... który i tak go ukrzyżuje, jeśli ma choć odrobinę rozsądku.

Przerażenie, jakie dopiero co odczuwał na myśl o śmierci w tak młodym wieku, kazało Wespazjanowi współczuć złodziejaskowi.

- No cóż, moglibyśmy go zabrać i zatrzymać jako niewolnika do pracy w polu - odpowiedział. Wygląda mi na silnego, a o przyzwoitych robotników rolnych jest trudno i dużo kosztują.

- Bzdury. Ten mały drań już raz zbiegł, kto nam zagwarantuje, że nie zrobi tego ponownie? Zresztą jednego musimy ukrzyżować, a on miał pecha, że dał się złapać. Czułbyś się lepiej, gdyby tam leżał, naszpikowany strzałami, a my przybijalibyśmy do krzyża jakiegoś siwego starucha? Co to za różnica? Oni wszyscy muszą umrzeć. Chodźcie, podnieśmy go.

Wespazjan spojrział na roztrzęsionego chłopca, który wbił w niego błagalne spojrzenie, i doszedłszy do wniosku, że Sabinus ma rację, odwrócił głowę.

Pallo i Hieron podnieśli wrzeszczącego jeńca, walczącego z całych sił - których nie miał zbyt wiele - i ułożyli na krzyżu.

- Proszę, litości, proszę, błagam was. Dam wam, co chcecie. Zrobię wszystko, wszystko. Błagam.

Pallo zdzielił go w twarz.

- Przestań chlipać, śmieciu. Czy ty w ogóle masz coś do dawania, chyba że ładny, ciasny tyłeczek? Takie łotry jak ty zamordowały mi ojca, więc nawet nie sprawię ci przyjemności, jaką byłoby ostatnie solidne chędożenie.

Splunąwszy na chłopca, przeciął mu więzy i razem z Lykosem rozciągnęli broniącego się młodzika na krzyżu. Hieron i Baseos trzymali go za nogi, kiedy Ludowikus podchodził z młotkiem i gwoździami. Przyklęknął przy jego prawej ręce i przyłożył gwóźdź do nadgarstka, tuż u podstawy kciuka. Grubym gwoździem kilkoma silnymi uderzeniami przybił rękę do drewna, roztrzaskując kości i rozdzierając ścięgna. Wespazjan nie przypuszczał, by jakieś stworzenie, nie mówiąc o człowieku, było zdolne do takiego skowytu, jaki dobył się z ust nieszczęśnika. Był to krzyk, który przechodząc od gardłowego charkotu w przenikliwe wycie, dosłownie przeszył go na wylot.

Ludowikus przeszedł do drugiej ręki i szybko przybił ją do krzyża. Nawet Pallo nie czuł zadowolenia, kiedy gwoździe przebijały stopy skręcającego się z bólu chłopca. Krzyk raptownie umilkł; chłopiec doznał wstrząsu i utkwivszy oczy w niebo, oddychał szybko, z zastygłym na ustach grymasem udęczenia.

- Dzięki bogom i za to - powiedział Sabinus. - Podnieście go, potem przyciągnijcie te dwa martwe muły i zostawcie pod krzyżem. To powinno być dla innych wystarczająco jasne przesłanie.

Wstawili krzyż do wykopanej dziury i podpierali go, póki kliny u podstawy nie zostały wbite. Ledwie skończyli, ponownie rozległ się krzyk, tym razem przerywany, bo chłopakowi brakowało tchu. Mógł oddychać jedynie wtedy, kiedy podciągał się na nadgarstkach, odpychając okaleczonymi stopami; wkrótce jednak nie mógł znieść bólu i zwiślał ponownie, znowu się dusząc. Ten upiorny cykl miał się powtarzać, dopóki po jednym czy dwóch dniach nie nadejdzie śmierć.

*

Jechali w górę stoku, a krzyk echem okrążał dolinę. Wespazjan wiedział, że nigdy nie zapomni twarzy chłopca i wypisanego na niej straszliwego przerażenia.

- A co, jeśli zjawią się jego przyjaciele i go zdejmą, Sabinusie?

- Niech sobie przychodzą, ale i tak go nie zdejmą. Nawet gdyby wydarzył się cud i on by przeżył, już nigdy nie byłby w stanie używać rąk czy normalnie chodzić. Nie, jeśli się zjawią, przebiją mu serce włócznią i wrócą do siebie. Ale to będzie dla nich nauczka.

Wydawało się, że krzyk będzie ich ścigał bez końca, jednak raptownie ucichł. Przybyli przyjaciele chłopca.

Rozdział trzeci

Było jeszcze ciemno, kiedy stopa Sabinusa wylądowała na pośladku Wespazjana, zrzucając go z łóżka na podłogę.

- Wstawaj, legionisto! - wrzasnął Sabinus głosem typowego centuriona. - Musisz rozpalić ogień, jeśli przypadkiem przed wymarszem o świcie masz ochotę zjeść coś gorącego.

Wespazjan usiadł i rozejrzył się wokół siebie.

- O co ci chodzi? - spytał półprzytomnie.

- O to, że jeśli chcesz zjeść śniadanie, lepiej je sobie zrób teraz, zanim o pierwszym słońcu rozpoczniemy marszobieg. Teraz rozumiesz? No to się ruszaj. Na zewnątrz znajdziesz drewno, podpałkę, przybory do gotowania i prowiant legionisty.

- A ty? - spytał Wespazjan, wstając.

- Och, nie martw się o mnie, braciszku, ja nie odbywam ćwiczeń. Na mnie czeka śniadanie w tryklinium.

Sabinus wyszedł, zostawiając Wespazjana walczącego w ciemności z sandałami i przeklinającego pulsowanie, jakie czuł w uszkodzonym nosie. Po powrocie nastawiła mu go Chloe, sędziwa grecka niewolnica domowa, której ojciec był medykiem. W całej posiadłości była jedyną osobą o jakiegokolwiek wiedzy medycznej; asystowała ojcu aż do jego śmierci, a potem sprzedała się w niewolę, by nie cierpieć nędzy. Wstawiła chrząstkę na miejsce, co było bardziej bolesne niż uderzenie, które ją przestawiło, po czym nałożyła packę z mokrej gliny wymieszanej z ziołami i miodem, którą zabezpieczyła bandażem. Przez noc glina stężała i uciskała opuchnięty nos.

Wespazjan wyszedł na dwór i zobaczył stos zwalonego na ziemię ekwipunku. Otulił się szczelniej płaszczem, chroniąc się przed rześkim powietrzem przedświt, i w panującym wciąż mroku wziął się do rozniecania ognia.

Kiedy już płomień był przyzwoity, mógł w jego świetle obejrzeć swój prowiant: kubek jęczmienia, gruby plaster boczku, kawałek twardego sera, kwarta wody i bukłak wina; obok tych wiktuałów stał garnek. Ponieważ nigdy nie próbował niczego bardziej ambitnego od pieczenia królika czy kurczaka nad otwartym ogniem, nie bardzo wiedział, co ma począć. Jako że czasu miał niewiele, zdecydował się umieścić wszystko, oprócz wina, w garnku i ugotować.

Po jakimś czasie uzyskał gęstą breję, wyglądającą bardzo nieapetycznie, ale jadalną. Zjadł już mniej więcej połowę tej pački - odrobinę znośniejszej, gdy się ją popijało winem, choć kwaśnym - kiedy zjawił się Sabinus na koniu. Pierwsze promienie słońca łagodnym czerwonym światłem zalały poszarpane szczyty gór w barwie ochry, a gotowe na powitanie dnia cykady nieprzerwanie koncertowały.

- Zgaś ogień i zatrzyj wszelkie ślady swojej działalności! - polecił Sabinus. - A przybory do gotowania zawieś tutaj. - Rzucił bratu solidny drąg z poprzeczką na jednym końcu, do której przymocowany był duży worek.

- Co to takiego? - spytał Wespazjan.

- To, mój odważny braciszku, jest cała różnica pomiędzy miłą przechadzką a marszobiegami legionisty. Waży mniej więcej tyle co tobolek legionisty. Słabo to pamiętam, więc jeśli przesadziłem, to ze szczodrości. - Sabinus obdarzył brata niewinnym uśmiechem.

- Nie wątpię - mruknął Wespazjan, wrzucając resztę śniadania do ognia i przysypując ziemią. Przywiązał przybory do gotowania z boku tobołka i zarzucił sobie drąg na ramię tak, że wszystko zawisło z tyłu. Skrzywił się pod jego ciężarem.

Sabinus popatrzył z góry na brata.

- Teraz już wiesz, dlaczego legionistów nazywają mułami Mariusza. Lubisz te zwierzęta, powinieneś więc być zadowolony, bo masz sposobność stać się jednym z nich. Wio, braciszku! - Roześmiawszy się z własnego dowcipu, ruszył naprzód, zostawiając Wespazjana z tyłu.

- A dlaczego ty nie maszerujesz? - zawołał za nim Wespazjan.

- Jak już powiedziałem, ja nie odbywam ćwiczeń - odparł Sabinus z krzywym uśmiechem.

*

Przebyli około mili, zanim Sabinus zwolnił i pozwolił się dogonić. Wyjął ze swojego tobołka krótki trzcinowy gwizdek, zagwizdał, zrobił krótką przerwę i zagwizdał ponownie.

- To rutynowe wojskowe tempo. Stałe, równomierne trzy kroki na każdy sygnał, przez pięć godzin, z dwiema krótkimi przerwami na napicie się wody, pozwala przejść dwadzieścia mil. - Sabinus zamilkł, dla dodatkowego efektu napił się wody z bukłaka, po czym ciągnął wykład. - Taka jest szybkość, z jaką przemieszcza się legion albo jakiś mniejszy oddział, jeśli nie jest obciążony taborem z bagażami czy ze sprzętem oblężniczym. Jeśli trzeba posuwać się szybciej, tempo jest zwiększane do trzech i pół kroku... dwadzieścia cztery mile w pięć godzin. Jeśli jednak maszeruje cała armia, z całym obciążeniem, to w ciągu pięciu godzin jest w stanie przebyć dziesięć do dwunastu mil, poruszając się z szybkością swojej najwolniejszej

części składowej, mianowicie wołów ciągnących wozy z bagażem i sprzętem oblężniczym. - Sabinus spoglądał z góry na brata, który w rosnącej temperaturze zaczynał się już pocić. - Dla naszych celów przyjmujemy, że jesteśmy oddziałem. Jeśli potrafisz utrzymać to tempo, wtedy marsz w pełnej kolumnie będzie dla ciebie niczym wakacje. - Odjechał do przodu, podając gwizdkiem tempo marszu.

- Dlaczego maszerują tylko pięć godzin? - spytał Wespazjan po przebyciu kilkuset kolejnych kroków. - Nie myśl, że mam ochotę iść dłużej - dodał pospiesznie.

- Wykombinuj sobie to sam. Gdzie się legion budzi rano? - spytał Sabinus, wyjmując trzcinę z ust, nie zatrzymując się jednak.

- W obozie - odpowiedział Wespazjan.

- Właśnie. I gdzie będzie spał kolejnej nocy?

- W następnym obozie.

- Zgadza się. A kto rozbije ten obóz, może bogowie wyczarują go z niczego? - Sabinus świetnie się bawił.

- Cóż, oczywiście, że legionieści - odpowiedział Wespazjan cierpkim głosem. Spocona skóra pod opatrunkiem zaczęła go niemiłosiernie swędzieć.

- Słusznie, braciszku. Kopiać rów obronny, stawiając palisadę, ustawiając namioty, a co najważniejsze, gotując kolację, co zajmuje im większość pozostałego czasu, kiedy jest jeszcze widno. Takie są podstawowe elementy dnia legionisty. Pobudka, posiłek, zwijanie obozu, marsz, rozbijanie nowego obozu, posiłek, sen. Oczywiście jest tego znacznie więcej... służba wartownicza, ćwiczenia, szukanie żywności, kopanie latryn, dbanie o rynsztunek i tak dalej. Jednak wszystko to służy jedynie temu, by legion sprawny i gotowy dotarł w konkretne miejsce, bo po to właśnie istnieje, by walczyć i zabijać, nieważne, czy w drobnej potyczce, czy w wielkiej, starannie zaplanowanej bitwie.

- Walczyłeś kiedyś w wielkiej bitwie? - Ciekawość wzięła w Wespazjanie górę nad antypatią do brata.

- Rebelia w Afryce nie była poważna. Numidyjska armia Takfarinasa składała się głównie z jazdy i lekkiej piechoty. To pokrętne dranie, nieustannie cię nękają, wybijają maruderów, atakują grupy zaopatrzeniowe, nigdy nie dają się wciągnąć w bitwę. Ten jedyny raz, kiedy sobie na to pozwolili, na samym początku powstania, Trzeci Legion *Augusta* sprawił im tęgie lanie. Potem już zmienili taktykę, trzymali się z dala od legionu w pełnym stanie i napadali na mniejsze oddziały. Kilka miesięcy przed naszym przybyciem udało im się unicestwić całą kohortę Trzeciego.

- Jak im się to udało? - spytał Wespazjan, zmuszając nogi do zwiększonego wysiłku na stromym zboczu.

- Dopadli ich na całkowicie odsłoniętym terenie, w drodze powrotnej z akcji karnej. Kohorta utworzyła zwarty szyk, ale nieprzyjaciel nie zamierzał stosować podobnej taktyki. Ich jazda z bezpiecznej odległości obrzucała naszych chłopców oszczepami, podczas gdy piechota ciskała kamieniami z proc i strzelała z łuków. Za każdym razem, kiedy kohorta ruszała do ataku, oni po prostu się cofali i dalej strzelali. To były takie małe Karre. Większość zginęła w ciągu czterech godzin. Pechowców, których pojmano, rozciągnięto na piasku pustyni, nagich, przywiązanych do kołków, wydłubawszy im wpierw oczy i odciąwszy przyrodzenie. Namiestnik Lucjusz Aproniusz był taki wściekły, kiedy usłyszał o tym upokorzeniu, że ukarał resztę legionu zdziętkowaniem, chociaż tych żołnierzy w ogóle tam nie było.

- To niesprawiedliwe - oświadczył Wespazjan. Buty zaczęły już obcierać mu pięty.

- Kto powiedział, że musi być sprawiedliwie? Legion został poważnie okaleczony. Utrata całej kohorty, czterystu osiemdziesięciu ludzi, z rąk buntowników, skalała honor legionu. Można go było odzyskać jedynie krwią, więc Lucjusz kazał im się ustawić bez uzbrojenia, w samych tunikach. Potem ich odliczano. Co dziewiąty dostawał miecz i musiał ściąć głowę dziesiątemu, swojemu towarzyszowi, temu z lewej strony. Mógł to być jego najlepszy kamrat, ktoś, kogo znał od wielu lat, ktoś, z kim dzielił namiot, posiłki, niebezpieczeństwo w bitwie, kobiety. Mógł też być kimś zupełnie obcym, chłopakiem, który dopiero co wstąpił do armii. Nie miało to znaczenia. Jeśli się zawahałeś, ciebie spotykał taki sam los.

Sabinus zamilkł, sięgnął do torby wiszącej przy siodle i wyjął z niej miękki słomiany kapeluszek przeciwsłoneczny typu tessalskiego, spopularyzowany przez Augusta. Włożył go i znów ruszył, obojętny na narastające zmęczenie brata.

- Jeden z trybunów Trzeciego - ciągnął - opowiedział mi o tym wkrótce po moim przyjeździe. Mówił, że była to najstraszniejsza rzecz, jaką w życiu widział... legionieści skąpani we krwi swoich towarzyszy, stojący na baczność przed stosem ponad czterystu ściętych głów. Błagający namiestnika o przebaczenie. Jednakże po tych wydarzeniach zapalali do Takfarinasa i jego buntowników głęboką i trwałą nienawiścią, bo w nich widzieli przyczynę swojego cierpienia, i skwapliwie zaczęli ich poskramiać. Ostatecznie, kilka miesięcy później, kiedy wykonaliśmy już tę ciężką robotę i wyjechaliśmy stamtąd, otoczyli resztki armii buntowników w twierdzy o nazwie Auzera. Padła ona po trzech miesiącach oblężenia i Trzeci nie oszczędził nikogo, nawet tych, którzy mieliby dużą wartość jako

niewolnicy. Niestety, Takfarinas zdążył się przebić mieczem, nim do niego dotarli, pochwycono natomiast jego żony i dzieci i, jestem przekonany, odegrano się na nich.

Dotarli na szczyt wzgórza. Sabinus powściągnął wierzchowca, po czym podał bukłak z wodą Wespazjanowi, który z ulgą się do niego przypiął.

- Więc Lucjusz Aproniusz postąpił słusznie - oświadczył, ocierając ściekającą mu z brody wodę.

- Zdecydowanie - zgodził się Sabinus. - Legion może walczyć i zwyciężać tylko wtedy, kiedy każdy jego żołnierz całkowicie ufa swoim towarzyszom. Pokazując, że są w stanie zabić swoich kolegów, udowodnili, że potrafią zabić każdego, i tym samym odzyskali wiarę w samych siebie.

Wespazjan spojrział na brata i przypomniał sobie słowa ojca o zasadzie wiążącej legion; skoro już musiał kiedyś stanąć w jego szeregach, chciałby mieć po obu bokach mężczyzn takich jak Sabinus.

Bracia stali chwilę bez ruchu, spoglądając ze wzgórz poza teren ich posiadłości. W oddali, na północnym wschodzie, majaczył szczyt góry Tetrica, który w ciągu najbliższego miesiąca miała okryć śnieżna czapa. Daleko pod nimi, w kierunku południowym, płynęła Awens, której dopływ biegł wąwozem wykorzystanym przez nich dzień wcześniej do zastawienia pułapki na zbiegów. Pod kątem prostym do rzeki prowadziła via Salaria, przecinała dolinę i zmierzała na wschód, ku Adriatykowi. Na rzece zbudowano solidny kamienny most, w którego kierunku właśnie w tej chwili pędziła od wschodu duża grupa jeźdźców.

- Wygląda na to, że im się bardzo spieszy - zauważył Wespazjan, osłaniając ręką oczy.

- Czego o tobie nie da się powiedzieć. Ruszajmy. - Sabinus wbił pięty w końskie boki i pokłusował w dół zbocza, nie zapominając o gwizdaniu. Wespazjan podążył za nim ociężale, ani na chwilę nie spuszczał oka z jeźdźców na drodze w dół. Było ich około dwudziestu; wyglądali na zbrojnych i jechali szybko. Kiedy dotarli do mostu, zwolnili i przejechali go truchtem. Mężczyzna jadący na przedzie zjechał z drogi w prawo i poprowadził wszystkich wzdłuż brzegu rzeki.

- Jak sądzisz, dokąd oni jadą? - spytał Wespazjan.

- Co takiego? - ocknął się Sabinus, którego myśli najwyraźniej krążyły zupełnie gdzie indziej.

- Mówię o jeźdźcach, którzy zjechali z drogi i jadą teraz wzdłuż rzeki, w naszą stronę.

Sabinus podniósł wzrok; choć konni znajdowali się jakieś pięć czy sześć mil od nich, widać było wyraźnie, że są uzbrojeni, ponieważ słońce odbijało się od ostrzy włóczni i od hełmów.

- Cóż, nie są to wojskowi, to pewne. Nie są w mundurach i nie jadą w odpowiednim szyku. - Sabinus obrzucił brata pytającym spojrzeniem. - Skoro nie są to wojskowi, a są uzbrojeni i z dużą szybkością zbliżają się do nas, to uważam, że powinniśmy przyjąć najgorsze z założeń, nie sądzisz, braciszku?

- Zgraja zbiegłych niewolników?

- Planujących małą zemstę za wczoraj. Lepiej szybko wracajmy do domu. Rzuć tobolek i wskakuj za mnie.

Z narastającymi złymi przeczuciami Wespazjan zrobił, co mu kazano. Sabinus zawrócił wierzchowca i tak szybko, jak tylko się dało z dodatkowym obciążeniem, ruszył w drogę powrotną. Mieli do pokonania siedem mil. Wespazjan jechał przyklejony do pleców brata, a jego pokierszowany nos reagował bólem na każdy wstrząs spowodowany nierównościami terenu.

- Jeśli utrzymamy to tempo - zawołał Sabinus do brata - powinniśmy dotrzeć do domu około pół godziny przed nimi. To akurat wystarczy, żeby wszystkich uzbroić i rozstawić na stanowiskach. Ludzie pracujący daleko w polu będą musieli zaufać Fortunie i zatroszczyć się sami o siebie.

- Co zamierzasz? - spytał Wespazjan, mając nadzieję, że brat przedstawi mu jakiś pomysłowy plan.

- Jeszcze nie wiem. Zastanawiam się - powiedział Sabinus.

Niezbyt inspirująca odpowiedź.

Kiedy tak pędzili do domu, Wespazjan myślał o wściekłości członków bandy po znalezieniu chłopca na krzyżu i gnijących na słońcu ciał. Zastanawiał się, dlaczego nikt nie wziął pod uwagę możliwości zemsty, i uświadomił sobie, że w ogóle nie doceniono przeciwników. Zlekceważono ich, uważając za niewielką, kiepsko wyposażoną i źle dowodzoną grupę złodziei, którzy zdolni są jedynie do kradzieży mułów i rabowania podróźnych. Tymczasem oni szykowali się do skoordynowanego ataku na gospodarstwo Flawiuszów. Zrozumiał, że dojdzie do krwawej walki; rabusie nie będą oczekiwali łaski i sami na pewno nikomu jej nie okażą.

*

Bracia wpadli przez bramę na dziedziniec, rozganiając na wszystkie strony chmarę kur i dzieci. Kiedy zsiadali z konia, wybiegł im naprzeciw Pallo.

- Pallonie, szybko! - krzyknął Sabinus. - Uzbrój wszystkich ludzi i tylu niewolników, ilu możesz ufać, potem jak najszybciej sprowadź wszystkich z pobliskich pól. Wygląda na to, że za pół godziny będziemy mieli towarzystwo, jakichś dwudziestu zbirów szykujących zemstę. Niech myślą, że udało się im nas zaskoczyć. Zostawimy wrota otwarte, ukrywamy za nimi dwóch ludzi. Jeśli napastnicy nie zobaczą nikogo na zewnątrz, wpadną wprost na dziedziniec; chłopcy zatrzaskną bramę i zablokują ją od zewnątrz, wtedy ich dopadniemy. Cała reszta ludzi, uzbrojonych w łuki i oszczepy, będzie nam potrzebna na dachach i w pomieszczeniach nad stajniami. Hieronie, napełnij wodą jak najwięcej kubłów i zabierz je na dachy; te dranie mogą próbować puścić z dymem budynki. Wespazjanie, idź i powiedz rodzicom, co się dzieje.

Po krótkim czasie Wespazjan powrócił na dziedziniec wraz z ojcem. Zostawili Wespazję i niewolnice zabarykadowane w głównym domu razem z Waronem, któremu Tytus rozkazał pomóc Wespazji odebrać sobie życie, gdyby obrońców pokonano. Fakt, że matka zgodziła się na taki plan, uzmysłowił Wespazjanowi grozę sytuacji.

Na dziedzińcu trwały gorączkowe przygotowania. Przed bramą ustawiono duży wóz, by móc ją ewentualnie zablokować. Wydano miecze i sztylety, na dachach rozmieszczono stosy oszczepów, wiązki strzał i kubły z wodą. Drabiny, po których wspinano się na dachy, wciągnięto na górę. Skutych w żelaza niewolników pracujących w polu zamknięto w pomieszczeniach gospodarczych, by nie mogli wspomóc napastników, do których, gdyby mieli najmniejszą szansę, na pewno by dołączyli.

Wespazjan pomógł Tytusowi wejść na dach głównego domu i wspiał się tam za nim.

- Nie mogę się tego doczekać - zachichotał ojciec. - Nie pamiętam, kiedy ostatni raz rzucałem włócznią w gniewie, a taki godny rzutu cel tylko podwoi przyjemność.

Wespazjan rozejrzał się po dachach; doliczył się piętnastu mężczyzn, a potem jeszcze trzech, którzy wyglądali z okien znajdującej się nad stajniami kwatery niewolników domowych. Simeon i Ludowikus schowali się za rozwartymi skrzydłami bramy; Lykos i Pallo zajęli pozycję na murze nad nimi. Baseos i Atafanes wyjeżdżali właśnie na zewnątrz, od niechcenia przebierając palcami po cięciwach łuków.

- A dokąd ci się wybierają? - spytał Wespazjan brata, który też przyczał się na dachu, kilka kroków od niego; trzymał w ręku koniec liny, która ciągnęła się po ziemi przez dziedziniec aż do okna na piętrze budynku naprzeciwko, w którym majaczyła postać Hierona.

- Musimy mieć parę osób na zewnątrz, bo inaczej wyglądałoby to wszystko podejrzanie spokojnie. Jak tylko zostaną dostrzeżeni przez napastników, popędzą do środka i miejmy nadzieję, że pociągną tamtych za sobą. - Sabinus podniósł głos, żeby mogli go

usłyszeć wszyscy obecni na dziedzińcu. - Pamiętajcie, macie być niewidoczni, dopóki nie przejadą przez bramę. Nie chcemy, żeby zobaczyli jakąś głowę na dachu i stali się podejrzliwi. Mają tu wpaść całkowicie nieświadomi, tego, co ich czeka. Każdy niewolnik, który się dzisiaj sprawdzi, otrzyma wolność - mówił. Rozległ się przyciszony okrzyk radości. - Pallo, ty trzymaj straż; wszyscy pozostali ukryć się i nie wyściubiać nosa. Nie atakować, dopóki co najmniej dziesięciu napastników nie znajdzie się na dziedzińcu... wtedy już nie będą się mogli zatrzymać. Niech Fortuna i Mars będą dla nas łaskawi.

Czekali w pałącym południowym słońcu. Czas włókł się niemiłosiernie; panująca na dziedzińcu cisza zdawała się go jeszcze spowalniać. Wespazjan rozważał możliwość, że może to tylko wybujała wyobraźnia jego i Sabinusa wywołała tę panikę, i pomyślał o upokorzeniu, jakie ich czeka, kiedy się okaże, że podnieśli fałszywy alarm. O mało nie westchnął z ulgą, kiedy usłyszał dochodzące z odległych pól pierwsze słabe wrzaski. Napastnicy najwyraźniej natrafili na niewolników, pracujących w polu zbyt daleko, by można było ich ostrzec, i teraz rozgrzewali się, na miejscu ich wyrzynając. Słyszac te dźwięki, ludzie rozmieszczeni wokół dziedzińca szykowali się do swojej zemsty, sprawdzając broń i prężąc mięśnie. Krzyki umilkły. Na dziedzińcu ponownie spłynęła cisza. Potem z oddali dobiegł ich tętent pędzących koni. Kiedy zaczął narastać, wiedzieli, że banda kieruje się w ich stronę.

- Widzę ich! - zawołał Pallo. - Są około pół mili stąd. Mają ze sobą płonące pochodnie.

- W porządku. Spokojnie, chłopcy, głowy nisko, nie wychylać się - rzucił Sabinus.

- Zobaczyli Baseosa i Atafanesa... zbliżają się - relacjonował Pallo.

Odgłos kopyt był coraz głośniejszy, słyszeli też już pokrzykiwania jeźdźców. Wespazjan pomyślał, że jeśli tamci zamierzali ich zaskoczyć, to źle się do tego brali. Myśl ta natychmiast wyparowała mu z głowy, kiedy Baseos i Atafanes wpadli przez bramę, jeden skręcił w lewo, a drugi w prawo i dopadli drabin, które dla nich pozostawiono. Ledwie zdążyli zeskoczyć z wierzchowców, wspiąć się szybko na dach i wciągnąć drabiny za sobą, kiedy, wymachując zapalonymi pochodniami, pierwsi napastnicy wpadli na dziedzińiec, a tuż za nimi główne siły bandy. Ci pierwsi jeźdźcy przejechali nad leżącą na ziemi liną i na chybił trafił rzucili pochodnie w okna.

- Teraz! - krzyknął Sabinus.

Grad pocisków spadł na napastników, trafiając i w jeźdźców, i w ich wierzchowce. Czterech spadło natychmiast z koni. Pozostali pędzili tak szybko, że nie byli się w stanie zatrzymać. Wpadli przez bramę na dziedzińiec, tratując leżących. Kiedy ostatni z jeźdźców przejechał przez bramę, Simeon i Ludowikus wyskoczyli z ukrycia i ją zamknęli.

Rozwścieczony tym atakiem na rodzinny dom Wespazjan po raz drugi w życiu poczuł, jak ogarnia go żądza krwi. Tym razem wiedział, że będzie zabijał. Wrzaski odbijały się echem wokół dziedzińca, kiedy strzały z łuków i włócznie trafiały w cel. Wespazjan rzucił swoją w najbliższego jeźdźca, brodatego i ospowatego, z włosami w stylu germańskim związanymi u góry głowy. Ostrze przeszło przez środek piersi i przerwało rdzeń kręgowy. Nastąpił natychmiastowy paraliż dolnej części ciała i nogi mężczyzny zwiotczały. Zsunął się z konia i leżał na ziemi niezdolny się poruszyć, ze świadomością, że zbliża się koniec.

Sabinus pociągnął z całych sił za linę. Uniosła się nad ziemię, trafiając w szyje dwa konie, które stając dęba, zrzuciły jeźdźców pod kopyta kolejnych wierzchowców. Zwierzęta, wpadając z impetem na napiętą linę, wyrwały ją z rąk Sabinusa i młodzieniec spadł z dachu. Zdołał wylądować na czworakach i natychmiast zerwał się na równe nogi, wyciągając jednocześnie miecz. Dwóch zrzuconych z koni jeźdźców, uzbrojonych we włócznie i złowrogo wyglądające zakrzywione sztylety, rzuciło się na niego. Byli zbyt blisko Sabinusa, by obrońcy mogli ryzykować wypuszczenie strzał z łuków. Wespazjan i Tytus, którym zostało po jednym oszczepie, pobiegli dachem, by zbliżyć się do Sabinusa i mieć lepszą pozycję do rzutu.

Pierwszy z mężczyzn wycelował włócznie w twarz Sabinusa. Odskakując w lewo, Sabinus przejechał mu mieczem przez brzuch i otworzył go jak przejrzałą figę. Napastnik zawył i upuścił włócznie, usiłując przytrzymać wylewające się na ziemię wnętrzności.

Drugi z nich, krępy, muskularny Iberyjczyk, zauważywszy, że ma do czynienia z przebiegłym przeciwnikiem, z większą ostrożnością zbliżał się do niego. W tym samym czasie dwóch z kilku pozostałych napastników na koniach ruszyło w stronę Sabinusa, ciskając włóczniami. Dostrzegając je kątem oka, młodzieniec uchylił się przed pierwszym, jednak drugi, wymierzony znacznie niżej, przebił mu na wylot łydkę prawej nogi. Iberyjczyk natychmiast skoczył do przodu i wymierzył włócznie w odsłoniętą klatkę piersiową Sabinusa, po czym zatrzymał się raptownie, spoglądając ze zdumieniem na ostatnią z włócznie Tytusa, sterczącą mu spomiędzy własnych żeber.

Dwóch jeźdźców, z wyciągniętymi mieczami i pokrzykując dziko, zbliżało się do ранego Sabinusa. Bez chwili zastanowienia Wespazjan zeskoczył z dachu, pochwycił włócznie wybebeszonego bandyty i stanął przerażony, ale w stanowczej pozie u boku brata. Jeden z jeźdźców, spostrzegłszy nowego przeciwnika, ruszył z kopyta i przechylony w prawą stronę, z szaleństwem w oczach, wymierzył miecz w pierś Wespazjana. Krew popłynęła szybciej w żyłach młodzieńca, czas zaś jakby zwolnił, kiedy oceniał gwałtowność ataku. W uszach słyszał łomot własnego serca i mimo strachu poczuł, jak ogarnia go spokój; zabił i

znowu zabije. W ostatniej chwili uskoczył w bok, wbił koniec włóczni w ziemię, ustawiając ją pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Ciężki koń dosłownie nabił się na ostrze, zagłębiając je we własnym sercu, które eksplodując, zbryzgało ciemnoczerwoną krwią obu braci. Zwierzę padło martwe na ziemię, wyrzucając jeźdźca ponad łbem wprost na Wespazjana. Drugi jeździec, pędząc obok nich, ciał Sabinusa. Ten, z włócznią wciąż tkwiącą w łydce, nie był dość zwinny, by uniknąć ciosu, i trafiony w prawy bark, padł na ziemię. Wespazjan szybko doszedł do siebie; zrzuciwszy ogłuszonego jeźdźca, wyciągnął miecz, chwycił napastnika za włosy i podciął mu gardło. Potem stanął nad bratem, podczas gdy drugi jeździec zawrócił konia i ruszył w jego stronę. Niemal natychmiast dwie strzały jednocześnie wbiły mu się w plecy; z krzykiem spadł z wierzchowca i potoczył się po ziemi, odłamując brzechwy; zatrzymał się o krok od Wespazjana, z martwymi oczyma spoglądającymi nieruchomo w słońce.

Rozległy się radosne okrzyki i rozejrzawszy się wokół, Wespazjan stwierdził, że jedynie on stoi pośród pobojuwiska. Wszyscy napastnicy byli martwi albo umierali w kurzu dziedzińca, konie zaś, które przeżyły, stały cierpliwie w małych grupkach. Spojrzał na brata, który trzymał się za zraniony bark, a spomiędzy palców płynęła mu krew.

- Nieźle walczyłeś, braciszku - wymamrotał Sabinus przez zaciśnięte zęby. - Wygląda na to, że muszę ci podziękować za uratowanie życia... choć nie podziękowałeś mi za uratowanie twojego wczoraj.

Wespazjan wyciągnął rękę.

- Cóż, teraz możesz przyjąć, że ci podziękowałem - powiedział, pomagając bratu wstać.

- Możesz mi podziękować jak trzeba, wyciągając to świństwo z mojej nogi.

Wespazjan przyklęknął, żeby obejrzeć ranę. Wszędzie wokół ludzie schodzili z dachów, by ugasić kilka niewielkich pożarów i przeciąć gardła zbirom, którzy jeszcze oddychali.

- Dobra robota, chłopcy, świetny pokaz! - zawołał Tytus, schodząc po drabinie. - Mam nadzieję, że nie jesteś poważnie ranny, Sabinusie?

- Nic mi nie będzie, ojcze, wystarczy, że Chloe założy kilka szwów i... - W tym momencie ryknął potężnie; Wespazjan wykorzystał chwilę, w której uwaga brata skupiła się na ojcu, by usunąć włócznię. Sabinus zbladł, bliski omdlenia. - Na bogów, nieźle zabolalo, ty smarkaczu. Na pewno bardzo cię to ucieszyło. No już, zabierz mnie do domu.

Pokuśtykali do drzwi, które matka odryglowała, słysząc okrzyki radości. Pomogła synowi wejść do środka.

- Aha, a tak przy okazji, wełnę - wymamrotał Sabinus.

- Co takiego? - spytał Wespazjan, myśląc, że brat majaczy.

- To właśnie powinniśmy teraz sprzedawać, wełnę. Jest na nią popyt, bo zbliża się zima.

- A tak, o tym mówisz. Masz rację, dobrze to wykoncypowałeś - pochwalił go Wespazjan.

- Nie wykoncypowałem, po prostu spytałem Pallona, kiedy wczoraj wrócił - oświadczył z figlarnym uśmiechem Sabinus. - Aha, i niech ci coś zrobią z tą skorupą na nosie, bo wyglądasz śmiesznie.

Wespazjan spoglądał na brata z półuśmiechem, myśląc sobie, że jest mało prawdopodobne, by kiedykolwiek się zmienił. Zostawił go pod opieką kobiet.

Rozejrzał się wokół. Pożary ugaszono; niewielkie smużki dymu znaczyły miejsca, w których je wzniecono. Wyprowadzano zakutych w kajdany niewolników, żeby zabrać ich z powrotem na miejsce pracy. Za bramą Pallo nadzorował układanie na stosie ciał zabitych napastników. Wespazjan patrzył, jak wyciągają jego włócznię z ciała Germanina o charakterystycznej fryzurze i ciągną truchło, pozostawiające za sobą krwawą ścieżkę. Pierwszy raz w życiu zabił człowieka i ta myśl nim nie wstrząsnęła. Przeciął mu gardło, w ogóle o tym nie myśląc; zrobił, co musiał, żeby przeżyć i ochronić brata. Zresztą to byli tylko niewolnicy, których życie było warte tyle, ile można było za nich dostać na licytacji.

Pallo spostrzegł, jak ogląda usuwanie zabitych, i podszedł do niego.

- Świetnie się dzisiaj sprawiłeś, Tytusie Flawiuszu Wespazjanie - oświadczył oficjalnie, obdarzając go szacunkiem należnym mężczyźnie. - Ojciec musi być z ciebie dumny.

- Dziękuję, Pallonie, wszyscy zrobiliśmy, co do nas należało, zgodnie z doskonałym planem mojego brata. Ilu naszych chłopców jest poszkodowanych?

- Jeden zginął, a czterech jest rannych, żaden poważnie.

- Kto zginął? - spytał Wespazjan.

- Brennus, Gal, niewolnik domowy; oszczep trafił go w oko. Jego syn, Drest, jest ranny - odpowiedział mu Pallo.

- Powinniśmy go wyzwolić... będzie to dobre przesłanie dla innych niewolników, gdyby taka sytuacja miała się kiedyś powtórzyć. Porozmawiam z ojcem.

Odwracał się już, by odejść, kiedy przyszła mu do głowy pewna myśl.

- Pallonie? - odezwał się, zniżając głos. - Czy wiesz coś o tym proroctwie dotyczącym mojej osoby? O czymś, co wydarzyło się przy moim urodzeniu... byłeś tam, prawda? -

Wespazjan patrzył Pallonowi prosto w oczy, ale zarządca nie wytrzymał jego spojrzenia i opuścił wzrok. - Dlaczego nie chcesz mi odpowiedzieć? - nalegał Wespazjan.

- Zabroniono mi o tym mówić - wyszeptał z zakłopotaniem Pallo.

- Dlaczego? Powiedz mi, Pallonie, kto ci zabrania?

- Bogowie - odparł Pallo, podnosząc oczy.

- Którzy bogowie? Dlaczego? - Wespazjan, coraz bardziej poruszony, chwycił Pallona za ramiona.

- Wszyscy. Twoja matka kazała wszystkim domownikom przysiąc w obliczu bogów, że nigdy o tym nie wspomną.

Rozdział czwarty

Rany Sabinusa oznaczały, że harmonogram ćwiczeń Wespazjana musiał zostać chwilowo zmieniony. Marszobiegi były niemożliwe, jednak gimnastyka, przygotowanie okopów i treningi z bronią trwały nadal. Wespazjan uzbrojony w drewniany miecz i wiklinową tarczę godzinami atakował sześciostopowy słup, ćwicząc zalecone cięcia, pchnięcia i parowania. Miecz i tarcza były cięższe od prawdziwych. Chodziło o to, wyjaśniał Sabinus, by wzmocnić sobie obie ręce, dzięki czemu będzie mu łatwiej z prawdziwą bronią. Kiedy nie atakował słupa drewnianym mieczem, ciskał weń ciężkimi włóczniami. Po kilku dniach ćwiczenia wydawały się lżejsze i choć nie sprawiały mu przyjemności, były zdecydowanie coraz mniej dokuczliwe.

Z kolei Wespazjan zaczął uczyć brata administrować posiadłością. Bardzo szybko odkrył, że w rzeczywistości wie na ten temat znacznie więcej, niż sądził, i w swej gorliwości, by tę wiedzę przekazać, zalewał brata ogromem faktów i liczb. Na początku, z powodu odniesionych ran, Sabinus był unieruchomiony i nie mógł uciec przed tym strumieniem informacji; kiedy jednak rany się podgoiły, zaczęli chodzić albo jeździć konno po okolicy. W atmosferze większego odprężenia Sabinusowi otworzyły się oczy na złożone problemy logistyczne, z jakimi boryka się człowiek zarządzający posiadłością, jeśli każdego roku chce najbardziej efektywnie wykorzystać ziemię i siłę roboczą. Uświadomił sobie, że gospodarstwo to armia, czy wręcz Rzym w miniaturze, i że zrozumienie, w jaki sposób funkcjonuje, znakomicie poprawi jego szanse odniesienia sukcesu w życiu publicznym. Jego nauczyciel okazał się osobą, której warto słuchać. Wespazjan natomiast odkrył, że dzielenie się wiedzą z bratem pomaga mu uporządkować własne myśli i wzmacnia pewność siebie dotyczącą tego, co już wie.

To poczucie polegania na sobie nawzajem, wraz ze świadomością, że każdy zawdzięcza życie drugiemu, rozpoczęło okres odwilży w ich wzajemnych stosunkach.

Kolejne tygodnie zaskoczyły nie tylko ich samych, ale także rodziców; kolacja wczesnym wieczorem przestała być okazją do konfrontacji, stała się natomiast sposobnością do omówienia opanowanych tematów czy osiągnięć minionego dnia.

W takiej to przyjemniejszej atmosferze listopad minął szybko. Na szczytach gór pojawił się śnieg i w posiadłości nastąpiło przedzimowe spowolnienie, okres budowy i

napraw. Remontowano ściany, wyrabiano narzędzia, postawiono nową stodołę i wykonano niezliczone inne prace, z którymi czekali na koniec lata.

Sabinus wykorzystał okazję i kazał skonstruować lekką balistę, by móc nauczyć młodszego brata podstaw jej budowy i zastosowania. Ustawił łeb wołowy przed dużym płatem skóry i przekazywał bratu wiedzę związaną z trajekcją, prędkością i wpływem wiatru. Po tygodniu Wespazjan mógł już z odległości stu kroków trafić wołu pomiędzy oczy z taką samą łatwością, z jaką Sabinus potrafił spisać harmonogram prac dla pięćdziesięciu niewolników i ich nadzorców czy sporządzić rachunek strat i zysków.

*

Minęło święto pojednania i równości, Saturnalia, kiedy to bawiono się beztrąsko i wręczano sobie prezenty. Trzy dni potem, dwudziestego piątego grudnia, Sabinus obchodził rocznicę narodzin boga Mitry. Owego nieznanego mu dotąd boga ze Wschodu Sabinus nauczył się czcić podczas służby wojskowej. Tego właśnie wieczoru ojciec wezwał obu braci do swojego gabinetu.

- No cóż, moi chłopcy, mamy już niemal styczeń - zaczął, nie prosząc, by usiedli. - Dotrzymaliście waszej części umowy, zatem ja dotrzymam swojej. Zorganizowałem wam obu pobyt, tak jak tobie, Sabinusie, cztery lata temu, w domu mojego szwagra, a waszego wuja, Gajusza Wespazjusza Pollona. Będziemy mieli dostęp do najwyższych kręgów towarzyskich Rzymu, a nawet do samej rodziny cesarza. Pośród patronów Gajusza jest bowiem Antonia, bratowa naszego prześwieconego cesarza Tyberiusza. Jak wiecie, Gajusz nie ma dzieci i dlatego zależy mu na tym, by wam, dzieciom jego siostry, jak najlepiej się powodziło. Przedstawi was możnym i wpływowym osobom i napisze listy polecające. Macie go szanować i czcić. Kto wie, może nawet zdecyduje się adoptować któregoś z was. - Przerwał i popatrzył na synów surowo. - Postępy, jakie obaj poczyniliście, zrobiły na mnie wrażenie, a szczególnie rezygnacja z małostkowych zachowań, aby móc wspólnie działać. To jedna z najważniejszych cech szlachetnie urodzonego Rzymianina. Znajdziecie się w społeczności bezwzględnej i przesiąkniętej rywalizacją, gdzie każdy troszczy się tylko o siebie i swoją rodzinę. Zostaniecie wybrani na urzędy albo będziecie służyli w legionach razem z ludźmi, którzy bez żadnego konkretnego powodu okażą się waszymi wrogami i będą się starali was prześcignąć. A przecież dla dobra Rzymu musicie z tymi ludźmi współpracować, tak jak i oni z wami. Miejcie na nich baczenie, nigdy im nie ufajcie, ale współpracujcie z nimi; jeśli będziecie to robić, to znaczy, że przysłużycie się Rzymowi i sobie samym.

- Tak, ojciec - oświadczyli zgodnie bracia.

Tytus wstał i poprowadził synów przez atrium, z basenem i tryskającą fontanną, do niszy obok ołtarza bóstw domowych, w której wisiały pośmiertne maski przodków rodziny. Zatrzymał się przed tym posępnym zbiorem, jak żywych, czy raczej martwych, woskowych wizerunków.

- W życiu każdego z tych ludzi były sukcesy i porażki i każdy z nich starał się jak najlepiej służyć naszej rodzinie i plemieniu Sabinów - mówił ojciec. - Potem, kiedy zdobyli dla nas obywatelstwo, służyli Rzymowi. Wy, moi synowie, znajdując oparcie w ich dokonaniach, wydobędziecie rodzinę Flawiuszów z tych sabińskich gór i doprowadzicie do wielkości w najwspanialszym z miast. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by wam pomóc; zapewnię pieniądze i wykorzystam wszelkie kontakty, ale kiedyś odejdę i wtedy musicie wspierać się nawzajem. Dlatego przyprowadziłem was przed oblicza waszych przodków. Tutaj przysięgniecie jeden drugiemu wierność, przysięgniecie zawsze chronić się nawzajem, a przede wszystkim wspierać się wzajemnie w swoich przedsięwzięciach.

- Ależ, ojcze, nie ma potrzeby wiązać się przysięgą. Więzy krwi zobowiązują nas do tego wszystkiego, co zawiera przysięga - przekonywał ojca Sabinus.

- Wiem, jednakże ta przysięga zostanie złożona nie tylko przed naszymi wszystkimi przodkami, ale również przed wszystkimi bogami, włącznie z Mitrą. Dlatego będzie to najsilniej wiążąca przysięga, jaką kiedykolwiek składaliście, i tamte zastępująca. Jeśli zdarzy się, że jeden z was nie będzie w stanie wspomóc drugiego z powodu jakiejś wcześniej złożonej przysięgi, to obecna ją unieważni. Rozumiesz, Sabinusie?

Sabinus patrzył przez dłuższą chwilę ojcu w oczy, po czym skinął głową i zwrócił wzrok na Wespazjana, który udawał, że nie ma pojęcia, o co chodzi. Był teraz przekonany, że Sabinus wie o prorocztwie, skoro ojciec udzielał mu pozwolenia na złamanie przysięgi danej matce. Tytus chciał, by kiedyś w przyszłości, kiedy Sabinus uzna, że chwila jest odpowiednia, mógł przekazać bratu treść prorocztwa.

Potem Tytus skierował uwagę na Wespazjana.

- Ostatni raz zwracam się do ciebie jak do chłopca. - Zdjął mu z szyi wiszącą na rzemyku bullę. - Oświadczam, że od tej chwili, mój synu, ty, Tytus Flawiusz Wespazjan, jesteś mężczyzną. Podejmij obowiązki mężczyzny, przestrzegaj godności i honoru, ruszaj w świat i zdążaj do większej chwały własnej i chwały domu Flawiuszów.

Wespazjan pochylił głowę, przyjmując do wiadomości słowa ojca.

Następnie Tytus odwrócił się ku lararium, gdzie trzymano wizerunki *lares domestici*, bóstw domowych. Położył bullę na ołtarzu, a wokół niej ustawił pięć małych glinianych figurek, które wyjął ze schowka. Zasłonił głowę skrajem togi, zmówił krótką modlitwę, po

czym napełnił płytką czarzkę winem ze stojącego na ołtarzu dzbana. Z czarzką w prawej ręce dokonał libacji przed największą z figurek, *larfamiliaris*, która reprezentowała założyciela rodu. Skinął na synów, by stanęli po bokach ołtarza, i dał każdemu łyk wina, po czym sam wypił resztę i odstawił czarzkę.

W gasnącym świetle dnia trzej mężczyźni stali przed ołtarzem. Tytus, wzywając bogów oraz duchy przodków, przyjmował od synów przysięgę. Słowa, jakich użył, by ich ze sobą związać, odbijały się echem pomiędzy kolumnami atrium, a maski pośmiertne spoglądające w dół niewidzącymi oczyma były świadkami tego podniosłego aktu.

Kiedy Tytus zakończył ceremonię, zsunął rąbek togi z głowy i uściśnął synów, jednego po drugim, życząc im błogosławieństwa Fortuny i składając w ich ręce honor rodziny.

- Zawsze pamiętajcie, skąd się wywodzicie i do jakiego rodu należycie. Za każdym razem wracajcie do domu z większymi zaszczytami, by chwała tego domu wzrastała wraz z chwałą jego synów.

Stali potem w milczeniu, a każdy zanosił w osobistej modlitwie własne prośby do bogów. W pokoju panowała już niemal całkowita ciemność. Niewolnik, którego obowiązkiem było zapalanie lampek i ognia, czekał w rogu, nie śmiąc przeszkadzać ojcu rodziny podczas jego wspólnej modlitwy z synami. Jedynym dźwiękiem był łagodny plusk fontanny.

Po chwili Tytus zaklaskał w dłonie, przerywając ciszę.

- Waronie, gdzie się podziewasz? Przynieś wino i dlaczego jest tak ciemno? Co się w tym domu dzieje? Posnęliście wszyscy?

Waro pojawił się natychmiast, wymierzając po drodze kopniaka niewolnikowi od lamp, który natychmiast poderwał się do działania.

- Przepraszam, panie, czekaliśmy na... - Nie dokończył zdania.

- Tak, tak, wiem, słusznie postąpiliście. Teraz jednak chcę wina i światła.

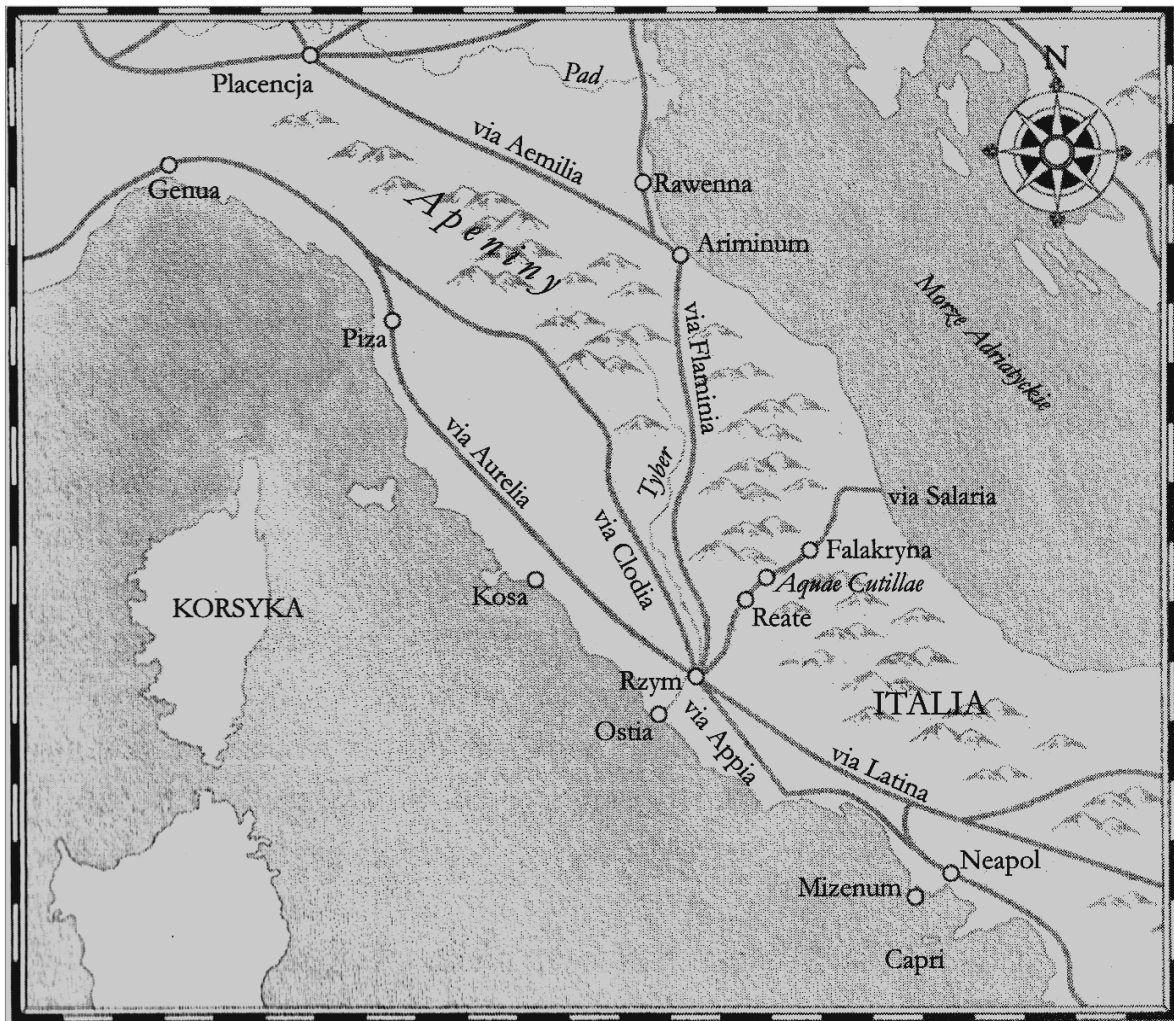
Po chwili liczne lampki oświetliły pokój, a w palenisku trzaskał ogień. Wespazja zastała swoich mężczyzn w jego pobliżu z kielichami w dłoniach.

- Och, moja droga - powiedział Tytus, wstając - przyszedł we właściwym momencie. Zamierzam wnieść toast, weź kielich. - Podał jej puchar napełniony najlepszym winem, *cekubem*, lekko tylko rozcieńczonym wodą. Swój kielich podniósł entuzjastycznie nad głowę, rozpryskując przy okazji kilka kropli. - Jutro ruszamy do Rzymu, do domu twojego brata. Przed wyjazdem złożymy ofiarę bogom, by sprzyjali naszym staraniom i zapewnili nam wszystkim bezpieczny powrót. Za Rzym i dom Flawiuszów.

- Za Rzym i dom Flawiuszów - odpowiedzieli echem pozostali członkowie rodziny, spełniając toast.

CZEŚĆ II

RZYM



Rozdział piąty

Brązowa chmura na horyzoncie nieustannie rosła. Był ranek trzeciego dnia podróży i kiedy zbliżali się do najwspanialszego miasta świata, Wespazjan czuł, jak zamożność metropolii wylewa się na okoliczne tereny wiejskie i jeszcze dalej. Wszędzie było to widoczne. Gospodarstwa rolne i budynki gospodarskie ustąpiły rozległym ogrodom warzywnym, na których tysiące niewolników pracowało przy długich zagonach sałaty, porów, cebuli i ziół. Uzbrojeni Stróże bacznie przyglądali się przejeżdżającym podróżnym spoza bogato złożonych bram, które prowadziły do imponujących willi z widokiem na stoki wzgórz. Ruch na drodze panował większy, niż był to sobie w stanie wyobrazić; mijały ich przeróżne pojazdy podążające *via Salaria* w przeciwną stronę, a wywrócone wozy ze złamanymi oškami, porozrzucane ładunki i wlokące się kolumny jeńców w kajdanach spowodowały, że łatwiej im było poruszać się poboczem, oszczędzając przy okazji kopyta wierzchowców.

Wespazjan, jego brat i ojciec jechali konno przodem; za nimi podążała Wespazja w czterokołowym, ciągnionym przez muły krytym powozie zwanym *raeda*. Siedziała na miękkich poduszkach, obsługiwana przez dwie niewolnice. Dalej ciągnął wóz z bagażami, powożony przez dwóch niewolników domowych. Kawalkadę zamykało kolejnych trzech niewolników będących służącymi mężczyzn, na mułach. Dla ochrony Tytus wynajął trzech konnych byłych legionistów, którzy wyglądali tak złowrogo, że podróż mijała jak dotąd bez kłopotów.

Nie posuwali się szybko, głównie z powodu niemrawego tempa powozu Wespazji. Miało to tę zaletę, że spędzili w drodze dwie noce, a nie jedną, zatrzymując się u rodzin, z którymi łączyły ich serdeczne więzy. Przy kolacji wymieniano się obietnicami wzajemnych przysług. Tytus przyrzekł, że jego szwagier, Gajusz, były pretor, wstawi się w sądowym procesie karnym czy cywilnym, w zamian za list polecający do wysokiego urzędnika czy członka rodziny cesarskiej. Tytus chętnie powoływał się na imię szwagra, ponieważ Wespazja zapewniła go, że brat będzie honorował wszystkie rozsądne obietnice, naturalnie za pewną cenę, jakiej będzie oczekiwał w przyszłości. Wespazjan z zainteresowaniem obserwował, jak głowy dwóch rodzin wspierają się nawzajem, dla obopólnego dobra, mimo świadomości, że kiedyś mogą się stać arcyrywalami.

Kiedy zbliżali się już do celu, Wespazjan zaczął się zastanawiać, w jaki sposób on sam miałby robić postępy w tej wymuszającej ostrą rywalizację społeczności, do której jest siłą wpychany i gdzie stała lojalność dotyczy jedynie Rzymu, rodziny oraz własnego honoru i godności. Koń niośł go coraz wyżej wzdłuż stoku, a on podniósł wzrok na daleką brązową chmurę i zaczął się zastanawiać, czy pasuje do takiego, opartego na nieustannej rywalizacji stylu życia i czy w ogóle chce w tym wyścigu uczestniczyć. Droga pięła się stromizną i dosięgła szczytu, zanim Wespazjan zdołał dojść do jakiegoś konkretnego wniosku.

Młodzieniec zatrzymał się i oniemiał. Zapominając o wszystkim innym, wpatrywał się z niedowierzaniem w najwspanialszy widok, jaki w życiu oglądał. Jakieś pięć czy sześć mil przed nim, pod brązową czapą utworzoną z dymów pół miliona palenisk i wyziewów niezliczonych odlewni i garbarni, na siedmiu wzgórzach otoczonych ogromnym murem z czerwonej cegły, gęsto poznaczonym wyniosłymi wieżami, znajdował się ośrodek najpotężniejszego imperium świata: Rzym.

- Pamiętam, jak przed czterdziestu laty matka mnie tu przywiozła. Byłem wtedy w twoim wieku i patrzyłem z podziwem, tak jak ty teraz - powiedział Tytus, zatrzymując konia obok syna. - Kiedy człowiek widzi Rzym pierwszy raz w życiu i czuje swoją nicość w obliczu jego potęgi, uświadamia sobie, że ma do wyboru tylko dwie drogi: służyć mu albo dać się zniszczyć tej sile, zignorować bowiem się jej nie da.

Wespazjan popatrzył na ojca.

- To znaczy, że nie ma żadnego wyboru - oświadczył cichym głosem.

Tytus uśmiechnął się i pogłaskał gładką szyję wierzchowca, kontemplując ogrom leżącego poniżej miasta.

- Skoro ten widok nas tak oszałamia, to wyobraź sobie, co musi odczuwać jakiś barbarzyńca o włochatym tyłku z lasów Germanii czy Galii, widząc taką moc. Czy należy się dziwić, że ich przywódcy plemienni prześcigają się w staraniach, by zostać obywatelami? Podobnie jak nasi latynscy sprzymierzeńcy sprzed dobrych stu lat, którzy walczyli o prawo do rzymskiego obywatelstwa, oni również wolą mu służyć, niż dać się zniszczyć. Rzym cię wsysa, synu, uważaj tylko, by cię nie wypluł.

- Jestem pewien, że jak go posmakuje, to na pewno nie przelknie ni odrobiny. - Sabinus zachichotał, zrównując się z nimi.

- Bardzo zabawne, Sabinusie - warknął Wespazjan. Mimo że lubił grube żarty, czuł się zbyt niepewnie, by docenić taką nonszalancję. Popędził konia i ruszył w dół, słysząc za swoimi plecami, jak Tytus ruga Sabinusa za niewyparzony język.

Kiedy tak patrzył w dół, na skąpane w porannym słońcu miasto, na wszystkie te tętniące życiem drogi, ciągnące się milami akwedukty, poczuł się zainspirowany tą wspaniałością i potęgą. Spłynął na niego spokój. Może nie wystarczy mu przestrzeń zamknięta górami otaczającymi jego wiejski dom. Może będzie potrzebował czegoś więcej niż tylko przyziemnych zajęć w rodzaju uprawy roli i hodowli mułów, przy których jedynie zmiany pór roku zaznaczają mijanie czasu. Miał wejść do większego i groźniejszego świata i tam przetrwać i odnosić sukcesy. Coraz bardziej rozgorączkowany ruszył w dół wzgórza, nie zważając na wołanie ojca, by zwolnił. Torował sobie drogę pomiędzy innymi podróżnymi, myśląc jedynie o tym, by jak najszybciej dotrzeć na miejsce.

Po kilku milach fala ludzi zwolniła, ograniczona po obu stronach drogi większymi i mniejszymi grobowcami. Wespazjan zatrzymał się i poczuł dotyk historii, kiedy odczytywał napisy wyryte na każdym z nich. Były tam imiona członków sławnych rodzin obok takich, o których nigdy nie słyszał. Niektóre grobowce były bardzo stare, inne świeżo wzniesione, wszystkie natomiast miały jedną rzecz wspólną: zawierały szczątki ludzi, którzy za życia przyczynili się do rozwoju Rzymu powstałego z tych kilku lepierek na Kapitolu, postawionych niemal osiemset lat wcześniej, Rzymu przemienionego w metropolię z marmuru i cegły. Wszystkie radości i rozczarowania tych dawnych Rzymian, których dusze zamieszkiwały obecnie krainę cieni, wszystkie ich osiągnięcia i porażki składały się na chwałę ich miasta. Wszyscy oni mieli swój czas i Wespazjan miał nadzieję, że go odpowiednio wykorzystali, bo przecież nie było powrotu z mrocznej krainy, kiedy już kogoś przewieziono na drugi brzeg Styksu. Przyrzekł sobie, że zanim sam odbędzie tę podróż, postara się w jakiś sposób dołożyć do świetności tego miasta, które miało go teraz przyjąć w swoje mury.

Kiedy wrócił myślami do rzeczywistości, zauważył wreszcie, że znacznie wyprzedził swoich towarzyszy podróży, i postanowił na nich poczekać pośród tych grobowców. Zsiadł z konia, przywiązał go do małego drzewka i otuliwszy się płaszczem, usiadł na ziemi, obserwując leniwie przepływającą obok rzekę ludzi zwierząt i wozów. Po pewnym czasie z drogi zjechał jakiś powóz, z którego wysypała się rodzina i niewolnicy domowi. Niewolnicy natychmiast zabrali się do ustawiania stołu i taboretów przed niewielkim nowym grobowcem. Ojciec rodziny dopełnił libacji na cześć zmarłego, spryskując nagrobek winem, i odmówił modlitwę, po czym członkowie rodziny zasiedli do posiłku, który w pewnym sensie dzielili z osobą nieżyjącą, stawiając jadło i napoje na grobie. Wespazjan z zaciekawieniem obserwował, jak rodzina je i pije ze swoim zmarłym krewnym, mówi do niego, jakby był tam obecny, nie zważając zupełnie na przelewające się tuż obok hałaśliwe tłumy. Ten człowiek

służył rodzinie i Rzymowi i po śmierci żył w pamięci swoich bliskich, którzy oddawali mu cześć.

Posiłek dobiegał końca, kiedy usłyszał donośny głos brata.

- Co ty sobie wyobrażasz, smarkaczu, tak siedząc beztrosko przy drodze? Myślisz, że dałbyś sobie radę z rzeźmieszkami mieszkającymi wśród tych grobowców? - Sabinus zeskoczył z konia i wymierzył bratu kopniaka w udo. - Matka zamartwiała się o ciebie, kiedy zniknąłeś nam z oczu.

Tytus podjechał do braci.

- Co ty wyprawiasz, Wespazjanie? Nie wiesz, jak niebezpieczne są te drogi, mimo tego całego tłoku? Który z tych wędrowców zatrzyma się, by pomóc napadniętemu młodzieńcowi, hę? Tylko ten najgłupszy, ot kto, a jaki z niego byłby pożytek? Nikt przy zdrowych zmysłach nie zaryzykuje dla kogoś takiego jak ty, nawet jeśli zobaczy, że bandziory zaciągają cię za grobowiec.

- Przepraszam, ojcie - powiedział Wespazjan, zrywając się z miejsca i trąc obolałą nogę. - Nie pomyślałem... Sabinus mi już powiedział...

- Wsiadaj na konia i jedź przeprosić matkę - rzucił ostro ojciec.

Wespazjan posłuchał; nie opuszczała go jednak myśl o rytuale, którego był świadkiem. Czy on, Wespazjan, zasłużył swoim życiem na to, by z taką czcią go wspomniano?

*

Ruch na drodze jeszcze bardziej się wzmógł, kiedy zbliżyli się do skrzyżowania z via Nomentana, niecałe pół mili od porta Collina, bramy, przez którą mieli jechać do miasta. Grobowce zaczęły znikać, a pojawiły się dzielnice nędzy, zamieszkałe przez pozbawionych środków do życia wyrzutków, których nie było stać na lokum w samym mieście. Smród wydobywający się z bud, skleconych z kawałków drewna i pokrytych płachtami z worków, pomieszany z dymem ognisk, był nieznośny.

Do murów miasta mieli zaledwie kilkaset kroków. Ich rozmiary były imponujące; nieprzerwana linia ceglanych gór ciągnęła się na tle nieba. Na północ od miasta, dwie mile w prawo, Wespazjan zobaczył eleganckie łuki akweduktu Aqua Virgo, wysokiego na sześćdziesiąt stóp, doprowadzającego na Pole Marsowe świeżą wodę z odległego o dwadzieścia trzy mile źródła, które, według legendy, dziewczyna wskazała spragnionym zwyciężskim rzymskim żołnierzom po jakiejś dawno zapomnianej bitwie.

Zgiełk spowodowany przez przekrzykujących się ludzi oraz skrzypienie i stukot okutych żelaznymi obręczami kół stał się nieopisany, kiedy te dwie drogi, całkiem dosłownie,

zderzyły się ze sobą. Wespazjan spoglądał na kłębiące się pojazdy, ludzi i zwierzęta. Wszyscy przepychali się bez opamiętania i nie zważając na innych, byle tylko z jednej drogi przedostać się na drugą. Nikt nikomu nie zamierzał ustąpić czy choćby przystanąć, bo oznaczałoby to dalszą zwłokę i jeszcze groziło stratowaniem przez innych.

Teraz przodem jechali trzej byli legioniści, wynajęci dla ochrony rodziny, tęgimi drogami torując drogę przez ciżbę, posuwając się krok po kroku ku via Nomentana. Kiedy zdołali się przedostać na nową drogę, jazda stała się łatwiejsza, ponieważ wozy towarowe, które miały zakaz wstępu do miasta za dnia, zjeżdżały na boki, by tam doczekać zachodu słońca. Kiedy zapadnie noc, wjadą do Rzymu z łoskotem kół i pokrzykiwaniem woźniców. Na ulicach i w zaułkach Rzymu nigdy, o żadnej porze dnia czy nocy, nie zapanuje spokój.

Tytus właśnie sprowadził lektykę, do której jego małżonka miała się przesiąść w pobliżu porta Collina, kiedy usłyszeli za sobą dźwięk rogu i okrzyk tak głośny, że bez trudu przedarł się przez cały ten harmider. Obejrawszy się przez ramię, Wespazjan zobaczył ufarbowane na czerwono grzebienie z końskiego włosia przy hełmach kawalerzystów. Przez tłum przebijała się *turma*, oddział liczący trzydziestu jeźdźców.

- Lepiej poczekajmy, aż przejadą - powiedział Tytus. - Wygląda mi to na jazdę pretorianów, a oni nie są zbyt uprzejmi, szczególnie kiedy eskortują kogoś ważnego.

Usunęli się na bok. Żołnierze jechali czwórkami. Ich białe, wyrzucające wysoko nogi ogiery, przewracające oczyma i spienione przy wędzidłach, parły bezlitośnie do przodu. Głupiec, który zanadto się do nich zbliżył, obrywał od jeźdźca płaską stroną miecza albo drzewcem włóczni.

- Z drogi, z drogi, sprawa cesarska, z drogi! - krzyczał ich dowódca.

Znowu rozległ się dźwięk rogu. Pancerze z brązu i hełmy inkrustowane srebrem iskrzyły się w promieniach słońca; czerwone płaszcze obszyte złotem wydymały się za plecami jeźdźców; wszystko, co ich dotyczyło, świadczyło o bogactwie i potędze rodziny cesarskiej, której strzeżenie było ich obowiązkiem. Utrzymywali zwarty szyk, muskularnymi udami i łydkami ściskali spocone końskie boki, kierując je środkiem drogi prosto przed siebie. Eskortowali ozdobnie rzeźbioną drewnianą lektykę, której pasażerów skrywały sute rdzawoczerwone zasłony, ozdobione haftowanymi złotą i srebrną nitką znakami astrologicznymi. Każdy drąg, stanowiący przedłużenie dłuższego boku lektyki, trzymali na wysokości bioder trzej potężni czarnoskórzy niewolnicy, idący miarowym, równym, szybkim krokiem, tak płynnym, że lektyka niemal sunęła w powietrzu, przez nikogo nie podtrzymywana. Zręczność tragarzy mogła być jedynie rezultatem wielu lat mozolnych ćwiczeń pod czujnym okiem nadzorców, karzących batem za najmniejszy błąd.

Wespazjan patrzył, jak cesarski orszak gładko wrzyna się w tłum na via Nomentana.

- Jak sądzisz, ojcze, kto jest tam w środku, cesarz?

- Wątpię. Kiedy Tyberiusz jest poza Rzymem, większość czasu spędza na południu i dlatego nie wjeżdżałby do miasta od tej strony. To musi być ktoś z cesarskiej rodziny, mający posiadłości w górach na wschodzie - odparł Tytus, kiedy lektyka ich mijała.

Właśnie w tym momencie jakiś pies, tocząc pianę z pyska, przestraszony głośnym dźwiękiem rogu i stukotem końskich kopyt, wyskoczył spod pobliskiego wozu i rzucił się na grupę tragarzy trzymających przednie drągi lektyki. Zatopił kły w lewym udzie mężczyzny najbliższego lektyki. Tragarz padł z wrzaskiem na ziemię, rozpaczliwie starając się uwolnić od oszalałego zwierzęcia. Jego towarzysze zatrzymali się raptownie, powodując, że lektyka zakołysała się z boku na bok. Straż natychmiast otoczyła znieruchomiałą lektykę, z dzidami skierowanymi na zewnątrz, w stronę gapiącej się cizby, podczas gdy dowódca cofnął się pędem, by ocenić sytuację. Rzucił jedno spojrzenie na pechowego niewolnika szarpiącego się z wściekłym psem i dwoma szybkimi pchnięciami włóczni zakończył życie obydwu. Rzucił rozkaz, gwardziści się przegrupowali i kolumna znowu była gotowa do dalszej drogi.

Zanim jednak ruszyła, zasłonki lektyki rozchyliły się lekko i w szparze pojawiła się dziewczęca twarzyczka. Wespazjan wstrzymał oddech; nigdy nie widział takiej piękności. Dziewczyna miała czarne włosy, które doskonale kontrastowały z cerą koloru kości słoniowej i gęstymi puklami sięgały szczupłych ramion. Uszy i szyję zdobiły klejnoty. Pomalowane na ciemny róż usta były pełne i kształtne, noszek delikatnie spiczasty, podbródek mocny i dumnie uniesiony. Ale to jej oczy, dwie błyszczące błękitne gwiazdy, spowodowały, że zastygł jak skamieniały, kiedy na jedną krótką chwilę spotkały się z jego oczyma, po czym piękne zjawisko zniknęło za zasłonką, a lektyka ruszyła dalej.

Głośne prychnięcie przywróciło go do rzeczywistości.

- Popatrz, ojcze, twój młodszy syn tkwi z rozdziawioną gębą, jak karp złapany w sieć rybaka - zaśmiewał się Sabinus. - Chyba nasze biedactwo właśnie trafiła strzała Kupidyna. Założę się, że wiele dałby, by się dowiedzieć, kim ona jest. I tak by mu to nie pomogło, to za wysokie progi.

Wespazjan zaczerwienił się, kiedy ojciec zawtórował bratu śmiechem.

- To, mój synu, był najbardziej nieobecny wzrok, jaki u ciebie widziałem. Chyba ci się nie spodobała, co? - Wciąż chichocząc, odwrócił się i dał znać eskortie, by ruszali dalej.

Wespazjan stał oniemiały, wpatrzony w martwego psa, którego szczęki znieruchomiały zaciśnięte na trupie czarnoskórego niewolnika. Dwukrotnie w ciągu dwóch minionych godzin poraził go piorun: nagłej, niespodziewanej i niewytłumaczalnej miłości do

miasta, które zobaczył z daleka, i do dziewczyny, której twarz mu mignęła przed oczami. Kim była? Prawdopodobnie już nigdy jej nie zobaczy. Z trudem zebrał siły i ruszył za rodziną, jednak kiedy wjeżdżał do Rzymu, serce wciąż waliło mu jak młot.

Rozdział szósty

Po drugiej stronie bramy via Nomentana zwięzła się tak, że dwa wozy ledwie się mijały. Sklecone z byle czego budy ustąpiły cztero-, a nawet pięciopiętrowym kamienicom - *insulae* - które, nie licząc jakiejś godziny około południa, nie dopuszczały promieni słonecznych do poziomu ulicy. Parter budynków zajmowały wszelkiego rodzaju sklepiki, których szerokie sklepione wejścia miały drewniane skrzydła otwarte przez cały dzień. Można było znaleźć tam wszystko. Rzeźnicy sąsiadowali z handlarzami wyrobami skózanymi, sprzedawcy żywego drobiu z tawernami, klitki golarzy tkwiły pomiędzy kramami wróżbiarzy i sprzedawców figurek. Złani potem kowale kuli wyroby żelazne przy otwartych paleniskach, obok krawców zgarbionych nad fastrygowaniem ubrań i piekarzy zapełniających półki chlebem, ciastem i słodkimi bułeczkami.

Krzyki sklepikarzy reklamujących swój towar rozbrzmiewały w powietrzu przepełnionym zapachami, zarówno słodkimi, jak i mdlącymi, zważywszy na całą tę różnorodność ludzkiej aktywności. Wespazjana oszołomiła ta chmara ludzi, wolnych, wyzwoleńców i niewolników, zajętych swoimi codziennymi sprawami, przepychających się, by nie dać się zepchnąć z usytuowanych wyżej chodników na drogę, gdzie mogli ugrzęznąć w błocie, złożonym głównie z ludzkich i zwierzęcych ekskrementów.

Umieszczone na zewnątrz niższych budynków, żeby nie marnować powierzchni mieszkalnej, chybottliwe drewniane schody prowadziły do równie niepewnie wyglądających balkonów, pierwszego i drugiego piętra, skąd wchodziło do pomieszczeń. Wespazjan widział krzątające się tam kobiety. Jedne prały odzież na drewnianych tarach pod sznurami, na których łopotało schnące już pranie, inne przygotowywały wieczorny posiłek, który potem miał się gotować w piecu miejscowego piekarza, podczas gdy gospodynie zajmą się plotkami z sąsiadkami, a ich dzieci przycupną obok, grając w kości. Jaskrawo wymalowane dziwki proponowały usługi i podawały stawki przechodniom na dole, i przekrzykiwały się wzajemnie, rzucając sprośne dowcipy i chichocząc bezwstydnie, podczas gdy ludzie starzy i schorowani tylko siedzieli, przypatrując się łapczywie życiu, w którym sami już nie mogli uczestniczyć.

Ludzie z marginesu, złodzieje, oszuści, szarlatani i kanciarze żerowali na tych nieostrożnych bądź nierozgarniętych, przemykając wśród tłumu w poszukiwaniu celu i

wynajdując ofiary z umiejętnością zrodzoną z wieloletniej nieuczciwości. To, czego nie udało im się wyrwać, pozostawiali najniższym z niskich: żebrakom. Ślepi, okaleczeni albo zdeformowani starali się z desperacją, znaną jedynie tym, którzy nie posiadają niczego, wyprosić jakieś nędzne resztki czy małą monetę z brązu od tych nielicznych, którzy w ogóle zechcieli ich zauważyć.

Byli tam wszyscy... poza bogaczami. Ci mieszkali na wzgórzach Rzymu, w czystszyim powietrzu, ponad przelewającymi się masami ludzkimi, które widywali jedynie wtedy, kiedy musieli się przedrzeć przez miasto do swoich pachnących wiejskich posiadłości albo kiedy stamtąd wracali.

Flawiusze wraz z towarzyszącymi osobami posuwali się w dół, prostą jak strzała ulicą, biegnącą wprost do serca Rzymu.

- Musimy trzymać się tej ulicy, aż do miejsca, w którym się rozgałęzia, i skrócić w prawo - zawołał Tytus do członków eskorty, którzy nader skutecznie torowali im drogę w tłumie, po czym zwrócił wzrok na młodszego syna. - I jakie wrażenia? - zapytał.

- Jest niewątpliwie o wiele większy od Reate, ojcie - odparł Wespazjan z uśmiechem.
- Choć, szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, co mam powiedzieć... to jest to, czego się spodziewałem, tyle że pomnożone przez dziesięć. Byłem przygotowany na tłumy, ale nie takie. Wiedziałem, że budynki będą wysokie, ale aż tak wysokie? W jaki sposób się trzymają?

- Cóż, czasami się nie trzymają - odparł Tytus. - Właściciele budują kamienice jak najszybciej i najtaniej, a potem upychają w nich tylu lokatorów, ilu zmieszczą. Domy często się zawalają, a kiedy już do tego dojdzie, po prostu stawiają kolejny i niech Hades pochłonie biedaków, którzy zginęli w gruzach. Zawsze znajdują się ludzie skłonni zapłacić czynsz za możliwość zamieszkania w tym mieście, nawet w śmiertelnej pułapce... bo albo to, albo nędzne budy pośród grobowców poza murami. Przynajmniej w mieście biedacy mogą liczyć na darmowy przydział ziarna, cesarz nie pozwoli swoim ludziom głodować, byłoby to politycznym samobójstwem. Każdy, kto ma pieniądze, powie ci, że od rozruchów dzieli nas jedynie pusty spichlerz. - Ojciec uśmiechnął się do Wespazjana. - Ty jednak nie musisz się tym wszystkim martwić, nie jest to nasz kłopot; niech inni dbają o swoich ludzi tak, jak my dbamy o naszych.

Dotarli do rozwidlenia. Stała tam gospoda, przed którą siedziała grupa złowrogo wyglądających mężczyzn, pijących wino i grających w kości na drewnianych ławach. Kiedy podróżni skręcili w prawo, jeden z nich wstał i podszedł do Tytusa.

- Będzie wam potrzebna ochrona, panie, jeśli wybieracie się tą drogą - oświadczył spokojnym, groźnym głosem. Miał posturę, kalafiorowate uszy i blizny pięściarza. Zagradzał

im drogę i nie zamierzał się ruszyć, kiedy Tytus próbował go ominąć. - Powiedziałem, że na tej ulicy będzie wam potrzebna ochrona. Nazywam się Marek Salwiusz Magnus i obecne tu moje bractwo rozstajnych dróg może wam tę ochronę zapewnić - nie ustępował. - Po denarze dla mnie i dla dwóch moich chłopców wystarczy, byście mogli podróżować dalej bezpiecznie.

- Niby przed kim mamy się chronić, Magnusie? - zapytał Tytus, a w jego głosie słychać było tłumiony gniew. - Czy przypadkiem nie przed tobą i tą twoją bandycką hałastrą?

- Nie ma potrzeby być nieuprzejmym - odparł Magnus. - Ja po prostu nie radzę wam jechać dalej bez ludzi, którzy znają okolicę i orientują się, którędy jechać, a jakie miejsca omijać, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Tytus z całych sił starał się opanować, nie chcąc tracić godności w obliczu oprycha.

- A dlaczego to właśnie my mielibyśmy potrzebować ochrony? - zapytał, wskazując ręką mijających ich podróżnych. - Dlaczego im jej nie proponujesz?

- Nie wyglądają na takich, których byłoby na nią stać, panie. Ci, których na nią nie stać, nie potrzebują jej, bo jak jesteś za biedny, by zapewnić sobie ochronę, to jesteś za biedny, żeby stać się ofiarą rabunku. Natomiast wy wyglądacie na ludzi, których stać na opłacenie ochrony, z czego wynika, że jest wam niezbędna. - Magnus wydawał się wyraźnie zadowolony ze swojego logicznego wyводу.

- Och, ale my mamy własną ochronę, trzech zbrojnych strażników, zdolnych zadbać o siebie i o nas - powiedział Tytus, wskazując na byłych legionistów, którzy zdążyli już zsiąść z koni i dobyć sztyletów.

- I do tego świetnie się prezentują, panie, ale jest ich tylko trzech, a tam dalej jest mnóstwo złych ludzi, możesz mi wierzyć.

- Nie wątpię - wyszczał Tytus - co jednak będzie, jeśli postanowimy nie skorzystać z twojej życzliwej, bez wątpienia, rady?

- Byłoby to bardzo ryzykowne i raczej niemądre, że się ośmielę tak wyrazić. - Magnus wykrzywił twarz w uśmiechu, który jednak nie objął jego oczu.

Jego towarzysze zaczęli się podnosić z miejsc; cała sytuacja raptownie wymykała się spod kontroli.

- Po prostu mu zapłać, ojciec - szepnął Sabinus, doszedłszy do wniosku, że bójka mogłaby się źle skończyć.

- Po moim trupie - odparł stanowczo ojciec.

- Miejmy nadzieję, panie, że do tego nie dojdzie. Właśnie aby czegoś takiego uniknąć, oferuję swoje usługi. Powiedz nam, dokąd zmierzacie, a my was tam bezpiecznie doprowadzimy - nalegał Magnus.

Strażnicy Flawiusza zdążyli go już otoczyć, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

- Co tu się właściwie dzieje, Tytusie? - Wespazja wysiadła z lektyki i stanęła obok małżonka.

- Te oprychy chcą...

- Jak już powiedziałem, nie ma potrzeby być nieuprzejmym - przerwał mu Magnus.

- Nieuprzejmym! Ty obrzydliwa kreaturo! - krzyknęła Wespazja. - Jak śmiesz nas zatrzymywać? Jak tylko zobaczę brata, natychmiast mu się poskarżę.

- Sza, moja droga, obawiam się, że w tym momencie nam to nie pomoże. - Tytus widział, że szajka Magnusa teraz już całkowicie zablokowała im ruch w jakąkolwiek stronę. Zrozumiał, że walka jest bezcelowa, i przyrzekł sobie dokonać kiedyś dotkliwej zemsty. - Jedziemy do domu Gajusza Wespazjusza Pollona - rzucił ostrym tonem - na Kwirynale.

- Co? Do byłego pretora? Czemu od razu tak nie mówiłeś, przyjacielu? To wszystko zmienia. Znam go dobrze... obejdzcie się bez opłat. Śmieszne nieporozumienie, proszę przyjąć moje przeprosiny, panie, pani, i przekazać szlachetnemu senatorowi nasze pozdrowienia.

- Niczego takiego nie zrobię, bezczelny niegodziwcze - oświadczyła Wespazja złowieszczo, wracając do lektyki.

- W każdym razie z radością będziemy eskortować cię, panie, i całe towarzystwo do domu senatora. Sekstus, Lucjusz i ja wskażemy drogę. - Magnus ruszył ochoczo przed siebie.

- O co tu chodzi, ojczyste? - spytał Wespazjan.

- To był, mój chłopcze, popis bractwa rozstajnych dróg, stanowiącego najpotężniejszą siłę w Rzymie po cesarzu i jego pretorianach - odparł Tytus, skonsternowany raptowną zmianą sytuacji. - To są szajki, które usadowiły się na wszystkich głównych skrzyżowaniach ulic w biedniejszych dzielnicach miasta i wymuszają haracz od miejscowych kupców, mieszkańców i od podróżników, sprzedając im ochronę. Jeśli ją kupisz, nie obrabują cię, jeśli nie, obrabują. Tak prosto to funkcjonuje.

- Ale przecież to jest na pewno nielegalne - oświadczył oburzony Wespazjan. - Dlaczego cesarz czegoś z tym nie zrobi?

- Cóż, może to zabrzmieć dziwnie, ale się ich toleruje, bo robią też sporo dobrego.

- Co dobrego może robić banda oprychów specjalizujących się w wymuszaniu pieniędzy groźbami? - rzucił pogardliwie Wespazjan.

- Cóż, jak na ironię, przede wszystkim samą swoją obecnością obniżają na swoim terenie ogólny poziom przestępczości. Inni złoczyńcy złapani na gorącym uczynku są przez nich surowo karani. Jeśli się zastanowić, to w ich interesie leży utrzymywanie bezpieczeństwa

i spokoju, by ich zyski mogły rosnąć. Im więcej będzie tam kupców, tym więcej pieniędzy zgarną. Poza tym opiekują się kapliczkami na skrzyżowaniach dróg. Najwyraźniej twój wuj co najmniej ich toleruje, jeśli wręcz nie zachęca do działań, sądząc po ich reakcji na jego imię.

- Mówisz o nich, jakby byli czymś pozytywnym, ojcze, jakąś sympatyczną grupą pobożnych chłopców, którym na sercu leży dobro społeczności, wspieraną przez ludzi znaczących i porządných.

- Cóż, w pewnym sensie tacy są - powiedział Tytus, kiedy zeszli z głównej ulicy i zaczęli się wspinać na Kwirynał. - Mają jednak paskudny zwyczaj prowadzenia krwawych wojen z konkurencyjnymi bandami, zwalczają również te facje w cyrku, które popierają w wyścigach zespół w innym kolorze niż kolor ich facji.

Kiedy wspinali się na wzgórze, kamienice znikły, zastępowane przez jednokondygnacyjne domy bez okien od frontu, tylko z samym wejściem. Oddzielone były od siebie tak wąskimi uliczkami, że robiło to wrażenie jednej długiej ściany z mnóstwem drzwi. Na ulicach było natomiast znacznie mniej ludzi, a ci, których mijali, nosili bardziej eleganckie stroje; nawet niewolnicy byli tu lepiej ubrani. Już dawało się wyczuć różnicę w samym powietrzu; lekki wietrzyk przeganiał zapachy z leżącego poniżej miasta, którego zgiełk brzmiał teraz jak delikatny szum.

Skręcili kilkakrotnie w lewo i w prawo i wreszcie Magnus zatrzymał się przed pomalowanym na żółto domem.

- To jest dom senatora Gajusza Wespazjusza Pollona, szlachetni panowie - oświadczył, pociągając za łańcuch kołatki. - Tutaj was zostawię. Jeśli tylko mogę coś zrobić, by zrekompensować to niefortunne nieporozumienie, proszę dać mi znać.

Spróbował pomóc wysiąść z lektyki nachmurzonej Wespazji, ale matrona dała mu po twarzy. Ukłonił się nisko, przeprosił i życząc wszystkim miłego dnia, odszedł ze swoimi dwoma towarzyszami.

- Porozmawiam z bratem o tym upiornym człowieku, Tytusie - oświadczyła Wespazja, dołączając do męża. - Jak taki śmieć odważa się grozić ludziom o naszej pozycji?

- Nie sądzę, moja droga, by obchodziła ich pozycja społeczna upatrzonych ofiar, no może odrobinę, żeby dało się ocenić, ile z nich mogą wyciągnąć - odparł Tytus.

Wespazja wykrzywiła twarz, świadoma, że mąż żartuje, ale nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo drzwi się otworzyły, ukazując mężczyznę sędziwego i kruchego, o plecach zgiętych w pałąk. Patrzył na nich wilgotnymi, nabiegłymi krwią oczyma.

- Kogo mam zaanonsować? - spytał piskliwym głosem.

- Tytusa Flawiusza Sabinusa i jego małżonkę, Wespazję Polio, oraz ich dwóch synów, Sabinusa i Wespazjana - odparł Tytus.

- A tak, powiedziano mi, bym was oczekiwał. Proszę poczekać w atrium. Zawiadomię pana o waszym przybyciu - wysapał sędziwy sługa, zginając się jeszcze niżej w pokłonie, kiedy goście przechodzili obok niego. Wespazjan zaniepokoił się, czy starcowi uda się ponownie wyprostować, jednakże za pomocą łaski ten jakoś się uniósł, zamknął zewnętrzne drzwi i podreptał poszukać senatora, z szybkością, która jednoznacznie wskazywała, że gospodarz nieprędko się pojawi.

Wespazjan rozejrzał się wokół. Atrium było niemal dwa razy większe niż w jego domu i zdecydowanie bardziej bogato dekorowane. Ściany zdobiły jaskrawo kolorowe freski, przedstawiające młodych, nagich mężczyzn podczas polowania i zapasów, a także przy mniej szlachetnych zajęciach. W niszach stały kształtne figury bogów, pomalowane tak, że wyglądały jak żywe i nie pozostawiały niczego wyobraźni. Przepięknie wykonana mozaika na podłodze ukazywała muskularnego Achillesa, zabijającego Hektora o oczach łani; obaj, co dziwne, nie mieli na sobie żadnego odzienia. Wespazjan zauważył grymas matki, kiedy przyjrzała się otoczeniu i zauważyła, że tworzy jedyny kobiecy akcent w całym tym pomieszczeniu.

- Raczej nie pochwalam gustu brata, jeśli chodzi o wystrój wnętrz - szepnęła do Tytusa. - To wszystko jest wulgarnie i zupełnie niestosowne dla młodych chłopców. Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś, Tytusie? Przecież byłeś już tutaj.

- Nie zapominaj, że był tu też Sabinus, i nie wydaje mi się, by miało to na niego zły wpływ - zauważył, również ściszym głosem, klepiąc starszego syna po ramieniu. - A poza tym co byś zrobiła, gdybyś wiedziała? Zmieniła nasze plany? Znałaś już wcześniej dziwactwa brata, więc nie powinnaś być aż tak zaskoczona. Zresztą już tu jesteśmy i nasze odejście byłoby obrazą dla Gajusza.

- Dziwactwa? - prychnęła Wespazja. - Tak to nazywasz?

Sabinus wymienił spojrzenia z Wespazjanem.

- Ustawiaj się plecami do ściany, braciszku, kiedy w pobliżu jest wuj Gajusz.

- Dość tego, Sabinusie - syknął Tytus. - Pamiętaj, że wujka macie czcić i szanować.

- Ale mu nie ulegać - wymamrotał pod nosem Wespazjan, nie mogąc powstrzymać uśmiechu i ściągając na siebie wściekłe spojrzenie matki.

- Jakikolwiek poza tym jest mój brat, to na pewno jest człowiekiem bardzo wpływowym, więc róbcie, jak ojciec każe, i zachowajcie uwagi dla siebie.

Wespazjan skinął posłusznie głową i starał się nie patrzeć na freski.

- Wespazja! Jak miło cię znowu zobaczyć - rozległ się tubalny głos pobrzmiewający akcentem, w którym Wespazjan rozpoznał swój własny. - I Tytus, mój przyjaciel, cóż za radość.

Wespazjan podniósł wzrok i zobaczył, że do atrium wtacza się niezwykle opasły mężczyzna. Bida tunika, z szerokim purpurowym szlakiem z przodu, z trudem mieściła jego cielsko; jeśli nosił pas, to nie było go widać w zwałach przelewającego się tłuszczu. Na policzki nałożoną miał sproszkowaną ochrę, oczy podkreślone sadzą. Rzędy starannie zakreconych brązowych loków zakrywały uszy i czoło. Na stopach, które wydawały się o wiele za małe na taką posturę, nosił miękkie pantofle z czerwonej skórki. Wespazjan nigdy jeszcze nie widział takiego cudaka i z trudem tylko powstrzymał okrzyk zdumienia.

Gajusz podszedł i uściskał siostrę. Mimo niesmaku, jakim napawał ją jego styl życia, i zdumienia na widok jego obecnej otyłości była szczerze zadowolona ze spotkania z bratem i poddała się temu czulemu powitaniu.

- Gajuszu, tak dawno cię nie widziałam - powiedziała, kiedy ją uwolnił z uścisku. - Mam nadzieję, że zastajemy cię w zdrowiu.

- W doskonałym, w doskonałym - odparł, ujmując mocno ramię Tytusa. - Świetnie wyglądasz, przyjacielu; wiejskie powietrze najwyraźniej ci służy. To dlatego nie przyjeżdżasz częściej do Rzymu? Cóż, teraz tu jesteś i bardzo się cieszę, że mogę cię gościć. Sabinusie, to już cztery lata od czasu, kiedy tu byłeś, a pewnie dziesięć, kiedy ostatni raz widziałem Wespazjana.

Bracia wysunęli się do przodu i skłonili głowy przed wujem, który położył rękę na ramieniu każdego i dokładnie im się przyjrzał.

- Świetni chłopcy, Tytusie, świetni chłopcy, musisz być bardzo dumny. Sabinusie, nie mogę się doczekać, by usłyszeć o twojej służbie wojskowej. Jestem pewien, że to dobry początek twojej kariery.

- Rzeczywiście, wuju. Teraz natomiast chciałbym objąć stanowisko niższego urzędnika.

- Pewnie, że chciałbyś, i je dostaniesz, mój chłopcze, dostaniesz. - Gajusz zwrócił się do Wespazjana. - A czego życzy sobie młodszy brat, hę?

- Spróbować służyć Rzymowi i mojej rodzinie - odparł młodzieniec.

- Dobrze powiedziane, mój chłopcze, z takim podejściem zajdziesz wysoko. - Ścisnął ramię Wespazjana. - Ale co najpierw? Wojsko?

- Tak, wuju, tak jak Sabinus chciałbym być trybunem wojskowym.

- Doskonale. Jestem pewien, że da się to załatwić, wciąż mam koneksje w tych dwóch legionach, w których służyłem. - Gajusz zauważył, że oczy siostrzeńca rozszerzają się z niedowierzaniem. - Och, drogi chłopcze, sądzisz, że przez całe życie byłem tych rozmiarów? - Roześmiał się. - Wespazjan zaczerwienił się zawstydzony, że odczytano jego myśli. - Skądże, kiedyś byłem równie sprawny jak wy dwaj, co wasza matka może potwierdzić. Wybrałem teraz taki wygląd... czy raczej wybrałem taki znakomity styl życia, który do niego prowadzi. Rzym ma obecnie cesarza, który toleruje styl życia podobny do mojego, w przeciwieństwie do swojego poprzednika, boskiego Augusta, który był świętoszkiem i wiódł ascetyczne życie, oczekując od innych tego samego. Niech bogowie błogosławią Tyberiuszowi za to, że pozwala mi dogadzać sobie i być tłustym i szczęśliwym. - Uśmiechnął się do Wespazjana. - Cóż, miejmy nadzieję, że będę mógł wam pomóc piąć się po szczeblach kariery w naszym pięknym mieście. Ostatecznie po to tu przybyliście, co, chłopcy? - zachichotał.

- Tak, wuju, dziękujemy - wyrecytowali bracia.

- Nie, nie, teraz mi nie dziękujcie, jeszcze nic nie zrobiłem. Poczekajcie, aż będziecie mieli słuszny powód, a wtedy, jak sądzę, wymyślicie, jak mi podziękować - powiedział Gajusz i ponownie zwrócił się do siostry. - Wespazjo, teraz służba wskaże wam wasze pokoje, po czym na pewno zechcecie się wykąpać i przebrać po podróży. Mam tutaj doskonałą łaźnię, chyba że wolicie udać się do publicznej?

- Nie, Gajuszu, z wielką przyjemnością skorzystamy z twojej - odparła Wespazja.

- Jak sobie życzyacie. Wobec tego natychmiast każę tam podnieść temperaturę.

Klasnął w dłonie i z rogu pokoju wyłoniło się czterech niewolników - chłopców o jasnych, opadających na ramiona włosach. Nosili jaskrawoczerwone tuniki, które Wespazjanowi wydały się bardzo krótkie.

- Ci chłopcy pokażą wam wasze kwatery - oświadczył Gajusz. Popatrzył przepaszającym wzrokiem na siostrę. - Obawiam się, Wespazjo, że w tym domu brakuje niewolnic. Mam nadzieję, że przywiozłaś jakieś ze sobą.

- Rzeczywiście, mój bracie, czekają teraz na zewnątrz, razem z resztą naszych rzeczy.

- Doskonale. Każę Priskusowi, mojemu zarządcy, przygotować dla nich wszystkich lokum. A teraz, proszę, rozgoście się. Kiedy się odświeżycie, poczynimy plany dotyczące waszych synów.

*

Kąpiel rzeczywiście była odświeżająca, chociaż bracia czuli się trochę niezręcznie, kiedy fachowo masowali ich dwaj ładni chłopcy, którzy nie licząc długich, złotych loków, zdawali się nie mieć na ciele żadnego owłosienia.

Dołączyli do rodziców odpoczywających w cieniu w wewnętrznym ogrodzie. Górował w nim przesadnie duży posąg Apollina, umieszczony w basenie z rybkami. Wespazjan siedział na brzegu sadzawki i pluskał leniwie palcami w wodzie, kiedy zjawił się Gajusz.

- Nie rób tego, mój drogi - ostrzegł siostrzeńca. - W tym basenie żyją moje minogi i chętnie przyssa ci się do palca. Niestety, my im smakujemy tak samo jak one nam - oświadczył wesoło, siadając na taborecie podsunętym przez kolejnego pięknego chłopca. - Jeden z moich niewolników wpadł w zeszłym roku do wody i zginął, zanim zdołano go wyciągnąć. Podobno cały basen aż kipiał, kiedy pędziły, żeby się do niego przyssać. Śmierć była zapewne spowodowana wstrząsem. Byłem wściekły, bo szczególnie lubiłem tego młodzieńca i dopiero co go kupiłem.

Wespazjan szybko odsunął się od basenu i usiadł obok Tytusa. Pojawiło się kolejnych dwóch niewolników, jeden ze stolikiem, drugi z tacą pełną słodkich ciasteczek.

- Mam zwyczaj o tej porze dnia przekąsić coś słodkiego - powiedział Gajusz, kiedy jeden z chłopców ustawiał stolik. - Przyłączcie się, bo do kolacji mamy jeszcze trochę czasu.

Chłopiec z tacą skłonił się przed Wespazją i zaoferował jej ciastko, ukazując przy tym gładkie, kształtne pośladki i napiętą skórę pozbawioną owłosienia moszny, czemu Gajusz przyglądał się z uznaniem. Wespazjan poczuł, jak siedzący obok ojciec poruszył się niespokojnie na ten widok, i zastanawiał się, jak też zareaguje matka, kiedy chłopak będzie podawać po jego stronie stolika. Na szczęście Gajusz uświadomił sobie skrępowanie gości i zanim Wespazja została poddana tej ciężkiej próbie, klepnął chłopca po pośladku.

- Arminiuszu, jak śmiesz obsługiwać moich gości taki nieubrany? Idź i natychmiast włóż przepaskę biodrową.

Chłopiec patrzył nierozumiejącym wzrokiem na pana; najwyraźniej nigdy wcześniej nie kazano mu wkładać tej części odzienia, jeśli w ogóle takową posiadał.

- Ruszaj! - warknął Gajusz. - I zostaw ciastka na stoliku.

Biedny chłopak wybiegł z ogrodu. Gajusz uśmiechnął się do gości.

- Muszę was przeprosić, ci Germanie są strasznie zapominalscy. Dobrzy słudzy, ale trochę niestaranni.

- Drobiazg, Gajuszu - powiedział Tytus. - Nic się nie stało. Czy wszyscy twoi niewolnicy to Germanie? Z tego, co wiem, są bardzo kosztowni.

- Owszem, ale są również warci każdego denara, jaki się za nich zapłaci - odparł Gajusz z dziwnie nieobecny spojrzeniem. - Mam głównie Germanów, ale również kilku niewolników z Mezopotamii i jednego Bryta.

- Skąd są Brytowie? - spytał Wespazjan.

- Z Brytanii, wyspy leżącej na północ od Galii. Chyba czytałeś Cezara? Dwukrotnie się tam wyprawiał przeszło siedemdziesiąt lat temu, ale to były takie dzikusy, że nie udało mu się ich podporządkować. Bez wątpienia to zadanie będzie należało do kogoś innego, w przyszłości. Chwileczkę, Tytusie, czyżbyś nie dał swoim synom żadnego wykształcenia? Chyba czytali klasyków?

- Niestety Wespazjana bardziej zajmowała hodowla niż historia i wiele lektur zaniedbał.

- To trzeba koniecznie naprawić. Wespazjanie, pożyczę ci swój egzemplarz *O wojnie galijskiej* Cezara, stamtąd się dowiesz o Brytanii i Galii, a także o Germanii. Jako żołnierz musisz znać te sprawy... kto wie, gdzie będziesz stacjonował? Możecie, chłopcy, korzystać do woli z mojej biblioteki.

- To bardzo uprzejme z twojej strony, drogi bracie - odezwała się Wespazja. - Dopilnuję, by wynieśli z tego jak najwięcej korzyści.

Gajusz gestem wskazał na ciastka.

- Proszę, częstujcie się sami, skoro nie ma chłopca do podawania, szczególnie dobre są te migdałowe i cynamonowe. Pałaszujcie, chłopcy, jutro jest pracowity dzień, więc musicie nabrać sił.

- Co zaplanowałeś na jutro, Gajuszu? - zapytała Wespazja.

- Twoich synów trzeba będzie pokazać i przedstawić - odparł jej brat, wkładając ciastko pomiędzy pulchne, wilgotne wargi. - Jutro jest kolejne święto publiczne, więc gdzie można ich lepiej zaprezentować niż na wyścigu rydwanów w Circus Maximus?

Rozdział siódmy

O świcie sędziwy odźwierny otworzył bramę, wpuszczając tłum klientów czekających na zewnątrz, by złożyć wyrazy szacunku swojemu patronowi. Gajusz zasiadł na taborecie w pobliżu paleniska i witał każdego ze swoich ponad czterdziestu klientów w kolejności zgodnej z hierarchią ich ważności. Wespazjan i Sabinus siedzieli po obu jego bokach i przedstawiano ich jedynie tym, którzy byli wystarczająco godni, by dostąpić tego zaszczytu. Za Gajuszem i jego siostrzeńcami stał młody sekretarz, zapisywał na woskowanej tabliczce wszystkie ustnie wyrażane prośby i przyjmował prośby pisemne od tych klientów, których problemy, jak sądzili, ich patron mógł rozwiązać.

Z kolei tych, których Gajusz mógł tego dnia wykorzystać, proszono, by poczekać przed jego gabinetem na osobistą rozmowę. Pozostali dostali coś do przekąszenia i wypicia i pełni szacunku w milczeniu czekali przy drzwiach na odejście patrona. Ściskali w dłoniach małe sakiewki z monetami, które, jako że był to dzień wyścigów, dostali, by obstawić swoich faworytów. Kiedy zwyczajowe poranne powitanie dobiegło końca, Gajusz zniknął w gabinecie i zajął się tymi, którzy mieli teraz okazję się zrewanżować za wyświadczoną im przezeń przysługę. Wespazjan był pod wrażeniem spokoju i godności, jakimi emanowali zarówno klienci, jak i ich patron, ciągnąc korzyści z tych symbiotycznych stosunków.

Po załatwieniu interesów Gajusz wytoczył się z gabinetu i dostrzegł Wespazjana.

- Drogi chłopcze, bądź tak miły i sprowadź rodziców - poprosił. - Czas nam ruszać, będą tam ogromne tłumy.

Kiedy wszyscy zebrali się w atrium, Gajusz złożył ofiarę bóstwom domowym, wymamrotał modlitwę, po czym ruszył na zewnątrz, za nim rodzina i wreszcie klienci. Ku zdumieniu Wespazjana eskorta mająca ich przeprowadzić przez Rzym do cyrku składała się z Magnusa i sześciu członków bractwa rozstajnych dróg, uzbrojonych w solidne kije.

- A ci co tu robią, Gajuszu? - spytała Wespazja. - Grozili nam wczoraj, nie okazując krzty szacunku lepszym od siebie. Miałam właśnie wieczorem porozmawiać z tobą o tym.

- Dzień dobry szlachetnej pani, proszę przyjąć przeprosiny za wczoraj... - zaczął Magnus.

- Naucz go batem trochę manier, Gajuszu - zażądała Wespazja.

- Uspokój się, moja droga - łagodził sytuację jej brat. - Magnus jest...

- Magnus! - wykrzyknęła Wespazja. - To bardzo wielkie imię dla takiego małego rzezimieszka.

- Mój dziadek walczył dla Pompejusza Magnusa pod Farsalos. On nadał imię...

- Nie interesuje mnie historia twojej nędznej rodzinki.

Gajusz wszedł pomiędzy tych dwoje.

- Wespazjo, proszę. Magnus to mój zaufany przyjaciel i wspaniałe źródło informacji. Dla mojego dobra zechciej zapomnieć o jego pomyłce i ruszajmy wreszcie do cyrku. On i jego towarzysze dowiodą, ile są warci, siłą torując nam drogę przez ciżbę.

Wespazja zamilkła i popatrzyła z niechęcią na Magnusa i jego ludzi, którzy przepraszająco skłonili przed nią głowy.

- Niech tak będzie, bracie, zrobię to dla ciebie - odparła wyniosłym tonem.

Magnus skinął głową i zwrócił się do Gajusza.

- Rozumiem, że miejsca te same co zawsze, dla senatorów, po lewej stronie cesarskiej łoży.

- Właśnie tak, mój przyjacielu, pięciu niewolników od przedświtku ich pilnuje.

Gajusz wyruszył w dół Kwirynału w otoczeniu rodziny, klientów i ochrony. Wkrótce Wespazjan zobaczył wiele podobnych grup; im ważniejsze osobistości, tym większy tłumek pieczeniarzy ich eskortował. Wszyscy zmierzali w tę samą stronę: na igrzyska.

*

W pobliżu cyrku, jak przepowiedział Gajusz, rzeczywiście kotłowały się tłumy. Magnus i jego bracia z trudem przepychali się przez ciżbę amatorów wyścigów, ustrojonych w barwy swoich ulubionych zespołów, z faksji Czerwonych, Zielonych, Białych czy Niebieskich. Pozdrawiali wesoło mijające ich grupki popierające to samo stronnictwo, a syczeli i gwizdali na przeciwników. Wyśpiewywali piosenki sławiące ich zespoły i machali chorągiewkami świadczącymi o ich przynależności. Tu i tam wybuchały awantury, kiedy napierający ze wszystkich stron tłum zetknął razem dwie rywalizujące ze sobą grupki, na ogół jednak panowała przyjazna atmosfera, bo był dopiero ranek i nikt jeszcze nie zdążył zbyt wiele wypić.

Mijali grupki koni wyścigowych i wozy załadowane rydwanami oraz wszelakim sprzętem przewożonym ze stajni czterech zespołów na Polu Marsowym, znajdującym się poza północnymi murami miasta, do ich baz w pobliżu miejsca wyścigów.

- Przez cały dzień będą przywozili i wywozili konie! - zawołał Gajusz, przekrzykując zgiełk. - Potrzebują mnóstwa zwierząt, zważywszy na to, że jest dwanaście biegów, z dwunastoma rydwanami w każdym, a większość z nich to zaprzęgi czterokonne.

- Pięćset siedemdziesiąt sześć - wypalił Wespazjan bez zastanowienia.

Sabinus skrzywił się drwiąco, ale na wszelki wypadek się nie odezwał, bo obliczenia brata mogły być poprawne.

- I co najmniej dwieście zapasowych - powiedział Gajusz, unosząc brew na znak, że zauważył, z jaką szybkością jego siostrzeniec liczy. - I jeszcze wierzchowce dla *hortatores*, jeźdźców, którzy pędzą przed każdym zaprzęgiem.

Wespazjan rozkoszował się atmosferą. W pamięci miał obraz tej części miasta, którą już zdążyli przebyć: łuki via Sacra; świątynię Jowisza, jaśniejącą w porannym słońcu ze wzgórza Kapitońskiego ponad Forum Romanum; gmach senatu i znajdującą się obok mównicę, zwaną Rostra, ozdobioną dziobami zdobytych w zamierzchłych czasach pod Antium okrętów podczas prowadzonej przez Rzym wojny z Latynami. Zdążył zobaczyć nowe forum Augusta, forum Cezara oraz inne publiczne budynki, związane zarówno z kultem religijnym, jak i świeckie, o których do tej pory jedynie słyszał, i oniemiał na widok ich rozmiarów, wspaniałości i piękna.

Widać już było zewnętrzne mury cyrku. Wznosiły się majestatycznie nad mrowiem ludzi, na wysokość czterech pięter. Pod arkadami mieściły się wejścia do budynku oraz kramy i sklepiki sprzedawców gorącego jedzenia, poduszek, wina i innych przydatnych w tym miejscu artykułów. Marmurowe schody prowadziły do amfiteatralnie ustawionych rzędów siedzeń dla dwustu pięćdziesięciu tysięcy widzów.

Po prawej stronie Wespazjan widział tymczasowe obozy faksji, rozłożone na Forum Boarium, przed jednym z krótszych boków budowli, mającym kształt łuku. Tam też znajdowała się główna brama, a po jej obu stronach pomieszczenia na wozy wyścigowe. Wyglądający na oprychów strażnicy, przy których Magnus i jego przyjaciele robili wrażenie akolitów podczas religijnego obrzędu, odgradzali cały ten teren od tłuszczy próbującej podpatrzeć, jak zespoły szykują się do wyścigów.

Pod arkadowymi portykami, stanowiącymi zewnętrzną ścianę cyrku, grupa otaczająca Gajusza zaczęła powoli topnieć, kiedy jego klienci, złożywszy patronowi wyrazy szacunku i życząc mu powodzenia, odchodzili, by spróbować się dostać do środka przez któreś z wielu wejść dla publiczności. W kolumnadach zadanie Magnusa stawało się z każdą chwilą coraz trudniejsze, bo musiał siłą torować drogę przez zbitą masę ludzi. Zatrzymywał się od czasu do czasu, by przepuścić jakąś grupę osób o wyższym statusie, po czym, wykorzystując sytuację, ruszał przetartym przez nich szlakiem. Powoli, ale metodycznie zbliżali się do wejść zarezerwowanych dla senatorów oraz ich gości.

Gajusz wykrzykiwał pozdrowienia do znajomych, mijających go w tej falującej ciżbie.

- Dzień dobry, Lucjuszu, niech bogowie ci sprzyjają i ześlą ci powodzenie... Postumusie, mam nadzieję, że twoim Białym pójdzie dziś lepiej. Postawę na nich w drugim biegu... - rzucał, informując również krótko Wespazjana i Sabinusa, co to za ludzie i czy są, czy też nie są wpływowi.

W pobliżu wybuchła bijatyka, kiedy zamknięto jedno z wejść i setki rozczarowanych amatorów wyścigów rzuciło się do innych obleganych wejść. Krzyki bólu wypełniły powietrze, kiedy straż zaczęła na oślep wymierzać ciosy, starając się zamknąć bramy przed rozjuszonym tłumem, który nie miał szans dostać się do środka.

W końcu Magnus i pozostali członkowie bractwa przepchali się do znacznie mniej obleganego wejścia dla senatorów.

- Tutaj cię, panie, zostawię - oświadczył Magnus. - Niech Fortuna sprzyja tobie i towarzyszącym ci osobom.

- Nawzajem, Magnusie, nawzajem - odparł Gajusz, podając mu ukradkiem ciężką sakiewkę. - Dobrze to spożytkuj, choć nie mam wątpliwości, że postawisz na swoich ukochanych Zielonych, nie zastanawiając się, kto powozi i jaka jest teraz ich forma.

- No cóż, panie, jak się jest z Zielonymi, to już na zawsze - oświadczył poważnym głosem Magnus na odchodnym.

Gajusz uśmiechnął się i spomiędzy fałdów togi wyciągnął drewniany bilet, pokazując go strażnikowi, który zgął się w ukłonie i wpuścił całe towarzystwo do długiego korytarza prowadzącego na widownię.

*

Wespazjan kompletnie nie był przygotowany na to, co zobaczył, kiedy wynurzył się z mroku tunelu. Przeszło dwieście tysięcy osób, jedna czwarta ludności Rzymu, wypełniło miejsca siedzące wokół szerokiej na sto kroków, długiej na jedną trzecią mili areny. Jej środkiem, nieco bliżej jednego boku i bliżej wejścia z łukiem triumfalnym, biegła *spina*, długi, niski mur, o szerokości ośmiu kroków, z masywnymi stożkowatymi słupami na każdym końcu, wokół których zawodnicy zakręcali zaprzęgami. Pomędzy słupami spinę zdobił obelisk sprowadzony z Egiptu przez Augusta, a także ogromne posągi bogów, rozstawione na tyle daleko jeden od drugiego, by nie przesłaniały widoku na przeciwległą część toru. Ponad rzędami miejsc siedzących, na całej długości widowni, ciągnęły się portyki, gdzie kolejne tysiące widzów, którym nie udało się zdobyć miejsc siedzących, spędzało na stojąco cały dzień. Spoza kolumnad, po obu stronach, wyzierały imponujące budowle i luksusowe ogrody Palatynu i Awentynu, jako że Circus Maximus leżał w dolinie między tymi wzgórzami.

Okrzyki tłumu obiegały tor wyścigowy podczas występów grupy *desultores*, jeźdźców akrobatów, odzianych jedynie w przepaski biodrowe i dziwne stożkowate kapelusze, którzy przed rozpoczęciem wyścigu pędzili galopem wokół areny, w pełnym biegu przeskakując, zgodnie z ustalonym rytmem, z grzbietu jednego konia na grzbiet drugiego. Za każdym razem, kiedy lądowali na kolejnym wierzchowcu, trzaskali z bicia, ku ogromnej ucieście tłumu. W finałowym numerze stali na grzbietach koni i wykonywali wszyscy jednocześnie salto w tył, lądując okrakiem na swoich wierzchowcach; tłum był wniebowzięty.

- Widzę tam moich chłopców! - zawołał Gajusz, przekrzykując ryk tysięcy gardeł. - Idźcie za mną.

Poprowadził rodzinę schodami pionowego przejścia w tempie, jakiego nikt by nie podejrzewał u tak otyłego człowieka. W połowie drogi w dół skręcił w prawo, w wąskie przejście pomiędzy rzędami siedzeń zajętych przez senatorów, którzy zdawali się czerpać tyle samo uciechy z przedstawienia, ile otaczające ich masy zwykłych obywateli, i którzy owacyjnie żegnali jeźdźców opuszczających arenę. Ich miejsce zajęła mała armia niewolników z miotłami, którzy natychmiast zaczęli wyrównywać piasek, przygotowując tor do pierwszej gonitwy.

- Dobra robota, chłopcy - zawołał do pięciu niezwykle urodziwych niewolników domowych, siedzących obok siebie na końcu rzędu. - Naprawdę, świetne miejsca. - Dał każdemu z nich po srebrnej monecie. - Idźcie się zabawić, moi drodzy. Oczekuję was w domu po zakończeniu ostatniego wyścigu.

Chłopcy odeszli, zostawiając pięć miękkich poduszek i dużą torbę, zawierającą dość jedzenia i picia dla nich wszystkich na cały dzień.

- Krążyły pogłoski, że być może sam cesarz się dzisiaj pojawi - wyjaśnił Gajusz, kiedy zajęli miejsca. - To jest rzadkim wydarzeniem, bo Tyberiusz nie znosi pokazywać się publicznie i nie interesuje się wyścigami. Może chce po prostu przypomnieć ludowi, jak wygląda.

- Gdzie będzie siedział? - zapytał Wespazjan.

- Oczywiście tam, w cesarskiej loży - odparł jego wuj, wskazując bogato zdobione, oddzielone od reszty miejsce, na wprost słupów spiny przy szerszym końcu toru, zaledwie dwadzieścia kroków na prawo i nieco poniżej rzędu, w którym mieli miejsce. Spoczywający na malowanych filarach, wystający do przodu marmurowy dach ocieniał kawałek przestrzeni umeblowanej miękko wyściełanymi krzesłami, sofami i miękkimi kobiercami. - Będziemy mieli na niego doskonały widok, ale co istotniejsze, on zobaczy nas, jeśli tylko takie będzie jego życzenie.

- A teraz zajmijmy się tym, co ważne, to znaczy robieniem zakładów na pierwszy bieg. - Gajusz zamilkł i zaczął poprawiać poduszkę tak, żeby zmieścić na niej cały swój szeroki zadek. Wreszcie zadowolony podjął temat: - Zauważycie, że pomiędzy ludźmi będzie się kręcić mnóstwo niewolników ze skórzanymi torbami u pasa; wysyłają ich bukmacherzy, porozmieszczani wokół toru, nad nami i pod nami. Przed każdym wyścigiem prezentowane są zespoły, które paradują wokół toru, żeby tłum mógł im się przyjrzeć. Na ogół każdy z czterech Kolorów wystawia do wyścigu trzy zespoły, nie mamy więc do wyboru więcej niż dwanaście. Można postawić na wszystko, na co tylko się chce, na zwycięzcę, na pierwszego i drugiego, na kogoś, kto nie ukończy biegu, a nawet na to, że żaden z zespołów danego Koloru go nie ukończy... co komu przyjdzie do głowy. Kiedy już się zdecydujesz, przyciągasz uwagę któregoś z tych niewolników, a oni ci mówią, jakie wygrane oferują ich panowie za postawione stawki. Wybierasz najlepsze, wręczasz pieniądze, jeden z nich daje ci pokwitowanie, podpisane wcześniej przez jego pana. Jeśli wygrasz, niewolnik wypłaci ci pieniądze, kiedy tylko pokażesz mu pokwitowanie.

W tłumie zapanowało poruszenie i grupa dwudziestu mężczyzn, z których połowa niosła wielkie rogi okręcone wokół ich ciał, druga połowa zaś proste trąby, wmaszerowała na dach łoża cesarskiej. Na sygnał dany przez prowadzącego podnieśli instrumenty i zabrzmiały głębokie, donośne fanfary, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Tłum ucichł, a z przodu łoża pojawił się mężczyzna w lśniącym wojskowym stroju.

- To Sejan, prefekt pretorianów - szepnął Gajusz - podstępna żmija.

Mężczyzna wzniosł ramiona.

- Ludu Rzymu! - zawołał. Jego mocny głos niósł się lekko wokół tej ogromnej budowli. - Mamy dziś szczęście cieszyć się obecnością naszego wspaniałego cesarza, który wesprze obecnego tu konsula, Marka Azyniusza Agryppę, którego szczodrości zawdzięczamy dzisiejsze igrzyska. Bądź pozdrowiony Tyberiuszu Cezarze Auguście.

Wysoki, szeroki w ramionach mężczyzna o rzednących włosach, krótszych z przodu, a z tyłu zakrywających kark, wyszedł na front łoża cesarskiej, emanując pewnością człowieka dzierżącego najwyższą władzę. Wszyscy wstali i wydali całą serię potężnych okrzyków „Bądź pozdrowiony, Tyberiuszu”. Wespazjan, który pierwszy raz miał okazję ujrzeć najpotężniejszego człowieka na ziemi, gorliwie dołączył do tego chóru. Tyberiusz, odziany w purpurową tunikę i togę, wyciągnął ramiona, przyjmując te owacje, po czym gestem polecił stojącemu za sobą mężczyźnie, by się pokazał.

- To jest Azyniusz Agryppa - zawołał Gajusz, przekrzykując zgiełk - jeden z najbogatszych ludzi w Rzymie. Finansuje te wyścigi, by się wkupić w łaski cesarza. Krążą

połyski, że kiedy z końcem tego roku skończy się jego kadencja konsula, będzie chciał zostać namiestnikiem Syrii. Pieniądze, jakie wydał na te igrzyska, okazały się drobną sumką w porównaniu z tym, co będzie mógł tam zgarnąć, jeśli Tyberiusz go mianuje.

Azyniusz uniósł rękę i otworzyły się wielkie bramy na końcach areny. Wymaszerowało z nich około setki niewolników niosących kosze pełne monet różnej wartości i tymi monetami obrzucili zachwycony tłum.

- Rozumiem, co masz na myśli, wuju - zawołał Wespazjan, wyłapawszy sestercję z deszczu metalu - ale to chyba jednak przesada.

- Oczywiście, że przesada, ale bardzo cieszy publiczność i być może Tyberiusz przypomni to sobie, kiedy będzie mianował nowych namiestników prowincji.

Wespazjan zauważył, że kilku senatorów nawet nie próbowało pochwycić żadnej ze spadających pomiędzy nimi monet i zasiedli z powrotem na swoich miejscach z bardzo niezadowolonymi minami. Tym niezwykłym pokazem hojności Azyniuszowi najwyraźniej udało się obrazić wielu sobie równych. On sam wydawał się tego nieświadomy i pławiąc się w odbitej chwale swojego cesarza i w pochlebstwach tłumu, dał kolejny sygnał. Rogi i trąby zabrzmiały ponownie, tłum ucichł i usiadł. Bramy po prawej stronie Wespazjana otworzyły się, ukazując dwanaście czterokonnych rydwanów, które miały rywalizować w pierwszym biegu.

Pierwsze wyjechały trzy rydwany Czerwonych. Konie miały łby przystrojone ufarbowanymi na czerwono piórami i ogony związane czerwonymi wstążkami. Małe, lekkie rydwany, wykonane z mocnej czerwonej tkaniny rozciągniętej na drewnianej ramie, miały długie, wygięte nieco ku górze dyszle, z końcówkami wyrzeźbionymi w baranie łby. Choć wszystkie cztery konie zaprzęgnięte były w jednym rzędzie, tylko dwa wewnętrzne sprzężone były w kłębie z dyszlem, natomiast dwa zewnętrzne połączone były z rydwanem jedynie postronkami. Dwa małe koła o ośmiu szprychach i stalowych obręczach dawały pojazdowi niski punkt ciężkości, pozwalając łatwiej nim sterować. Wszyscy woźnice ubrani byli w czerwone tuniki bez rękawów i mieli klatki piersiowe dokładnie owinięte skórzanymi paskami, by w razie wypadku chronić żebra przed złamaniem. Włóczenie po ziemi często kończyło się śmiercią, mieli więc zatknięty w tych pasach zakrzywiony sztylet, którego w razie upadku mogli użyć do przecięcia owiniętych wokół nadgarstków lejc. Całość stroju uzupełniały skórzane ochraniacze na nogach, twarde skórzane hełm i długi bicz o czterech rzemieniach.

Rozmieszczeni wokół areny heroldzi wykrzykiwali co sił w płucach imiona woźniców i koni każdego z trzech zespołów. Zwolennicy faksji Czerwonych witali ich radosnymi okrzykami, pozostali syczeniem. Następni zjawili się Niebiescy.

- Pierwszym rydwanem Niebieskich powozi Euprepes, syn Telesforosa! - krzyczeli heroldzi. - Ciągną: Argutus od zewnątrz, Diresor i Dignus w środku oraz Linon od wewnątrz.

Poplecznicy Niebieskich w tłumie wyrzaskiwali słowa aprobaty dla zaprzęgu.

Gajusz pochylił się w stronę Tytusa.

- Myślę sobie, że właśnie ten zaprzęg wygra. Euprepes zwyciężył już w ponad siedmiuset biegach, w co najmniej dwustu z nich ścigając się dla Niebieskich, a już trzykrotnie tego roku z tym właśnie zaprzęgiem iberyjskich ogierów. A Linon to na zakrętach najpewniejszy z wewnętrznych koni.

- W takim razie skorzystam z twojej rady, przyjacielu, i postawię dziesięć denarów na Niebieskich - odparł Tytus, dając znak przechodzącym niewolnikom bukmacherów.

- Ojczy, na zakładach można stracić mnóstwo pieniędzy - powiedział z powagą Wespazjan. Przy jego charakterystycznej oszczędności trudno mu było poddać się beztrudnej atmosferze.

- Nie bądź taki skąpy, braciszku - rzucił kpiąco Sabinus, kiedy heroldowie zaczęli zapowiadać zespoły Białych. - Jesteśmy tu, by grać, a nie oszczędzać. Ja też postawię denara na Niebieskich.

- Na bogów - powiedział Gajusz z zatroskaną miną - niech tylko wygrają, bo będę miał kłopoty. Już więcej nic nie podpowiem, bo moje nerwy tego nie wytrzymają.

Wespazja lekko się uśmiechnęła.

- Mam nadzieję, Gajuszu, bo nie jestem pewna, czy pochwalam cały ten hazard. - Po czym, zwracając się do niewolników bukmacherów, spytała: - Jakie są notowania trzeciego zespołu Białych?

- W wypadku Gencjusa mój pan wypłaca dwanaście do jednego, a w razie wygranej Białych pięć do jednego - odpowiedział pierwszy z nich.

- Mój oferuje piętnaście, a za wygraną Białych sześć - oświadczył drugi.

- W takim razie wybieram to drugie i stawiam dwa denary na Gencjusa.

- Matko! - zawołał oburzony Wespazjan.

- Och, nie bądź takim świętoszkiem, to tylko zabawa - powiedziała Wespazja, podając niewolnikowi dwie monety i odbierając pokwitowanie. - Może powinieneś coś postawić, bo wtedy możesz bardziej emocjonować się wyścigiem, kiedy od jego wyniku zależą twoje pieniądze.

- Nie muszę obstawiać gonitw, żeby oglądać je z przyjemnością - odparł urażonym tonem Wespazjan.

Tytusowi, Sabinusowi i Gajuszowi udało się obstawić Euprepesa trzy do jednego u niewolnika pierwszego bukmachera, całkiem nieźle według Gajusza, zważywszy na to, że chodziło o faworyta.

Heroldowie skończyli właśnie zapowiadanie zespołów Zielonych, kiedy w łoży cesarskiej zapanowało poruszenie. Tyberiusz wstał i czule powitał wysoką elegancką kobietę, spowitą w bogato pofałdowaną czarną pallę, która zakrywała jej włosy i opadała poniżej kolan. Spod niej wystawała ciemnoczerwona stola, sięgająca do kostek. Niewiasta od stóp do głów wyglądała na szacowną i potężną rzymską matronę starej daty.

- To Antonia - wyjaśnił podekscytowany Gajusz - bratowa Tyberiusza. Cesarz uczynił jej najstarszego syna, Germanika, swoim sukcesorem, adoptując go, co było częścią układu z Augustem, kiedy sam został przez niego usynowiony. Jednakże sześć lat temu Germanik zmarł, a potem umarł też Druzus, syn Tyberiusza, ożeniony z córką Antonii, Liwillą, teraz więc sprawa sukcesji jest dość niejasna - mówił, spoglądając na Wespazjana, który i tak uważał to wszystko za zbyt zagmatwane. - Drugi syn Antonii, Klaudiusz, to taki niezguła, że słyhać pogłoski, jakoby purpura miała ominąć jedno pokolenie i trafić się Tyberiuszowemu wnukowi, Gemellusowi, albo jednemu z dzieci Germanika. - Rozejrzał się nerwowo wokół i wyszeptał: - Powiadają nawet, że może dojść do przywrócenia republiki.

Wespazjan przyglądał się z zainteresowaniem Antonii, podczas gdy Gajusz nie przestawał mówić. Wyglądało na to, że ta kobieta tkwi w samym sercu polityki cesarstwa.

- Tak się złożyło - ciągnął - że kiedy byłem namiestnikiem Akwitanii, miałem okazję wyświadczyć jej pewne przysługi, dzięki czemu darzy mnie teraz szczególną łaską. Przy odrobinie szczęścia uda mi się, chłopcy, was jej przedstawić. - Spojrzał na Wespazjana, spodziewając się pełnej entuzjazmu reakcji, tymczasem zobaczył, że siostrzeniec wpatruje się jak oniemiały w cesarską łożę.

- Co się stało, drogi chłopcze? Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczył.

Sabinus podążył za nieruchomym spojrzeniem brata i roześmiał się.

- Ależ nie, wuju, nie chodzi o ducha, tylko o dziewczynę, a to ogromna różnica.

- No cóż, jak wiesz, nie jestem ekspertem w żadnej z tych dwóch spraw.

Wespazjan nie wierzył własnym oczom; w cesarskiej łoży Antonii pomagała się rozsiąść dziewczyna z lektyki, ta, która zaledwie wczoraj, na via Nomentana, rzuciła mu przenikliwe spojrzenie. Była niewolnicą najpotężniejszej kobiety w Rzymie.

Rozdział ósmy

Rydwany wykonały jedno okrążenie i teraz czekały na ustawienie w boksach startowych, znajdujących się po obu stronach bramy, przez którą wjechały. Specjalne, ukośne ustawienie boksów miało na celu wyrównanie trasy wszystkich wozów, zanim znajdą się w zwężeniu po prawej stronie spiny. Starter wyciągał ponumerowane kulki z obracającej się urny; kiedy wywoływano numery zespołów, ich woźnice wybierali ten z dwunastu boksów, z którego chcieli wystartować.

- To dość skomplikowane - powiedział Gajusz. - Z taktycznego punktu widzenia dla naszego zaprzęgu najlepiej byłoby, gdyby miał po bokach pozostałe dwa rydwany Błękitnych, które ochroniłyby go przed przeciwnikami na pierwszym zakręcie. Możecie być pewni, że inne zespoły spróbują zepchnąć go na spinę albo na ścianę zewnętrzną.

- Wolno tak? - spytał Wespazjan, wciąż wpatrując się w dziewczynę z nadzieją, że go zauważy.

- Oczywiście. Mogą robić, co im się żywnie podoba... nie obowiązują żadne zasady. Wygrywa ten, który pierwszy ukończy siedem okrążeń, a jak tego dokona, to już jego sprawa.

Drugi zaprzęg Czerwonych wybrał już boks zewnętrzny, trzeci Białych, powożony przez Gencjusza, wewnętrzny, kiedy wywołano pierwszy zaprzęg Niebieskich. Euprepes ruszył od razu do drugiego boks po lewej stronie, obok Gencjusza; znajdujący się na rzeczy tłum powitał to owacją.

- To bardzo śmiałe posunięcie - stwierdził Gajusz. - W ten sposób rezygnuje z szansy osłony z jednej strony, tej wewnętrznej. Musi zakładać, że uda mu się wyprzedzić Gencjusza przed pierwszym zakrętem.

Kiedy wszystkie rydwany znalazły się w boksach startowych, zamknięto dwuskrzydłowe ozdobne wrota i zabezpieczono żelaznymi ryglami, zostawiając tam zespoły oczekujące dźwięku fanfar poprzedzających początek wyścigu.

Napięcie widowni wzrosło, kiedy *hortatores*, znowu w liczbie dwunastu, po trzech na każdy kolor, wjechali galopem na arenę. Każdy z jeźdźców miał za zadanie poprowadzić jeden wóz wokół toru, pomagając mu pokonać kurz i zamęt wyścigu, wskazując możliwości i ostrzegając przed zagrożeniami.

- Znasz tę dziewczynę, wuju? - Wespazjan zebrał się w końcu na odwagę, by zadać to pytanie.

- Niewolnicę Antonii? Owszem, znam - odparł Gajusz, obserwując, jak Azyniusz podnosi się i podchodzi na przód łoża cesarskiej.

- Więc?

- Co więc?

- Więc jak ma na imię?

- Cenis; ale posłuchaj mojej rady i zapomnij o niej. To nie jest zwykła niewolnica, należy do kogoś bardzo potężnego, kto nie patrzyłby przychylnie na zainteresowanie okazane jego własności.

- Cenis - powtórzył Wespazjan, spoglądając znowu na łożę cesarską.

Dziewczyna się właśnie rozglądała i drugi raz w ciągu dwóch dni ich spojrzenia się spotkały. Cenis drgnęła, potrąciła niechcący swoją panią, która podążyła za jej wzrokiem, żeby zobaczyć, co ją zaniepokoiło. Antonia przez chwilę przyglądała się bacznie Wespazjanowi i skinęła głową, pozdrawiając jego wuja, na co ten zareagował teatralnym ukłonem. Antonia odwróciła się i powiedziała coś do Cenis, która odpowiedziała uśmiechem, a jej pani wdała się w cichą rozmowę z Azyniuszem. Wespazjan, który wciąż nie mógł oderwać oczu od cesarskiej łoża, czuł, jak wzrok konsula kilkakrotnie ponad ramieniem Antonii wędruje w jego kierunku.

Odezwały się kolejne fanfary i Azyniusz przerwał rozmowę, wysunął się na przód łoża i uniósł białą chusteczkę; tłum zamilkł, oczy wszystkich widzów skierowały się na niego. Z boksów startowych dobiegało parskanie i rzenie koni, niecierpliwie oczekujących uwolnienia. *Hortatores* ustawieni w jednej linii jakieś pięćdziesiąt kroków przed wrotami boksów zmagali się, by opanować narowiste wierzchowce, zaniepokojone tą nagłą ciszą.

Azyniusz dla uzyskania dramatycznego efektu znieruchomiał i dopiero po chwili, która zdawała się trwać w nieskończoność, upuścił chusteczkę. Starter pociągnął za sznur, który zwolnił jednocześnie rygle przy wszystkich wrotach. Znajdujący się za każdymi drzwiami drąg, którego jeden koniec włożony był w mocno napiętą wiązkę ściągien, skoczył do przodu i dwadzieścia czworo skrzydeł otworzyło się z głośnym trzaskiem, uwalniając zaprzęgi, które popędziły w obłoku kurzu i przy akompaniamencie radosnego ryku tłumu.

Rydwany równym szeregiem runęły do przodu, ku prawej stronie spiny. Tam, sto siedemdziesiąt kroków dalej, od słupa na końcu spiny do ściany zewnętrznej biegła biała linia; po jej pokonaniu zawodnicy mogli już wybrać sobie dowolny tor. Dzięki

odpowiedniemu usytuowaniu boksów startowych wszystkie wozy przekraczały tę linię niemal jednocześnie, z prędkością prawie czterdziestu mil na godzinę.

Euprepesowi nie opłacało się ryzyko podjęte przy wyborze miejsca startowego; wciąż jechał równo z Gencjuszem, kiedy zaledwie o szerokość dłoni mijali skraj bariery. Zamiast skrócić natychmiast w lewo i popędzić przed siebie, Gencjusz jechał po linii prostej, spychając Euprepesa coraz to dalej od środka toru, a zarazem bliżej Zielonego po jego zewnętrznej, który teraz próbował przeciąć mu drogę. Ponieważ groziło mu, że zostanie zmiądzony pomiędzy tymi dwoma, Euprepes odchylił się mocno do tyłu, ciągnąc ze wszystkich sił owinięte wokół pasa lejce, i skręcił ostro w lewo, co znacznie zmniejszyło prędkość jego zaprzęgu. Kiedy wyprzedzał go rozpędzony Gencjusz, Euprepes odbił gwałtownie w lewo, o włos mijając tył rydwanu Białych, i pognął do przodu tuż przy samej spinie. Zwolennicy Niebieskich na widowni przyjęli szaleńczą owacją ten odważny manewr, wyrzucając w górę pięści i wrzeszcząc aż do ochrypnięcia.

Gencjusz, nie zmieniając taktyki, trzymał się linii prostej, czym zmusił Zielonego po swojej prawej do zrezygnowania z próby przecięcia mu drogi i zepchnął go na kolejny zewnętrzny zaprzęg, który z kolei skręcił gwałtownie w prawo, zmuszając innych do różnych manewrów. Na najbardziej zewnętrznym torze drugi woźnica Czerwonych dostrzegł grożące mu niebezpieczeństwo i błyskawicznie zmniejszył prędkość. Obok niego pierwszy zaprzęg Białych musiał pojechać na ukos i choć woźnica desperacko próbował wrócić na lewo, uniemożliwiły mu to rydwany od strony wewnętrznej. Jego zewnętrzny koń zaczepił o ścianę, zdzierając sobie kawał ciała z łopatki. Potknął się i wylądował łbem w piasku areny; pozostała trójka koni, mocno rozpędzona, ciągnęła rydwan dalej, podrywając zad zwierzęcia w powietrze. Przeraziłw rzenie koziołkującego konia urwało się nagle, kiedy pod ciężarem tylnej części jego ciała złamał mu się kark. Rydwan Białych wyskoczył w górę nad martwym zwierzęciem i runął na bok, wyrzucając woźnicę, a trzy pozostałe oszołomione konie powlokły mężczyznę dalej. Wyciągał gorączkowo nóż, kiedy powrozy łączące przewrócony rydwan z martwym zwierzęciem maksymalnie się naprężyły i z głośnym trzaskiem rozerwały kruchy pojazd na dwoje. Chwilę później trzy z kompletu lejce owiniętych wokół pasa nieszczęśnika pociągnęły go do przodu; czwarty, unieruchomiony w miejscu martwym ciałem zwierzęcia, naprężył się raptownie i woźnica wyfrunął w powietrze, a dwie przeciwstawne siły rozsadziły mu klatkę piersiową i oderwały miednicę od kręgosłupa. Przyhamowało to na chwilę trzy rozszalałe konie, jednak ich pęd zerwał i te przygwożdżone lejce, a zwierzęta pobiegły dalej, ciągnąc za sobą wrak rydwanu oraz zmasakrowanego woźnicę.

- Uwielbiam ten pierwszy zakręt! - zawołał Gajusz do swoich towarzyszy, przekrzykując ryk tłumu. - Twój Gencjusz wykonał mądry manewr, Wespazjo. A już myślałem, że stracimy pieniądze, zanim wyścig się na dobre rozpocznie.

- Owszem, tyle że wyeliminował jednego z własnej faksji, a twoi Niebiescy prowadzą teraz o dwie długości - odparła Wespazja, kiedy będący faworytem zaprzęg Niebieskich wszedł za swoim hortatorem w mający sto osiemdziesiąt stopni zakręt.

Euprepes zwolnił, żeby pokonać łuk jak najbliżej słupa; odchylił się do tyłu i w lewo, chcąc zapobiec wywróceniu się rydwanu. Pokonał zakręt, strzelił batem nad końskimi kłębami i pognał zwierzęta węższą częścią areny, mając za plecami dziesięć rwących za nim zawzięcie zaprzęgów.

- Nie powinien tak szybko przemęczać koni, Gajuszu, mają jeszcze do pokonania ponad trzy mile! - zawołał Tytus.

- Nie powinien, ale Biali Wespazji oraz drugi zaprzęg Czerwonych mocno na niego naciskają, a rydwan Zielonych, który jest na czele, też nabiera rozpędu - wysapał Gajusz, a jego obwisłe policzki poczerwieniały z podniecenia.

Drugi i trzeci zaprzęg Niebieskich pokonały ciasny zakręt tuż za rydwanem Zielonych. Woźnice trzaskali batami nad łbami koni, popędzali je okrzykami i niemal się z nim zrównali. Nie chcąc się znaleźć pomiędzy spiną i dwoma rywalami, woźnica Zielonych ściągnął lejce w prawo, aż jego konie ocierały się o zwierzęta z zaprzęgu Niebieskich. Nie mogąc zjechać na bok, bo przestrzeń po zewnętrznej zajmował jego kolega, woźnica Niebieskich zdecydował się raczej podjąć ryzyko, niż ustąpić. Sięgnął po nóż, gotowy ciąć lejce, i skierował gwałtownie zaprzęg w lewo, spychając rydwan Zielonych na spinę. Delikatne koło roztrzaskało się, rzucając pojazdem o mur. Woźnica wyciągnął nóż, błyskawicznie przeciął lejce i nie oglądając się za siebie, zeskoczył wprost pod nadjeżdżający z tyłu zaprzęg Białych, znikając pod kopytami końskimi w kłębach kurzu i fontannach krwi. Pozbawiony ciężaru rydwan wystrzelił w powietrze i zawirował, pociągając za sobą cztery wierzgające i wyginające grzbiety konie, aż wpadł na woźnicę Niebieskich, który zgubił nóż i wypadł z pojazdu. Jadący z tyłu zaprzęg wrył się w to pobojuwisko. Oba zaprzężone od wewnętrznej strony konie złamały nogi, próbując przeskoczyć dyszel stojącego im na drodze rozbitego wozu. Ostatnim czterem rydwanom udało się ominąć miejsce wypadku. Grupa niewolników ruszyła pędem, by zebrać szczątki, zanim inne zaprzęgi dotrą do tego miejsca.

Euprepes zwalniał przed drugim zakrętem, kończącym pierwsze okrążenie. Widział, jak jego hortator sygnalizuje, że za zakrętem nie natknie się na żadne szczątki. Zarówno

Gencjusz, jak i zaprzęg Czerwonych, jadący najbliżej niego, zdołali go wyprzedzić, biorąc zakręt szerzej, ale za to szybciej.

- Próbuja wyprzedzić go po zewnętrznej! - zawołała Wespazja, zapominając na moment o dobrych manierach, kiedy opuszczono jeden z siedmiu brązowych delfinów umieszczonych w rzędzie u góry portyku, na końcu spiny, wyznaczając koniec pierwszego okrążenia.

Pomimo panującego wokół szalonego podniecenia Wespazjan kierował co chwilę spojrzenie ku cesarskiej łoży. Miał nadzieję spojrzeć raz jeszcze w te piękne oczy, jednak one zwrócone były na arenę; choć wyczuwał, że dziewczyna zmusza się, by nie zerknąć w jego stronę.

Skupił się na wyścigu. Pozostałe osiem zaprzęgów okrążyło koniec spiny z tej ciaśniejszej strony i pędziło teraz w stronę sektora senatorów. Hortatorzy energicznie sygnalizowali miejsce zderzenia Zielonych i Białych, a niewolnicy uwijali się jak w ukropie, by uprzątnąć zawalidrogę. Patrzyli z przerażeniem na zbliżające się szybko pojazdy i czmychnęli na boki, pozostawiając szczątki rydwanu kilka kroków od spiny. Dwóch hortatorów przeskoczyło przeszkodę i zostali nagrodzeni entuzjastycznym rykiem tłumu. Euprepes dostrzegł, że pomiędzy szczątkami rydwanu a spiną prześlizgnie się zaledwie jeden rydwan, i bez wahania pognął tamtędy swój zaprzęg. O pół długości za nim, na prawo, woźnica Czerwonych, miedzianowłosy Celt, zerkał nerwowo na Gencjusza po swojej zewnętrznej, ale tamten ani myślał ustępować, nie dając tym samym Celtowi innego wyboru, jak tylko zwolnić i pojechać za Euprepesem. To nie tylko pozwoliło Euprepesowi i Gencjuszowi oderwać się od niego, ale również umożliwiło Niebieskiemu, który jechał po zewnętrznym torze za Gencjuszem, dogonić woźnicę Czerwonych, kiedy zakręcając przy słupie, kończyli drugie okrążenie.

Opuszczono drugiego delfina, a Wespazjan znów zerknął w stronę cesarskiej łoży. Nie zobaczył dziewczyny. Wpatrzył się baczniej: Tyberiusz, rzucił akurat jakąś krótką uwagę do Azyniusza po prawej; za nimi siedziała Antonia. Sejan i czterech pretorianów stali z tyłu.

Gajusz dostrzegł zainteresowanie siostrzeńca.

- Przestań jej wypatrywać, drogi chłopcze, pewnie pani ją po coś posłała. Daj sobie spokój, bo dużo tracisz z wyścigu. A dobiegł już niemal połowy.

Ryk tłumu w reakcji na kraksę drugiego rydwanu Zielonych ponownie zwrócił uwagę Wespazjana na tor. Właśnie opuszczono trzeciego delfina. Powożony przez Euprepesa rydwan Niebieskich był tuż przed Białym Gencjuszem, podczas gdy na przeciwległej prostej Celt, woźnica Czerwonych, trzymał się twardo rydwanu kolegi Euprepesa z zespołu

Niebieskich. Tylko siedem zaprzęgów pozostało w wyścigu, kiedy Euprepes wyskoczył z zakrętu, mijając o włos niewolników wnoszących nieprzytomnego woźnicę Zielonych.

Ścigany przez Gencjusza, Celta Czerwonych i swojego kolegę z Niebieskich, Euprepes strzelił z bata i bezlitośnie zmusił spocone konie do jeszcze większego wysiłku. Opuszczono czwartego delfina i kiedy Wespazjan spojrział w stronę cesarskiej łoży, ponownie zobaczył szczupłą postać Cenis. Podała drewniane puzderko Antonii, zerkając przy tym na niego, a potem usiadła przy stoliczku obok swojej pani. Młodzieniec poczuł, jak serce mu mocniej bije; dziewczyna wiedziała, że ją obserwuje.

- Nie sądzę, by Euprepes mógł się dłużej bronić! - zawołał Gajusz do Tytusa, który ledwie go usłyszał w coraz głośniejszym rwetesie. - Wydusił już wszystko ze swojego zaprzęgu.

Tymczasem rydwany piąty raz pokonały węższy zakręt. Gencjusz niemal się zrównał z Euprepesem. Za nim woźnica drugiego zaprzęgu Niebieskich zadowolony, że Czerwony odstaje od dwóch prowadzących, ruszył z kopyta i próbował się zrównać z Gencjuszem, żeby wyeliminować go przy następnym nawrocie. Dostrzegając, co się święci, Gencjusz odbił gwałtownie w prawo, zawadzając kołem o przednią nogę konia zaprzęgu Niebieskich. Okaleczone zwierzę stanęło dęba, natomiast pozostałe konie z zaprzęgu usiłowały ominąć swojego towarzysza. Potykały się jedno o drugie i przewracały, wzbijając kłęby kurzu. Rydwan runął i oderwał się od dyszla. Woźnica ledwie zdążył przeciąć lejce, kiedy zwierzęta zerwały się na równe nogi i pognały jak szalone w przeciwnym kierunku, wprost na trzy zbliżające się rydwany. Tłum zerwał się z miejsc, rykiem aprobaty witając nagły zwrot akcji. Hortator nie miał szansy dogonić koni, które, pozbawione woźnicy, pędziły na złamanie karku ku pewnej katastrofie.

W obliczu zagrożenia w błyskawicznym tempie trzej woźnicy rozbili szyk w nadziei, że rozpędzone zwierzęta trafią w którąś lukę pomiędzy nimi, ale przerażone zwierzęta skręciły gwałtownie w lewo, wpadając na środkowy zaprzęg. Rozległ się chrupot łamanych kości i trzask pękającego drewna. Woźnica wyfrunął w powietrze ponad stosem splątanych ciał rżących koni i leżał bez ruchu na zrytym piasku areny. Zachwyceni widzowie wylili z uciechy.

Kiedy przechylił się piąty delfin, Wespazjan powędrował spojrzeniem ku łoży cesarskiej i zobaczył, jak Tyberiusz poklepuje Azyniusza po plecach, gratulując mu doskonałego widowiska. Za nimi Antonia dyktowała Cenis list; zdumiewało go, jak ta kobieta jest w stanie skoncentrować się pośród tego ogólnego szaleństwa, ale najwyraźniej sprawy wagi państwowej czekać nie mogą.

- To było fantastyczne! - krzyknął Sabinus, kiedy kolejna grupa niewolników uzbrojonych w noże wybiegła, żeby uwolnić te konie, które da się jeszcze uratować, i zakończyć mękę pozostałych.

- Mój Gencjusz zwycięży, zobaczycie - oznajmiła Wespazja z triumfalnym błyskiem w oku, kiedy dwaj prowadzący zawodnicy przedostatni już raz okrążyli koniec spiny w węższym miejscu.

Obaj spoceni i oblepieni kurzem mieli coraz mniej sił i dobrze o tym wiedzieli. Ich upiaszczone twarze stężały w grymasie posępnej determinacji, kiedy ostatni raz wjeżdżali w szerszy zakręt; każdy z nich wiedział, że najmniejszy błąd zniweczy wszystko, wygrany mógł być tylko jeden.

Ryk widzów odbijał się echem od siedmiu wzgórz Rzymu, kiedy pochylił się szósty delfin i rozpoczęło się ostatnie okrążenie. Cenis nie było przy jej pani i Wespazjan wysilał wzrok, spoglądając ponad głowami otaczających go senatorów. Nie mogąc zajrzeć w głąb łoży, ponownie zwrócił oczy na arenę.

Euprepes, poganiając zaprzęg z zaciętością człowieka gotowego na wszystko, by zwyciężyć, wyprzedzał przeciwnika o jakieś sto kroków przed ostatnim nawrotem. Gencjusz, zorientowawszy się, że nie ma szansy wyprzedzić go po zewnętrznej i wygrać z nim na ostatniej prostej, obejrzał się przez lewe ramię. Celt Czerwonych był o jedną długość za Euprepesem. Gencjusz uznał, że ma dość miejsca, i zmniejszając odrobinę prędkość, skręcił w lewo, w lukę pomiędzy dwoma rydwanami, zmuszając Celta do zmniejszenia szybkości. Zakręt był coraz bliżej i Gencjusz tak popędzał swój zaprzęg, że przednie nogi jego koni niemal dotykały gnającego przed nim rydwanu. Euprepes, obawiając się, że jeśli zbyt gwałtownie zwolni, Gencjusz wpadnie na niego i wyeliminuje ich obu, wszedł w zakręt z większą szybkością, niż nakazywał rozsądek. Wykonujące nawrót konie wypadły z rytmu, kiedy każdy z nich walczył o utrzymanie równowagi, co spowodowało, że rydwanem rzuciło w prawo. Gencjusz wjechał swoim zaprzęgiem pomiędzy dwa rydwany Niebieskich, pokonał zakręt i popędził naprzód.

Jeśli ktoś z widowni zdążył usiąść, to teraz zrywał się na równe nogi i dołączał do wrzasku, zachęcając do walki swój zespół. Mając pół długości przewagi, Gencjusz uruchomił zapas sił zaprzęgu, podczas gdy Euprepes bezlitośnie i bezskutecznie okładał batem swoje wyczerpane zwierzęta. Gencjusz przemknął obok ostatniego słupa i siódmy delfin pochylił się do przodu. Woźnica wyrzucił triumfalnie ramiona w powietrze i ruszył powoli, by wykonać rundę honorową. Biali wygrali pierwszy bieg i ich zwolennicy owacyjnie pozdrawiali bohatera chwili.

Wespazja była zachwycona.

- Trzydzieści denarów dla mnie to akurat tyle, ile wy trzech straciliście razem - chwaliła się.

Gajusz i Tytus przyjęli to ze spokojem, natomiast Sabinus, który nie znosił przegrywać, był wściekły.

- Tego Euprepeza powinno się powiesić za jaja, bo przegrał, kiedy miał już wygraną w kieszeni - syknął.

- Nie sądzę - odparł Gajusz. - Od startu jechał zbyt szybko; wykończył swój zaprzęg.

Genjusz zatrzymał rydwan przy schodach prowadzących do łoży cesarskiej. Przy entuzjastycznej owacji zachwyconych tłumów wspiał się na górę i przyjął palmę zwycięstwa oraz dużą sakiewkę od bardzo zadowolonego Azyniusza; to był dobry początek dnia.

Widzowie usadowili się z powrotem na miejscach, żeby obejrzeć występy sztukmistrzów i akrobatów, w czasie gdy usuwano martwe konie i rozbite rydwany, przygotowując arenę do kolejnego wyścigu. Wespazjan spojrzął w stronę łoży, ale Cenis tam nie zobaczył.

- Jeśli szukasz tej dziewczyny - szepnął mu Gajusz do ucha - patrzysz w niewłaściwym kierunku, drogi chłopcze, ona jest tam.

Wespazjan odwrócił głowę i rzeczywiście, w samym wejściu, z którego oni skorzystali, pojawiła się Cenis. Wespazjan wstrzymał oddech, kiedy u stóp schodów skręciła w prawo i przejściem pomiędzy rzędami szła w ich kierunku. Jakież było jego zdumienie, kiedy dziewczyna zatrzymała się przed jego wujem i z oczami wlepionymi w ziemię podała mu kawałek pergaminu. Gajusz wziął od niej liścik, przeczytał go szybko i zwrócił dziewczynie.

- Powiedz pani Antonii, że będziemy zachwyceni.

Cenis skłoniła się i nie podnosząc wzroku, odwróciła się i odeszła. Wszyscy utkwili oczy w Gajuszu, który siedział z zamyśloną miną.

- O co chodzi? - spytała Wespazja.

- Dziwna sprawa - oświadczył Gajusz. - Wygląda na to, że łaskawa pani uznała za stosowne zaprosić mnie i chłopców na kolację.

- Kiedy? - nie wytrzymał Wespazjan.

- Jutro, drogi chłopcze. Wielki to honor... ale czego ona może chcieć od was dwóch?

Rozdział dziewiąty

Wespazjana obudziła bieżanina i szepty niewolników domowych, którzy zapalali lampki, rozniecali ogień i szykowali śniadanie. Zapach świeżo upieczonego chleba i myśl o możliwości ujrzenia Cenis kazały mu natychmiast opuścić łóżko.

W atrium natknął się na Gajusza, jedzącego śniadanie obok lararium, podczas gdy niewolnik wkładał mu sandały.

- Dzień dobry, drogi chłopcze - zadudnił wuj, pocierając kawałek chleba zębkiem czosnku. - Mam nadzieję, że spałeś dobrze. - Zanurzył chleb w miseczce z oliwą, stojącej na stoliku obok, po czym ugryzł duży kęs.

- Dziękuję, wuju, bardzo dobrze - odpowiedział Wespazjan, stwierdzając z ulgą, że chłopiec u stóp Gajusza ma przepaskę biodrową. - Mam nadzieję, że wuj również.

- Znakomicie, mój drogi chłopcze, znakomicie - odparł wuj, wicherząc włosy kłęzącego u jego stóp niewolnika, który uśmiechnął się z fałszywą skromnością, uklonił się i odszedł. - Usiądź ze mną i zjedz śniadanie, jest tu chleb, oliwki, woda, oliwa i ser. Chcesz wina do wody?

- Nie, dziękuję, wuju, nie trzeba - powiedział Wespazjan, siadając.

- Jak sobie życzysz, jak sobie życzysz. - Gajusz ugryzł kolejny kęs chleba i żując go, przyglądał się w zamyśleniu siostrzeńcowi. - Powiedz mi, Wespazjanie, którą ścieżką wolałbyś pójść? - zapytał. - Cesarz potrzebuje zarówno sprawnych administratorów, jak i sprawnych dowódców.

- Sądziłem, że *cursus honorum* obejmuje zarówno stanowiska wojskowe, jak i cywilne, bo wtedy można zrozumieć, jak te dwie dziedziny się łączą - odparł Wespazjan, nieco zdezorientowany tym pytaniem.

- Słusznie przypuszczasz, że są ze sobą powiązane. Jednakże istnieją różne poziomy cywilnych i wojskowych stanowisk. Popatrz na to w ten sposób: gdybyś był cesarzem, czy posłałbyś jako namiestnika do niespokojnej przygranicznej prowincji, takiej jak Mezja, człowieka, którego doświadczenie ograniczało się wyłącznie do czterech lat służby na stanowisku trybuna w Siódmym *Macedonica*, gdzie nadzorował budowę dróg i kopanie latryn w Dalmacji, oraz dwóch lat na stanowisku legata Czwartego *Galika*, kiedy miał tylko okazję korzystać z wszelkich uciech Antiochii, ponieważ za sprawą niedawnego traktatu z Partami

jego najbardziej wojskowym zajęciem była inspekcja legionu raz w miesiącu, kiedy wypłacano żołd? Oczywiście, że tak byś nie postąpił, chyba że z nienawiści do tego człowieka wolałbyś stracić nawet prowincję i dwa legiony, byleby się go pozbyć. O wiele prościej byłoby kazać temu nieszczęśnikowi popełnić samobójstwo w domu, we własnej łaźni, nie sądzisz?

- Oczywiście, wuju.

- Jednak ten człowiek nadawałby się na namiestnika takiego miejsca jak Akwitania, gdzie trwa nieustanna, gorączkowa budowa dróg i nie ma tam legionu, którego inspekcję trzeba by przeprowadzać. Natomiast ktoś, kto służył jako trybun w Pierwszym *Germanica*, w dolnej Germanii, gdzie walczył z plemieniem Chattów czy jakimś innym krwiożerczym ludem, a potem jako legat Czwartego *Scythica* powstrzymywał napady Getów i zabezpieczał północną granicę, to człowiek, który może być namiestnikiem Mezji i zyskać szansę zdobycia wojennej sławy i wszelkich finansowych gratyfikacji, jakie z tym się wiążą. Widzisz zatem, Wespazjanie, tę różnicę. Którą ścieżką chcesz podążyć? - spytał ponownie Gajusz.

- Wybrałbym to drugie, wuju. Zdobywając wysoką pozycję i godności, podniosłbym prestiż mojej rodziny.

- Przyciągnąłbyś także uwagę cesarza i ludzi z jego otoczenia, którzy zazdrośnie strzegą własnej pozycji, podtrzymując jego władzę. Ani jemu, ani im nie uśmiecha się człowiek, który zyskałby znaczną sławę. Strzeż się więc, Wespazjanie, byś nie służył Rzymowi zbyt dobrze. Bo co ostatecznie robi cesarz z odnoszącym same sukcesy dowódcą? - Gajusz zamilkł i oderwał kolejny kawałek chleba, zanim podał bochenek siostrzeńcowi. - Ten pierwszy człowiek - ciągnął, maczając chleb w oliwie - rzeczywiście udaje się do Akwitanii, prowincji zarządzanej przez senat, nie przez cesarza, i spędza wesoło rok, budując tyle dróg, ile tylko się da, i po cichu zbija majątek, biorąc od miejscowych pokaźne łapówki za różne poślednie przysługi.

- Ale to przecież nie jest w porządku.

- Dlaczego?

- Cóż, on nadużywa swojej pozycji, by się wzbogacić.

- Mój drogi chłopcze, gdzieżeś ty się chował? - zarechotał Gajusz. - On nie robi niczego takiego, on wykorzystuje swoją pozycję, by odzyskać to, co utracił. Czy wiesz, ile w tym mieście trzeba wydać, żeby się wybić? Musisz kupić sobie przychylność senatorów i mieszkańców, dając łapówki, organizując roboty publiczne, urządając igrzyska, wydając uczyty i tak dalej. To kosztuje fortunę, drogi chłopcze, istną fortunę; a jeśli nie masz szczęścia urodzić się bardzo bogatym, to co wtedy? Pożyczasz, a pożyczone pieniądze trzeba oddawać,

z procentami. W służbie Rzymowi nie otrzymujesz zapłaty. O nie, to, co robimy dla Rzymu, robimy z czystej miłości. - Gajusz spojrział przenikliwym wzrokiem na Wespazjana, żeby zobaczyć, czy te słowa dotarły do niego, po czym podjął: - Zatem ten, który wybrał pierwszą ścieżkę, wraca do Rzymu okryty złotem. Niemal go nie zauważają, kiedy osiada w swoim dawnym domu z kufrem pełnym denarów. Nie zagraża ani cesarzowi, ani jego otoczeniu, bo nie dowodził wojskiem. Ten, który wybrał drugą możliwość, też wraca do domu, okryty zarówno złotem, jak i chwałą. Wdzięczny cesarz dekoruje go zasłużonymi odznaczeniami, a wszyscy z otoczenia władcy odnoszą się do zwycięzcy podejrzliwie. Nie ma co liczyć na choćby częściowy stan spoczynku, cesarz bowiem życzy sobie mieć blisko siebie wszystkich tych stwarzających potencjalne zagrożenie, by móc ich obserwować i kontrolować. - Gajusz przerwał i popatrzył na siostrzeńca. - A zatem, mój chłopcze, czy wciąż chcesz zostać tym drugim człowiekiem?

- Tak, wuju - odparł Wespazjan - ponieważ on przynajmniej czerpie satysfakcję ze świadomości, że zrobił wszystko, co mógł, by służyć Rzymowi i budować godność rodziny.

- Podczas gdy ja tego nie czyniłem?

- Co takiego?

- Och, Wespazjanie, nie domyśliłeś się? Ja należę do tego pierwszego gatunku - zawołał Gajusz, poklepując go po ramieniu. - Nie, nie, nie przejmuj się, sam dokonałem wyboru, tak jak i ty musisz go dokonać. Wybrałem anonimowość i nawiasem mówiąc, dlatego zachowałem swój prowincjonalny akcent. Patrycjuszowska elita pogardza nim i dlatego nie uważa cię za szczególne zagrożenie. - Popatrzył siostrzeńcowi w oczy. - Dziś wieczór poznasz jedną z najpotężniejszych kobiet w Rzymie... jeśli zrobisz na niej wrażenie, być może wykorzysta swoje znaczne wpływy, by pomóc ci wejść na twoją niebezpieczną ścieżkę. Chcę, byś był świadom konsekwencji wynikających z uwagi, jaką ci poświęci, i długu, jaki wobec niej zaciągniesz. Ludzie potężni nie traktują ulgowo nas, zwykłych śmiertelników.

*

Wespazjan nie mógł się doczekać spotkania z Cenis, choć martwił na myśl o rozmowie z Antonią. Poprzedniego dnia Cenis nie patrzyła już w jego stronę, rzuciła mu tylko krótkie spojrzenie, kiedy w południe opuszczała Circus Maximus ze swoją panią. To wystarczyło, by nie mógł się już skoncentrować na kolejnych wyścigach, dla niego były tylko mieszaniną wrzawy, gonitwy i tumanów kurzu.

Trzej mężczyźni wybierali się na wieczerzę do Antonii żegnani przez Tytusa i Wespazję.

- Pamiętajcie, żeby mówić tylko wtedy, kiedy się do was odezwą - napominała Sabinusa i Wespazjana matka. - Bardziej prawdopodobne jest, że ponownie zaproszą spokojnego i uprzejmego gościa niż gadatliwego i apodyktycznego.

Gajusz poprowadził braci w dół Kwirynału, ku ekskluzywnym stokom Palatynu. Tutaj domy były większe od wszystkich, jakie Wespazjan wcześniej widział; niektóre były piętrowe, a marmurowe schody o wielu stopniach prowadziły do wspaniałego wejścia opatrzonego złożonymi drzwiami. Każdy dom stał na własnej posesji, pośród rzędów drzew, z dala od innych domów, tak że dzielnica ta, w świetle późnego popołudnia, sprawiała wrażenie rozległego parku.

Gajusz zatrzymał się przed ogromnym parterowym domem, który choć wspaniały, wyglądał mniej wystawnie od reszty. Ślepe ściany pomalowano na biało, nie było tu też eksponowanego wejścia ani żadnych zewnętrznych dekoracji.

Gajusz zapukał. Zaskrzypiała klapka, para ciemnych oczu przyjrzała im się przez otwór w drzwiach i natychmiast młody, krzepki odźwierny wpuścił ich do wnętrza. Weszli do wysokiego, przestronnego atrium, gdzie czekał ciemnowłosy, dobrze zbudowany, brodaty mężczyzna około trzydziestki, odziany w jasnoniebieski chiton.

- Witam was, panowie - powiedział, gnąc się w ukłonie.

- Witaj, Pallasie - odparł Gajusz, na którym zawsze robiły wrażenie manieri młodego zarządcy domu.

- Proszę za mną.

Stąpali po wypolerowanej marmurowej różowo-białej posadzce przestronnego atrium, ożywionego eleganckimi posągami i popiersiami z malowanego marmuru oraz brązu. Pod ścianami i wokół basenu ustawiono kosztowne meble; rzeźbione inkrustowane kością słoniową drewniane sofy otaczały marmurowe stoły o blatach wspartych na złotych lwich albo gryfich łapach. Z obu stron atrium szerokie korytarze prowadziły do oficjalnych komnat, do biblioteki i prywatnych łaźni.

W chłodnym ogrodzie otoczonym krużgankiem zadbane i starannie przycięte krzewy w uśpieniu czekały na pierwsze powiewy wiosny, by rozkwitnąć barwami. Pallas zapukał do błyszczących, polakierowanych na czarno płycinowych drzwi.

- Wejść - odezwał się z wnętrza władczy kobiecy głos.

- *Domina*, senator Gajusz Wespazjusz Polio i jego siostrzeńcy, Tytus Flawiusz Sabinus i Tytus Flawiusz Wespazjan - oznajmił Pallas, otworzywszy drzwi.

- Gajuszu, jakże miło cię widzieć. - Antonia podeszła i ujęła jego dłoń. Z bliska była piękniejsza, niż Wespazjan mógł się spodziewać po sześćdziesięcioletniej kobiecie. Jej

ciemnokasztanowe włosy upięte wysoko na głowie tworzyły skomplikowaną fryzurę, utrzymywaną w ryzach wysadzanych klejnotami szpilek. Twarz miała gładką, z nielicznymi tylko drobnymi zmarszczkami wokół iskrzących się zielonych oczu. Jej mocno zaznaczonym kościom policzkowym, silnemu podbródkowi i pełnym ustom wystarczał bardzo delikatny makijaż.

- Jesteśmy zaszczytzeni twoim zaproszeniem, pani. - Gajusz schylił głowę.

Antonia skierowała uwagę na dwóch braci i zatrzymała wzrok na starszym z nich.

- Witaj, Sabinusie. Mój szwagier, cesarz, mówi, że wyróżniłeś się podczas niedawnej wojny w Afryce. - Uśmiechnęła się do promieniejącego dumą młodzieńca. - Musiałeś rzeczywiście dobrze się spisać, skoro doniesiono o tym samemu cesarzowi.

- To dla mnie wielki zaszczyt, że zna moje imię - odpowiedział Sabinus - a co dopiero, że jest łaskaw dobrze o mnie mówić.

- Wyrażenie uznania tym, którzy na to zasługują, jest jedną z jego podstawowych zasad. Musi znać młodych wybijających się dowódców. Skąd bowiem wiedziałby, kogo awansować na dowódców legionów, które zapewniają bezpieczeństwo naszemu imperium?

- W rzeczy samej, pani - odezwał się Gajusz - cesarz niezwykle wnikliwie czyta wszystkie raporty legatów legionów. Sabinus przyniósł chlubę naszej rodzinie, zasługując na wzmiankę w raporcie.

Antonia zwróciła się do Wespazjana.

- A to jest ten młodzieniec, który straszy moją służącą - powiedziała z udawaną surowością. Wespazjan zmieszany wbił wzrok w mozaikową posadzkę, żadna sensowna odpowiedź nie przyszła mu do głowy. Antonia, widząc jego zażenowanie, szczupłą dłonią uniosła delikatnie jego podbródek. - Bez obaw, Wespazjanie, nie mówię tego z gniewem... domyślam się, że taki przystojny mężczyzna jak ty jeszcze nie raz wywoła drżenie dziewczęcego serca.

Wespazjan się uśmiechnął; jeszcze nikt mu nie powiedział, że jest przystojny.

- Dziękuję, pani - zdołał wykrztusić.

- Proszę, rozgośćcie się.

W pokoju uwagę zwracało ogromne wykuszowe okno, które, ku zdumieniu Wespazjana, było oszklone. Przedwieczne światło słońca wlewało się przez niemal przezroczyste szybki, ujęte w poprzeczne ramki, a widoczny przez nie ogród miał dziwnie zniekształcony wygląd. W wykuszu stały na nogach z brązu sofy obite jasnobrązową skórą, z wdzięcznie wygiętymi wezłowiami z orzechowego drewna. Takie samo drewno niskiego stołu, wokół którego je ustawiono, tak wypolerowano, że odbite od blatu słońce rozświetlało

freski na suficie. Po drugiej stronie pokoju, na dużym dębowym biurku, okrytym udrapowaną rdzawoczerwoną serwetą, leżały zwoje papirusu. Na podłodze obok, pod ścianą z freskiem o bukolicznej tematyce, stała szkatuła, wykonana ze zdobionego miedzią żelaza, zabezpieczona na obu końcach solidnie wyglądającymi zamkami.

Antonia zaklaskała; zza zasłony po lewej wyszły trzy niewolnice, by zabrać togi.

Po chwili znowu pojawił się Pallas.

- Pani, konsul Marek Azyniusz Agryppa.

- Konsulu, czynisz mi wielki zaszczyt - powiedziała Antonia, kiedy zaskakująco niski, łysiejący mężczyzna wszedł do pokoju.

- To dla mnie zaszczyt, pani - odparł Azyniusz. Szybkim spojrzeniem ciemnych oczu ogarnął pozostałych gości; z jego wyrazu twarzy wynikało, że zobaczył wszystkich, których się spodziewał. - Senatorze, miewasz się dobrze, mam nadzieję?

- Dzięki, konsulu, doskonale - odpowiedział Gajusz. - Pozwolisz, że przedstawię moich siostrzeńców, Sabinusa i Wespazjana?

- Miło mi was poznać. - Azyniusz skinął braciom głową, oddając togę niewolnicy.

- Zapraszam, panowie - powiedziała Antonia, podchodząc do usytuowanej centralnie sofy, wskazując Azyniuszowi i Gajuszowi bardziej zaszczytne miejsca po swojej prawej, a młodzieńcom po lewej.

Pallas odsunął zasłonę i ponownie zjawiły się niewolnice, żeby umyć gościom nogi i założyć kapcie. Kiedy wszyscy się już ulokowali, rozłożyły przed każdym duże białe serwety.

Dziewczęta wyszły, mijając się z grupą pięciu kolejnych, niosących sztuce, talerze i czarki na napoje. Wespazjan poczuł falę podniecenia, kiedy jako ostatnia pojawiła się Cenis, by usłużyć swojej pani. Próbował się nie wpatrywać, kiedy prosta suknia pochylonej nad stołem dziewczyny rozchyliła się, ukazując kształtne piersi o różowych sutkach, kołyszące się łagodnie z boku na bok przy każdym ruchu. Wespazjan poczuł, jak krew napływa mu do przyrodzenia, i zmuszony był zmienić pozycję, żeby uchronić się przed kłopotliwą sytuacją. Antonia dostrzegła jego zażenowanie i odgadując przyczynę, uśmiechnęła się do siebie. Zwróciła oczy na Azyniusza.

- Konsulu, jestem w niezręcznej sytuacji gospodyni, która nie ma przy sobie gospodarza. Byłabym wdzięczna, gdybyś zechciał wziąć na siebie odpowiedzialność za moc wina.

- Oczywiście, szlachetna pani, z przyjemnością. - Azyniusz spojrzał na Pallasa. - Zaczniemy od czterech miarek wody na jedną miarkę wina.

Pallas skinął głową i dał znak niewolnikom, którzy czekali za każdym z biesiadników, by podać pierwsze danie. Wespazjan zmusił się, by nie patrzeć na odchodzącą Cenis, i przeklinał się za to, że oczarowała go zwykła niewolnica, z którą nawet nie mógł zamienić słowa, a tym bardziej mieć nadzieję na coś więcej.

Wieczera przebiegała w spokojnej, choć oficjalnej atmosferze; po przekąskach podano ogromne homary przybrane szparagami, potem barwę z Korsyki, następnie gęsie wątróbki z truflami i grzybami, a wreszcie pieczonego dzika z kminkiem i w winnym sosie.

Antonia prowadziła konwersację na wiele niewywołujących sporów tematów, zawsze pozwalając gościom wyrazić swoją opinię, a w razie różnicy zdań biorąc stronę Azyniusza. Wespazjan odprężył się i nie licząc kilku rzuconych w stronę Cenis spojrzeń, delektował się posiłkiem i raz po raz włączał nieśmiało do rozmowy. Czas upływał im miło, wokół bezgłośnie uwijali się gotowi na każde skinienie niewolnicy. Kiedy podano gruszki, jabłka i figi, było już ciemno i zapalono lampki oliwne oraz wniesiono kociołki z żarem węgla drzewnego, by wspomóc ogrzewanie podpodłogowe. W pokoju, do którego już nie wpadało światło z zewnątrz, zapanowała bardziej intymna atmosfera, a rozmowa stała się bardziej ożywiona, również dzięki Azyniuszowi, ponieważ znacznie ograniczył ilość dodawanej do wina wody.

Pallas, widząc, że biesiadnicy mają wszystko, czego im potrzeba, dał niewolnikom sygnał do odejścia. Upewnił się, że nikt nie został w pomieszczeniu za kotarą, czy dalej za drzwiami, po czym skinął głową w stronę Antonii i zaszły się dyskretnie w ciemnym kącie pokoju.

Antonia zabrała się do obierania gruszki.

- Cóż, było bardzo miło. Pewno się domyślasz, Gajuszu, że nie zaprosiłam ciebie i twoich uroczych siostrzeńców, by dyskutować o niedawnej kampanii w Afryce, o wyścigach i o koszmarnie wysokich cenach na wartościowych niewolników. Jedynym prawdziwym problemem jest narastający kryzys polityczny, zapoczątkowany w chwili, kiedy Sejan wkradł się w łaski cesarza. Jeśli natychmiast czegoś nie zrobimy, dojdzie do nieszczęścia. - Przerwała, odrzuciła skórkę, odkroiła niewielki plasterek owocu i włożyła go do ust. - Najlepiej będzie, jeśli nasz szacowny konsul nakreśli zaistniałą sytuację.

Azyniusz skinął głową i beknął głośno.

- Chętnie... i dziękuję za wyborny posiłek. - Wypił łyk wina, delektując się przez chwilę jego smakiem. - Nasz boski August utworzył straż pretoriańską po spustoszeniach wojny domowej po to, by chronić miasto przed zewnętrznym zagrożeniem ze strony jakiegoś zbuntowanego legionu i przed wewnętrznym z powodu działań różnych podżegaczy, na jakie

byliśmy narażeni w ostatnich dniach republiki. Pretorianie podlegali wyłącznie władzy cesarza, który w swojej mądrości mianował dwóch prefektów straży, by żaden nie mógł stać się nazbyt potężny. Sejan otrzymał nominację na to stanowisko w ostatnim roku życia Augusta i dzielił je ze swoim ojcem, Lucjuszem Sejuszem Strabonem. Uczciwym człowiekiem, tak uczciwym, że pierwszym aktem Tyberiusza jako cesarza było wysłanie go do Egiptu w charakterze namiestnika. Niestety, Tyberiusz nikim go nie zastąpił, więc Sejan już od dziesięciu lat jest jedynym dowódcą pretorianów i zdołał w tym czasie zdobyć całkowite zaufanie Tyberiusza. - Pociągnął wina, po czym podjął: - A teraz, pani, po niefortunnej śmierci twojego ukochanego Germanika oraz cesarskiego syna, Druzusa, sądzi, że może się tak ustawić, by zostać sukcesorem Tyberiusza.

- Niefortunnej? Też coś! - prychnęła Antonia i Wespazjan zamrugnął zaskoczony. Przez całe popołudnie była idealną gospodynią: łagodną, spokojną i troskliwą, teraz jednak młodzieniec dostrzegł w jej oczach ogień i zrozumiał, dlaczego ta kobieta budzi tak wielki respekt i że lepiej jej się nie narażać. - Mojego syna otruił w Syrii namiestnik Kalpurniusz Pizon, na rozkaz Sejana i prawdopodobnie za przyzwoleniem samego Tyberiusza, choć tego akurat udowodnić nie potrafię. W każdym razie samobójstwo Pizona, zanim jeszcze zaczął się proces, dowodzi jego winy. Druzusa zaś otruiła jego żona Liwilla, moja podła córka, jestem o tym przekonana, choć i w tym wypadku nie mam dowodów. Ona i Sejan są kochankami... on poprosił cesarza o zgodę na małżeństwo jeszcze w tym roku. Tyberiusz odmówił i zakazał im się widywać. Mimo to ona pozostała kochanką Sejana, ale są na tyle sprytni, że potrafią ukryć to przed cesarzem.

- To dla mnie coś nowego, pani - oświadczył Gajusz, przetrawiając implikacje tej wiadomości. - Mogłoby to oznaczać, że Sejan nie cofnie się przed próbą zamachu na życie cesarza.

- Nie, woli nie ryzykować - odparła Antonia. - Wie, że gdyby tak zrobił i spróbował wdziać purpurę, senat i połowa legionów powstałoby przeciwko niemu i pogrążylibyśmy się znowu w długoletniej wojnie domowej.

- Okazał się o wiele bardziej przebiegły - powiedział Azyniusz z uśmiechem. - Udało mu się pozbyć Tyberiusza bez zabijania go.

- Przecież nie dalej jak wczoraj cesarz był w Circus Maximus - wyrwało się Wespazjanowi, który kompletnie zapomniał, gdzie jego miejsce.

- Owszem, był, młody człowieku, był, ale już ostatni raz. - Azyniusz wypił kolejny łyk wina. - W ciągu ostatnich kilku lat byliśmy świadkami ponownego wzrostu liczby procesów o zdradę, w większości na podstawie sfinansowanych oskarżeń, a mimo to zakończonych

wyrokami skazującymi. Pozwoliło to Sejanowi wmówić cesarzowi, że wszędzie roi się od spisków. Tyberiusz wie, że nigdy nie był lubiany; jest niespokojny od samego początku, ponieważ kiedy obejmował władzę, legiony z nad Renu powstały przeciwko niemu. Próbował wkupić się w łaski senatu, odwołując się do niego przy podejmowaniu decyzji w sprawach polityki zagranicznej i wewnętrznej, nie protestując, kiedy głosowano nie po jego myśli, a nawet ustępując drogi konsulom, kiedy spotykał ich na ulicy. Jednak obecnie wydaje mu się, że ta polityka obróciła się przeciwko niemu, a senatorowie zobaczyli w jego pojednawczym zachowaniu słabość i teraz chcieliby się go pozbyć.

- Dla Tyberiusza - dodała Antonia - dowodem tego wszystkiego są zakończone wyrokiem skazującym procesy o zdradę.

- Procesy zaaranżowane przez Sejana? - rzucił Gajusz, podziwiając piękno tej strategii.

- Właśnie tak, a ponieważ nie ma już oczywistych sukcesorów, Sejanowi udało się go przekonać, że senat spróbuje przywrócić republikę... zrobić coś, o co Tyberiusz oskarżył własnego brata, małżonka pani Antonii, przed Augustem, wiele lat temu, sugerując to w prywatnym liście. Sejan pięknie wszystko rozegrał, dostarczył Tyberiuszowi dowodów na coś, czego ten najbardziej się lękał, maskując zarazem prawdziwe źródło zagrożenia. Przekonał go, by dla własnego bezpieczeństwa, po zaprzysiężeniu pierwszego stycznia nowych konsulów, przeniósł się z Rzymu na Capri.

- Ale czy kiedy zabraknie tutaj cesarza, jego jedyne protektora, Sejan nie wystawi się na atak ze strony senatu? - spytał Gajusz, któremu zdawało się, że dostrzega lukę w tym skądinąd doskonałym planie.

- W normalnych okolicznościach rzeczywiście by tak było - powiedziała Antonia, znowu zupełnie spokojna - ale Sejanowi udało się namówić Tyberiusza, by mianował konsulami Gnejusza Korneliusza Getuliksa i Gajusza Kalwizjusza Sabinusa.

- Tak, wiem. Żaden z tych dwóch niczym się nie wyróżnia. Getulik pisze sprośne wiersze i cieszy się popularnością wśród żołnierzy, a Kalwizjusz Sabinus jest nieco ociężały umysłowo.

- Nieco? - Antonia się roześmiała. - Przy nim mój syn Klaudiusz wydaje się bystrym obrońcą.

- Kto zatem będzie sprawował kontrolę nad senatem w przyszłym roku? - zapytał retorycznie Azyniusz. - Idiota oraz człowiek lubiany przez żołnierzy, którego córka dziwnym zbiegiem okoliczności jest żoną starszego syna Sejana.

- Coś takiego?! - wykrzyknął Gajusz.

- Rzeczywiście coś takiego, stary przyjacielu - przytaknęła Antonia - ale to nie wszystko.

Bracia popatrzyli po sobie, zastanawiając się, do czego mógł się jeszcze posunąć Sejan i dlaczego to ich, niedoświadczonych wiejskich chłopców, wtajemniczano w takie szczegóły.

- Co jeszcze miałyby robić? Chyba dla niego sytuacja jest już idealna? - spytał zaintrygowany Gajusz. - Tyberiusz na wyspie, strzeżony przez pretorianów, wysłuchujący tylko tych wiadomości, które Sejan dopuści do jego uszu. Senat pod kontrolą dwóch ludzi, z których jeden jest takim półgłówkiem, że nie potrafiłby podetrzeć sobie tyłka bez rysunku z instrukcją, a drugi praktycznie należy do rodziny. Genialne. Czym jeszcze miałyby się przejmować?

- Armią - odezwał się cicho Wespazjan.

- Masz całkowitą rację, młody człowieku, armią - powtórzył Azyniusz, spoglądając na Wespazjana z szacunkiem, po czym kierując znaczące spojrzenie w kierunku Antonii. - Armia będzie problemem, ale on już się do niej dobrał.

- Jak? - spytał Wespazjan.

- Kto stał za ubiegłorocznym buntem Takfarinasa, dostarczając mu dziesiątki tysięcy świeżo wybitych denarów, które znaleziono w jego skarbcu? Czyi agenci zachęcali do trwającego wciąż buntu w Tracji, skierowanego przeciwko podporządkowanemu nam królowi Remetalkesowi? Dlaczego partyjscy wysłannicy, przybyli w tym roku do Rzymu, odbyli tajne spotkanie z Sejanem po zakończeniu oficjalnej audiencji u cesarza i narady w senacie? Żołnierze mają pełne ręce roboty, kiedy są niepokoje na granicy. Im więcej kłopotów, tym więcej pracy. Są tak zajęci, że mogą nie zauważyć, co się dzieje w Rzymie. Możesz być pewien, że w tym roku nastąpi kilka wypadów zza Renu i Dunaju, możliwe, że Partia ponownie zacznie węszyć wokół Armenii, i nie zdziwiłbym się, gdyby ważną częścią polityki cesarza znowu stała się inwazja na Brytanię... dałoby to zajęcie co najmniej czterem legionom, w czasie kiedy Sejan ujmowałby pewniejszą ręką ster władzy. Potem, po śmierci Tyberiusza, wszechpotężny Sejan będzie w najlepszej pozycji, by rządzić w imieniu jednego z nieletnich cesarskich wnuków, który zapewne przejmie po dziadku purpurę.

- A kiedy już zostanie regentem, z poparciem pretorianów, zdobędzie stanowisko trybuna ludowego i stanie się nietykalny - powiedział Gajusz, uśmiechając się ponuro. - To zmyślne, bardzo, bardzo zmyślne. Godne podziwu.

- Podziwiam go, jak najbardziej - przyznał Azyniusz - a co ważniejsze, szanuję. To człowiek myślący perspektywnie. Ma cierpliwość, by dopasowywać przebiegłość i kunszt

do bezwzględności. Jest groźnym przeciwnikiem i dla dobra Rzymu trzeba go zmiążyć. Kłopot w tym, że nie mamy przeciwko niemu żadnych twardych dowodów, potrzebujemy czasu, żeby je zebrać. Uważamy z Antonią, że właśnie tutaj moglibyście się przydać. Bez dowodów Tyberiusz nie zechce mnie wysłuchać, sądzi bowiem, że pragnę zemścić się na Sejanie za śmierć mojego syna.

Gajusz pochylił głowę ze zrozumieniem. Azyniusz chciał dolać sobie wina, ale stwierdził, że krater służący do mieszania wina z wodą jest pusty. Antonia spojrzała w stronę zastygłego w kącie Pallasa.

- Pallasie, jeszcze trochę wina, proszę.

Chwilę po tym, jak Grek zniknął za kotarą, rozległ się krzyk oraz huk rozbijającego się o posadzkę dzbana. Wespazjan i Sabinus natychmiast ruszyli w tamtym kierunku i w panującym półmroku zobaczyli Pallasa siłującego się z kimś na podłodze. Sabinus chwycił tamtego od tyłu, oderwał od Greka i rzucił twarzą do podłogi. Przytrzymując go kolanem, szarpnął za włosy i walnął jego twarzą o kamienną posadzkę, roztrzaskując mu nos i szczękę. Mężczyzna wydał tylko jeden krótki krzyk i znieruchomiał.

- Kto to? - rzuciła ostrym tonem Antonia, kiedy się tam pojawiła.

- Nie wiem - odpowiedział Pallas, z trudem chwytając powietrze - za ciemno tutaj.

- Wobec tego zabierzcie go tam. - Odchyliła kotarę.

Sabinus i Wespazjan pociągnęli mężczyznę za nogi, zostawiając kałużę krwi usianą wybitymi zębami. W oświetlonym lampami pokoju obrócili go na plecy.

- Nie znam go - powiedziała Antonia - nie sądzę jednak, by w tym stanie własna matka go rozpoznała.

Rzeczywiście twarz miał zmasakrowaną: nos rozplaszczony i przekrzywiony, w opuchniętych wargach tkwiły odłamki zębów; szczęka zwisała pod dziwacznym kątem.

- Pallasie, Pallasie, chodź tu natychmiast!

- Tak, pani, przepraszam - jęknął Grek. Przykuśtykał do pokoju i spojrzał na napastnika.

- A więc, kto to taki? - spytał z naciskiem Azyniusz.

- To Eumenes, odźwierny.

- Jeden z moich niewolników! - Antonia była wściekła. - Kiedy go kupiłam?

- Niecały rok temu, pani. Zaczął jako niewolnik domowy. Jemu i bratu nie wiodło się na rodzinnej Krecie i przybyli tutaj, żeby się sprzedać w niewolę. Pewnie mieli nadzieję, że kiedyś zostaną wyzwolencami i zasłużą na obywatelstwo. Podziwiałem jego zaradność i

jakieś trzy miesiące temu awansowałem na odźwiernego. Bardzo mi przykro, pani, prawdopodobnie przekazywał listy twoich gości temu, komu składa sprawozdania.

- Cóż, teraz nie będziemy się tym martwić. Jak długo podsłuchiwał?
- Niedługo, pani. Regularnie zaglądałem za zasłonę.
- Cóż, dowiedzmy się zatem, co usłyszał i dla kogo szpieguje.

Rozdział dziesiąty

Zanim Eumenes odzyskał przytomność, przywiązano go nagiego do stołu w pomieszczeniu, w którym został przyłapany. Kiedy się ocknął, jęknął głośno, ale szybko zamilkł, ponieważ najmniejszy ruch zgruchotanej szczęki nasilał ból. Poczul czyjąś rękę w pachwinie i przerażony otworzył oczy. Przez krwawą mgłę zobaczył nad sobą twarz swojej właścicielki.

- Posłuchaj, ty zdradziecka kupo gnoju - syknęła przez zaciśnięte zęby Antonia - powiesz mi natychmiast, dlaczego mnie szpiegowaleś. - Z całej siły ścisnęła mu jądra, a kiedy zawył przeciągle, pięciu stojących wokół niej mężczyzn odruchowo skrzywiło ze współczuciem twarze.

Wespazjan, nie dowierzając własnym oczom, obserwował Antonię, która z twarzą wyrażającą zimną determinację nieustannie to zaciskała, to rozluźniała pięść. Tej kobiecie nie wolno było się narażać. W końcu zwolniła uścisk i wrzask ucichł. Kiedy sięgnęła po ścierkę, zobaczył pod jej paznokciami krew. Popatrzyła na wznoszącą się i opadającą klatkę piersiową swojego niewolnika.

- No cóż, Pallasie - odezwała się ponurym głosem - nie zależy mu, żeby przebiegło to lekko, sprawdźmy więc, czy spodoba mu się ten cięższy sposób.

Pallas skinął głową i parą szczypiec chwycił rozpalony do czerwoności węgielek. Pokazał go przerażonemu odźwiernemu, który odwrócił głowę. Pallas spojrzał na swoją panią.

- Zaczynaj - rozkazała.

Wespazjan poczul swąd palonego ciała, kiedy węgielek zagłębiał się w mięśniu uda. Wycie szpiega obiegało echem cały dom.

- Zostaw ten i połóż kolejny.

Pallas zrobił, co mu kazano, tym razem upuszczając węgielek na brzuch; odźwierny wił się i skowyczał, ale wciąż nie chciał mówić.

- I jeszcze jeden! - krzyknęła coraz bardziej poirytowana Antonia.

Wespazjanowi przypomniał się ukrzyżowany chłopiec. Jak łatwo było zadawać ból komuś, kto nie posiada żadnych praw. Spojrzał na pozostałe osoby; Sabinus szczyrzył dziko zęby, natomiast Azyniusz i Gajusz byli przejęci i poważni. Obaj dobrze wiedzieli, że ich życie może zależeć od tego, czy uda się złamać Eumenesa.

Kiedy kolejny węgielek wżerał się w jego prawy sutek, niewolnik stracił przytomność. W pokoju zapanowała cisza. Wszyscy spoglądali na okaleczone, dymiące ciało i zastanawiali się, jak trzeba być lojalnym albo jak zastraszonym, żeby wytrzymać takie męki i nie pisać ani słowa.

- Zrzuć te węgle i ocuć go - zdecydowała Antonia. - Zobaczymy, czy woli być pocięty na kawałki, czy spalony.

Kiedy Pallas wylał na nieprzytomnego kubek wody, ze skwierczących ran uniosła się para.

- Musimy uważać, żeby nie przesadzić - oświadczył zaniepokojony Gajusz. - Lepiej, żeby za szybko nie umarł.

- Myślisz, że pierwszy raz każę torturować niewolnika? - warknęła Antonia.

- Wybacz, pani.

Dopiero kolejne dwa kubły wody ocuciły nieszczęśnika. Zajęczał.

- Pokaż mu nóż - wycodziła Antonia.

Pallas wyjął z pochwy długi, cienki sztylet, zakrzywiony i ostry jak brzytwa, i przytrzymał go przed rozszerzonymi przerażeniem oczyma Eumenesa. W lśniącym ostrzu odbił się blask ognia.

- Możesz mi wierzyć, zaczniesz mówić - powiedziała Antonia cichym, złowrogim głosem. - Tylko od ciebie zależy, ile uszu, palców i jąder ci wtedy jeszcze zostanie.

- Nie mogę - wyszeptał niewolnik.

- Dlaczego nie?

- Mają mojego brata.

- Kto go ma?

Eumenes pokręcił głową.

- Zacznij od uszu.

Pallas chwycił lewą ręką głowę niewolnika i przyciągnął do siebie.

- Nie! Nie! - jęczał błagalnie Eumenes.

Nóż błysnął i ucho z cichym klapnięciem spadło na stół i natychmiast z boku głowy trysnęła fontanna krwi.

- Drugie.

Pallas przekręcił głowę torturowanego.

- Jakieś dwa miesiące temu - wyrzucił Eumenes przez rozbite usta - do drzwi podszedł człowiek.

Antonia podniosła rękę, powstrzymując Pallasa.

- Kto? - spytała natychmiast.

- Hazdro, wyzwoleniec Sejana. Podał mi paczkę i powiedział, żebym ją otworzył na osobności. Powiedział, że wróci i powie mi, co mam robić. Otworzyłem ją później, w swojej kwaterze. - Krew wypływała mu z ust i spływała po policzkach, kiedy starał się mówić.

- No więc? Co dalej? - poganiała go Antonia.

- W paczce była ręka... sygnet na palcu należał do mojego brata - wydyszał Eumenes; pomimo wszechogarniającego bólu pobladł na samo wspomnienie tamtej chwili.

- Co powiedział, kiedy wrócił? - dopytywał się Azyniusz, wykrzywiając wargi w stanowczym grymasie. Zależało mu na tym, żeby jak najszybciej zakończyć to przesłuchanie.

- Powiedział mi, że mam zapamiętywać wszystkich gości. Nie wolno mi było niczego zapisywać, zresztą i tak nie umiem pisać.

- Tak, tak, mów dalej. - Antonię nie obchodziło, czy byle niewolnik jest piśmienny.

- Ktoś miał przychodzić co kilka dni, a ja miałem przekazywać mu imiona, dzięki czemu mój brat zachowałby drugą rękę. - Niewolnik zaszlochał.

- To jednak nie wyjaśnia, dlaczego nas dzisiejszego wieczoru podsłuchiwałeś. Przecież kazał ci tylko zapamiętywać imiona - zauważył Azyniusz.

- Kiedy wczoraj przyszedł ten człowiek, podałem mu twoje imię, panie, trzeci już raz na jego pięć wizyt. Przykazał mi, żebym kiedy będziesz tu kolejny raz, postarał się usłyszeć coś ciekawego, bo inaczej z moim bratem będzie źle.

- Do kogo należy twój brat? - spytała Antonia.

- Jest niewolnikiem w domu twojej córki, Liwilli.

- A to jadowita żmijka - wybuchnęła Antonia. - Szpieguje własną matkę, wściubia nos w moje prywatne sprawy i bez wątpienia przekazuje to wszystko temu potworowi Sejanowi, podczas gdy on obrabia jej wdzięczny tyłeczek, dosłownie wypompowując z niej informacje. Trzeba było udusić tę małą sukę zaraz po urodzeniu.

Jej towarzysze milczeli.

Antonia trzęsła się z wściekłości; starając się opanować, spojrzała na łkającego Eumenesa.

- Wróćmy do pokoju i przedyskutujmy sytuację - powiedziała.

Zanim zniknęli za kotarą, obejrzała się na Pallasa i skinęła lekko głową.

Wespazjan zdążył usłyszeć ostre cięcie i przedśmiertny gulgot. Trochę mu było żal Eumenesa, wiedział jednak, że Antonia nie może go ani zatrzymać, ani sprzedać. Gdyby odzwierny tak okaleczony otworzył drzwi agentowi Liwilli, ten natychmiast by odgadł, że niewolnik wszystko wyśpiewał, i jego brat straciłby drugą rękę... albo jeszcze gorzej. Gdyby

go sprzedano, byłoby również oczywiste, że to zrobił. Jediną, zresztą nikłą nadzieją dla brata była zapewne jego śmierć.

*

Ułożyli się ponownie na sofach i Antonia zwróciła się do konsula:

- I co o tym sądzisz, Azyniuszu?

- Sądzę, że mieliśmy szczęście. - Konsul sięgnął po wino, przypomniał sobie jednak, że krater jest pusty, a Pallas ma teraz zupełnie inne zajęcie. - Skoro Sejan szpieguje ciebie pani, to ma na oku zapewne wszystkie osoby związane z domem cesarskim; nie ma powodu, by cię bardziej niż innych podejrzewać o spiskowanie przeciwko niemu. Gdyby Eumenes zdał sprawozdanie z naszej dzisiejszej rozmowy, mielibyśmy powód do niepokoju, na szczęście jednak tego nie zrobi, nie przekaze też imion innych dzisiejszych gości, co oznacza, że możemy bezpiecznie działać zgodnie z naszym planem.

Bracia spojrzeli na wuja, który starał się sprawiać wrażenie całkowicie spokojnego.

- Uważam, że masz rację, konsulu - powiedziała Antonia po chwili namysłu. - On wie na pewno jedynie to, że w ubiegłym miesiącu kilkakrotnie mnie odwiedził. Trzeba te wizyty kontynuować, by sądził, że nie domyślamy się jego zainteresowania. A przy tym będziemy postępować ostrożnie. Mam do ciebie prośbę - zwróciła się do Gajusza.

- Co tylko sobie życzysz, pani.

- Muszę coś ulokować w bezpiecznym miejscu.

Wstała i podeszła do metalowej szkatuły. Z łańcuszka na szyi zdjęła dwa klucze i włożyła do zamków znajdujących się z dwóch końców skrzyni, po czym jednocześnie je przekreśliła. Zamki puściły z ostrym trzaskiem i Antonia uniosła wieko.

- Żeby Sejanowi się udało, musi wpiery wyeliminować wszystkich, których cesarz wysłuchuje. Choć nie zamierzam dać się zniszczyć, jestem przekonana, że gdyby do tego doszło, przejrzano by dokładnie moje papiirusy, a niektóre usunięto. - Wyjęła cztery zwoje. - To są dwa egzemplarze, jeden dla senatu i jeden dla cesarza. Gdyby zaszła taka potrzeba, dopilnuj, by je przeczytano.

- Modłę się, bym nie musiał wypełnić tego życzenia. Będą leżały bezpiecznie, w miejscu znanym mnie jednemu - powiedział Gajusz, biorąc zwoje.

- Myślę, że już czas dokończyć nasze sprawy - oznajmiła Antonia, siadając i rzucając okiem na Azyniusza.

- W istocie. Jesteś już, Pallasio, dzięki niech będą bogom - ucieszył się Azyniusz na widok zarządcy - potrzebujemy więcej wina. No tak, nie możemy walczyć z Sejanem bezpośrednio - zwrócił się do biesiadników - nie mając przeciwko niemu solidnych

dowodów, a ich zgromadzenie zabierze nam dużo czasu. Tymczasem jednak trzeba udaremnić jego działania w senacie. Poproszę cię, Gajuszu, byś uczestniczył w jak największej liczbie posiedzeń, zabierał jak najczęściej głos i za każdym razem przemawiał jak najdłużej. Zobaczysz, że inni, na moją prośbę, jak i ja sam będziemy postępować podobnie, więc w żadnym razie nie zostaniesz uznany za wichrzyciela. Możliwe, że uda nam się opóźnić jego dalekosiężne plany, gadaniem niweczając te krótkoterminowe. W tym czasie Antonia i ja, przy pomocy naszych agentów, zbierzemy twarde dowody potrzebne do przekonania Tyberiusza o dwulicowości tego człowieka. Kiedy nam się to uda, jestem pewien, że wreszcie doczekasz się konsulatu.

Gajusz się uśmiechnął.

- Możesz na mnie liczyć, konsulu - oświadczył, czując ulgę, że nie musi robić nic niebezpiecznego, tylko dużo mówić. - A co takiego planujesz dla moich siostrzeńców? Dość usłyszeli tego wieczoru, by śmiertelnie narazić się Sejanowi, gdyby dowiedział się prawdy o tym spotkaniu.

- Tak, właśnie do nich zamierzałem przejść. - Zamilkł, kiedy Pallas wrócił z winem, po czym spojrzął na młodzieńców. - Tak się składa, że mogę wspomóc wasze kariery, i to w sposób korzystny dla wszystkich stron. Domyślam się, że ty, Sabinusie, ukończywszy służbę trybuna wojskowego, masz ochotę na stanowisko jednego z młodszych urzędników vigintiviri, załatwię ci więc miejsce w cesarskiej mennicy. Mając dostęp do skarbu państwa, będziesz mógł zaobserwować, w jaki sposób Sejan korzysta z publicznych pieniędzy.

Sabinus dostrzegł logikę tego rozwiązania; będzie niezmiernie użyteczny dla Azyniusza, a jednocześnie zyska cenne doświadczenie, które okaże się przydatne, kiedy za cztery lata, w przepisany wiek dwudziestu czterech lat, będzie się ubiegać o stanowisko kwestora.

- Dziękuję, konsulu, jestem twoim dłużnikiem.

- Wiem i będę o tym pamiętał. Jak i ty, mam nadzieję.

- Nie zapomnę - odparł Sabinus, skłaniając głowę.

- Jeśli chodzi o ciebie, Wespazjanie, to potrzebne ci doświadczenie wojskowe.

Wespazjan poczuł nagły ucisk w żołądku; nawet przez chwilę nie sądził, że zyska szansę służenia Rzymowi natychmiast po przyjeździe tutaj.

- Napiszę do mojego krewnego Pomponiusza Labeo, legata Czwartego legionu *Scythica*. Służy u Gajusza Poppeusza Sabinusa, namiestnika Mezji, Macedonii i Achai, który obecnie tłumy bunt w sąsiednim satelickim królestwie Tracji. Nie wiem, czy podziela nasze stanowisko, ale jest mi winien niejedną przysługę i weźmie cię do swojego legionu na

stanowisko trybuna. Potrzebne nam są dowody, że Sejan udziela wsparcia zbuntowanym plemionom, by usunąć naszego przyjaciela, króla Remetalkesa. Na pewno ma swojego agenta w tamtejszych legionach, który przekazuje tym plemionom informacje, a być może i pieniądze. Zdemaskuj go i przywieź dowody do Rzymu.

- Jestem w tej sprawie osobiście zainteresowana - odezwała się Antonia. - Matka Remetalkesa, królowa Tryfajna, jest moją kuzynką i przyjaciółką. Mój nieżyjący ojciec, Marek Antoniusz, był jej pradiadkiem. Znałam Remetalkesa, ponieważ mieszkał jako dziecko w moim domu przez trzy lata, i bardzo go polubiłam. Uznam to za wyświadczoną mi osobiście przysługę, jeśli znajdziesz dowody, że Sejan sprowadził niebezpieczeństwo na moich krewnych.

Wespazjan z trudem przełknął ślinę. Jak miałby on, nie mając żadnego wojskowego doświadczenia, zdemaskować agenta Sejana, który, co pewne, był równie przebiegły jak jego pan i snuł równie kunsztowne intrygi?

Antonia, czytając mu w myślach, uśmiechnęła się do niego.

- Musi to być ktoś taki jak ty, Wespazjanie. Ponieważ jesteś młody i niedoświadczony, ten szpieg będzie widział w tobie jeszcze jednego młodego trybuna, starającego się znaleźć sobie miejsce w armii. Nie potraktuje cię jako zagrożenie, może nawet spróbuje cię wykorzystać. Nie ufaj zatem nikomu i miej oczy szeroko otwarte.

- Tak, pani - powiedział Wespazjan, ani trochę nieuspokojony.

- Mam nadzieję, że w ciągu miesiąca uzyskam potwierdzenie tych nominacji - powiedział Azyniusz, pociągając kolejny łyk wina. - Jak wiecie, za dwa dni kończy się mój konsulat, a za kilka miesięcy udaję się do wyznaczonej prowincji, musimy więc brać się do roboty, mamy do schwytania jadowitego węża.

Rozdział jedenasty

- Tytusie, każ swoim synom powiedzieć, o czym tak naprawdę się mówiło podczas tej wieczerzy - zażądała następnego ranka przy śniadaniu Wespazja. Ani przez chwilę nie uwierzyła synom i bratu, że było to tylko przyjacielskie spotkanie, na którym przypadkowo znalazł się konsul i tak jakoś wyszło, że dał braciom to, czego pragnęli, nie żądając nic w zamian, jedynie czyniąc ich swoimi klientami. - Nie rozdaje się stanowisk bez obietnicy rewanżu i chcę wiedzieć, w co chłopców wplątano.

- Uspokój się, moja droga. Jeśli coś przed nami ukrywają, a sądzę, że tak właśnie jest - odparł Tytus, spoglądając na synów przenikliwie - należy założyć, że czynią tak dla naszego bezpieczeństwa. Antonia i Azyniusz funkcjonują w świecie bardzo odległym od naszego i lepiej nie znać szczegółów zawartego tam układu, bo mogłoby to okazać się groźne.

- O to mi właśnie chodzi: jeśli to jakaś niebezpieczna sprawa, to chcę, byśmy o tym wiedzieli! Może chłopcy angażują się w coś, co ich całkowicie przerasta?

- Na cokolwiek się zgodzili, i tak jest już za późno, żeby się wycofać. Nie można się rozmyślić, kiedy człowiek ma do czynienia z kimś takim jak Antonia, i żyć sobie potem w Rzymie jak gdyby nigdy nic. Układ został zawarty. Powinniśmy się cieszyć, że Sabinus i Wespazjan uzyskali to, po co przyjechaliśmy do Rzymu, i że nastąpiło to tak szybko. Teraz powinniśmy się skoncentrować na przedstawieniu ich jak największej liczbie wpływowych ludzi, zanim Wespazjan ruszy na północ. A ja, moja droga, wyposażę go w stosowny strój.

I tym temat został wyczerpany, a Wespazjan i Sabinus poczuli ulgę, kiedy ojciec wziął ich stronę; znaleźliby się bowiem w okropnej sytuacji, gdyby rozkazał im ujawnić fakty kryjące się za układem. Wespazja mogła już tylko nękać Gajusza, ale i tak nic nie wskórała. Jej brat spędzał mnóstwo czasu na posiedzeniach senatu i wypełniał obietnicę złożoną Azyniuszowi, wygłaszając długie przemowy dotyczące rozmaitych kwestii, którymi wcześniej mało albo wcale się nie interesował; potem ustępował innym senatorom, którzy również wykazywali się podobną, całkiem świeżą gorliwością. Wieczorami organizował uczyty, zapraszając tegorocznych pretorów, edylów i kwestorów, jak również senatorów i ekwitów, których uważał albo za potencjalnie użytecznych dla karier siostrzeńców, albo niebezpiecznych na tyle, by warto o nich zabiegać.

Kilka dni po idach styczniowych, ledwie goście zdążyli opuścić jego dom, rozległo się pukanie do drzwi. Gajusz, myśląc, że to któryś z gości czegoś zapomniał, otworzył je osobiście i zobaczył na progu Pallasa.

- Dobry wieczór, panie, przepraszam za najście o tak późnej porze - oświadczył Grek swoją bezbłędną łaciną.

- Dobry wieczór, przyjacielu. Wejdz. Domyślam się, że przysłała cię twoja pani?

- Tak, panie. - Pallas rozejrzał się szybko dookoła i wszedł do atrium. - Dołożyłem wszelkich starań, żeby nikt mnie nie śledził. Sprawa jest bardzo pilna i poufna.

- Wobec tego porozmawiamy w moim gabinecie.

Poprowadził zarządcę przez atrium do swojego gabinetu, oddalonego od innych pokoi, położonego w lewym rogu domu. Pallas, mijając otwarte drzwi tryklinium, skinieniem głowy wyraził uszanowanie Sabinusowi i Wespazjanowi, którzy pozostali przy stole z rodzicami.

- Kto to taki? - spytała Wespazja synów. - Najwyraźniej was zna.

Nie mogąc zaprzeczyć, Sabinus wyjaśnił:

- Zarządca domu Antonii. Nie mam pojęcia, po co przyszedł - dodał, uprzedzając kolejne pytanie.

Wespazja spojrzała na męża.

- Z tego, co wiem, nigdy nic dobrego nie wyniknęło z tajemnego spotkania późnym wieczorem - oświadczyła ponuro. - Przypuszczam, że wiąże się to z tym, co było przedmiotem dyskusji podczas tamtej wieczerzy.

Jakby dla udowodnienia jej tezy w drzwiach jadalni pojawił się Gajusz.

- Wespazjo, moja droga, i ty, Tytusie, czy pozwolicie mi zabrać waszych synów na chwilę? Muszę im o czymś powiedzieć.

- A nie mówiłam - rzuciła Wespazja do męża.

- Oczywiście, Gajuszu, bardzo proszę. Idźcie, chłopcy - odpowiedział uprzejmie Tytus.

- Bardzo proszę, też coś! - rzuciła oburzona Wespazja, kiedy jej synowie opuszczali jadalnię.

Gabinet Gajusza był zaskakująco przestronny. Tylną ścianę pokryto półkami, od podłogi do sufitu. Setki skórzanych cylindrycznych futerałów z książkami leżały ułożone w porządkne stosy pomiędzy pionowymi ściankami. Pośrodku pokoju stało ciężkie drewniane biurko, za którym teraz zasiadł Gajusz. W słabym świetle rzucanym przez dwie lampki oliwne i naczynie z żarem Wespazjan dostrzegł figurki oraz inne przedmioty sztuki, takie, jakich się mógł po wuju spodziewać, bo aż za dobrze zdążył już poznać jego gust.

- Pójdziecie natychmiast z Pallasem do domu Antonii - powiedział Gajusz. - I zrobicie to, o co was poprosi, a wierzcie mi, że rzecz jest najwyższej wagi.

- O co chodzi, wuju? - spytał Sabinus.

- Najlepiej będzie, jak wyjaśni wam to sama Antonia. Poślę po Magnusa i jego towarzyszy, żeby was eskortowali, ulice o tej porze są zbyt niebezpieczne. Nie mam pojęcia, jak ci się udało nie wpaść po drodze w kłopoty, Pallasie.

- Jestem tylko zwykłym niewolnikiem, panie, czego ktoś mógłby ode mnie chcieć?

- Zwykłym, też coś! - Gajusz uśmiechnął się i spojrzął na swoich siostrzeńców. - A teraz idźcie po płaszcze i pamiętajcie naciągnąć kaptury.

*

Magnus zjawił się szybciej, niż można by oczekiwać; zupełnie jakby czekał za rogiem na wezwanie patrona.

- Przyprowadziłem ze sobą sześciu swoich chłopców, panie - oświadczył Gajuszowi, ledwie przekroczył próg domu - zakładając, że skoro udajesz się gdzieś o tej porze, w pilnej sprawie, to nie chodzi o spotkanie towarzyskie, jeśli wiesz, panie, co mam na myśli.

- Tak, tak, bardzo mądrze, choć mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Do czego nie dojdzie, Gajuszu? - spytała od drzwi Wespazja, która uparcie kręciła się w pobliżu. - I co znowu robi tutaj ten człowiek?

- Witam, pani - powiedział Magnus, pochylając głowę.

- Wszystko w porządku, Wespazjo, będzie eskortować Pallasa, Sabinusa i Wespazjana do domu Antonii - uspokajał ją Gajusz, chcąc uniknąć kolejnej utarczki.

- O tej porze?

- Tak, właśnie z powodu późnej nocy go potrzebujemy.

- Co jest aż tak ważne, że nie może poczekać do rana, kiedy to nie będą musieli się przemykać przez miasto w towarzystwie bandy łotrów?

Twarz Magnusa pozostała nieprzenikniona; przyzwyczajał się do obelg ze strony „tej kobiety”, jak ją w myślach nazywał.

- Wespazjo, daj spokój - rozległ się rozkazujący głos Tytusa. - Czegokolwiek Antonia chce od naszych synów, to tylko jej sprawa... powinniśmy czuć się zaszczytzeni, że mogą się przydać wielkiej damie.

Wespazjan i Sabinus pojawili się ponownie w atrium ubrani w grube wełniane płaszcze, każdy z długim sztyletem u pasa.

- Dlaczego musicie być uzbrojeni? - rzuciła podejrzliwie Wespazja.

- Lepiej dmuchać na zimne, matko - powiedział Sabinus z uśmiechem. - Dobry wieczór, Magnusie, pójdziemy?

- Brywieczór młodym panom, idziemy, jeśli jesteście gotowi. Dokąd się wybieramy?

- Do domu pani Antonii na Palatynie.

- O! Cóż, skoro trzeba. - Magnusowi mina nieco zrzędła.

- Owszem, trzeba.

- Uważajcie na siebie, drodzy chłopcy, bo mam przeczucie, że czeka was długa noc. Niech bogowie was prowadzą. - Gajusz położył każdemu rękę na ramieniu i uściśnął z czułością.

- Nie wiem, jaka ma być wasza rola, ale sądzę, że stosowną radą jest „Bądźcie ostrożni” - oświadczył Tytus, obejmując małżonkę ramieniem.

- Będziemy ostrożni, ojczy - odpowiedział mu Wespazjan. - Nie martw się, matko, Sabinus jest bezpieczny, zaopiekuję się nim.

Sabinus spojrzał kwaśno na młodszego brata.

- Bardzo zabawne, gówniarzu.

- Sabinusie!

- Przepraszam, matko. Do zobaczenia rano.

Cała czwórka wychodziła z domu przy akompaniamencie pomstowania Wespazji rugającej brata za wplątanie jej synów w sprawy, których oni - a co ważniejsze, ona sama - nie rozumieli i nie mogli kontrolować.

*

Na zewnątrz czekali ludzie Magnusa z kilkoma płonącymi pochodniami. Zaczęło mżyć, kiedy ruszyli w dół zbocza. Ich kroki wywoływały dudniące echo na pustej ulicy, a światło pochodni odbijało się pomarańczowo od błyszczących wilgotnych kamieni.

- Dla ostrożności zostawiłem ukrytego jednego człowieka, żeby sprawdzić, czy ktoś nas nie śledzi - oznajmił Magnus. - Kazałem mu policzyć do pięciuset, a potem ruszyć bocznymi uliczkami i spotkać się z nami na głównej ulicy.

- To może trochę potrwać - powiedział z zadumą Wespazjan.

Magnus popatrzył na niego pytająco, po czym wybuchnął śmiechem.

- Och, rozumiem. Tak, masz rację, on nie jest najbystrzejszy z naszej gromady, ale sądzę, że doliczy do pięciuset w sensownym czasie; gdyby to był obecny tu z nami Sekstus, kazałbym mu policzyć tylko do dwustu. - Szturchnął po przyjacielsku swojego kamrata, który zareagował radosnym rechotem.

Dotarli do głównej ulicy i wkrótce pojawił się ogromny, łysy mężczyzna z kikutem jednej ręki.

- Nie ma za nami nikogo, Magnusie - oświadczył zziębnięty szybkim biegiem.

- Dobra robota, Mariuszu. Jak ci poszło liczenie?

- Co? - popatrzył ze zdziwieniem. - W porządku.

Pozostali wybuchnęli śmiechem.

- Ta, ta, bardzo zabawne. - Mariusz wyszczerzył zęby z zakłopotaniem, domyślając się, że sobie z niego żartują, po czym ruszyli w stronę Palatynu.

*

Rozpadało się na dobre, nim doszli do domu Antonii. Kiedy tylko nowy odźwierny wpuścił ich do środka, Pallas kazał zaprowadzić Magnusa i jego towarzyszy do kuchni i dać im coś do zjedzenia, a sam zabrał obu braci do prywatnego pokoju Antonii, gdzie w grudniu jedli z nią wieczerzę.

Pani domu siedziała za biurkiem. Była sama. Nadzieja Wespazjana, że zobaczy Cenis, została rozwiana.

- Sabinusie, Wespazjanie, dzięki, że przybyliście mimo tak późnej pory.

- Pani, czego od nas oczekujesz? - zapytał Sabinus.

- Usiądźcie, proszę. - Wskazała im dwa krzeselka.

Wespazjan poczuł lekki powiew. Rozejrzał się i zobaczył, że lewy dolny róg szyby w oknie został stłuczony, a otwór zakryto deskami.

- Pallasie, przynieś wino dla moich gości - poleciła Antonia.

Przez chwilę przyglądała się bacznie braciom, jakby sprawdzała, czy mają dość siły charakteru. Najwyraźniej uspokojona zaczęła mówić:

- Zeszłej nocy ktoś włamał się przez to okno i próbował się dostać do mojej szkatuły. Na szczęście intruzów spłoszono, ale niestety udało im się umknąć, a przy okazji przebili mieczem jednego z moich niewolników. Jak wiadomo, jedynymi ludźmi, którym oficjalnie wolno nosić miecze, są funkcjonariusze kohorty miejskiej i gwardii cesarskiej. Przeciętny złodziejasek na ogół zadowala się sztyletem albo pałąką. Ale jeśli nawet był to tylko dobrze uzbrojony rzezimieszek, to skąd tak dokładnie wiedział, jak trafić do tej szkatuły? Muszę więc podejrzewać, że to jakiś pretorianin działający na polecenie Sejana, któremu to miejsce wskazała moja córka. Ona dobrze zna rozkład tego domu.

Antonia zamilkła na moment, kiedy wrócił Pallas z winem, a potem ustawił się przy wejściu.

- Jeśli Sejan kazał dokonać włamania - mówiła dalej - to znaczy, że podejrzewa mnie, zresztą słusznie, o posiadanie niebezpiecznych dla niego dokumentów. Te dwa, których kopie powierzyłam pieczy waszego wuja, byłyby dla Sejana interesującą, choć niezbyt przyjemną lekturą. Jeden przedstawia podejrzenia, którymi tamtej nocy wspólnie z Azyniuszem podzieliłam się z wami, dotyczące jego długofalowego planu przejęcia władzy oraz tego, co robimy, by temu przeciwdziałać. Drugi zawiera szczegółowe dowody, jakie dotąd udało mi się zgromadzić, dotyczące jego roli w doprowadzeniu do śmierci Germanika i Druzusa.

Wespazjan wypił łyk wina, zastanawiając się, gdzie w tym wszystkim może być miejsce dla niego.

- Chciałam koniecznie wiedzieć - ciągnęła Antonia - czy Sejan podejrzewa mnie o spiskowanie przeciwko niemu, i to doprowadziło mnie do zrobienia czegoś, co okazało się bardzo głupie. Postanowiłam zaprosić Liwillę na jutrzejszą kolację, niby po to, by się z nią pogodzić, ale tak naprawdę chciałam zobaczyć jej reakcję na rozbite okno, co być może potwierdziłoby moje podejrzenia. Posłałam więc moją pokojówkę Cenis z zaproszeniem dla Liwilli... ani ona, ani towarzyszący jej niewolnik dotąd nie wrócili.

Wespazjan wciągnął gwałtownie powietrze.

- Słusznie się niepokoisz - uśmiechnęła się Antonia - ale chodzi nie tylko o bezpieczeństwo Cenis. Chodzi o to, co ona wie.

- Jakie informacje może mieć niewolnica, które byłyby użyteczne dla Liwilli i Sejana?

- zapytał Sabinus.

- Niewolnica czy nie, ta dziewczyna jest mi bardzo droga. Jej matka była moją niewolnicą, ale umarła, kiedy Cenis miała zaledwie trzy lata. Wychowałam małą w swoim domu; jest dla mnie niemal jak córka, którą chciałabym mieć. Mam do niej pełne zaufanie; jest nie tylko moją pokojówką, ale również, o czym Liwilla świetnie wie, moją sekretarką. Zna treść obu dokumentów, bo to ona je kopiowała.

Na twarzach Wespazjana i Sabinusa widać było, że uświadamiają sobie grozę sytuacji. Liwilla, kobieta zdolna do aktów zadziwiającego okrucieństwa, bez trudu mogła torturami zmusić Cenis do wyjawienia treści dokumentów i przekazać tę informację Sejanowi, który z bezwzględnością skutecznością podjąłby stosowne działania, by się chronić.

- Jak widzicie, nie mamy czasu do stracenia. Musimy uratować Cenis, zanim zdążą ją złamać.

- Skąd możemy wiedzieć, że już do tego nie doszło, pani? - spytał Wespazjan; niedobrze mu się robiło na samą myśl, że ta piękna dziewczyna może przechodzić takie męki jak Eumenes czy jego brat.

- Liwilla jest dzisiaj u cesarza na uczcie pożegnalnej. Na pewno będzie chciała być obecna przy przesłuchaniu. Cesarz zawsze jada późno i kładzie się spać nad ranem, więc mamy trochę czasu. - Prawdopodobnie trzymają Cenis w piwnicy na tyłach domu; można tam dotrzeć nie tylko od środka, ale także krótkim tunelem od strony ogrodu, zapewne strzeżonym przez pretorianów. Poprosiłam mojego wnuka, Gajusza, by was poprowadził. Zna dobrze ten dom i nienawidzi Sejana, który, z tego, co wie, kazał zamordować jego ojca. Jest także ulubieńcem Tyberiusza, więc żaden gwardzista nie ośmieli się go zabić ani osób mu towarzyszących, gdyby was schwytano, miejmy jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie. - Antonia wstała i ruszyła ku drzwiom. - Pallas przyniesie wszystko, co może się wam przydać. Musicie działać szybko. Do powrotu Liwilli zostało tylko kilka godzin.

Rozdział dwunasty

Antonia poprowadziła Wespazjana i Sabinusa z powrotem do atrium. Zobaczyli tam Magnusa i jego kolegów, którzy zupełnie nie pasowali do tego imponującego otoczenia, kiedy tak śmiali się i żartowali, pogryzając kawałki chleba i popijając wino z podawanego sobie z rąk do rąk bukłaka. Na widok Antonii wyprostowali się jak struny.

- Pani - odezwał się Magnus, z ustami pełnymi nieprzełkniętego chleba.

- Chyba cię znam, prawda? - spytała Antonia, patrząc na niego szeroko rozwartymi oczyma.

- Jestem Magnus, pani.

- Magnus, oczywiście. Co tutaj robisz? - spytała, niezbyt zachwycona jego obecnością.

- Ja i moi towarzysze eskortujemy młodych panów, mając na wszystko oko, jeśli wiesz, pani, co mam na myśli - mówił niewyraźnie, poklepując sztylet u pasa.

- Cóż, dzisiejszej nocy czeka was konkretna robota. Sprawcie się dobrze, a zasłużycie na sowitą nagrodę.

Magnus skłonił głowę i wreszcie udało mu się przełknąć resztę chleba.

Wespazjan usłyszał kroki w jednym z korytarzy prowadzących do atrium i obróciwszy się, zobaczył chłopca, który miał nie więcej niż czternaście lat. Był wysoki, szczupły, o patykowatych nogach; spod opadających na szerokie, blade czoło brązowych loków spoglądały inteligentnie błyszczące, głęboko osadzone oczy.

- Gajuszu, skarbie, to właśnie Sabinus i Wespazjan, których masz zaprowadzić do tunelu - powiedziała Antonia, całując wnuka w policzek

Gajusz uśmiechnął się.

- Szykuje się świetna zabawa, co? - powiedział. - Ratowanie niewolnic o północy ze szponów strasznej Liwilli i nikczemnych pretorianów. Nie mogę się doczekać.

- Miejmy nadzieję, że jak mówisz, Gajuszu, okaże się to świetną zabawą - powiedział Wespazjan, odwzajemniając uśmiech. Od razu poczuł sympatię do tego pogodnego i przyjacielskiego chłopca.

- Och, proszę, nazywajcie mnie Kaligulą, wszyscy tak mówią, z wyjątkiem mojej babki, która uważa, że taki przydomek nie przystoi synowi wielkiego Germanika - powiedział

chłopiec. Antonia roześmiała się i czułym gestem zmierzwiła chłopcu włosy. - Czy to nasi ludzie? - spytał jej wnuk, spoglądając na resztę towarzystwa.

- Magnus, na twoje usługi, panie - oznajmił mężczyzna.

- Doskonale! - zawołał Kaligula. - Jak mogłoby nam się nie udać z takim świetnym oddziałem? Ruszajmy. Do zobaczenia, babko.

Wyszedł w dżdżystą noc, pozostali ruszyli za nim. Magnusa i jego ludzi rozbawiło to, że nazwano ich świetnym oddziałem. Pallas dźwigał wypchany, ciężki worek. Wszyscy dali się ponieść entuzjazmowi Kaliguli.

- Nie chciałbym być niegrzeczny, panie, ale dokąd idziemy i co mamy robić, kiedy już tam dotrzemy? - spytał Magnus starszego z braci.

- Jak już powiedział Kaligula, idziemy do domu Liwilli, by uwolnić przetrzymywaną tam niewolnicę Antonii.

- Liwilla, hę? Paskudna robota, pod każdym względem. No cóż, jestem pewien, że pani Antonia wie najlepiej, co zrobić.

- O co chodzi z tobą i Antonią? - spytał Wespazjan zdumiony, że Magnus ma znajomości pośród tak wysoko postawionych osób. - Zna cię, a robiła wrażenie zażenowanej na twój widok.

- Wolałbym o tym nie mówić. Miałem nadzieję, że mnie nie pozna - wymamrotał Magnus.

- Chyba się domyślam - odezwał się Kaligula. - Sądząc po wyglądzie, jesteś byłym pięściarzem, zgadza się?

- Tak, panie.

- Babka tak bardzo lubi walki, że nawet chodziła kiedyś do stajni pięściarzy, by popatrzeć, jak trenują. - Kaligula uśmiechnął się psotnie. - Słyszałem, że niektóre zamożne wdowy organizują walki jako rozrywkę po ucztach, a potem, kiedy goście już sobie pójdą, zatrzymują jednego czy dwóch pięściarzy dla innego rodzaju rozrywki. Mam z grubsza rację?

Po minie Magnusa widzieli, że Kaligula trafił w sedno.

- Nie, Magnusie, to chyba niemożliwe? - Wespazjana dosłownie zamurowało, bo z jednej strony był zdumiony, że Kaligula tak otwarcie opowiada o upodobaniach erotycznych babki, a z drugiej opierał się pokusie pytania Magnusa, jaka też ta kobieta jest.

- Och, panie z wyższych sfer ciągle tak się zabawiają - ciągnął wesoło Kaligula. - Pięściarze, gladiatorzy, woźnice rydwanów, nawet aktorzy. Osobiście nie widzę w tym nic złego. Ostatecznie wszyscy mamy swoje potrzeby, nawet moja babka, a jestem pewien, że Magnus był dobrze wynagradzany za swoje wysiłki.

- Pieniądze były tylko premią - oświadczył Magnus. - Była bardzo piękną kobietą... nadal jest. Nie będę twierdził, że była to ciężka praca. To znaczy... była. Jeśli wiecie, co mam na myśli.

- Jasne, że wiemy - powiedział z uśmiechem Kaligula. - Teraz jednak musimy skoncentrować się na sprawach aktualnych. Zgaście pochodnie, dom Liwilli jest ćwierć mili stąd. Wejście do tunelu znajduje się w ogrodzie od tyłu, musimy więc obejść mur zewnętrzny.

Podążali pod górę w milczeniu; wiatr się wzmógł i deszcz przybrał na sile. Kaligula zatrzymał się przy wąskiej uliczce, która odchodziła w prawo od głównej ulicy i biegła pomiędzy dwoma murami, mającymi około dwunastu stóp wysokości.

- Jesteśmy na tyłach parceli Liwilli, ogrody są za tym murem po lewej stronie - wyszeptał Kaligula. - Jakieś sto kroków dalej stoi pochylone drzewo, można więc zarzucić linę na gałąź i pokonać mur.

- Zabrałeś powróż, Pallasie? - zapytał nerwowo Sabinus, przejęty, że takie niedopatrzenie może spowodować kłopoty na samym początku przedsięwzięcia.

- Oczywiście, panie - zapewnił go Pallas. - Mam w worku, pan Gajusz uprzedził mnie, że może być potrzebny.

- Och, świetnie, doskonała robota, Kaligulo - wymamrotał Sabinus, mając nadzieję, że nie będzie przez całą noc zawstydzany przez tego młodzieniaszka o ziemistej cerze. - Magnusie, zostaw dwóch ludzi, by zabezpieczali nam odwrót. Lepiej, żebyśmy nie utknęli w tej wąskiej uliczce jak w pułapce.

- Masz słuszność, panie. Mariuszu, wypada na ciebie, bo sądzę, że już masz za sobą dni, kiedy wspinałeś się po linie.

- Rzeczywiście - odparł Mariusz z uśmiechem, zerkając na kikut lewej ręki.

- Sekstusie, ty też zostaniesz. Kiedy zobaczycie, że wracamy, ukryjcie się w cieniu po drugiej stronie ulicy. Jeśli pretorianie będą nas ścigać, ruszycie za nimi, żebyście, jeśli dojdzie do walki, mogli zaatakować ich od tyłu.

- Kryć się w cieniu, atakować od tyłu. Tak jest, Magnusie - powtórzył Sekstus, powoli przetrawiając otrzymane rozkazy.

- Te pewnie mogą im się przydać - oświadczył Pallas, wyciągając z worka dwa miecze.

- Co ty tam jeszcze trzymasz, Pallasie? - spytał Wespazjan, spoglądając z ciekawością na wciąż mocno wypchany wór.

- Same potrzebne rzeczy, panie - odparł rozbrajająco Grek.

- Chodźcie już, nie mamy przed sobą całej nocy - ponaglił ich Sabinus, ruszając ciemną uliczką.

Drzewo rzeczywiście rosło tam, gdzie je zapamiętał Kaligula, i już po chwili lina zwisała z gałęzi.

- Główny budynek jest jakieś dwieście kroków na prawo od nas - powiedział Kaligula - a wejście do tunelu znajduje się po tej jego stronie, tuż obok małej okrągłej świątynki Minerwy.

- W porządku - odezwał się Sabinus. Był przemoczony do nitki, podobnie jak pozostali. - Magnusie, zostaw jeszcze tutaj dwóch chłopców, na wszelki wypadek, gdyby ktoś nadchodził z tamtej strony, a jednego postaw na murze, żeby spuścił linę, kiedy będziemy wracali.

Magnus wydawał rozkazy, podczas gdy Pallas wylawiał z worka kolejne miecze dla tych, którzy mieli zostać z tyłu. Sabinus pierwszy wspiął się na mur; rozejrzał się, ale i tak nie widział nic w tonącym w mroku i deszczu ogrodzie.

- No to do dzieła - mruknął do siebie i skoczył w ciemność. Wylądował z cichym plaśnięciem na trawie pod drzewem. - W porządku - zawołał cicho do Kaliguli, który pojawił się właśnie na szczycie muru.

Chłopiec zeskoczył bez wahania. Wespazjan, Pallas, Magnus i jego ostatni towarzysz, Kassandros, poszli szybko w jego ślady.

- Mamy szczęście do pogody - odezwał się szeptem Kaligula. - Jeśli przy wejściu do tunelu postawili strażników, to na pewno schronili się przed deszczem w środku. Podejmiemy z boku i nie będą mieli szansy nas zobaczyć.

- Prowadź, Kaligulo - powiedział Sabinus - a kiedy będziemy przy wejściu, ja i Magnus zajmiemy się pretorianami. Miejmy nadzieję, że jeden z nich będzie miał klucz do drzwi piwnicy. Jeśli nie, wyłamiemy je siłą.

- To może się okazać przydatne, panie. - Pallas wyjął z worka ciężki łom.

- Świetnie. Będziemy jeszcze czegoś potrzebować, Pallasio?

- Tylko tego - odpowiedział Grek, wyciągając sześć kolejnych mieczy. - Przypuszczam, że będą lepsze od waszych krótkich sztyletów.

- Zamierzałem pozbawić ich przytomności, nie zabijać.

- Powalenie pretorianina wymaga bardzo mocnego ciosu, panie - zauważył Magnus poważnym tonem. - Oni nie padają tak łatwo. Lepiej im pomóc w drodze na ziemię kawałkiem ostrego żelaza, jeśli wiesz, panie, co mam na myśli.

Sabinus nie zamierzał nikogo zabijać, zrozumiał jednak, że Magnus ma rację: lepiej ich uciszyć raz na zawsze, niż ryzykować, że oprzytomnieją i podniosą alarm.

- W porządku, ale celujemy w gardła, żeby nie zdążyli krzyknąć.

- Wiem, panie - powiedział Magnus.

- Nie mam wątpliwości. Cóż, prowadź, Kaligulo.

Skradali się przez gąszcz zieleni konwencjonalnie zaprojektowanego ogrodu, omijając wysypane żwirem ścieżki, trzymali się blisko jeden drugiego, żeby się nie pogubić w ciemnościach nocy i ulewie. Po jakichś stu krokach dojrzelili przeświecające pomiędzy drzewami jasne punkty.

- To musi być główny budynek - syknął Kaligula, pokonując szum wiatru. - Pójdziemy w jego stronę. Wkrótce po naszej lewej powinniśmy mieć świątynię.

Szło im się znacznie łatwiej, kiedy mogli się kierować światłami; po chwili zobaczyli też błysk odbitego światła w wodzie spływającej po kamiennej ścianie.

- Oto świątynia... tunel jest z drugiej strony, jakieś dwadzieścia kroków stąd.

Kaligula poprowadził ich wokół okrągłego budynku. Wespazjan ścisnął mocno rękojeść miecza; czuł przyspieszone bicie serca i musiał się zmusić, by wolniej oddychać. Kiedy obeszli świątynię, Kaligula ujął ramię Sabinusa i wskazał ręką słabe światło, sączące się zaledwie kilka kroków dalej z nisko położonego wejścia. Sabinus skinął głową i dał znak Magnusowi, by poszedł za nim.

Wespazjan wstrzymał oddech i obserwował, jak sylwetki brata i Magnusa zbliżają się powoli do wejścia. Przez równomierny szum wiatru i bębniących o liście kropli deszczu przedarł się nagle głośny śmiech. Sabinus i Magnus zamarli. Ktoś wyszedł, zatrzymał się i popatrzył na ociekające deszczem niebo, a potem ruszył prosto przed siebie w mrok nocy. Mężczyzna podniósł tunikę, uchylił z jednej strony przepaskę biodrową i zaczął sikać. Trwało to wiecznie. Sabinus i Magnus tkwili bez ruchu zaledwie sześć kroków od pretorianina. Ten wreszcie skończył i skierował się z powrotem do środka, mówiąc coś do swojego towarzysza. Sabinus i Magnus ruszyli dalej. Kiedy znaleźli się przy wejściu, stanęli, popatrzyli na siebie, po czym skoczyli gwałtownie do środka. Wespazjan pospieszył naprzód, a za nim reszta grupy. Wpadli do tunelu, gdzie Sabinus i Magnus obszukiwali leżące na ziemi ciała dwóch strażników. Z rozciętych gardeł mężczyzn płynęła krew, ich oczy wpatrywały się w sufit z zastygłym wyrazem zdumienia.

- A niech to, nie mają kluczy - rzucił z wściekłością Sabinus. - Rozejrzyjcie się, może je gdzieś schowali.

Poszukiwania w słabym świetle jednej lampki oliwnej nie przyniosły rezultatu.

- Daj mi łom, Pallasio, spróbujemy zrobić to najszybciej i najciszej jak się da.

- Co będzie, jeśli tam jest z nią strażnik? - spytał Wespazjan.

- Okaże się. Dawaj tę lampkę, Kaligulo. - Sabinus chwycił łom i ruszył naprzód tunelem, nie marnując czasu.

Solidne dębowe drzwi wyposażono w mocną sztabę, uniemożliwiającą wydostanie się na zewnątrz. Sabinus usunął ją najciszej jak potrafił i wcisnął cienki koniec łomu w szczelinę pomiędzy drzwiami i framugą, tuż obok zamka.

- Dobra - szepnął. - Pallas i Kassandros, pilnujcie wejścia do tunelu. Kaligulo, potrzymaj tu lampkę. Magnus i Wespazjan, naprzyjcie całym ciężarem na drzwi, a potem wpadajcie za mną do środka.

- A jeśli są zaryglowane od wewnątrz i nie da się ich ruszyć? - zapytał Wespazjan. Był coraz bardziej nerwowy z powodu tej improwizowanej naprędce akcji; troska o Cenis stawała się nieznośna.

Brat popatrzył na niego z ogniem w oczach.

- Nie są, jasne? Nie są. A teraz, na trzy, pchajcie, jakby same harpie was goniły.

Magnus i Wespazjan przyjęli odpowiednie pozycje, a Sabinus uchwycił mocno łom.

- Raz, dwa, trzy.

Nacisnął całym ciężarem na łom, podczas gdy jego towarzysze napaarli na drzwi; rozległ się głośny trzask, a Wespazjan i Magnus potoczyli się w mrok.

Wespazjan wylądował na zimnej kamiennej posadzce, ocierając sobie kolana. Gdzieś w mroku usłyszał zduszony dźwięk powstrzymanego krzyku. Wpadł Sabinus z łomem w rękę.

- Szybko, Kaligulo, dawaj tu lampę.

Ich oczom ukazało się niskie, wilgotne pomieszczenie. W przeciwległej ścianie znajdowało się drugie wejście, a za nim schody prowadzące do wnętrza domu. Z lewej strony Wespazjan zobaczył skuloną, schowaną pod kocem postać. Podbiegł i zerwał koc.

- Cenis - wyszeptał.

Dziewczyna leżała na wiązce słomy i dygocząc, zakrywała twarz ramieniem. Wespazjan dotknął delikatnie jej włosów i jej cichy jęk umilkł.

Rozejrzała się wokół z niedowierzaniem w oczach.

- Ty! Skąd się tu wzięłeś?

- Antonia przysłała nas, żeby cię uwolnić. Chodź, szybko.

- Macie klucz?

- Jaki klucz?

- Do tego. - Cenis uniosła lewe ramię; od obręczy na jej przegubie ciągnął się do ściany gruby łańcuch.

- Sabinusie, popatrz!

- A niech to!

- Co robimy?

- No cóż, będziemy musieli zdobyć ten klucz albo obciąć jej dłoń.

Oczy dziewczyny rozszerzyły się na te słowa.

- Bardzo zabawne, Sabinusie - syknął Wespazjan.

- Mówię poważnie, masz inny pomysł?

- U szczytu schodów stoi strażnik, on ma klucz - wyszeptała szybko Cenis.

- Nie możemy wyłamać tych drzwi, nie stawiając na nogi całego domu, a musimy się spieszyć. - Sabinus zaczynał się niecierpliwić.

- W takim razie trzeba sprowadzić go tutaj - szeptał natarczywym głosem Wespazjan.

- Magnusie, zamknij wejście do tunelu. Kaligulo, zgaś lampkę.

Pomieszczenie znowu pogrążyło się w ciemnościach.

- Cenis, zaczniesz krzyczeć i nie przestaniesz, dopóki strażnik nie otworzy tych drzwi.

Miejmy nadzieję, że będzie tylko jeden.

Dziewczyna potrafiła krzyczeć. Wkrótce ktoś załomotał w drzwi.

- Ucisz się, suko - rozległ się szorstki głos po drugiej stronie.

Cenis nie przestawała. Ktoś walnął jeszcze dwa razy pięścią w drzwi, po czym usłyszeli dźwięk wkładanego do zamka klucza; drzwi otworzyły się, do środka wpadł mężczyzna z pochodnią w rękę i znalazł się na wprost czubka Wespazjanowego miecza. Młodzieniec napiął mięśnie ramienia i przeszył mu gardło; strażnik, bulgocząc, padł martwy.

Wespazjan chwycił jego płonąca pochodnię.

- Sabinusie, bierz klucz.

- Mam! - Brat zerwał klucz z zakrwawionego sznurka na szyi strażnika. Szybko uwolnił dziewczynę i pomógł jej wstać.

Na schodach rozległy się czyjeś kroki i do piwnicy wpadł potężny jak byk mężczyzna. Długie, naoliwione czarne włosy opadały mu na ramiona. Poobijana, dziobata twarz miała kolor dębu i ozdabiała ją krótko przycięta kozia bródka.

Cenis znowu wrzasnęła. Magnus rzucił się na drzwi i waląc nimi osiłka w twarz, odrzucił go na kamienne schody, co go pozbawiło przytomności.

- Magnusie, Kaligulo, zamknijcie te drzwi na klucz i zgarnijcie pod nie całą słomę - wyszeptał Wespazjan.

Zajęło im to jedną chwilę.

- W nogi!

Nie trzeba było nikogo zachęcać do odwrotu i wszyscy ruszyli do tunelu. Wespazjan rzucił pochodnię na stos słomy i popędził za towarzyszymi. Pallas i Kassandros oczekiwali ich niecierpliwie. Z wnętrza domu dochodziły krzyki.

- Wykryli nas. To ten twój wspaniały pomysł, braciszku, te wszystkie wrzaski. Szybko, Kaligulo - ponaglał Sabinus.

- Tędy - powiedział chłopiec, dając nura w wilgotny mrok nocy.

Wespazjan ujął ramię Cenis i ruszył za nim. Słyszał, że krzyki z domu za jego plecami przybrały znacznie na sile.

Umykali na oślep przez pograżony w ciemności ogród, wpadając na drzewa i krzewy, które czepiały się ich ubrań i drapały skórę. Krzyki było już teraz słyhać na zewnątrz domu; zerkając przez ramię, Wespazjan zobaczył w oddali trzy czy cztery pochodnie wyłaniające się zza węgła.

- Kierują się w stronę tunelu. Kiedy znajdą martwych strażników, natychmiast ruszą za nami - wydyszał, podtrzymując dziewczynę, by się nie potknęła.

Kaligula zatrzymał się raptownie.

- Jest mur. Drzewo powinno być po prawej.

Teraz, wzdłuż muru, posuwali się znacznie łatwiej, jednak Wespazjanowi wydawało się, że nawoływania z tyłu są coraz głośniejsze; wołał nie odwracać głowy, żeby się nie potknąć. Cenis, dysząc ciężko z przerażenia, brnęła u jego boku. Deszcz z taką siłą siekł im twarze, że z trudem utrzymywali otwarte oczy.

Po nieznośnie denerwującej chwili Kaligula zwolnił.

- Dzięki bogom, jesteśmy na miejscu.

Siedzący na murze członek bractwa rozstajnych dróg opuścił linę.

- Dziewczyna idzie pierwsza - syknął Sabinus.

Cenis z zadziwiającą zwinnością wspięła się na mur i zeskoczyła po drugiej stronie. Kiedy podążył za nią Kaligula, Wespazjan się rozejrzał i zobaczył, że pochodnie, odległe o jakieś sto kroków, szybko się zbliżają. Pallas i Kassandros błyskawicznie znaleźli się na murze, podobnie Magnus.

- Szybciej, szybciej - pogałniał ich Sabinus. Chwycił za ramię Wespazjana. - Teraz ty, ruszaj.

Wespazjan wspiął się na szczyt muru; widział pochodnie, teraz odległe zaledwie o trzydzieści kroków, a w kręgach ich pomarańczowego światła prawie dwadzieścia postaci.

Wyciągnął w dół rękę, pomógł bratu, a potem, kiedy Sabinus zeskakiwał z drugiej strony, wciągnął linę.

- Tam są, chwytać ich! - rozległ się krzyk z głębi ogrodu.

Wespazjan podniósł wzrok; ścigający byli tuż za nimi. Światło pochodni oświetlało drzewo. Na moment jego oczy spotkały się z oczami ich dowódcy; widział go kiedyś tylko raz, z daleka, ale rozpoznał natychmiast. Sejan, pomyślał, zeskakując na ziemię.

Rozdział trzynasty

Wespazjan wyprostował się i popędził uliczką za bratem. Reszta towarzyszy czekała na nich, jak było umówione, przy głównej ulicy. Miasto opustoszało; coraz gorsza pogoda zapędziła pod dach nawet członków nocnej straży. Za nimi, na murze, pojawiły się pochodnie, kiedy pierwszym pretorianom udało się już go pokonać.

- Biegiem! - krzyknął Sabinus. - Wyobraźcie sobie, że ściga was trójgłowy pies z Hadesu.

Skręcili za róg i pognali w dół wzgórza w stronę odległego o jedną trzecią mili domu Antonii. To szalone tempo było nie do wytrzymania dla Cenis, która poślizgnąwszy się na mokrym bruku, upadła z krzykiem. Wespazjan chwycił ją za ręce, podniósł, przerzucił sobie przez ramię i rwał dalej, świadom, że pretorianie wypadli właśnie z uliczki i mkną za nimi po zboczu.

Kaligula zatrzymał się z poślizgiem przed drzwiami domu Antonii i kilkakrotnie do nich załomotał.

- My pobiegniemy dalej w dół i postaramy się ich odciągnąć - zawołał Magnus do Sabinusa.

- Powodzenia - rzucił im Sabinus i członkowie bractwa, celowo pokrzykując do siebie, rozplynęli się w ciemnościach nocy.

Klapka w drzwiach uchyliła się na króciutko i natychmiast wpuszczono ich do środka. Wespazjan zerknął jeszcze tylko do tyłu i zobaczył, że pochodnie są około trzystu kroków za nimi. Byli bezpieczni. W panujących tej nocy ciemnościach pretorianie w żadnym razie nie mogli dojrzeć, do którego domu wchodzi; mogli jedynie zgadywać, co zresztą nie było trudne. Wszedł do atrium i postawił Cenis na podłodze. Drzwi za jego plecami zamknęły się. Zdyszany oparł się o ścianę i wciągał łapczywie powietrze.

Kaligula przyklęknął na posadzce obok, również ciężko dysząc.

- To... było... wyśmienite... co za frajda - wystękał, spoglądając na Wespazjana ze znaczącym uśmiechem. - A nie mówiłem? Naprawdę świetna zabawa. Powinniśmy robić to częściej, przyjacielu.

Wespazjan odwzajemnił uśmiech i wyciągnął rękę, by pomóc mu wstać, kiedy wbiegła tam Antonia.

- Dziękuję wam wszystkim - powiedziała, widząc Cenis i przytulając ją. - Mam nadzieję, że nie mieliście zbyt wielu problemów?

- Było to równie łatwe jak podcinanie prosięciu gardła - oświadczył Kaligula z szerokim uśmiechem.

- Mów za siebie. - Sabinus dyszał ciężko, z wysiłku klatka piersiowa wznosiła mu się i opadała w przyspieszonym rytmie. Usłyszeli na zewnątrz kroki pretorianów, ścigających Magnusa i jego ludzi.

Cenis obejrzała się na Wespazjana.

- Dziękuję - powiedziała - dziękuję wam wszystkim.

Jej piękne oczy spoglądały na niego z podziwem. Mokra szata oblepiała jej ciało i młodzieniec poczuł, jak wzbiera w nim pożądanie.

Antonia musiała to wyczuć, bo uwolniła dziewczynę z uścisku.

- Idź i przebierz się w coś suchego. Przyjdź do mnie, kiedy już się rozgrzejesz.

- Tak, pani.

Wespazjan patrzył tęsknie za oddalającą się dziewczyną.

Antonia przerwała ten stan zauroczenia pytaniem:

- A gdzie Magnus?

- On i jego towarzysze pobiegli dalej, żeby odciągnąć pretorianów.

- Dobrze - powiedziała, choć Wespazjanowi zdawało się, że dostrzega w jej oczach ślad rozczarowania. - Widziano któregoś z was?

- Możliwe, że mnie, pani - przyznał Wespazjan.

Sabinus jęknął.

- Ja rozpoznałem Sejana, kiedy pokonywałem mur, choć nie jestem pewien, czy było dość światła, żeby on mógł wyraźnie mnie zobaczyć.

- Cóż, on cię nie zna, więc nie mógł rozpoznać, nawet jeśli ci się zdążył przyjrzeć - odparła. - Ale tak na wszelki wypadek natychmiast wyprawimy cię z Rzymu. Wy, Sabinusie i Gajuszu, powinniście zostać tu na noc. Nie byłoby mądrze próbować teraz wracać do domu. Spodziewam się wkrótce wizyty naszego szacownego prefekta. Oczywiście wszystkiemu zaprzeczę, czym go doprowadzę do irytacji. Na pewno jednak każe obserwować mój dom, więc jutro będziemy musieli jakoś wyprawić was stąd ukradkiem. - Spojrzała na Pallasa, który stał przy drzwiach, ociekając wodą deszczową. - Rozkaż wytrzeć do sucha posadzkę i przebierz się w świeżą tunikę. Kiedy przybędzie Sejan, nie może być najmniejszych śladów, że ktoś był na dworze. Pokaż panom pokoje gościnne i każ dać suche ubrania.

- Tak, pani - powiedział i zaklaskał w dłonie. Na drugim końcu atrium pojawiło się czterech niewolników domowych. Po chwili poszły w ruch kubły i szmaty, a Wespazjana, Sabinusa i Kaligulę poprowadzono wspaniałym korytarzem do przeznaczonego dla gości skrzydła domu.

- Przebierzcie się szybko - powiedział Kaligula - bo chcę zobaczyć, jak babka radzi sobie z Sejanem. Przyjmie go w atrium. Znam takie miejsce, z którego słycać wszystko, co tam się dzieje.

*

Niedługo potem Wespazjan i Sabinus spotkali się z Kaligulą w korytarzu. Poprowadził ich szybko kilkoma korytarzykami i zatrzymał się przed płycinowymi drzwiami, pomalowanymi na szkarłatny kolor i intarsjowanymi czarnymi wstawkami.

- Te drzwi nie mają zamka - oświadczył, otwierając je i wchodząc do małego pokoju z kotarą na przeciwległej ścianie. - Komnata jest tam, popatrzmy.

Odchylił odrobinę kotarę, a oni zajrzeli przez szczelinę. Zobaczyli piękny pokój, tak wysoki, że jego strop prawie tonął w mroku, pomimo obecności wielu lampek oliwnych porostawianych na stolikach i umieszczonych w stojakach. Malowane drewniane krzesła o delikatnie rzeźbionych oparciach i nogach oraz sofy zarzucone poduszkami, które pokrywały barwne tkaniny, czekały na przyjęcie gości Antonii.

Do sali pospiesznie wbiegł jakiś niewolnik, rozejrzał się, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku; poprawił kilka drobiazgów, przesunął dwa krzesła, tak żeby stały naprzeciwko siebie po dwóch stronach marmurowego stolika, po czym wybiegł.

Rozległy się kroki. W sali pojawił się Pallas z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, prowadząc ociekającego wodą Sejana. Przemoczona tunika prefekta leciutko, ale widocznie parowała, a jego włosy lepiły się do twarzy o kanciastej szczęce. Nie miał szczęśliwej miny.

- Proszę usiąść, panie - wyrecytował śpiewnie Pallas, starannie wykorzystując każdą uncję greckiej uprzejmości. - Pani Antonia za chwilę się pojawi. Od kilku godzin spoczywała już w łóżu.

- Na pewno - warknął Sejan.

- Kazała mi powiedzieć, że natychmiast się odzieje, żeby wasza dostojność nie musiał zbyt długo czekać. Czy można cię czymś poczęstować, panie?

- Nie! A teraz wynoś się stąd i zostaw mnie samego, ty nędzny grecki lizusowski śmieciu.

Pallas uklonił się i wycofał z godnością, pozostawiając Sejana samego. Dowódca pretorianów zaczął rozglądać się po pomieszczeniu. Wziął ze stolika po kolei kilka figurek,

obejrzał je z podziwem, odstawił na miejsce, po czym zaczął powoli obchodzić pokój. Trzej młodzi ludzie ukryci za kotarą przyglądali mu się, jak ogląda meble i z uznaniem przesuwa dłonią po posągach i popiersiach. Był dokładnie na wprost nich, kiedy zauważył kotarę i ruszył w jej stronę.

- Zmykamy - szepnął Kaligula, odskakując do tyłu.

Wyślizgnęli się przez otwarte drzwi w tej samej chwili, w której on gwałtownym ruchem rozsuwał kotarę, i wpadli do najbliższego pomieszczenia.

- Byłoby bardzo nieprzyjemnie nadziać się na Sejana, kiedy jest w takim nastroju - oświadczył Gajusz, zamykając szybko drzwi nieoświetlonego pokoju. Z korytarza dobiegły ich kroki.

- Na Hadesa! Te też nie mają zamka - powiedział, w ciemnościach obmacując drzwi. - Szybko, oprzyjmy się o nie.

Naparli mocno całym ciężarem na drzwi; kilka chwil później usłyszeli, jak się otwierają i zamykają drzwi pomieszczenia, które dopiero co opuścili. Usłyszeli czyjeś zdecydowane kroki i poczuli, że ktoś próbuje otworzyć przytrzymywane przez nich drzwi. Nacisk wzrastał; użyli wszelkich sił, żeby mu się nie poddać.

- Ach, tutaj jesteś, prefekcie - usłyszeli z końca korytarza głos Antonii.

Nacisk ustąpił raptownie, a oni z ulgą osunęli się na podłogę.

- Mój drogi Sejanie, a po cóż to próbujesz dostać się do tego pokoju?

- Daruj sobie te uprzejmości. Ktoś mnie szpiegował i schronił się właśnie tutaj.

- To niemożliwe. Ten pokój jest stale zamknięty.

- Niby jak? Nie widzę dziurki od klucza.

- Jest zaryglowany od środka. Można do niego wejść jedynie z biblioteki, od drugiej strony. No, ale dość już tych bzdur. Powiedz, dlaczego wyciągnąłeś mnie z łóżka w środku nocy?

- Doskonale wiesz dlaczego, jeśli w ogóle byłeś w łożu po tym wieczornym spiskowaniu.

- Spiskowaniu, mój drogi prefekcie? Będziesz mnie musiał oświecić. Spędziłam wieczór ze swoją sekretarką Cenis, pisząc listy.

- Ty kłamliwa suko, ona była uwięziona w domu Liwilli, a ty wysłałaś grupę ludzi, żeby ją uwolniła.

- Gdyby to była prawda, to jak mógłbyś rzecz udowodnić, nie przyznając wpierw, że ty i Liwilla wcześniej ją porwaliście? Jestem przekonana, że cesarz byłby bardzo zainteresowany powodem, dla którego ty i moja córka ją więziliście.

- Trzech moich ludzi nie żyje.

- To, prefekcie, nie ma absolutnie nic wspólnego ze mną. Jak już powiedziałam, przez cały wieczór pisałam listy ze swoją sekretarką... chyba że wolisz, by twoja wersja wydarzeń dotarła do cesarskich uszu? Czy czujesz się na tyle silny, by wyznać cesarzowi, że wciąż masz romans z Liwillą, kobietą z cesarskiego rodu, siostrą wielkiego Germanika, którą Tyberiusz zabronił ci poślubić, wiedząc, że jeśli tak uczynisz, staniesz się jego potencjalnym sukcesorem, a tym samym jego rywalem? Nie sądzę, Sejanie. A teraz odejdz.

- To jeszcze nie koniec. Zobaczyłem dziś jednego z tych twoich morderców i jeśli kiedyś go znajdę, wykorzystam wszelkie dostępne środki, by połączyć go z twoją osobą.

- Czcza groźba, prefekcie, która dalej niczego by nie udowodniła.

- Być może, ale na pewno dostarczy mi uciechy. - Uderzył z wściekłości w drzwi, które nieprzytrzymywane z drugiej strony uchylły się odrobinę.

- Zaryglowane, powiadasz? Cóż, wygląda na to, że w jakiś tajemniczy sposób się odryglowały.

Kaligula dał znak Sabinusowi i Wespazjanowi, by zostali za drzwiami, po czym sam stanął w progu. W panującym półmroku Sejan chwycił go za ucho i rzucił na kolana.

- Co my tu mamy? Małego szpiega?

- Ojej! Precz z łapami, ty draniu.

- To, Sejanie, o czym powinieneś dobrze wiedzieć, jest mój wnuk, Gajusz Cezar Germanik. Mądrze byś zrobił, natychmiast go puszczając i przepraszając za napad na członka cesarskiej rodziny.

Sejan puścił ucho Kaliguli, jakby było rozpalonym żelazem, obrzucił Antonię pełnym nienawiści spojrzeniem i ruszył energicznym krokiem korytarzem. Antonia uśmiechnęła się, po czym weszła do pokoju i zajrzała za drzwi.

- Tak myślałam - powiedziała, kiedy w mroku rozpoznała Sabinusa i Wespazjana. - Wychodźcie.

Bracia wyszli posłusznie ze zmieszanymi minami.

- Cóż, pewnie wszystko słyszeliście?

- Tak, babko; uważam, że doskonale sobie z nim poczynałaś.

- Powiedziałam, że będzie to dla niego irytujące doświadczenie, i rzeczywiście przyniosło mi ono sporo satysfakcji. Jednakże, Wespazjanie, ty zdecydowanie nie jesteś bezpieczny. Gdyby on cię pochwycił, to życzyłbyś sobie jak najrychlejszej śmierci przez te długie dni życia, jakie by ci jeszcze zapewnił.

Wespazjan pobladł.

- Wobec tego udam się na północ. Czy Azyniusz załatwił mi już przydział?
- Dowiem się tego nazajutrz. A teraz już rzeczywiście pójdę spać, co i wam radzę
uczynić. Dobranoc wszystkim - powiedziała i zniknęła w głębi korytarza.

*

Wespazjan zamknął drzwi swojego pokoju, usiadł na łóżku i dokonał oceny sytuacji. Musiał opuścić Rzym na dłuższy czas, dopóki w umyśle Sejana nie zamaże się jego obraz. Cztery lata służby wojskowej powinny wystarczyć, ale oznaczało to cztery lata bez oglądania Cenis; zresztą ona i tak była straconą nadzieją i lepiej byłoby, gdyby o niej zapomniał. Cztery lata to wystarczająco długi okres, by tak się stało.

Kiedy już wszystko przemyślał, rozebrał się, wsunął pod koc i zamknął oczy, starając się nie słyszeć ryku szalejącej na dworze wichury. Usłyszał pukanie do drzwi.

- Kto tam? - odezwał się zdziwiony.

Drzwi się otworzyły i Wespazjan wciągnął gwałtownie powietrze.

- Cenis, co ty tu robisz? - Poczul w ustach nagłą suchość.

- Moja pani powiedziała, że powinnam przyjść i podziękować ci za to, co dziś wieczorem zrobiłeś. - Podeszła do łóżka.

- Cóż, to miłe, ale przecież podziękowałaś już nam wszystkim wcześniej - odparł, a serce biło mu tak mocno, że aż sam słyszał drzenie w swoim głosie.

Usiadła w nogach łóżka.

- Wiem, ale pani powiedziała, że powinnam przyjść i naprawdę ci podziękować.

- O, rozumiem - powiedział słabym głosem.

Miał już przedtem kobiety, prawdę mówiąc, nawet całkiem sporo, ale zawsze były to niewolnice należące albo do jego rodziców, albo do babki. One się nie wzbraniały z obawy przed karą. Cenis to zupełnie ktoś inny. Choć niewolnica, była pierwszą kobietą, która powodowała, że czuł się odurzony nawet wtedy, kiedy tylko o niej myślał. Pragnął Cenis najbardziej na świecie, ale nie wbrew jej woli; a to przecież Antonia kazała swojej niewolnicy przyjść do niego.

Dziewczyna zsunęła z ramion luźną tunikę, odsłaniając te piękne piersi, które zauważył już podczas tamtej wieczery. Czul narastające podniecenie.

- Cenis, nie powinnaś - wyszeptał.

- Dlaczego nie? - spytała, wstając, a tunika osunęła się jej do kostek. W słabym świetle lampki oliwnej widział łagodną krągłość jej brzucha, gładką krzywiznę bioder i delikatną miękkość pozbawionego owłosienia wzgórka łonowego. Dała krok poza leżącą na podłodze tunikę.

- Ponieważ nie chcę, byś robiła cokolwiek wbrew swojej woli - odparł ochryple.

- Kto powiedział, że jestem tutaj wbrew mojej woli? - Usiadła na łóżku tuż obok niego i położyła mu dłoń na klatce piersiowej.

- Antonia kazała ci przyjść.

- Moja pani rzeczywiście zasugerowała, żebym przyszła i ci podziękowała, ale jednocześnie pozwoliła mi tu zostać. Jestem jej własnością i nie oddałabym ci się bez jej zgody, ale teraz, kiedy już ją mam, nie pragnę niczego więcej, jak być tej nocy z tobą.

Przesunęła dłonią w dół jego brzucha, dotknęła nabrzmiałego członka i uśmiechnęła się.

- Mmm, chyba też masz ochotę udzielić swojej zgody.

Podniósł rękę i wierzchem dłoni przesunął po jej sutkach; zadrżała bezwiednie i westchnęła z rozkoszy.

- Jak najbardziej wyrażam swoją zgodę - wymamrotał, ujmując jej głowę od tyłu i przyciągając dziewczynę do siebie. Jej palce zacisnęły się mocniej, a ona spojrzała mu prosto w oczy.

- Wespazjanie, jesteś piękny - wyszeptała.

- Ty też, Cenis.

Uśmiechnął się i głaszcząc jej gęste, pachnące włosy, złączył się z nią pocałunkiem, który jeśli o niego chodziło, mógłby trwać wiecznie.

Rozdział czternasty

Wespazjan obudził się po krótkim, ale odświeżającym śnie. Wiatr ucichł i przestało padać. Czuł ciepło ciała dziewczyny i przewrócił się na bok, by w słabym świetle świtu podziwiać jej urodę. Przesunął dłoń w dół jej pleców, ułożył delikatnie na jednym z pośladków, pozwalając palcom zagłębić się w ciepłym rowku. Jęknęła cichutko i znowu zaczęła równo oddychać. Myśląc, że najlepiej będzie, jeśli obudzi ją tkliwą pieszczotą, zaczął muskać ustami jej szyję, a palcami powędrował niżej. Obróciła się i objęła go ramieniem, przysuwając się bliżej i całując w usta. Rozchyliła wargi i popatrzyła na niego oczyma przepelnionymi miłością.

- Jak ci się spało? - spytała cicho, po czym nagle rozejrzała się po pokoju i usiadła. - Na Minerwę! Pani będzie wściekła. - Wskoczyła z łóżka i włożyła tunikę.

- O co chodzi?

- Już dawno świtało i powinnam usługiwać swojej pani, wykładać szaty, z których wybierze sobie jakąś na dzisiaj, przygotowywać wszystko do układania fryzury.

- Zobaczymy się jeszcze przed moim wyjazdem? - spytał Wespazjan, przypomniawszy sobie, że mogą minąć cztery lata, zanim znów się spotkają.

- Nie wiem, ale jeśli nawet, to nie będziemy mogli porozmawiać. - Popatrzyła na niego z taką czułością, że poczuł, jak serce mu zamiera. - Będę na ciebie czekała, Wespazjanie. Kto wie, może za cztery lata, jeśli będę dobrze pracować dla swojej pani, zostanę wyzwolona... nie brak jej wielkoduszności.

- Ale August zezwolił na wyzwalenie niewolników, którzy mają co najmniej trzydzieści lat.

Włożyła sandały i pochyliła się nad łóżkiem, żeby obdarzyć go krótkim, gorącym pocałunkiem.

- Wiem, ale żyję nadzieją, że prawo nie musi dotyczyć ludzi mających władzę. - Poglaskała go po policzku. - Muszę już iść - powiedziała.

- Czekaj! Powiedz mi coś jeszcze. Kiedy byłaś w celi, schodami zszedł rostry mężczyzna, a ty przeraźliwie krzyknęłaś. Dlaczego?

Zbladła na to wspomnienie i zaczerpnęła powietrza.

- Bo to on miał mnie torturować. Z ogromną przyjemnością pokazywał mi narzędzia, jakich będzie używał. Przerazał mnie, głównie dlatego, że nie mógł się tego doczekać.

- Kto to taki? - spytał Wespazjan, obejmując ją.

- To wyzwoleniec Sejana. Ma na imię Hazdro.

Pocałowała go jeszcze raz i wybiegła z pokoju. Wespazjan uniósł dłoń do twarzy, zamknął oczy i chłonąc z palców jej woń, zastanawiał się, jak zniesie te cztery lata, kiedy nie będzie widział Cenis, dotykał ani czuł jej zapachu i smaku.

*

W końcu wstał z łóżka i obmył twarz w misce z zimną wodą, którą poprzedniego wieczoru postawiono na szafce. Rozległo się pukanie i w drzwiach pojawił się Kaligula, z uśmiechem, który zdawał się nigdy nie opuszczać jego twarzy.

- Co za noc, hę? Tyle zabawy, a tobie jeszcze trafił się miły akcent w postaci bardzo ci wdzięcznego dziewczęcia.

- Co takiego? Skąd to wiesz? - oburzył się Wespazjan.

- Ja lubię, kiedy są wdzięczne, a ty? - ciągnął Kaligula, udając, że nie słyszy pytania. - Dlatego często biorę sobie brzydulę. Są takie wdzięczne, że zrobią wszystko, co zechcesz, wszystkim, co zechcesz, a na dodatek entuzjastycznie.

- Zadałem ci pytanie - przypomniał mu Wespazjan.

- A tak. Wracalem właśnie od Pallasa, którego poprosilem o przyprowadzenie mi tej piersiastej niewolnicy z kuchni, na którą już od dłuższego czasu miałem chrapkę... a tak przy okazji, ona też była bardzo wdzięczna... kiedy zobaczyłem tę rozkoszną Cenis, jak puka do twoich drzwi, a potem za nimi znika.

Wespazjan poczerwieniał i próbował to ukryć, wycierając twarz ręcznikiem.

- Och, daj spokój - powiedział Kaligula, szczerząc się do niego. - Nie ma najmniejszego powodu do zażenowania. Jak powiedziałem, wszyscy mamy swoje potrzeby, i uważam, że ich ignorowanie byłoby obrażą dla bogów. Ostatecznie to oni nas nimi obdarowali. Wyobraź sobie, jakie nudne byłoby to życie, gdybyśmy przez cały czas tłumili nasze pragnienia. Masz wyjątkowe szczęście, bo moja babka zabroniła mi nawet myśleć o dobraniu się do Cenis i groziła najgorszymi karami, gdybym tego spróbował. Wiesz, ona powiedziała tej dziewczynie, że wolno jej mnie uderzyć... mnie! Wyobrażasz to sobie?

- Miło mi to słyszeć. - Wespazjan odczuł ulgę na wieść, że Antonia postanowiła chronić ulubioną niewolnicę przed najwyraźniej nienasyconym apetytem jego nowego młodszego przyjaciela.

- Co byś powiedział na śniadanie? Jestem głodny jak wilk, a ty na pewno też.

- Tak, wdzięczność rzeczywiście zaostrza człowiekowi apetyt - zauważył Wespazjan, zawiązując przepaskę na biodra. Wciągnął tunikę przez głowę, zapiął pas i wsunawszy stopy w kapcie, wyszedł za Kaligulą z pokoju.

*

W jadalni zastali Sabinusa przy śniadaniu. Przyłączyli się do niego i jedli bez pośpiechu posiłek złożony ze świeżo upieczonego chleba, sera i oliwek i popijali słodkim, rozcieńczonym wodą winem, opowiadając o wypadkach minionej nocy... a Kaligula podzielił się z Sabinusem informacją dotyczącą gościa w pokoju Wespazjana.

- No, no, braciszku, więc nareszcie zrezygnowałeś z mułów na rzecz niewolnic... dobra robota. Może nawet już niedługo wpakujesz swojego fiuta w coś, co podda się temu z własnej i nieprzymuszonej woli.

Wespazjan wiedział, że nie ma sensu ścinać się z bratem, zadowolił się więc rzuceniem w niego kawałkiem chleba.

*

Antonia pojawiła się w połowie drugiej godziny dnia.

- Witam was wszystkich, mam nadzieję, że dobrze spaliście.

Wespazjan miał wrażenie, że w jej słowach kryje się pewna aluzja.

Kiedy usiadła, usługujący niewolnik nalał jej kielich rozrzedzonego wodą wina. Popatrzyła na braci.

- Jest tak, jak się obawiałam: trochę wyżej na stoku Sejan zostawił jedną grupę pretorianów, żeby obserwowali dom od frontu, i drugą w bocznej uliczce, żeby mieli oko na bramę na podwórze stajenne. Musimy więc zachować ostrożność - powiedziała i kazała niewolnikowi sprowadzić Pallasa.

- Czy są jakieś wieści od Azyniusza, pani? - spytał Wespazjan.

- Posłałam mu rano wiadomość i obiecał przyjść natychmiast, jak skończy na dzisiaj sprawy z klientami. Miejmy nadzieję, że przyniesie dobre wieści. Pallasie, chcę, by przed stajnią czekały dwie zakryte lektyki - poleciała zarządcy. - Nie przysyłaj ich od frontu, póki Sabinus i Wespazjan się w nich nie ukryją. Kiedy już będziecie w lektykach - zwróciła się do braci - przyniosą je przed dom, gdzie Gajusz i ja szybko do nich wejdziemy i ruszymy na dół, zanim obserwujący nas przyjaciele będą mieć czas zareagować.

- To bardzo pomysłowe, babko - oświadczył Kaligula, ciesząc się już na myśl o kolejnej przygodzie. - Ale jak pozbędziemy się z lektyk Sabinusa i Wespazjana? Nie możemy tak po prostu kazać ich zanieść do domu... na pewno będą nas śledzić.

- Udamy się na Forum. Jest dzień targowy, do miasta przybyło mnóstwo ludzi i koło południa będzie tam całkiem tłoczno. Powinno udać się im wymknąć niepostrzeżenie.

- Dzięki, pani - odezwał się Sabinus.

- To ja powinnam wam podziękować - odparła Antonia. - To, co uczyniliście ubiegłej nocy, nie tylko uratowało życie Cenis, ale dało nam więcej czasu na zebranie silnych dowodów, by przekonać cesarza o winie Sejana.

- Przybyli Tytus Flawiusz Sabinus z małżonką Wespazją Pollą i proszą o spotkanie z tobą, pani. Pragną wiedzieć, gdzie się podziewają ich synowie - oznajmił Pallas, znowu się pojawiając.

- A niech to! - wykrzyknął Sabinus. - Dlaczego nie mogli poczekać cierpliwie w domu?

- Nie sędzę, byśmy mogli winić ojca - powiedział Wespazjan ze zmartwioną miną. - Obawiam się jednak, że niechcący popełnili ogromny błąd, przybywając tutaj. Widzieli ich pretorianie i jeśli pójdą za nimi, Sejan będzie o krok bliżej nas.

- Niestety, możesz mieć rację - powiedziała Antonia, wstając. - Ale już tutaj są, więc powinnam się z nimi zobaczyć. Chodźcie ze mną, wszyscy.

Poprowadziła ich do atrium, gdzie czekała zaniepokojona Wespazja i skonfundowany Tytus.

- Pani! - zawołała Wespazja, podchodząc z wyciągniętymi błagalnie rękoma. - Dziękujemy, że zgodziłaś się nas przyjąć. Gdzie są nasi...? Och! - przerwała, zauważywszy obu synów.

- Matko, nie powinno cię tu być - oświadczył stanowczym tonem starszy. - Dlaczego jej nie powstrzymałeś, ojcze?

- Bo groziła, że wybierze się sama, bez eskorty. Nie mogłem pozwolić, by mnie tak zhańbiono, więc wybrałem mniejsze zło.

Antonia popatrzyła surowo na Wespazję.

- Postąpiłaś bardzo niemądrze, przybywając tu. Na przyszłość weź przykład z Kornelii, żony Tyberiusza Semproniusza Grakcha, która siedziała spokojnie w domu, przędąc wełnę, i pozwalała synom służyć Rzymowi.

- Wy... wybacz, pani - wykrztusiła Wespazja, schyliwszy głowę. - Natychmiast wrócimy do domu.

- Obawiam się, że nic z tego, musicie na razie oboje tu zostać. Pallasie, zaprowadź gości do atrium; wkrótce do nich dołączymy.

Kiedy Tytus i Wespazja odeszli, Antonia zwróciła się do Kaliguli.

- Bądź gotowy. Bo wyjdziemy natychmiast po rozmowie z Azyniuszem.

- Tak, babko.

- Sabinusie, idź i dotrzyмай towarzystwa rodzicom. Wespazjanie, ty zapewne zechcesz sprawdzić, czy nie zostawiłeś czegoś w swoim pokoju.

- Ale ja przecież niczego nie przyniosłem... Och, rozumiem. Dzięki, pani.

- Nie zwlekaj zbyt długo.

- Tak, pani.

Wespazjan pobiegł do swojego pokoju ze ściśniętym żołądkiem; odczuwał wielką radość, że będzie mógł zobaczyć jeszcze Cenis, ale i smutek na myśl o czekającym ich bardzo długim rozstaniu.

Otworzył drzwi; dziewczyna zerwała się z łóżka i objęła go. Przytulił ją do siebie, rozkoszując się słodkim zapachem jej skóry i włosów.

- Nie mogę zostać dłużej - powiedział, rozluźniając uścisk.

- Wiem. Przyniosłam ci to. - Cenis wyciągnęła do niego wiszącą na rzemyku małą srebrną figurkę.

- Co to takiego?

- Zostawiła mi ją matka. To podobizna Ceneusa, wojownika z Tesalii, opiekuna naszego plemienia. Urodziła go kobieta o imieniu Cenis. Pewnego dnia powędrowała daleko od domu, na północ, w dzikie krainy na przedpolu Azji, gdzie nad morzem zobaczył ją Posejdon. Oczarowany jej urodą, nie mogąc się opanować, wziął ją. Potem ona padła na kolana, błagając go, by zamienił ją w mężczyznę, żeby już nikt nigdy nie mógł jej zgwałcić. Posejdon bardzo się wstydził swojego czynu i chciał zadośćuczynić dziewczynie krzywdę. Nie tylko przemienił ją w mężczyznę, ale również spowodował, że żadna broń nie mogła go uśmiercić.

- Musiał dożyć późnej starości.

- Niestety nie, zawsze znajdzie się jakaś luka. Padł w boju z centaurami. Zmiażdżyli go kłodami drewna i głazami. Kiedy umarł, przemienił się z powrotem w kobietę pochowaną jako Cenis. Weź to i noś, mój ukochany, a ja będę się modlić do Posejdona, by obdarzył cię tym samym. Sam jednak musisz unikać centaurów uzbrojonych w kłody drewna.

- Myślę, że to akurat mi się uda - odparł z uśmiechem.

- Dbaj o siebie. - Wyciągnęła rękę, włożyła mu rzemyk na szyję i pocałowała go.

- Dziękuję ci. Będę to zawsze nosił, wiedząc, że ty o mnie myślisz. - Przyciągnął ją delikatnie do siebie i poczuł, jak łąka.

- Idź - powiedziała po chwili i odwróciła się.

Wespazjan spojrział na nią ostatni raz i szybko wyszedł z pokoju, czując, jakby rozdzierało mu się serce.

*

W atrium Sabinus rozmawiał z rodzicami. Kiedy Wespazjan podszedł, ojciec podniósł na niego wzrok.

- Mój chłopcze, twój brat powiedział nam dość o zaistniałej sytuacji, by było mi szczerze wstyd. Mogę tylko przeprosić za naszą pochopną decyzję, by tu się pojawić. Czy mógłbym w czymś pomóc, żeby się zrehabilitować?

- Już dobrze, ojcie, rozumiem, że matka się bardzo martwiła, kiedy nie wróciliśmy na noc. Powinniśmy byli posłać wiadomość przez Magnusa, jednak wszystko po prostu toczyło się zbyt szybko.

- Martwić! - wykrzyknęła Wespazja. - Całą noc nie spałam, bo nie wiedziałam, gdzie jesteście i co się dzieje. Gajusz nie puścił pary z ust i...

- Dość, kobieto! - krzyknął Tytus, zrywając się z miejsca. Nieznośny upór małżonki wyprowadził go wreszcie z równowagi. - Nie wszystko musisz wiedzieć, czasami masz cierpliwie czekać i lepiej to sobie zapamiętaj, jak powiedziała Antonia. A teraz powściągnij język.

Usiadł z powrotem i energicznym gestem poprawił togę.

Ani Wespazjan, ani Sabinus nie słyszeli nigdy, żeby ojciec mówił w ten sposób do matki, i przygotowali się na wybuch z jej strony, ale nic takiego nie nastąpiło. Przeciwnie, Wespazja złożyła ręce na podołku i opuściła wzrok na podłogę w skromnej pozie rzymskiej matrony.

Z korytarza dobiegł ich głos Antonii, a kiedy weszła do pokoju w towarzystwie Azyniusza, mężczyźni wstali.

- Nasz szacowny były konsul ma dla was bardzo dobre wieści - oświadczyła z uśmiechem.

- To prawda. - Filigranowy mężczyzna gestem pokazał, by usiedli.

- Sabinusie, załatwiłem ci stanowisko w mennicy. Będziesz nadzorował bicie wszystkich miedzianych i srebrnych monet. To stanowisko niesie wiele pokus, więc im nie ulegaj... a jeśli już ulegniesz, nie daj się złapać. Chcę, byś bacznie się przyglądał temu, co dzieje się z finansami państwa, a nie marnował czas na jakiejś wyspie, kiedy wygnają cię z Rzymu za drobną kradzież.

- Tak, konsulu, dziękuję.

- Nie jestem już konsulem, zatem zwracaj się do mnie po imieniu.

- Wybacz, Azyniuszu.

Wespazjanowi chciało się śmiać z gafy i widocznego zażenowania brata.

- Wespazjanie, Pomponiusz Labeo zgodził się przyjąć cię do Czwartego legionu *Scythica*, gdzie będziesz służył jako *tribunus augusticlavius*. Stopień trybuna wojskowego „z cienkim paskiem”, bez komendy nad jakimkolwiek oddziałem, jest najniższym z najniższych stopniem oficerskim, ale ty będziesz służył w jego sztabie, co dla naszych celów jest idealnym rozwiązaniem. Kiedy dotrzesz do Tracji, zameldujesz się najpierw u Gajusza Poppeusza Sabinusa, który jest tam głównodowodzącym.

- Dziękuję, Azyniuszu.

- No tak, zrób, co do ciebie należy, a wtedy ja podziękuję tobie. Wiedz, że na północ od Genui tworzy się kolumna świeżych rekrutów; musisz tam być na początku przyszłego tygodnia. Masz więc czternaście dni, co powinno ci w zupełności wystarczyć. - Podał Wespazjanowi dwa zwoje. - Twój list polecający i przepustka wojskowa, nie zgub ich.

- Nie zgubię - powiedział Wespazjan, rozwijając i czytając dokumenty.

Azyniusz spojrział na Tytusa i Wespazję.

- Antonia powiedziała, że jesteście rodzicami tych młodzieńców. Miło mi was poznać.

- Wyciągnął rękę do Tytusa, który z wdzięcznością ją przyjął.

- To honor, Azyniuszu.

- No cóż. Zdaje się, że mamy problem, ponieważ widziano was, jak się tu kierowaliście.

- Mogę jedynie przeprosić, że mieszałyśmy się w sprawy, których nie rozumiemy.

- Trudno, stało się. Nie możecie jednak wracać do domu senatora Pollona, bo wtedy powiązano by go z nami, co by naraziło zarówno jego, jak i waszych synów na wielkie niebezpieczeństwo.

- Czy nie możemy po prostu udać się do naszego domu w *Aquae Cutillae*? - spytała Wespazja.

- Niestety nie. Będziecie musieli zatrzymać się na jakiś czas u mnie, zanim uda mi się wyprawić was za miasto.

Tytus spojrział kwaśno na małżonkę.

- Na mnie już czas - oświadczył Azyniusz i zwrócił się do Wespazjana. - Powodzenia - powiedział - i pamiętaj, nie ufaj nikomu i niczego nie zapisuj.

- Tak, Azyniuszu, dziękuję.

- Doskonale. Zostawię was teraz, byście się mogli pożegnać. Antonio, słówko na boku, jeśli można?

Kiedy odeszli, Tytus popatrzył na synów.

- Nie wiem, o którego z was bardziej powinienem się martwić, o Wespazjana w wojsku czy o Sabinusa pod nosem Sejana tutaj, w Rzymie. - Ujął ramię Wespazjana. - Jedź do Genui, podążając wzdłuż via Aurelia, a nie drogą w głąbi lądu, to będziesz się mógł zatrzymać na kilka dni u swojej babki. Jest sędziwa, a ciebie bardzo długo nie będzie. Przekaż jej moje pozdrowienia.

- Dobrze, ojcze - odparł Wespazjan, z radością myśląc o tej wizycie.

- Żegnajcie, chłopcy. - Tytus uściskał synów. - Jestem dumny, że służycie Rzymowi.

Wespazja ucałowała ich obu.

- Nie było mi łatwo ostatnio, kiedy nie mogłam wam pomóc w podejmowaniu decyzji. Wybaczcie. I dbajcie o siebie. Niech bogowie będą z wami.

Wespazjan i Sabinus ruszyli za Pallasem, który czekał w korytarzu. Na dziedzińcu przed stajniami stały dwie kryte lektyki, a dwa zespoły nubijskich tragarzy czekały w cieniu. Sześciu barczystych członków ochrony, uzbrojonych w pałki i kije, rozmawiało przyciszonymi głosami.

- Proszę, aby każdy z panów wsiadł do innej lektyki - powiedział Pallas. Złożył leciutki ukłon i gestem wskazał lektyki, nie tracąc nic ze swojego uprzejmego i oficjalnego zachowania nawet podczas organizacji ucieczki. - Dopilnujcie, żeby zasłonki były zaciągnięte, i siedźcie pośrodku, by wasz ciężar rozkładał się równo na tragarzy z przodu i z tyłu. Chcemy, by lektyki robiły wrażenie pustych, kiedy pojawią się od frontu.

Wespazjan wsiadł do lektyki, tej samej, w której kilka dni wcześniej widział Cenis, i zapadł się w miękkie poduszki. Przy zaciągniętych zasłonkach natychmiast zrobiło się duszno; na szczęście po kilku chwilach usłyszał okrzyk i poczuł, że lektyka się unosi. Kolejny okrzyk i tragarze ruszyli. Poczuł, że skręcają w lewo, i słyszał, jak brama zamyka się za nimi. Lektyka poruszała się tak stabilnie, że Wespazjan, który nic nie widział, miał wrażenie, jakby unosił się w powietrzu. Czuł, że znów skręcają w lewo, a potem poczuł leciutki wstrząs, kiedy lektyka spoczęła na ziemi. Niemal natychmiast wsiadła do niej Antonia, zajmując miejsce naprzeciw niego, i lektyka znowu się uniosła.

- Nasi przyjaciele będą obserwować nas z pewnej odległości - powiedziała, wruszając poduszkę i usadawiając się wygodnie. - Nie ośmiela się jednak zatrzymywać mnie w miejscu publicznym.

Wespazjan miał nadzieję, że kobieta się nie myli.

Lektyka sunęła teraz nachylona nieco do przodu pod lekkim kątem i Wespazjan zgadywał, że posuwają się w dół stoku. Antonia uchyliła leciutko zasłonę i rozejrzała się. Szybko jednak cofnęła głowę.

- Kolejnych sześciu pretorianów pojawiło się przed nami... musieli czekać u stóp wzgórza. Jesteśmy otoczeni. Nie mam pojęcia, jak wysadzić cię gdzieś niezauważenie.

- Czy Sabinus i Kaligula są przed nami, czy za nami, pani? - spytał Wespazjan.

- Za nami. Dlaczego?

- W takim razie każ tragarzom przyspieszyć - odparł Wespazjan. - Pretorianie z przodu albo też przyspieszą, albo zostaną z tyłu.

Antonia wystawiła głowę przez przednią zasłonkę.

- Szybciej! - zawołała.

Lektyka szarpnęła lekko, kiedy tragarze zwiększyli tempo.

- Zerknij, pani, czy pretorianie i ta druga lektyka dotrzymują nam kroku.

- Dotrzymują - powiedziała Antonia, wyrzawszy ponownie.

- Doskonale, przyspieszmy jeszcze bardziej.

Antonia wydała rozkaz i tragarze pobiegli. Lektyka zaczęła się lekko huścić i Wespazjan nareszcie czuł, że rzeczywiście znajduje się w ruchu. Zdecydował się na jeden krótki rzut oka. Przez wąską szparę między zasłonkami zobaczył, że znajdujący się przed nimi pretorianie biegną, a ich dowódca zerka od czasu do czasu przez ramię. Z tyłu tragarze lektyki Sabinusa i Kaliguli, i sześciu pretorianów za nią nadążali za nimi. Po obu stronach biegli członkowie ochrony Antonii, wymachując kijami i pałkami, gotowi powstrzymać każdego przed zbliżeniem się do lektyk.

- Dokąd prowadzi ta ulica? - spytał Wespazjan.

- Do via Sacra, odległej o jakieś ćwierć mili, a potem skróćmy w lewo, ku Forum.

- Czy jest jakaś ulica równoległa do tej?

- Tak, po lewej stronie.

- Dobrze, każ im jeszcze zwiększyć prędkość, pani.

Antonia wydała polecenie i lektyka przyspieszyła.

- Szybciej się już nie da - oświadczyła Antonia, trzymając się mocno krawędzi ścianki, podczas gdy lektyka huściła się i szarpała, bo przy tej szybkości tragarzom było trudno utrzymać równy krok.

- Na mój rozkaz każ im, pani, skrócić w lewo - powiedział Wespazjan, wyglądając na tę właśnie stronę.

Widział, jak pretorianie z przodu pędzą, by utrzymać się przed nimi, starając się zachować w okrążeniu obie lektyki. Przechodnie uskakiwali na zatłoczone chodniki, na widok tej niewielkiej falangi uzbrojonych gwardzistów pędzących w dół skoku oraz dwóch lektyk za nimi, niesionych przez ogromnych czarnoskórych Afrykanów.

Wespazjan dostrzegł zbliżający się wylot wąskiej uliczki; spojrzał na Antonię i podniósł prawe ramię.

- Już wkrótce - powiedział - jeszcze chwilka... momencik.

Pretorianie minęli uliczkę z pełną prędkością; kiedy zrobił to ostatni z nich, Wespazjan opuścił ramię.

- Teraz w lewo! - krzyknęła Antonia.

Tragarze trzymający przednie drągi lektyki zareagowali natychmiast, pociągając za sobą tych przy tylnych drągach. Jakimś cudem wykonano ten błyskawiczny manewr tak, że żaden z mężczyzn nie stracił równowagi. Wespazjan i Antonia kołysali się na boki, kiedy pokonywano zakręt. Młodzieniec zerknął do tyłu i zdążył zauważyć, że druga lektyka właśnie skręciła, a wszyscy pretorianie za nią.

- Nie pozwólcie im nas wyprzedzić! - krzyknął do osiłków z ochrony Antonii.

Skinęli głowami i odstali trochę, by zablokować pretorianów.

- Skręć w prawo! - wrzasnęła Antonia, kiedy dotarli do końca wąskiej uliczki.

Tragarze spodziewali się tego polecenia i skręcili, w miarę gładko, po czym z pełną szybkością pokonali ostatnie sto kroków dzielących ich od via Sacra.

Wespazjan spojrzał do tyłu i zobaczył, że ich ochrona ma problemy z powstrzymaniem pretorianów. Gdyby nie tłumy ludzi na chodnikach po obu stronach ulicy, już by ich prześcignięto.

Spojrzał na Antonię.

- Wskoczę z prawej strony, kiedy będziecie skręcać w lewo, w via Sacra. Miejmy nadzieję, że lektyka zasłoni gwardzistom widok.

- Powodzenia, Wespazjanie. Uciekaj z Rzymu jak najszybciej. - Antonia odwróciła się, wypatrując zakrętu w lewo.

Wespazjan przygotował się do skoku.

- W lewo! - krzyknęła Antonia.

Wespazjan poczuł, jak tragarze reagują na jej rozkaz, i wyskoczył wprost na zatłoczony chodnik. Koziołkując, wpadł na kilku chłopców.

Zerwał się szybko i zaczął przeciskać przez tłum, by się znaleźć dalej od ulicy, kiedy druga lektyka będzie mijać to miejsce.

Odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył, jak obie lektyki znikają mu z oczu, kierując się w stronę Forum, gdzie, jak miał nadzieję, jego brat znajdzie sposobny moment, by się też niepostrzeżenie wymknąć. Mimo że martwił się o Sabinusa, wiedział, że nie jest w stanie mu pomóc. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to wtopić się w tłum, wrócić szybko do domu wuja i poprosić go, by wysłał Magnusa z towarzyszami na poszukiwanie brata. Sam postanowił wynieść się z Rzymu nadchodzącej nocy.

Wpadł w boczną, wąską, ruchliwą uliczkę. Stwierdził, że mimo grzęźnięcia w chlupoczącym łąnie łatwiej mu się idzie niż po chodniku.

Na końcu ulicy skręcił w lewo, jak miał nadzieję, w kierunku Kwirynału. Nagle poczuł na ustach czyjąś dłoń, a na plecach kłujący czubek sztyletu.

- Mój pan bardzo chętnie cię pozna - wyszeptał mu ktoś do ucha. Mężczyzna mówił z wyraźnym obcym akcentem, a w jego oddechu czuło się ostry zapach cebuli i wina.

Wespazjan zamarł. Spojrzeniem poszukał pomocy u przechodniów, ale wszyscy udawali, że nic nie widzą.

- A jeśli będziesz grzeczny, to może spotkasz się z nim w jednym kawałku. Łapy do tyłu - rozkazał mężczyzna.

Młodzieniec, ociągając się, wypełnił polecenie. Poczuł, że sztylet się cofnął, i usłyszał, jak wraca do pochwy. Zaryzykował. Sięgnął rękoma w dół, między nogi napastnika, chwycił go za jądra i ścisnął. Natychmiast poczuł, jak w bark wbijają mu się zęby, a dłoń z jego ust przesuwają się niżej i chwytają go za gardło. Ścisnął jeszcze mocniej. Usłyszał ryk bólu, poczuł, że jest wolny, i ruszył do przodu. Szybki rzut oka za siebie, nim zniknął za rogiem, ukazał mu skręcającego się z bólu mężczyznę na klęczkach. Długie, czarne, natłuszczone włosy zakrywały mu pochyloną twarz.

Hazdro.

Wespazjan pognał przed siebie.

Rozdział piętnasty

W domu czekał Gajusz.

- Jak się masz, drogi chłopcze? - spytał, wytaczając się z gabinetu, kiedy sędziwy odźwierny bez pośpiechu wpuszczał do domu Wespazjana. - Gdzie Sabinus? Czy rodzice was znaleźli? Mówiłem im, żeby się nigdzie nie wybierali. Niestety, kiedy moja siostra czegoś chce, to nic jej nie powstrzyma. Siadaj i opowiadaj, co się wydarzyło.

Zaklaskał w dłonie i kazał niewolnikowi przynieść wina. Wespazjan usiadł i zaczął odzyskiwać oddech. Kiedy podano im wino, zdał szybko wujowi relację z wydarzeń ostatnich dwunastu godzin.

- Jeśli chodzi o Sabinusa - powiedział na koniec - to mam nadzieję, że wkrótce się też tutaj pojawi.

- No to mieliście niezgorszą noc. Szczęście, że żaden z was nie został ranny. Czy Hazdro widział twoją twarz?

- Nie mógł, przez cały czas miałem go z tyłu.

- Prośmy bogów, żeby to była prawda. - Gajusz zmarszczył czoło w zamyśleniu. - Jednego nie rozumiem. Dlaczego Sejan nie udał się prosto do domu Antonii, zamiast gonić Magnusa?

- Nie widział, do którego domu weszliśmy, było ciemno i lało jak z cebra.

- Tak, ale tylko jeszcze jedna osoba wiedziała, że Cenis jest w domu Liwilli i że trzeba ją uwolnić, i tą osobą była Antonia. Dlaczego nie ruszył od razu do jej domu, kiedy dziewczynę uwolniono?

- Nie wiem, może jest po prostu głupi.

- Nigdy nie myśl w ten sposób o Sejanie. No dobrze, ale zajmijmy się teraz tobą, musisz być zmęczony, mój drogi. Wydaje mi się, że potrzebna ci kąpiel i porządny masaż. Każę przygotować i jedno, i drugie.

- Nie kłopotz się, wuju, muszę się pakować. Jeszcze tej nocy wyruszam na północ.

- Mój zarządca spakuje twoje rzeczy. Ty idź i się odpręż. Nalegam, mój drogi. Masz mnóstwo czasu, nie ma jeszcze południa.

Wespazjan poczuł się nagle zbyt zmęczony, by się spierać, i pomaszerował w kierunku łaźni.

*

Godzinę później, ubrany w świeżą tunikę i ze skórą wciąż delikatnie szczypiącą po masażu, który mu zrobił jeden z germańskich chłopców Gajusza, wrócił do atrium, gdzie zastał Sabinusa z Magnusem.

- Twój przyjaciel, Kaligula, dał mi to dla ciebie. - Sabinus rzucił bratu ciężką sakiewkę, która brzęknęła, kiedy Wespazjan ją chwycił. Zajrzał do środka i zobaczył jakieś trzydzieści złotych *aurei*. - Powiedział, że może ci się przydać zapasik na wojnę - dodał Sabinus. Użyj więc ich dobrze i nie wydawaj na muły i niewolnice czy cokolwiek to jest, co cię obecnie rajcuje.

- To bardzo miłe z jego strony, podziękuj mu w moim imieniu, kiedy go zobaczysz - odparł Wespazjan, ignorując złośliwości brata. - Zakładam, że wymknąłeś się niezauważony?

- Z trudem, ale się udało. Widzieli, jak wymykam się z lektyki, ale ochrona Antonii odgrodziła ich na wystarczająco długo, bym zdążył zniknąć w tłumie. Dotarłem niezauważony do siedziby Magnusa, a on tylnymi uliczkami doprowadził mnie tutaj.

- Przyjrzeni ci się?

- Nie. Kaligula dał mi swój płaszcz, żebym mógł zakryć twarz.

- Wróciłeś, Sabinusie, świetna robota, mój drogi chłopcze - zawołał tubalnie Gajusz, wchodząc od strony ogrodu. - Mam nadzieję, że jesteś cały i zdrowy?

- Tak, dziękuję, wuju.

- Świetnie. Świetnie. Aha, Magnus, jak zawsze w doskonałej formie. Musisz być wybrańcem bogów.

- Tego, panie, nie wiem, wiem tylko, że ledwo nam się udało wykołować pretorianów ubiegłej nocy. Ani ja, ani moi chłopcy nie mamy już tej kondycji co kiedyś. To znaczy, kiedy przyjdzie do biegu, jeśli wiesz, co mam na myśli, panie - dodał, szczerząc zęby i klepiąc się w okolicy krocza.

- Jasne, wiem. - Gajusz odpowiedział mu uśmiechem. - A powiedz mi, co takiego zrobiliście, żeby ci pretorianie pobiegli za wami?

- Nic szczególnego, panie, po prostu biegliśmy co sił i robiliśmy przy tym sporo rabanu, żeby odciągnąć tych drani od domu pani Antonii.

- O to mi właśnie chodzi; Sejan przecież wiedział, dokąd oni zdążają z dziewczyną, zatem dlaczego pozwolił się odciągnąć?

- No cóż, ale przecież to nie Sejan nas gonił, prawda?

- Ale go widziałem, kiedy przeskakiwałem przez mur - oświadczył stanowczo Wespazjan.

- Bardzo możliwe, panie, ale on nie pojawił się po drugiej stronie, Mariusz i Sekstus mogą to przysiąc. Obserwowali wszystkich tych drani, jak wynurzają się z uliczki, a potem ruszyli za nimi w dół wzgórza. Grupę, która nas ścigała, prowadził ten nowy trybun, przeniesiony niedawno z nocnej straży.

- Kto to taki, ten nowy trybun? - spytał zaintrygowany Gajusz.

- Jeszcze jeden podlec, dbający wyłącznie o własne interesy, ale czyż my wszyscy nie dbamy o swoje? Wiem tylko, że ma na imię Makron.

- Newiusz Sertoriusz Makron - powiedział, rozciągając słowa, Gajusz.

- Znasz go, wuju? - spytał Wespazjan.

- Owszem, znam, był kiedyś moim klientem, do czasu, kiedy zorientował się, że nie pomogę mu osiągnąć tego, na czym mu zależy.

- Mianowicie?

- A jak sądzisz? Chodziło o przeniesienie do gwardii pretoriańskiej oczywiście... a teraz dopiął swego.

- Cóż, nie zajdzie daleko, jeśli jest takim durniem, że goni po nocy Magnusa, zamiast udać się wprost do Antonii - oświadczył lekceważąco Wespazjan.

- Och, durniem to on nie jest, w żadnym razie. Na pewno już zdążył przysiąc Sejanowi, że był wystarczająco blisko, by stwierdzić, że nikt nie wszedł do domu Antonii, dlatego poprowadził pretorianów dalej.

- Po co miałby to robić? - spytał Sabinus.

- Bo nie zamierzał schwytać dziewczyny, która była atutem Sejana. Woli, by Sejan nie miał pojęcia o szykowanych przeciwko niemu spiskach.

- Dlaczego? - Sabinus nie widział w tym żadnego sensu.

- Nie rozumiesz? Nie chce pomagać Sejanowi w umacnianiu pozycji. Marzy mu się stanowisko prefekta pretorianów. - Gajusz zachichotał. - Sejan powinien się bardziej pilnować, bo mu się szczur zagnieździł. A zgodnie z zasadą, że wróg naszego wroga jest naszym przyjacielem, być może uda nam się wykorzystać tego szczura przeciwko niemu.

*

Wespazjan był gotów do odjazdu w przedostatniej godzinie dnia. Po raz pierwszy włożył wojskowy strój i poczuł dziwną pewność siebie, kiedy szedł do atrium, a czerwony płaszcz wydymał się za jego plecami. *Lorica segmentata* ciążyła mu na piersi, a ochronny fartuszek, wykonany z pasków skóry wzmocnionych polerowanym żelazem, objął mu się o uda okryte białą wełnianą tuniką. Lśniące nagolenice z brązu nieco obcierały, wiedział

jednak, że z czasem w ogóle nie będzie ich czuł. Stał na baczność przed wujem, trzymając w zgięciu łokcia brązowy hełm, ozdobiony białym grzebieniem z końskiego włosia.

- I co, wuju, jak wyglądam?

- Tak, jak zapewne się czujesz, wspaniały okaz mężczyzny, ale niech ci to nie uderzy do głowy... i odepnij miecz, nie wolno go nosić na terenie miasta.

- O tak, rzeczywiście, zapomniałem.

Sprowadzony w ten sposób na ziemię odpiął krótki miecz i wcisnął go do juków, czekających przy drzwiach obok małego worka na ekwipunek.

- Zatrudniłem Magnusa i dwóch jego przyjaciół, by odprowadzili cię bezpiecznie do Genui - powiedział Gajusz, podnosząc rękę, jakby chciał powstrzymać protesty Wespazjana, zanim ten zdążył się odezwać. - Nie bądź niemądry, to oczywiste, że potrzebna ci eskorta, bo niby jak to sobie wyobrażałeś? Samotnie dwieście mil na via Aurelia?

- Zamierzam zatrzymać się na cztery czy pięć dni w posiadłości babki w Kosie, nie muszę stawić się w Genui wcześniej niż przed lutowymi kalendami.

- To bardzo dobrze, przynajmniej kilka nocy będziesz bezpieczny. Drogi chłopcze, nie chcemy, byś wpadł w kłopoty jeszcze przed opuszczeniem Italii, i jestem przekonany, że twoja babka będzie zachwycona spotkaniem z Magnusem.

Wespazjan skrzywił się na samą myśl o tym, ale Gajusz okazał zaskakującą stanowczość.

- Ani słowa więcej, on się tu zaraz zjawi. A teraz, ponieważ nie ma tu twojego ojca, dostaniesz ode mnie trochę pieniędzy na podróż. - Podał mu niewielką skórzaną sakiewkę. - Nie płac złotem od Kaliguli w gospodach i zajazdach, bo wtedy bardzo szybko zwrócisz na siebie uwagę nieodpowiednich ludzi.

- Dziękuję, wuju.

Rozległo się głośnie pukanie; stary odźwierny uniósł się powoli ze swojego stołka i z pewnym trudem otworzył drzwi. Wszedł Magnus, okryty grubym podróżnym płaszczem z niefarbowanej wełny.

- Powinniśmy już ruszać, panie, bo musimy przejść most Emiliusza i znaleźć się na drodze przed zmrokiem; w dzień człowiek wzbudza mniej podejrzeń.

- Oczywiście. Gdzie jest mój brat, wuju?

- Tutaj - odezwał się Sabinus, wchodząc do pokoju. Popatrzył na Wespazjana i z aprobatą skinął głową. - No cóż, braciszku, muszę powiedzieć, że wyglądasz niemal stosownie do swojej roli. Miejmy nadzieję, że będziesz miał odwagę ją odegrać.

- Skoro ty to mówisz, odbieram te słowa jako komplement.

- I słusznie, bo to już ostatni, jaki słyszysz.

- Mam nadzieję, że będzie inaczej - oświadczył Gajusz całkiem poważnie. - A skoro już wyczerpałicie cały zakres czułych braterskich pożegnań, ruszaj, Wespazjanie. Powodzenia, mój drogi. - Chwycił młodzieńca za ramiona i cmoknął w oba policzki. - Napisz, jak już tam dotrzesz, ale nic o naszych sprawach, wyłącznie to, co dotyczy twojej osoby.

- Napiszę. Do widzenia, wuju, i bądź zdrów. Ty również, bracie. - Uwolnił się z uścisku Gajusza, wziął bagaż i wyszedł przed dom, gdzie Mariusz i Sekstus czekali z czterema końmi. Przymocował najpierw juki do swojego wierzchowca, podczas gdy Gajusz zamienił kilka szybkich słów z Magnusem, cały czas poklepując go po ramieniu.

Kiedy już wszyscy byli gotowi, poprowadzili konie w dół Kwirynału, tą samą trasą, którą udawali się do Circus Maximus pierwszego dnia pobytu Wespazjana w Rzymie.

Wespazjan obejrzał się na Mariusza i Sekstusa, po czym nachylił się ku Magnusowi.

- Nie chcę, żeby to zabrzmiało dziwnie, Magnusie - powiedział cicho - ale jaki może być pożytek z Mariusza na koniu?

Magnus wybuchnął śmiechem.

- Słyszysz, Mariuszu? Młody pan zastanawia się, jak zamierzasz walczyć z siodła.

Mariusz i Sekstus odpowiedzieli rehotem.

- Co w tym takiego śmiesznego?

- Cóż, sam pomysł - powiedział Magnus, z trudem tłumiąc śmiech.

- Jaki pomysł?

- Walki z konia, jak jakieś odziane w spodnie dzikusy. Nie, mój panie, wierzchowce służą do podróżowania albo do ucieczki; jeśli dojdzie do walki, stoczymy ją, korzystając z własnych nóg; jesteśmy piechurami, i całkiem z tego dumni. Natomiast ty, panie, jesteś ekwitą; jeśli się dobrze sprawisz, możesz otrzymać dowództwo pomocniczej jednostki kawalerii i wtedy będziesz musiał walczyć z siodła i niech bogowie mają cię w swojej opiece.

Wespazjan przypomniał sobie walkę ze zbiegłymi niewolnikami, zaledwie cztery miesiące wcześniej, i pomyślał, że walka z grzbietu końskiego wcale nie jest taka zła.

Podążali dalej w milczeniu, przepychając się przez mrowie ludzi, aż dotarli do Forum Boarium. Właśnie uprzątało targ bydłocy. Powietrze przepojone było silnym zapachem nawozu, ryczały prowadzone do rzeźni zwierzęta okładane kijami przez małych chłopców. Hodowcy i pośrednicy dokonywali ostatnich transakcji i liczyli pieniądze. Przy stole na podwyższeniu siedział edyl w przetykanej todze z purpurowym szlakiem, nadzorując targ, przyjmując skargi handlarzy i na miejscu rozsądzając ich spory. Kiedy zabierano zwierzęta, setki nieszczęsnych niewolników publicznych zaczynało już zgarniać nawóz do worków,

rozbierać tymczasowe zagrody i ładować na wozy, by można je było wywieźć i przechować do następnego dnia targowego za osiem dni.

Idąc w kierunku Tybru, minęli niewielką okrągłą, krytą dachówką świątynię poświęconą Herkulesowi Zwycięzcy. Była niemal tak wiekowa jak samo miasto; obok znajdował się wielki ołtarz do składania ofiar Herkulesowi. Wespazjan przyglądał się tym wszystkim miejscom i żałował, że nie miał więcej czasu na zwiedzanie; podczas swojego krótkiego pobytu w Rzymie prawie niczego nie widział.

Kiedy zbliżyli się do mostu, znowu smród podrażnił ich nozdrza. Po obu stronach rzeki rozmieszczono liczne garbarnie. Nie brakowało tu wody i można było łatwo pozbywać się ścieków. Przerabianiu suchych sztywnych skór w miękką skórę, na co składało się moczenie ich w ludzkiej urynie, by łatwiej dało się zeskrobać sierść nożem, oraz wcieranie w nie mieszaniny zwierzęcych mózgow i odchodów, by zyskały elastyczność, towarzyszył tak straszliwy fetor, że Wespazjan musiał osłonić płaszczem twarz, kiedy szedł mostem. Spojrzał na rzekę i ze zdumieniem stwierdził, że pośród tych wszystkich nieczystości bawią się i pływają chłopcy.

Kiedy znajdowali się w połowie mostu, zatrzymał ich głośny krzyk.

- Hej, wy tam, z końmi, zatrzymać się!

Wespazjan podniósł głowę. Na końcu mostu, przy wartowni, postawiono oddziałek kohorty miejskiej. Centurion szedł w stronę podróżnych z dwoma podwładnymi.

- Nie podawaj mu prawdziwego imienia - syknął Magnus, dając znak Mariuszowi i Sekstusowi, by nieco odstali.

- Co takiego masz do ukrycia, że chowasz twarz? - spytał centurion, podchodząc do nich.

Wespazjan natychmiast odsłonił twarz.

- Nic, po prostu próbowałem zatkać nos przed tym straszliwym smrodem - odparł zgodnie z prawdą.

- Nie opowiadaj mi tu bajek, synu, wszyscy się do tego przyzwyczaili. Widzisz, żeby ktoś zakrywał twarz jak jakiś podejrzany typ?

Wespazjan popatrzył na mijające go tłumy ludzi i rzeczywiście nikt nie robił wrażenia, że w ogóle zauważał wyziewy z garbarni.

- Przykro mi, centurionie, ale nie jestem do tego przyzwyczajony.

- Gówna prawda, uważam, że zachowujesz się podejrzanie, a ja mam rozkazy zatrzymywać każdego, kto się tak zachowuje. Jak masz na imię? I dokąd się udajesz?

- Gajusz Emiliusz Rufus, a udaję się do Panonii, gdzie będę służył w legionie Dziewiątym *Hispana*. - Wespazjan uchylił płaszcz, żeby pokazać swój wojskowy strój.

- Czyżby? Z takim sabińskim akcentem nie wyglądasz mi na żadnego z Emiliuszów, a na dodatek podążasz w niewłaściwym kierunku. Gdzie są twoje papiery?

- Mam je otrzymać w Genui, dlatego właśnie jestem na via Aurelia.

- Akurat! A kim są te paskudne zbiry, które ci towarzyszą?

- Tulliusz Pryskus, panie, do usług, a to moi współnicy, Kryspus i Saliusz - powiedział Magnus, podchodząc do centuriona. - Ten młody pan wynajął nas, byśmy eskortowali go na północ.

- Cóż, nigdzie się nie ruszycie, dopóki pretorianie dobrze wam się nie przyjrzą. - Centurion zwrócił się do jednego ze swoich żołnierzy. - Idź do wartowni i natychmiast przyprowadź tu trybuna.

Żołnierz ruszył pędem. Magnus dał znak Sekstusowi i Mariuszowi, a sam błyskawicznie ruszył do przodu i pochyliwszy się nisko, uderzył głową w przyrodzenie centuriona. Żołnierz zgiął się wpół. Wkładając w to wszystkie siły, Magnus wyprostował się, unosząc centuriona na ramieniu, i przerzucił go przez balustradę do rzeki. Poszedł na dno jak kamień. Sekstus i Mariusz rzucili się na drugiego żołnierza i nim zdążył mrugnąć, również posłali go w brudne odmęty.

- Na konie i naprzód! - krzyknął Magnus, wskakując na swojego wierzchowca i ruszając z kopyta.

Wespazjan dopadł siodła i pognał swojego konia, szerząc popłoch wśród ludzi, w stronę pozostałych wartowników z kohorty miejskiej, którzy widząc co się dzieje, tworzyli jeden szereg na końcu mostu. Tłum się rozstał, kiedy konie nabrały rozpędu. Wespazjan widział przed sobą Magnusa, a za plecami słyszał głosy dwóch pozostałych z eskorty, popędzających swoje wierzchowce. Żołnierzom, bez tarcz, uzbrojonym jedynie w miecze, ponieważ odbywali służbę na terenie miasta, wystarczyło jedno spojrzenie na pędzące wprost na nich cztery konie, by złamać szyk i jeden przez drugiego uciekać przed kopytami.

- Stać! - Trybun pretorianów wyszedł z wartowni; jego uniesiony miecz celował w klatkę piersiową Magnusa.

Jednym szybkim ruchem Magnus wyciągnął z pochwy swój miecz i zamachnąwszy się, spuścił go na miecz trybuna. Siła uderzenia wytrąciła broń z ręki mężczyzny, a jego samego rzuciła na kolana.

Trybun zareagował błyskawicznie, wyciągając zza *pasa pugio*, długi sztylet, i stanął na drodze Wespazjana. Widząc, że nie ma wyboru, młodzieniec sięgnął do juków i wydobył

miecz. Machnął nim gwałtownie, pozbywając się pochwy, i ruszył na trybuna. W ostatniej chwili skierował wierzchowca w lewo i zamierzył się mieczem, celując w kark mężczyzny. Trybun uchylił się i kiedy Wespazjan go mijał, skierował sztylet w koński brzuch, trafiając w nogę jeźdźca. Ostrze przeszło nagolenicę, wbijając się w łydkę. Koń pędził dalej, pociągając za sobą trybuna, który straciwszy sztylet, wylądował jak długi na ziemi. Wespazjan czuł przenikliwy ból, ale wiedział, że nie wolno mu się zatrzymywać. Pochylił głowę i gnał naprzód, ze sztyletem tkwiącym w łydce, przyciśniętej do miarowo falującego końskiego boku.

Magnus obejrzał się przez ramię i zobaczył, że jego trzech towarzysze pędzą na złamanie karku.

- Jedź przed siebie tak długo, jak tylko wytrzymasz! - zawołał do Wespazjana.

Wespazjan zacisnął zęby i skupił się na jeździe, starając się zapomnieć o bólu, jednak każdy podskok, każda nierówność powodowały drganie sztyletu, który zdawał się wbijać jeszcze głębiej ostrym jak igła czubkiem. Usiłował sięgnąć do nogi, żeby go wyrwać.

- Zostaw - zawołał Magnus, zwalniając i podjeżdżając bliżej niego, żeby zasłonić sterzący sztylet przed oczami przejeżdżających podróżnych, którzy i tak zerkali podejrzliwie na czterech jeźdźców pędzących via Aurelia. - Jak go teraz wyciągniesz, utracisz za dużo krwi. Później zrobimy to należycie.

Wespazjan skinął słabo głową z nadzieją, że to później przyjdzie szybciej.

*

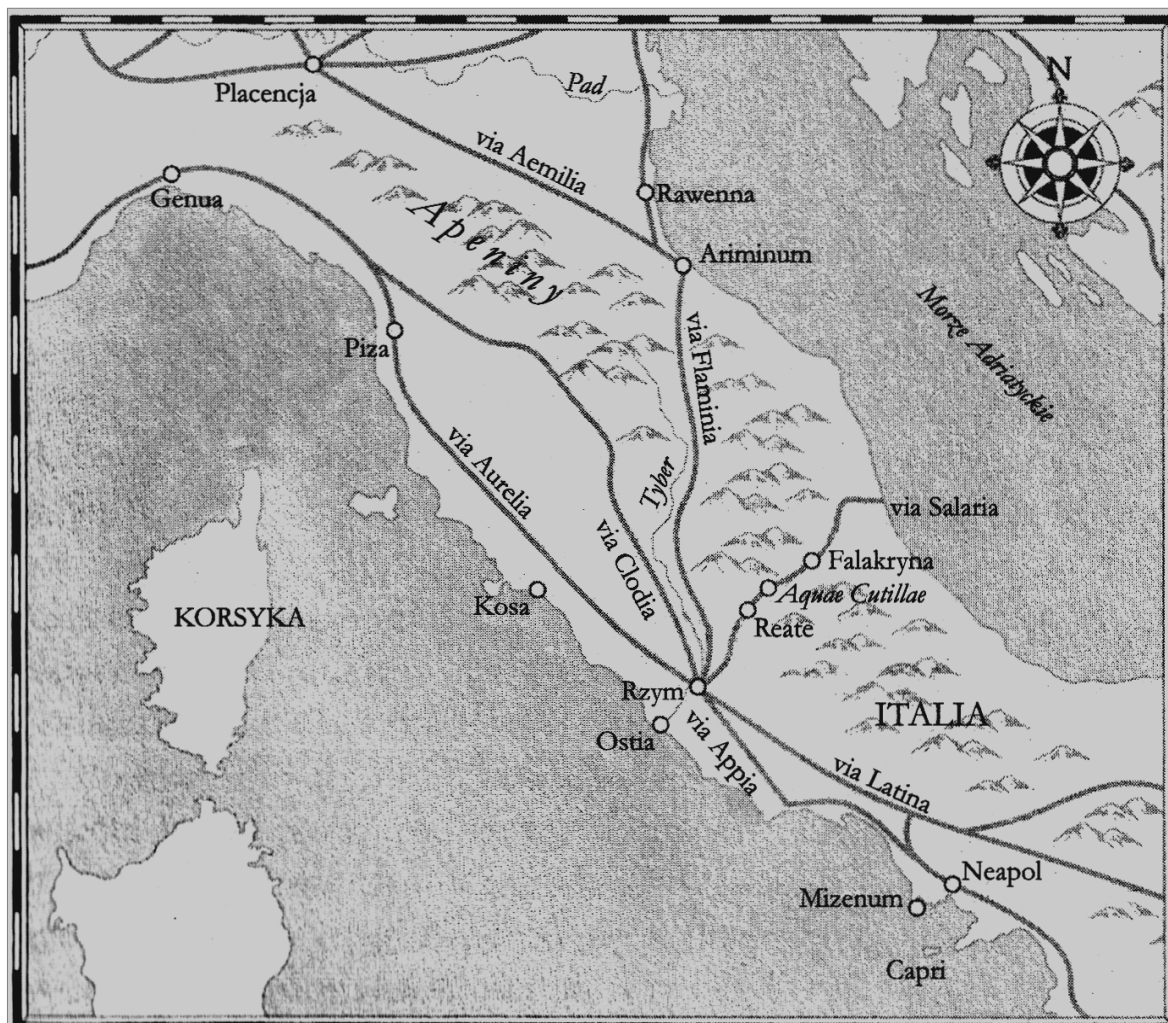
Kiedy słońce zaczęło się złościć i opadać ku horyzontowi, minęli drugi od Rzymu kamień milowy. Nie było widać ani śladu pogoni, a mimo to Magnus bez przerwy ich popędzał. Im dalej byli od miasta, tym mniejszy ruch panował na drodze. Kiedy zapadł mrok, zostali na niej sami.

- No dobrze, chłopcy, zjedźmy z drogi i znajdziemy jakieś miejsce na postój - zarządził Magnus. - Najwyższy czas zająć się twoją nogą, panie.

Zwolnił, skręcił w prawo i zaczął się wspinać łagodnym zboczem. Pozostała trójka ruszyła za nim. Wespazjan miał głowę lekką od utraty krwi, a w nodze czuł nieustanne pulsowanie. Wydostał się z Rzymu, ale nie wiedział, jak długo jeszcze mógłby podróżować w takim stanie.

CZEŚĆ III

VIA AURELIA



Rozdział szesnasty

Wespazjan zsunął się z konia prosto w ramiona Magnusa i czuł, jak ten układa go delikatnie pod drzewem.

- Odpoczywaj tutaj, panie. Chłopcy zbierają drewno na ognisko. Kiedy się już rozpali, będziemy mogli usunąć ten sztylet i cię opatrzyć. - Ostrożnie wyprostował zranioną nogę Wespazjana i kiedy oparł ją na ziemi, ból natychmiast się zmniejszył.

- Gdzie jesteśmy? - spytał słabym głosem młodzieniec.

- Nad strumieniem w dolinie, około mili na wschód od drogi. W pobliżu chyba nikogo nie ma, więc zaryzykujemy rozpalenie ogniska. - Magnus podłożył mu koc pod głowę i przytknął do ust bukłak z wodą. Wespazjan pił łapczywie; utrata krwi wywołała straszne pragnienie. Rozkoszował się chłodną wodą i od razu poczuł się lepiej.

- Głupio postąpiłem tam, na moście, zakrywając twarz. Zupełnie nie pomyślałem.

Sekstus i Mariusz wrócili z naręczami drewna i wzięli się do rozpalania ognia.

- To jeszcze nie najgłupsze, co zrobiłeś, panie... jeśli pozwolisz, że ci to powiem - mówił Magnus, podając mu kawałek chleba z soloną wieprzowiną. - Naprawdę głupie było powiedzenie temu centurionowi, że jedziesz do Genui.

- Ale on chyba się utopił w rzece pod ciężarem swojej zbroi?

- Możliwe, podobnie jak jego towarzysz, ale ten, którego posłał po trybuna, na pewno się nie utopił, a słyszał wszystko, co mówiłeś, i akcent, z jakim to mówiłeś.

- O.

- Tak, rzeczywiście, o... teraz będą nas szukać wzdłuż całej via Aurelia, a w Genui będą szukać trybuna wojskowego ze świeżą raną w prawej nodze, który mówi jak sabiński gospodarz.

- To powinniśmy spróbować ich znacznie wyprzedzić.

- A to już byłoby szczególnie niemądre... panie. Po pierwsze, musisz odzyskać siły, a po drugie, w tej właśnie chwili oni zapewne mijają miejsce, w którym zjechaliśmy z drogi.

- W jaki sposób to sobie wyliczyłeś?

- Cóż, pół godziny zajęło im przesłanie wiadomości do obozu pretorianów po drugiej stronie miasta; potem kolejne pół godziny dla oddziału jazdy na dotarcie do via Aurelia, co daje nam nad nimi godzinę przewagi. Zjechaliśmy z drogi godzinę temu. To bardzo proste.

- Rozumiem. W takim razie najlepiej będzie postępować zgodnie z pierwotnym planem: pojechać do posiadłości mojej babki w Kosie, stąd to jeden dzień szybkiej jazdy. Możemy zaszyć się tam na jakiś czas, dopóki moja noga się nie zagoi i nie ucichnie cały ten szum. Potem będziemy musieli po prostu poczekać i zobaczyć, co dalej.

- Jest to niewątpliwie jakiś plan, panie, zresztą jedyny, jaki mamy, więc niech będzie Kosa. Najpierw jednak musimy się zająć sztyletem Makrona.

- Makrona?

- Tak. To na Makrona się zamachnąłeś, a potem ukradłeś mu sztylet, i jestem pewien, że on zechce go odzyskać.

- Nie ukradłem go.

- No cóż, ty go masz, a on go nie ma i najlepiej, żeby tak już zostało. Jedno jest jednak pewne, on na pewno dokładnie mi się przyjrzał. Przez jakiś czas nie mogę się pokazywać w Rzymie, więc najlepiej dla mnie byłoby pojechać z tobą, panie, jeśli ci to pasuje.

- Dlaczego nie, ale jak chcesz to zrobić? Wstąpisz do legionu?

- Też coś. Nie, pojedę z tobą jako twój wyzwolieniec, młodzi panowie często biorą ze sobą na kampanię osobistego niewolnika albo wyzwolenca. Nie będzie w tym nic niezwykłego.

Wespazjan był zbyt zmęczony, by się spierać... zresztą nawet nie miał na to ochoty. Czuł, że dobrze będzie mieć przy sobie kogoś takiego.

- Biorę twoje milczenie za zgodę. A teraz odpręż się, panie, będzie bolało.

Młodzieniec ułożył wygodnie głowę na kocu i podniósł oczy na księżyc, prawie już w pełni. Jego łagodne światło przesączało się przez bezlistne gałęzie drzew porastających brzeg strumienia, obrysowując je srebrzyście. Od dołu padał na nie migotliwy pomarańczowy blask ogniska.

Magnus wyjął miecz i włożył go w płomienie, po czym wrócił do rannego i przyklęknął. Sztylet wszedł w łydkę dość głęboko, jednakże przebita nagolenica trzymała go w miejscu. Magnus pociągnął lekko za trzonek, żeby sprawdzić, jak mocno żelazne ostrze tkwi w brązie. Tkwiło bardzo mocno.

Wespazjan wrzasnął.

- Przepraszam, panie, tylko sprawdzam, co trzeba zrobić. Jedno mogę powiedzieć, miałeś naprawdę dużo szczęścia. Gdyby nie nagolenica, sztylet przebiłby ci nogę na wylot i wbił się w konia. Aresztowano by cię i miałbyś ogromne problemy z chodzeniem. Co prawda po tym, co Sejan by ci wyszykował, nie miałbyś w ogóle potrzeby chodzić.

- Więc rozpatrujemy tę jaśniejszą stronę sytuacji? - spytał młodzieniec, krzywiąc twarz.

- Jak najbardziej, panie. - Magnus obejrzał się na swoich towarzyszy. - Słuchajcie, chłopcy, to robota dla trzech. Sekstusie, ty trzymasz nagolenicę. Oderwiesz ją wtedy, gdy wyrwę sztylet.

- Trzymać, a potem oderwać... tak jest - powtórzył Sekstus, starając się niczego nie pomylić.

- Mariuszu, kiedy nagolennik zostanie zdjęty, wyjmiesz miecz z ognia, przyłożysz czubek płaską stroną do rany i przytrzymasz, dopóki nie powiem dość.

- Rozumiem - powiedział Mariusz zadowolony, że znalazło się zadanie odpowiednie dla jednorękiego.

- Postaramy się zrobić to szybko, panie. - Magnus podał Wespazjanowi gruby patyk. - Zagryź to.

Chłopak posłusznie wykonał polecenie i przygotował się wewnątrz.

- Lepiej, żebyś nie patrzył, panie. Gotów?

Wespazjan zamknął oczy i skinął głową.

- No dobra, chłopcy - powiedział Magnus, opierając stopę na jego kostce i chwytając rękojęść sztyletu obiema rękoma. - Na trzy. Jeden, dwa, trzy.

Wespazjan usłyszał zgrzyt metalu o metal i poczuł w nodze silne szarpnięcie. Zalała go fala oślepiającego bólu; nieco ustąpiła, kiedy zerwano nagolennik, a potem ból przeobraził się w torturę nie do zniesienia. Do jego nozdrzy dotarł zapach palonego ciała i stracił przytomność.

*

- Obudź się, panie, musimy ruszać.

Wespazjan czuł, jak wyciągają go z nienaturalnie pozbawionego marzeń sennych snu. Otworzył oczy; wciąż było ciemno. Magnus klęczał przy nim i potrząsał za ramię.

- Jak się czujesz?

- Lepiej, dzięki, Magnusie, choć nogę mam sztywną jak deska. - Ostrożnie dotknął łydki i poczuł szorstki bandaż. - Jak to wygląda?

- Nie najgorzej... przypalaniem zatamowaliśmy krwawienie i zamknęliśmy ranę. Wszyscy po kolei na nią sikaliśmy. Tak robiła moja babka, kiedy nie miała pod ręką octu.

Wespazjan wykrzywił w uśmiechu twarz.

- Jestem pewien, że przy tym, ile wszyscy razem wypijacie, rezultat musi być nie gorszy niż w wypadku octu.

- Z pewnością, panie. Powinniśmy zjeść teraz jakieś śniadanie i o pierwszym brzasku ruszyć w drogę.

Sekstus przyniósł im chleb i ser, a potem zaczął zasypywać ślady po ognisku, podczas gdy Mariusz trudził się napełnianiem bukłaków wodą ze strumienia.

- Którędy powinniśmy pojechać? - spytał Wespazjan z ustami pełnymi sera.

- Pretorianie wiedzą, że jesteś ranny, i domyślili się, że musieliśmy stanąć zaraz po zmroku, żeby się tobą zająć. Wyliczyli więc sobie, że jeśli jechali dalej przez dwie czy trzy godziny nocy, to na pewno nas wyprzedzili. Zatem wystarczy, że ustawią na drodze blokadę i wyślą patrole na obie jej strony, by nie pozwolić nam jej ominąć.

- Wygląda mi na to, że znaleźliśmy się w pułapce - powiedział Mariusz, wciąż męcząc się z napełnianiem bukłaków. - Może powinniśmy skierować się na wschód, ku via Aemilia Scauri. Biegnie nie dalej niż dwadzieścia mil stąd i też kończy się w Genui.

- Myślałem o tym, kolego, ale oni wiedzą, dokąd zmierzamy, więc i tamtej drogi pilnują.

- No to co nam pozostaje, Magnusie? - spytał Sekstus. - Powrót do Rzymu?

- W żadnym razie, przez najbliższe dni będą sprawdzać każdego, kto przybywa do miasta. Nie, chłopcy, musimy po prostu jechać dalej na przełaj, mieć oczy szeroko otwarte i postarać się prześlizgnąć obok nich. - Magnus wstał. Zza horyzontu wyjrzały pierwsze promienie słońca i ziemia pokryła się długimi cieniami drzew. - No już, chłopcy, na koń. A tobie, panie, nie radzę wkładać tego czerwonego płaszcza, bo odrobinę za bardzo rzuca się w oczy, jeśli wiesz, panie, co mam na myśli. Proszę, weź mój.

Wespazjan bez dyskusji owinął się ciepłym wełnianym płaszczem, a swój wojskowy zapakował do worka z ekwipunkiem. Udało mu się dosiąść wierzchowca bez niczyjej pomocy, jednak wysiłek spowodował zawrót głowy i musiał przytrzymywać się końskiej szyi, żeby dojechać do siebie.

- Wszystko w porządku, panie? - spytał zaniepokojony Magnus.

- Nic mi nie jest, dzięki - odparł Wespazjan, kiedy świat przed jego oczyma przestał tańczyć.

- W każdym razie będziemy posuwać się powoli, żeby nie wpaść nierozważnie na jakiś patrol. Staraj się więc wytrzymać, panie, i daj znak, jeśli będziesz się chciał zatrzymać.

Magnus trącił końskie boki piętami i ruszył naprzód; Wespazjan pojechał za nim, prosząc bogów o siły, by mógł przetrwać ten dzień.

*

Mając via Aurelia jakąś milę na lewo, jechali na przełaj po bezdrożu. Krajobraz był pagórkowaty; pola uprawne przecinały małe dróżki i gdzieniegdzie pojawiał się lasek lub gaj oliwny. Kiedy zauważyli budynki gospodarstw albo jakąś posiadłość, okrążali je, unikając ciekawskich oczu, wciąż jednak kierując się na północny zachód. Momentami w dali, kilka mil po lewej, prześwitywało morze, co pomagało im utrzymywać kierunek, jako że słońce z rzadka tylko pokazywało się między gęstniejącymi stale chmurami. Po kilku godzinach, w czasie których pokonali ponad dziesięć mil, Magnus zatrzymał się i zwrócił do towarzyszy.

- Z moich wyliczeń wynika, że jesteśmy prawie na wysokości blokady drogi, więc uważajcie na patrole. Od tej chwili trzymamy się lasów, gajów oliwnych i koryt rzecznych. - Popatrzył na Wespazjana, który wydawał się bardzo blady. - Sekstusie, daj coś do jedzenia młodemu panu.

Sekstus przeszukał szybko swoje juki i wyciągnął kawałek solonej wieprzowiny. Wespazjan łapczywie zatopił w niej zęby.

W połowie przedpołudnia niebo zaciągnęło się całkowicie i zaczęło mżyć. Przedzierali się właśnie przez olszynowy las, kiedy seria okrzyków zatrzymała ich w miejscu.

- Co to było? - wyszeptał Wespazjan, natychmiast czujny, wyrwany z zamyślenia.

- Licho wie - odparł Magnus, rozglądając się. - Jedno jest pewne, że było bardzo blisko.

Kolejny krzyk, który rozbrzmiewał jakby gdzieś przed nimi, odbijał się echem po lesie. Nagle jakieś pięćdziesiąt kroków przed sobą zobaczyli, jak przez las przedziera się trzech jeźdźców odzianych w bure podróżne stroje, ściganych przez pół tuzina konnych pretorianów w czerwonych płaszczach i z włóczniami w rękach.

Wespazjan i jego eskorta zamarli w bezruchu, tylko serca waliły im jak młoty, podczas gdy pretorianie pędzili przez las, goniąc swoją zwierzynę. Żołnierze tak bardzo byli skoncentrowani na manewrowaniu pomiędzy drzewami i pośród podszycia, że nie mogli sobie pozwolić na rzucenie okiem w prawo czy w lewo. Z furią poganiali wierzchowce, aż wkrótce las wchłonął wszystkich.

- Dranie muszą myśleć, że to my - mruknął Magnus, kiedy już ostatni czerwony płaszcz zniknął im z oczu.

- To znaczy, że niezbyt dobrze umieją liczyć, prawda? - zauważył Sekstus.

Magnus spojrzał na niego, unosząc brwi.

- I kto to mówi! Zresztą, czy to ważne? Ważne, że są zajęci, więc to wykorzystajmy. - Ruszył szybko, a pozostali za nim.

Kiedy przecięli linię pogoni, z lewej strony usłyszeli kolejne odgłosy, a potem rozległ się krzyk.

- Wygląda na to, że nas dopadli - oświadczył Mariusz z ponurym uśmiechem.

- Biedne gnojki... ale pewnie mieli coś na sumieniu, skoro uciekali, kiedy ich chciano sprawdzić - zauważył Wespazjan, ożywiony przyspieszonym biciem serca.

- Gdybym nawet był niewinny jak westalska dziewica, to chyba bym umykał przed patrolem pretorianów, którzy chcieliby zadać mi kilka pytań. Ci ludzie nie słyną z uprzejmości - powiedział Magnus, przyspieszając, kiedy las zaczął się przeredzać.

Kiedy dotarł do ostatnich drzew, zatrzymał się i rozejrzał. W odległości jakichś pięciu mil widział wzgórze, a u ich stóp rozciągały się pofałdowane, otwarte pastwiska dla owiec. Tu i ówdzie stały małe pasterskie chaty, połączone drózkami wysadzonymi drzewami i krzewami. Magnus zsiadł z konia i podał wodze Sekstusowi.

- Potrzymaj, przyjacielu, a ja się rozejrzę i sprawdzę, czy możemy wynurzyć się z lasu.

Pobiegł w lewo, a jego towarzysze zastanawiali się, jak mają pokonać taki duży otwarty teren i nie dać się zauważyć patrolowi.

Wespazjan łyknął wody z bukłaka i ugryzł kolejny kawałek z paska solonej wieprzowiny. Czuł się silniejszy, ale daleko mu było do pełnej sprawności. Owinął się mocniej płaszczem i wstrząsnął nim lekki dreszcz. Zwrócił się do Mariusza, który miał wodze owinięte wokół lewego przedramienia, a prawą ręką właśnie drapał się po plecach.

- Jak straciłeś dłoń, Mariuszu?

- We flocie, byłem na pokładzie... - przerwał, ponieważ przybiegł Magnus.

- Zabili jednego z tych nieszczęśników, a trzech gwardzistów prowadzi pozostałych dwóch w stronę drogi. Druga ich trójka jest milę stąd i zmierza z powrotem do lasu, bo, jak sądzą, brakuje im czwartego członka grupy.

- No to jesteśmy w pułapce - oświadczył Mariusz. - Jak ruszymy do przodu, zauważą nas, a jeśli spróbujemy się ukryć, to nas znajdą.

- Jeśli nie możesz z kimś wygrać, dołącz do niego - odezwał się Wespazjan.

Członkowie bractwa rozstajnych dróg spojrzeli na niego pytającym wzrokiem.

- Co takiego? - spytał Magnus, nie pojmując, o co chodzi.

- Dołączymy do nich. Zlikwidujemy i pożyczymy sobie ich płaszcze, hełmy, tarcze i włócznie. Z daleka będziemy wyglądać jak każdy inny patrol i w ten sposób spokojnie pokonamy otwarty teren - wyjaśnił młodzieniec.

- Ale ich jest tylko trzech - zauważył Magnus.

- Mam przecież swój wojskowy płaszcz i hełm... grzebień jest co prawda dłuższy niż u pretorianów, ale z daleka ujdzie. Zresztą Mariusz i tak nie mógłby trzymać włóczni czy tarczy. Uda się, bo przecież nie zamierzamy przechodzić przez blokadę na drodze i udawać pretorianów, prawda?

- Masz rację, panie - przyznał Magnus zadowolony, że pojawił się jakiś plan. - Zanim jednak oskubie się kurę, trzeba jej najpierw ukręcić łeb. Wracajmy w głąb lasu i poszukajmy miejsca odpowiedniego na zasadzkę.

Dotarli do linii pogoni, skręcili w lewo i jechali wzdłuż niej kilkaset kroków, kiedy po swojej prawej stronie zauważyli dolinkę, mającą dziesięć stóp głębokości i trzydzieści kroków szerokości.

- To się nadaje - stwierdził Magnus, w którego głowie zaczęły już powstawać zręby planu. - Jak wiesz, panie, oni będą szukać młodego trybuna wojskowego, a ty jesteś wśród nas jedynym, który pasuje do tego opisu, zatem to właśnie ty musisz ich tu doprowadzić. Zawróć więc i jedź im na spotkanie i kiedy cię zauważą, pędź tutaj, w dół, do tej dolinki, a potem w górę z drugiej strony, o tam. - Wskazał miejsce pomiędzy dwiema dużymi olszynami tkwiącymi na krawędzi stromego stoku, po drugiej stronie niecki. - Kiedy będą wjeżdżali za tobą pod górę, zrzucimy ich z koni i wykończymy.

- Jak?

- Nie wiem, jeszcze tego nie obmyśliłem, w każdym razie my będziemy pieszo, więc zabierzmy stąd, chłopcy, konie, żeby nam nie przeszkadzały. Sekstusie, bądź łaskaw.

Zsiedli z Mariuszem z wierzchowców i podali wodze Sekstusowi, który odprowadził konie kawałek dalej.

- Powodzenia, panie - powiedział Magnus. - Będziemy gotowi, kiedy tu wrócisz.

- Mam nadzieję - odparł Wespazjan z bladym uśmiechem. Zawrócił konia i ruszył z powrotem w stronę pretorianów.

Noga mu pulsowała i głowa bolała, ale był przekonany, że odzyskał dość sił, by utrzymać się na koniu i popędzić przez las, byle niezbyt długo. Był także pewien, że nie przebiją go włóczniami; Sejan chciał mieć go żywego, co w tych okolicznościach było dość pocieszające.

Mając oczy szeroko otwarte, poruszał się ostrożnie. Starał się zapamiętać każdą przeszkodę, na którą mógł natrafić w drodze powrotnej, aż wreszcie zauważył pośród drzew przed sobą przebłysk czerwieni. Zatrzymał się i czekał, aż go zauważą, szykując się do ucieczki. Nie musiał czekać długo.

- Tam jest! - rozległ się krzyk jakieś pięćdziesiąt kroków od niego.

Zawrócił konia i puścił go galopem. Kiedy pędził znaną już sobie ścieżką, omijając drzewa, przeskakując powalone pnie i uchylając się przed nisko zwisającymi gałęziami, odczuwał podziw dla mistrzowskiej jazdy goniących, którzy co prawda jechali już wcześniej tą trasą, ale nie mieli okazji dokonać rekonesansu. Dotarł do krawędzi doliny i zwolnił. Zerknął przez ramię, by się upewnić, że goniący widzą, dokąd zmierza, po czym usatysfakcjonowany puścił się w dół i popędził w stronę dwóch drzew po drugiej stronie wskazanych przez Magnusa.

Pretorianie zjeżdżali w dół, kiedy koń Wespazjana wdrapywał się na bardziej stromą przeciwną skarpe. Zwierzę sięgnęło już równego gruntu przednimi nogami, ale nie znalazło oparcia dla tylnych na osuwającej się ziemi. Jeździec przywarł mocno do konia, ten dźwignął się ze wszystkich sił i wy dobył poza krawędź, jednak szybkość, z jaką jego przebiegające tylne nogi uderzyły w twardszy grunt, spowodowała, że stracił równowagę i potknął się, zrzucając Wespazjana na ziemię.

- Mamy go! - zawołał ktoś z tyłu, kiedy przetaczał się na plecy i wyciągał miecz.

Pierwszych dwóch pretorianów już prawie za nim wychynęło, kiedy niewyraźne plamy przemknęły przez pole widzenia Wespazjana; żołnierze rąbnęci ciężkimi konarami spadli z koni, które stanęły dęba i zwały się do tyłu, na trzeciego żołnierza. Magnus i Sekstus wypadli zza drzew, obrzucając gałęziami leżących pretorianów. Skoczyli na nich z wyciągniętymi mieczami, podczas gdy Mariusz ześlizgnął się w dół zbocza, by odciąć im ewentualną drogę ucieczki. Próbujące wstać, wierzgające konie przygniały jeźdźców, którzy stali się łatwym łupem. Trzy miecze błysnęły niemal jednocześnie, krew trysnęła z gardeł żołnierzy, kiedy ginęli unieruchomieni przez ich własne, śmiertelnie przerażone wierzchowce.

- Szybko, chłopcy, uspokójcie te konie i zacznijcie zbierać wszystko, co nam będzie potrzebne - powiedział Magnus, wspinając się po zboczu do Wespazjana. - Nic ci się, panie, nie stało? Ten upadek wyglądał naprawdę groźnie.

- Nic mi nie jest. Tamci wszyscy nie żyją?

- Oczywiście. Inaczej nie gawędziłbym tu z tobą, prawda? - odparł Magnus, pomagając mu wstać. - Chodźmy już, trzeba ruszać.

Dołączyli do Mariusza, który ściągał z pretorianów płaszcze i hełmy, podczas gdy Sekstus usiłował opanować ich konie.

- Zdejmij im siodła i uzdy, Sekstusie - powiedział Wespazjan - a potem puść wolno.

Kiedy ukryli ciała oraz uzdy i siodła w wysokim poszyciu, z dala ścieżki, włożyli płaszcze i hełmy pretorianów, dosiedli swoich wierzchowców i ruszyli na skraj lasu. Rozejrzawszy się po otwartym terenie nie dostrzegli żadnego niebezpieczeństwa.

- Pojedziemy dwójkami - powiedział Wespazjan - ale niezbyt szeroko, bo gdyby zobaczył nas jakiś patrol, pomyślałby, że kogoś ścigamy i dołączył do nas, żeby nam pomóc.

- Masz rację, panie - zgodził się z nim Magnus - spokojnie, bez pośpiechu, do tamtych wzgórz. W porządku, chłopcy, ruszamy.

Wyjechali z lasu i równomiernym kłusem zaczęli przemierzać zielone pastwiska. Przez jakiś czas Wespazjan miał kłopot, żeby kontrolować konia tylko prawą ręką, podczas gdy lewą miał zajętą włócznią i ciężką tarczą, ale po przejechaniu mili zorientował się, w czym rzecz, i zdołał zrekompensować dodatkowe obciążenie, przechylił się lekko w prawo, a mimo to wciąż prowadząc konia w linii prostej.

- Panie, popatrz do tyłu, z prawej strony - zawołał nagle Sekstus.

- Nie przyspieszać - powiedział Wespazjan, oglądając się przez ramię.

Rzeczywiście, do lasu, z którego dopiero co wyjechali, zmierzał kolejny patrol.

- Co robimy? - spytał Mariusz.

- Nic, kolego - odparł Magnus, patrząc wprost przed siebie. - Nie patrz na nich, po prostu jedź dalej. Miejmy nadzieję, że jesteśmy wystarczająco daleko, by ich zmylić.

Wespazjan wstrzymywał oddech. Zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie przez ramię. Patrol omijał las i kierował się w stronę via Aurelia, najwyraźniej nie zwracając uwagi na odległych o jakieś dwie mile swoich rzekomych towarzyszy.

- To działa. Nie interesują się nami, wracają na drogę - zawołał Wespazjan. - Utrzymujcie tempo, chłopcy, i proście swoich bogów, żebyśmy już wkrótce całkowicie zniknęli im z oczu.

Po upływie kolejnej półgodziny dojechali do stoku wzgórza. Nikt za nimi nie krzyknął, każąc im się zatrzymać. Kiedy słońce sięgnęło zenitu za nabrzmałymi deszczem chmurami, dotarli do grzbietu wzgórza, a potem znaleźli się w bezpiecznej, jak mieli nadzieję, kotlinie po drugiej stronie.

Rozdział siedemnasty

Zapadła noc i przestało padać. Przebyli wzgórze szybkim tempem, a potem, kiedy znaleźli się na skalistym, jałowym terenie, jechali powolnym stępem. Księżyc w pełni przeświecał przez cienką warstwę chmur, dając dość światła, by konie mogły stąpać bezpiecznie po nierównościach. Poniżej, po ich lewej stronie, biegła via Aurelia; co jakiś czas widzieli pochodnie oświetlające drogę pojazdom czy grupom podróżnych. Dalej, wysoko na skale, pobłyskiwały światełka położonego na szczycie wzgórza miasta.

- To Kosa - odezwał się Wespazjan. - Posiadłość mojej babki leży na północy, tuż za miastem, zwrócona ku morzu. Musimy przeciąć via Aurelia, żeby trafić na drogę prowadzącą do miasta. Mniej więcej w jej połowie odchodzi w prawo szlak prowadzący na ziemię babki.

- Cóż, panie, moment jest równie dobry jak każdy inny - odparł Magnus. - Wydaje się, że panuje tu pełen spokój, ja sam nie mogę się doczekać gorącego posiłku i ciepłego łóżka i jestem szczerze zdziwiony, że udaje ci się, panie, jeszcze utrzymać na końskim grzbiecie. Zsiadajcie, chłopcy, poprowadzimy je do drogi.

Zatrzymali się w gaju oliwnym, pięćdziesiąt kroków od skrzyżowania via Aurelia z krętą drogą prowadzącą na wzgórze Kosa. W oddali usłyszeli stukot kopyt zbliżających się od południa wierzchowców dużej jednostki jazdy.

- Jak są daleko? - spytał Wespazjan.

- Trudno powiedzieć - odparł Magnus.

- Może to wcale nie pretorianie.

- Założę się, że to oni; gdyby to był oddział pomocniczy armii, rozbiliby obóz przed zmierzchem. To pretorianie, na pewno; musieli sobie uświadomić kilka godzin temu, że udało nam się prześlizgnąć obok nich, więc kierują się dalej na północ, żeby tam ustawić kolejną blokadę na drodze.

- Myślisz, że powinniśmy wiać? - spytał szeptem Mariusz.

- Lepiej nie, dajmy się wyprzedzić.

Widać już było pochodnie na przedzie kolumny. Wstrzymując oddech, obserwowali, jak się zbliżają. Kiedy czoło kolumny złożonej z ponad setki ludzi dotarło do skrzyżowania, dowódca zatrzymał się.

- Klemensie, weź połowę ludzi, jedź dalej tą drogą, i po dziesięciu milach ustaw blokadę. Przeszukaj każdy zajazd, gospodarstwo i stodołę. Ja wezmę resztę chłopców i przeczeszę miasto; jeśli nic nie znajdę, dołączę do was rano. O świcie roześlij patrole, ale w grupach większych niż czterech ludzi; nie życzę sobie powtórki z porannego fiaska.

- Zrobię wszystko, co trzeba, Makronie. - Młody dekurion odwrócił się, a światło pochodni odbiło się od jego hełmu. - Pierwsze dwie turmy za mną - rozkazał i szybkim klusem ruszył ze swoimi żołnierzami naprzód.

Kiedy ostatni żołnierz z sześćdziesięciosobowego oddziału minął Makrona, dowódca zawołał do pozostałych:

- Słuchajcie, chłopcy, wywrócimy to miasto do góry nogami. Chcę, by sprowadzono na forum i przesłuchano każdego, kto przyjechał tam dzisiaj, razem z miejscowymi urzędnikami i karczmarzami. Nie przyjmować do wiadomości żadnego tłumaczenia... jasne? - Zwrócił się do towarzyszącej mu, znajomo wyglądającej postaci. - No cóż, Hazdro, spodziewam się, że nie zabraknie ci zajęcia. Na pewno kilku z nich będzie potrzebowało nieco zachęty, zanim rozwiążą się im języki. - Zakręcił koniem i ruszył pod górę.

Wespazjan i jego towarzysze obserwowali, jak oświetlona pochodniami kolumna, wijąc się, podąża w ciemnościach ku odległemu o milę, niczego niespodziewającemu się miastu.

- Biedaczyska - szepnął Magnus. - Nie pośpią sobie, kiedy Makron i jego ludzie się rozszaleją.

- Ale to działa na naszą korzyść - odparł Wespazjan, czując, jak opanowuje go straszliwe zmęczenie. - Jedźmy dalej, póki pretorianie zajęci są terroryzowaniem niewinnych prowincjuszy.

Poprowadzili konie w dół, ku drodze, dosiedli ich i pojechali za kolumną w stronę miasta. Kiedy odnaleźli trakt prowadzący do posiadłości Tertulli, od stoków wzgórz odbiły się echem dochodzące z miasta pierwsze wrzaski i okrzyki przerażenia.

- Musimy jechać tą dróżką jakąś milę, aż na sam szczyt - powiedział Wespazjan, usiłując w słabym świetle księżyca wypatrzeć ścieżkę. - A potem skręcić w lewo, ku morzu.

Krzyki z miasta nie ustawały, ruszyli więc szybko naprzód, nie dlatego, że zagrażało im bezpośrednie niebezpieczeństwo, ale woleli nie słyszeć, co sprowadzili na tamtych ludzi.

Kiedy dotarli na szczyt, ich uszu dobiegł szum rozbijających się poniżej fal. Zapach słonej morskiej wody ożywił Wespazjana i chłonał go łapczywie. Uwielbiał morze od czasu, kiedy mając siedem lat, zamieszkał z Sabinusem tutaj, u Tertulli, na całe pięć lat pobytu rodziców w Azji.

Uważał tamten okres za najszcześniejszy w swoim życiu, mimo że brat zawsze lubił go dręczyć. Babka starała się go chronić przed Sabinusem, karząc surowo starszego wnuka za każdy świeży siniec na ciele młodszego, i zobowiązała Attalusa, swego zarządcę, by miał oko na chłopców, kiedy jej samej nie było w pobliżu. Pewnego wspaniałego dnia, kiedy Wespazjan miał jedenaście lat, Sabinus wyjechał do Rzymu, by poszukać u wuja Gajusza pomocy w uzyskaniu stanowiska trybuna wojskowego w którymś z legionów. Z górą rok Wespazjan cieszył się niepodzielną troską Tertulli i pławił w jej miłości. Codziennie, kiedy już skończył lekcje ze swoim nauczycielem, spędzał czas z babką. Opowiadała mu różne historie podczas spacerów wzdłuż nabrzeżnych skał i kiedy łowili ryby, a na plaży uczyła wiązania sieci; ale co najważniejsze, pokazała mu, jak funkcjonuje posiadłość, którą osobiście zarządzała, jako że jej mąż zmarł jeszcze przed narodzinami Wespazjana.

Kiedy rodzice wrócili, nie chciał opuścić Tertulli i tego miejsca, które uważał już za swój dom. Tylko dlatego, że babka towarzyszyła mu do świeżo nabytego przez rodziców majątku w *Aquae Cutillae* i została tam na sześć miesięcy, pomagając mu przyzwyczać się do nowego miejsca, jakoś sobie poradził. Wyjechała dzień po jego trzynastych urodzinach; od tamtej pory jej nie widział.

Wiedząc, że ma do jej domu niecałą milę, skoncentrował się na tym, żeby nie stracić przytomności, i przez ostatnie kilkaset kroków widział otoczenie jak przez mgłę. W końcu dotarli do znajomej drewnianej, okutej żelazem bramy, którą ostatni raz przekraczał prawie cztery lata wcześniej. Pochylił się nisko nad końskim karkiem, zdołał jakoś przetrzucić prawą nogę i zsiąść. Poczł ramię podtrzymującego go Magnusa, kiedy się zachwiał, resztkami sił stukając żelazną kołatką.

- Chyba spróbuję zrobić to nieco mocniej, panie - powiedział jego towarzysz, trzykrotnie potężnie waląc kołatką.

- Kto tam? - odezwał się ktoś z drugiej strony.

- Powiedz mojej babce, że to Wespazjan z trzema przyjaciółmi.

Czekali chwilę, po czym Wespazjan usłyszał znajomy głos.

- Jeśli to ty, Wespazjanie, powiedz, jak mnie nazywałeś.

Wespazjan uśmiechnął się przepaszajaco do Magnusa.

- Tute - odparł.

Brama się otworzyła i Tertulla, teraz już kobieta po osiemdziesiątce, wybiegła, by powitać wnuka.

- Wespazjanie, kochany, to naprawdę ty. - Objęła go i przytuliła. - O, skóra ci mocno stwardniała od ostatniego czasu, kiedy cię widziałam.

- Jestem teraz wojskowym trybunem, Tute, ale porozmawiamy o wszystkim w środku. Jestem ranny i muszę odpocząć. Ci ludzie to moi przyjaciele.

- Tak, oczywiście, wchodź, wchodźcie wszyscy.

Wespazjan leżał na sofie w tryklinium, popijając podgrzane wino z wodą, podczas gdy Tertulla przy słabym świetle trzymanej przez niewolnika lampki oliwnej oglądała jego ranę.

- Nieźle, Magnusie, naprawdę całkiem nieźle - oświadczyła z podziwem, przesuując pomarszczonymi palcami po opuchniętej, pokrytej pęcherzykami ranie.

- Dzięki - odparł Magnus z drugiego końca pokoju, gdzie razem z braćmi po fachu przyglądał się z niepokojem oględzinom.

- Czym ją oczyściłeś?

- Moczem.

- Bardzo dobrze, to najlepsze, jeśli nie ma octu. Sama rana już się zasklepiła, więc wystarczy, że zastosuję maść na oparzenia, a potem mocno ją zabandażuję, żeby się już nie rozeszła. Attalusie!

Do pokoju wszedł wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna około sześćdziesiątki.

- Nie ma potrzeby krzyczeć, jestem tutaj - oświadczył z przesadną cierpliwością w głosie.

- A jesteś tu, niezdaro. Zabierz Magnusa i jego kolegów, daj im coś do jedzenia, a potem przynieś tu trochę chleba i szynki. A przy okazji przynieś też mój kielich, nie mam pojęcia, dlaczego Wespazjan pije, a ja nie.

- Bo może nie poprosiłaś wcześniej o kielich.

- Czy ja muszę myśleć o wszystkim?

- Tak, musisz, bo jesteś tu panią, a wszyscy inni są twoimi niewolnikami.

- W takim razie zachowuj się jak niewolnik.

- Zawsze tak robię. Czy to już wszystko?

- To są akurat trzy polecenia. Nie sądzę, byś potrafił zapamiętać więcej.

Attalus spojrział na Wespazjana i uśmiechnął się.

- Wespazjanie, miło cię powitać, panie. Przynajmniej znowu będziemy mieć w domu kogoś rozsądnego.

- Dzięki, Attalusie. Widzę, że wciąż świetnie dogadujecie się z moją babką.

- Toleruję ją - wyznał mężczyzna żartobliwym szeptem.

- Ale dlaczego ja ciebie toleruję, to już zupełnie nie wiem. Powinnam kazać cię ukrzyżować.

- Kto by ci wtedy przypominał, jaki mamy dzień i jak się nazywasz?

- No dobrze, ruszaj już - powiedziała Tertulla, uderzając go z całych sił w pośladki i próbując zachować powagę.

Attalus wyszedł z pokoju, trąc siedzenie i zabierając ze sobą speszonych członków bractwa rozstajnych dróg.

Tertulla posmarowała delikatnie ranę na nodze wnuka cuchnącym balsamem, po czym ciasno zabandażowała. Kiedy kończyła, wrócił Attalus z tacą i srebrnym kielichem.

- Długo to trwało, znowu się zgubiłeś? - spytała ostrym głosem, zawiązując węzeł na lnianym bandażu.

- To i tak nieźle, jeżeli pamiętasz, że stąd wychodziłem - odparł Attalus, teatralnym gestem stawiając tacę z jedzeniem. - Czy życzysz sobie, pani, wody do wina, czy planujesz dzisiejszego wieczoru znowu upić się do nieprzytomności?

- Sama sobie naleję, bo wtedy będę wiedziała, że nikt mi do niego nie napluł. Idź już sobie i zrób coś pożytecznego, choćby pochędoż którąś z moich służących, żeby miała dobry humor, kiedy rano będzie mi układała włosy.

- Wyświadczę ci przysługę, pani, i dogodzę wszystkim trzem, dzięki czemu, kiedy się jutro będziesz ubierała, otaczać cię będą same szczęśliwe, uśmiechnięte twarze.

- Precz z moich oczu, ty stary capie, i zabierz ze sobą swojego małego przyjaciela. Zwążywszy na twój wiek, pewnie przyda ci się jego pomoc.

W ten sposób Tertulla odprawiła niewolnika od lampki oliwnej, który przez cały czas nie odważył się śmiać z dowcipnej wymiany zdań między panią a swoim przełożonym.

Wespazjan roześmiał się, kiedy ci dwaj opuścili pokój.

- Już prawie zapomniałem, ile człowiek ma radości, mieszkając tutaj, Tute. Tak się cieszę, że znowu cię widzę.

- Attalus pozwala mi zachować przytomność umysłu. Bezcenny nabytek, nie uważasz? - spytała, śmiejąc się razem z wnukiem. Podniosła dzbanek z winem i nalała sobie sporą porcję. Wespazjan przyglądał się jej czule, kiedy obiema dłońmi pieściła srebrny kielich.

- Kiedy myślę o tobie, zawsze widzę cię z tym kielichem. Z niczego innego nie pijesz, prawda?

- Twój dziadek, Tytus Flawiusz Petro, dał mi go w dniu naszego ślubu. Miałam trzynaście lat i była to pierwsza rzecz, jaką mogłam nazwać swoją własną; aż do tamtego momentu wszystko, co posiadałam, oficjalnie należało do mojego ojca. Cenię go tak, jak ceniłam tego drogiego memu sercu mężczyznę, starszego ode mnie o trzydzieści lat, który tyle lat temu podarował mi to wszystko. - Uśmiechnęła się smutno, myśląc o człowieku,

którego kochała, po czym uniosła swój bezcenny kielich. - Za nieobecnych przyjaciół - powiedziała.

- Za nieobecnych przyjaciół.

Wypili i przez chwilę siedzieli w milczeniu. Powróciło pulsowanie w nodze, przypominając Wespazjanowi o ranie.

- Jak długo się będzie goiło, Tute?

- Dziesięć do piętnastu dni, jeśli nie będziesz forsował nogi. A teraz bierz się do jedzenia - powiedziała, podsuwając mu talerz z szynką.

- Muszę wyjechać najpóźniej za siedem dni, bo powinienem być w Genui za dwanaście, a nie możemy poruszać się główną drogą.

- Dlaczego?

Wespazjan zwięźle przedstawił wydarzenia ostatnich kilku dni. Był oszczędny, jeśli chodzi o szczegóły, bo nie chciał wyjawić skali swojego zaangażowania w spisek przeciwko Sejanowi, jednak niełatwo było zwieść Tertullę.

- Tak więc wiążesz się z potężnymi bogaczami i już zdecydowałeś, po której stronie chcesz być.

- Jestem za działaniami, które służą Rzymowi.

- Musisz być ostrożny, Wespazjanie. To, co zdaje się służyć Rzymowi, niekoniecznie jest zaszczytne, a nawet jeśli, to wcale nie musi się okazać zwycięskie.

- Zatem radzisz, bym wybrał tę stronę, która według mnie ma szansę zwyciężyć, niezależnie od tego, czy jest dobra dla Rzymu?

- Radzę, byś trzymał się z dala od polityki, której nie rozumiesz, i nie wiązał się z ludźmi władzy, ponieważ na ogół mają oni tylko jeden cel, a mianowicie chcą jeszcze więcej władzy. Mają skłonność do wykorzystywania ludzi naszej sfery jak narzędzia, których łatwo się pozbyć, kiedy stają się niepotrzebne. Jesteśmy przydatni do wykonywania brudnej roboty, ale potem stajemy się niewygodni, bo możemy za dużo wiedzieć.

- Tute, zawdzięczam Azyniuszowi i Antonii przydział do Czwartego legionu *Scythica*. Czuję się zobowiązany zrobić to, o co mnie poprosili, i tylko tyle.

Tertulla popatrzyła na wnuka i uśmiechnęła się. Był taki podobny do jej męża, kiedy prawie siedemdziesiąt pięć lat wcześniej brali ślub: ta sama gorliwość i pragnienie robienia tego, co należy.

- Pamiętaj tylko, co stało się z twoim dziadkiem, Petronem; był lojalny wobec Pompejusza Wielkiego, pod którym służył podczas kampanii na Wschodzie, wstąpił więc ponownie do jego legionów, jako starszy centurion, kiedy wybuchła wojna przeciwko

Cesarowi. Już zdążył odsłużyć swoje dwadzieścia pięć lat w legionach, tymczasem w wieku czterdziestu czterech lat, rok po naszym ślubie, w rezultacie swojej decyzji znalazł się na polu bitwy pod Farsalos, gdzie walczył przeciwko obywatelom rzymskim, takim jak on sam, z tak samo silnym poczuciem obowiązku, tyle że związanym z inną rzymską sprawą. Pompejusz stracił pod Farsalos wszystko, ale Petro przeżył tę bitwę i wrócił do domu. Odwołał się do Cezara w Rzymie i uzyskał pełne ułaskawienie. Darowano mu życie i został poborcą podatkowym. Wiedział, że już nigdy nie może się spodziewać żadnego awansu. Potem, kiedy po zabójstwie Cezara do władzy doszedł August z drugim triumwiratem, ponownie wstąpił do legionów i walczył dla Kasjusza i Brutusa, zabójców Cezara, przeciwko triumwiratowi, pod Filippi, gdzie zostały pogrzebane ostatnie nadzieje republikanów. August objął proskrypcją ponad dwa tysiące ekwitów, którzy stanęli przeciwko niemu albo jego przybranemu ojcu, Cesarowi... twój dziadek był jednym z nich. Żeby nie zginąć z ręki kata i ratować majątek, popełnił samobójstwo, w tym właśnie pokoju, kiedy żołnierze już łomotali w bramę.

Wespazjan rozejrzał się po pokoju i wyobraził sobie, jak dziadek rzuca się na własny miecz, aby ocalić rodzinę i majątek, wybierając honorową śmierć. Spojrzał na babkę; najwyraźniej ona również miała przed oczyma ten obraz.

- Zawsze, kiedy cię pytałem, jak umarł dziadek, mówiłaś tylko, że umarł za Rzym.

- Bo tak było. Tyle że zginął za swoje wyobrażenie Rzymu, tego dawnego Rzymu, republiki, nie tego nowego, który wyłonił się po latach wojny domowej jako cesarstwo.

- Czy wspominasz republikę i żałujesz, że nie przetrwała, Tute?

- Owszem, ale wyłącznie ze względu na mojego męża. Bo gdyby przetrwała, miałabym go przy sobie dłużej. Natomiast zupełnie nie obchodzi mnie, jaki rodzaj rządów ma obecnie Rzym, byle zostawiono mnie w spokoju. Myślę jednak, że dziś, w środku nocy, Rzym ponownie zastuka do moich drzwi, więc lepiej będzie, jak was wszystkich ukryjemy.

- Myślisz, że się tu zjawia? - spytał Wespazjan. Znajome otoczenie dawało mu złudne poczucie bezpieczeństwa i uspiło czujność.

- Oczywiście... kiedy tylko nie znajdą niczego w Kosie, na pewno przeszukają okoliczne tereny na północ od miasta. Ale już kazałam Attalusowi wymieszać wasze konie z moimi, natomiast wy będziecie musieli spędzić noc na stryszku, nad kwaterą niewolników.

- Nie miałem pojęcia, że jest tam jakiś stryżek.

- Bo jest świetnie ukryty. Twój dziadek korzystał z niego, by ukrywać zwolenników Pompejusza, którzy nie chcieli mieszkać w Rzymie pod rządami Cezara i opuszczali Italię, udając się na północ.

- Sporo nowego dowiaduję się dzisiejszego wieczoru o dziadku.

- Dlaczego miałbyś to wiedzieć? Byłeś dzieckiem, kiedy tu mieszkałeś, dlaczego miałaby cię interesować polityka? Teraz, kiedy jesteś mężczyzną i polityka zaczyna cię bezpośrednio dotyczyć, powinieneś rozumieć zagrożenia, jakie wiążą się z politycznymi wyborami. Twój dziadek to rozumiał, jednakże w jego wypadku ta strona, która zdawała się najlepiej służyć Rzymowi, przegrała, wybierz więc dobrze, ponieważ nie możesz przegrać, jeśli masz wypełnić swoje przeznaczenie.

Wespazjan popatrzył zaintrygowany na babkę.

- Co masz na myśli, mówiąc o przeznaczeniu? Podśledzałem kiedyś, jak rodzice rozmawiali o znakach towarzyszących moim narodzinom, które podobno wieszczły, że powinienem zająć wysoko, ale nikt nie chce mi powiedzieć, co to znaczy. Moja matka kazała wszystkim złożyć przysięgę dotrzymania tajemnicy.

Tertulla ponownie się uśmiechnęła.

- Ja również złożyłam taką przysięgę. Mogę jedynie powiedzieć, że znaki były dla ciebie przychylne, tak dalece, że w obecnych czasach władzy cesarskiej lepiej było ich nie upubliczniać. Niemniej jednak znaki od bogów wypełniają się tylko wtedy, kiedy człowiek odgrywa swoją rolę i dokonuje właściwych wyborów.

Wespazjan nie liczył na konkretną odpowiedź, lecz ta go pokrzepiła.

- Dziękuję - powiedział. - Pomogłaś mi zrozumieć coś, czego przedtem nie potrafiłem ubrać w słowa. Kiedy wiem, że coś jest słuszne, powinienem mieć dość siły woli, by do tego dążyć.

Tertulla nachyliła się i pocałowała wnuka w policzek.

- Od ostatniego razu, kiedy cię widziałam, pod wieloma względami bardzo wydorostałeś, drogi chłopcze. Teraz jednak musimy zabrać twoich przyjaciół i schować was wszystkich na stryszku... pretorianie wkrótce znudzą się bezskutecznym przeczesywaniem Kosy.

- Nawet jeśli nas tutaj nie odkryją, to przecież i tak musimy się jakoś obok nich prześlizgnąć, by dotrzeć do Genui - zauważył Wespazjan, podnosząc się z wysiłkiem.

- Wcale nie musicie - powiedziała Tertulla, podtrzymując go, kiedy wychodzili z pokoju. - Najlepszym sposobem dotarcia do Genui, pozwalającym uniknąć blokady dróg i patroli, a przy tym pozwalającym ci spędzić ze mną więcej czasu i dać wypocząć nodze, jest udać się tam morzem.

Rozdział osiemnasty

- Czy to znaczy, że wszystko sprowadza się do jednego? Ważne jest tylko, wobec kogo lojalna jest armia, tak, Tute? - spytał Wespazjan, opierając się przemożnej chęci podrapania strupa, który zdążył pokryć ranę na nodze. - Wszystkie te wspaniałe ideały, za które ludzie oddali życie, nie są teraz niczym innym jak tylko przykrywką tego, że władzy nie daje konstytucjonalne prawo, jedynie potęgę wojskowa.

W wieczór poprzedzający wyjazd Wespazjana spożywali oboje posiłek w tryklinium. Ostatnie jedenaście dni minęły mu zdecydowanie zbyt szybko. Większość czasu spędził na rozmowach z babką, dając odpocząć pokiereszowanej nodze. Podczas dnia polegiwał na sofie w ogrodzie, a wieczorem jedli kolację tylko we dwoje. Opowiadała mu o wyczynach dziadka na rzecz republiki. Mówiła o jego nienawiści do Cezara, a potem do Augusta i do wszystkiego, co ci dwaj reprezentowali; o późniejszym rozczarowaniu senatem i zwolennikami republiki, którzy przez walki wewnętrzne i brak umiejętności podejmowania decyzji doprowadzili do ostatecznej klęski i powstania władzy autokratycznej, wspieranej przez militarną potęgę pretorianów, której prawdziwego zasięgu na szczęście Petro nie dożył.

Pretorianie się rzeczywiście zjawili, tak jak przepowiedziała Tertulia. Zachowywała się dobrotliwie i uprzejmie, wyjechali więc po godzinie przekonani, że w domu mieszka ekscentryczna staruszka, całkowicie niegroźna, chyba że dla siebie samej i swoich nieszczęsnych niewolników.

Wespazjan patrzył na swoją osiemdziesięciosiedmioletnią babkę, którą pretorianie uznali za nieszkodliwą kobietę; była jedną z ostatnich żyjących jeszcze osób, jakie doświadczyły najbardziej burzliwego okresu najnowszej historii. Dobrze pamiętała tamte czasy i dlatego potrafiła odpowiedzieć na wiele pytań wnuka. Poznała Pompejusza, słyszała, jak przemawia Cezar, i widziała Kleopatę, kiedy królowa przybyła do Rzymu jako jego kochanka. Po śmierci Cezara Tertulla ukrywała w tym domu Marka Brutusa, podczas kiedy legiony Antoniusza maszerowały wzdłuż via Aurelia na północ, by walczyć z jego współspiskowcem, Decymusem Brutusem. Następnego dnia pocałowała męża na pożegnanie, kiedy wyjeżdżał do Grecji z Markiem Brutusem, by dołączyć do Kasjusza i armii republikańskiej. Dziesięć lat później, jako wdowa, ona i jej jedyne dziecko, ojciec Wespazjana, obserwowali z nadmorskich skał, jak flota północna płynie do Brundyzjum na

wschodnim wybrzeżu, by dołączyć do Oktawiana przed rozstrzygającą bitwą pod Akcjum, która zadecydowała o końcu Antoniusza i jego ukochanej Kleopatry i oddała kontrolę nad imperium w ręce jednego człowieka: Oktawiana, cesarza Augusta.

Sprzątnięto ze stołu, pozostawiając na nim tylko dzbanek z winem i wodę. Lampki oliwne migotały w przeciągach, które krążyły wewnątrz domu i jego przybudówek niczym długie macki wyjącego na zewnątrz wiatru. Przez szum wiatru przynoszącego deszcz z nad morza słychać było jedynie dalekie odgłosy hulającego z kolegami Magnusa. Wszyscy trzej spędzali czas na konnej jeździe wokół posiadłości, rzekomo wypatrując patroli, a tak naprawdę zajmując się polowaniem. Wieczorem piekli to, co zabili podczas dnia, upijali się winem Tertulli, po czym szli do łóżek z tymi spośród jej niewolnic, które przypadły im do gustu.

- Ta potęga wojskowa zapewnia coś więcej niż tylko prawa konstytucyjne - odparła Tertulla, popijając wino ze swojego ulubionego kielicha. - Tyberiusz był adoptowanym synem Augusta, zatem miał prawo zostać cesarzem, choć wielu wolałoby Germanika. Lojalność armii pomaga mu utrzymać to prawo. Musimy mieć nadzieję, że człowiek, którego wyznaczy na swojego następcę, zapewni sobie lojalność legionów.

Rozmowę przerwało im pukanie. W drzwiach pojawił się Attalus, ociekający wodą, ze skórzanym futerałem na zwoje w ręku.

- Nie wpadłeś chyba znowu do basenu w atrium? - spytała Tertulla, udając zdumienie.

- Gdybyś nie spędziła całego wieczoru na ćwiczeniu już i tak nieźle wyrobionych mięśni ramienia służącego do unoszenia kielicha - odparł Attalus, zdejmując mokry płaszcz i rzucając go niewolnikowi - to może byś pamiętała, że kazałaś mi sprawdzić w porcie, czy statek przyplynał.

Następnego dnia po wizycie pretorianów wysłano Attalusa do Kosy, by znalazł jakiś statek handlowy, którego kapitan byłby gotów, bez zadawania zbędnych pytań, zabrać pasażerów do Genui. Wrócił tego samego dnia z wiadomością, że znalazł człowieka, który to zrobi za wygórowaną sumę 250 denarów; statek odpływał wtedy do Ostii, ale dzisiaj miał wrócić do Kosy.

- I co? - spytał Wespazjan Attalusa, mając nadzieję, że pogoda zatrzyma go tutaj przez kolejne kilka dni.

- Przyplynał wczesnym popołudniem, zanim jeszcze zaczęło mocniej wiać. Jeśli wiatr ucichnie do rana, kapitan obiecał być przy plaży na dole o trzeciej godzinie dnia.

Wespazjan nie potrafił ukryć rozczarowania.

- Wiem, że wolałbyś, panie, by nastąpiło to szybciej - powiedział Attalus, udając, że odwrotnie rozumie jego reakcję - obawiam się jednak, że będziesz musiał znieść jeszcze dodatkową godzinkę czy dwie jej wyjątkowo nieścisle wspomnień.

- Skąd mógłbyś wiedzieć, że są nieścisle, ty stary satyrze? - spytała Tertulla z uśmiechem. - Zawsze puszczałeś mimo uszu wszystko, co mówiłam, od tamtego dnia, kiedy miałam nieszczęście cię kupić.

- Co? Aha, to było w biurze edyla portowego - powiedział Attalus, wręczając jej skórzany futerał w kształcie cylindra. - Całkiem przydatne nowoczesne urządzenie. Jak zdejmiesz pokrywę...

- Wynos się i pobaw w towarzystwie kolegów - powiedziała Tertulia, zaśmiewając się i wygrażając futerałem swojemu zarządcy.

Attalus odszedł, posyłając Wespazjanowi porozumiewawczy uśmiešek.

- Co to, Tute? - spytał Wespazjan, kiedy wyjmowała zwój z futerału.

- List od twojego ojca - odparła, rozwijając pismo.

Kiedy babka czytała, Wespazjan popijał wino i wspominał rozmowy, jakie prowadził z nią podczas kilku minionych dni. Utwierdziła go w przekonaniach, których nie był do końca pewny. Wyjaśniła mu, w jaki sposób stopniowo łamano swobody obywatelskie w republice, kiedy Rzym stawał się potęgą. Rozmiary armii nie mogły już ograniczać się do kilku legionów złożonych z będących obywatelami rolników, zbieranych na sezonową kampanię w pobliżu miejsca zamieszkania. Podbój Grecji, Azji, Hiszpanii i Afryki oznaczał, że mężczyźni byli z dala od domu przez całe lata i nie miał kto uprawiać pól. Wracali do zaniedbanych gospodarstw i rodzin cierpiących niedostatek. Bogaci posiadacze ziemscy wykupywali ich własność po najniższej cenie, a dzierżawców po prostu wyrzucali. Tak powstawały latyfundia, uprawiane przez mrowie niewolników, których zapewniało powiększające się rzymskie imperium. Wywłaszczeni obywatele żołnierze nie mieli dokąd się udać, jedynie do samego Rzymu. Tam byli w gorszej sytuacji niż miejska biedota. Przeżywali dzięki darmowym przydziałom zboża, spędzali czas na darmowych igrzyskach; nędzny koniec dla dawnej warstwy dumnych rolników-żołnierzy, którzy walczyli za republikę, bo mieli w tym własny interes.

Tymczasem legiony wciąż potrzebowały rekrutów, by chronić nowe prowincje i dodawać do nich kolejne. Podatki z nowo podbitych krain były ogromne i Rzym się bogacił, w rezultacie czego zrodził się pomysł stworzenia stałej armii zawodowej z miejskich biedaków, którzy nie mieli szansy inaczej zarabiać na życie. I w taki oto sposób wnukowie ludzi, którzy z własnej i nieprzymuszonej woli walczyli za swoją republikę, obecnie służyli

dwadzieścia pięć lat w legionach za żołd i obietnicę otrzymania kawałka ziemi po odejściu do cywila. Teraz nie byli lojalni wobec republiki, która nic im nie dawała, ale wiernie szli za wodzami, od których po zwolnieniu z armii oczekiwali obiecanego gospodarstwa oraz szansy godziwego utrzymania rodziny.

Ten nowy system wywołał konflikt pomiędzy senatem, któremu nie podobał się pomysł rozdawania ziemi, a wodzami, którym z kolei zależało na tym, by weterani mieli się gdzie osiedlać. Kiedy bowiem się już urządzili, zachowywali lojalność wobec byłego dowódcy, któremu wszystko zawdzięczali. Władza wymykała się senatorom i przechodziła w ręce dowódców armii, którzy gromadząc ogromne masy klientów, zawsze mogli się do nich odwołać, kiedy poczuli jakieś zagrożenie dla swojej godności czy spełnienia ambicji ze strony coraz bardziej zawistnych członków senatu.

Wkrótce zaczęły się wojny domowe, ponieważ wodzowie walczyli między sobą o pierwszeństwo, co doprowadziło do półwiecza chaosu. Senat był podzielony i za słaby, by móc używać należnej mu władzy. W końcu przywrócono ład w jedyny logiczny sposób: rządami jednego człowieka. Republika padła ofiarą własnego sukcesu; stworzyła imperium, ale nie była zdolna go kontrolować. Wreszcie Wespazjan zrozumiał: by rządzić imperium, potrzebny był cesarz.

- Azyniuszowi najwyraźniej udało się bezpiecznie wyprawić twoich rodziców z Rzymu - powiedziała Tertulla, odkładając list.

Poczuł wyrzuty sumienia, kiedy uświadomił sobie, że spędzając czas z babką, właściwie o nich nie myślał.

- Cieszę się - rzekł.

- Azyniusz poprosił twojego ojca, by do ciebie napisał, mając nadzieję, że jego ostrzeżenie dotrze do ciebie na czas. Chodzi o to, żebyś nie jechał do obozu wojskowego w Genui.

- Czemu nie? Muszę się przecież dostać do Tracji.

- Wie od swojego źródła w gwardii pretoriańskiej, że szukają trybuna wojskowego, który poprzez Genuę udaje się do legionu Dziewiątego *Hispana* w Panonii. Trybun pretorianów o imieniu Makron oraz pewien legionista z kohorty miejskiej czekają tam, by go rozpoznać.

- To co mam robić? Samodzielnie dostać się do Tracji?

- Mój kochany, skoro masz dowodzić żołnierzami, musisz się bardziej starać. Spytałeś mnie o radę i jednym tchem uczyniłeś niedorzeczną sugestię. Kluczem do tego, by zostać dobrym dowódcą, jest umiejętność podejmowania błyskawicznych decyzji, kiedy sprawy nie

potoczają się po twojej myśli. Szybkie i właściwe działanie zawsze zjedna ci żołnierzy. Będą cię szanować, nauczą się nawet cię kochać, ale przede wszystkim pójdą za tobą i będą cię wspierać. Więc to ty mi powiedz, co powinieneś zrobić.

Wespazjan zastanawiał się chwilę.

- Poczekać, aż kolumna z oddziałami posiłkowymi opuści obóz, podążać za nią przez kilka dni, żeby sprawdzić, czy nie ma wśród żołnierzy pretorianów, i dopiero potem do niej dołączyć.

- Doskonale. Następnym razem, kiedy coś pójdzie nie tak jak trzeba, myśl jak dowódca, a nie jak podwładny. - Tertulla wypła łyk wina, postawiła kielich na stoliku i spojrzała na wnuka przenikliwym wzrokiem. - Uważam, że im więcej czasu członkowie rodziny cesarskiej będą spędzać w swoich pałacach, a mniej na wyprawach wojennych, gdzie żołnierze mogą się przekonać o ich zdolnościach przywódczych, tym bardziej zaczną tracić poparcie legionów. W takiej sytuacji gwardia pretoriańska oraz legiony Germanii, Hiszpanii, Syrii i innych prowincji opowiedzą się po stronie różnych kandydatów na cesarzy i ponownie może wybuchnąć wojna domowa. Ostatecznie cesarstwo dostanie się w ręce wodza z najbardziej lojalną armią. Miejmy nadzieję, że dobro Rzymu będzie mu leżało na sercu. Traktuj dobrze swoich żołnierzy, Wespazjanie, prowadź ich do zwycięstw, bo nie ma powodu, byś to nie ty był tym wodzem.

Wespazjan się roześmiał.

- Tute, ty rzeczywiście zaczynasz tracić rozum - powiedział. - Cokolwiek bogowie sobie dla mnie zaplanowali, to na pewno nie chcieli, bym został cesarzem. Tylko sobie wyobraź... ja?

- Może pewnego dnia sam to sobie wyobrazisz - oświadczyła spokojnie Tertulla, wstając z miejsca. - Ale jeszcze nie dzisiaj. Chodź, mój kochany, pora spać.

*

Zwrócona ku zachodowi plaża pogrążona była w cieniu, kiedy Wespazjan z towarzyszami szli wijącą się skalną ścieżką, prowadząc konie oraz osiołka, na którym bokiem siedziała Tertulla. Niewielki statek handlowy przycumowywał do pomostu wysuniętego dwadzieścia kroków w spokojną szaroniebieską toń. Wespazjan dostrzegł kilku krzątających się marynarzy z linami w rękach.

Był to typowy płaskodenny statek, jakich mrowie przemierza płytkie wody w górę i w dół wybrzeża Italii: długi na sześćdziesiąt stóp drewniany jednomasztowiec, z poszyciem stykowym, o wysokich burtach. Po obu stronach uniesionej rufy znajdowały się deski kilowe połączone drewnianą poprzeczką, które służyły jako ster i chroniły niemający prawdziwego

kilu statek przed zbytnim zbaczaniem z kursu. Pomiędzy nimi umieszczono sześciostopowej wysokości rzeźbę łabędziej szyi i głowy, co nadawało statkowi pewien wdzięk, jakiego poza tym raczej nie przejawiał.

Kiedy się zbliżali, Attalus stał już na pomoście i rozmawiał z krępy, brodatym kapitanem. Usłyszeli podniesione głosy i zobaczyli zmartwioną minę zarządcy.

- Panie, kapitan mówi, że nie ma dość miejsca na konie, bo w Ostii załadował więcej oliwy, niż się spodziewał - powiedział przyciszonym głosem Attalus, podchodząc do Wespazjana, który wszedł na pomost z Magnusem.

- Ile mu już zapłaciliśmy? - spytał Wespazjan.

- Sto denarów.

- Zatem godzi się na stratę stu pięćdziesięciu denarów?

- Nie, chce je dostać, zanim wpuści was na pokład.

- Myślałem, że umowa dotyczyła czterech pasażerów i czterech koni.

- Owszem, ale teraz uległa zmianie.

- Rozumiem. Magnusie, myślę, że mamy coś do wyjaśnienia wilkowi morskemu.

- Chyba masz rację, panie. - Magnus obejrzał się na Sekstusa i Mariusza, którzy pomagali Tertulli zsiąść z osła. - Bądźcie gotowi, chłopcy... możliwe, że trzeba będzie rozwiązać pewien problem.

Wespazjan podszedł do kapitana. Jego twarz niemal cała ginęła w gąszczu czarnej, przetykanej siwizną brody; na działanie żywiołów wystawione były jedynie górne części policzków oraz czoło. Oczy mrużone przez całe lata przed słońcem i wiatrem stały się prawie niewidoczne. Tunika z szorstkiej skóry, bez rękawów, która wydawała się jedyną rzeczą, jaką miał na sobie, cuchnęła nieprzyjemnie mieszaniną zdechłych ryb, potu i gnijącego mięsa, jakby nie całkiem ją wygarbowano.

- Mój zarządca powiada, że wycofujesz się z umowy, jaką z nim zawarłeś - rzucił szorstko Wespazjan.

- Nie moja wina, panie, mieliśmy żeglować z powrotem do Genui w połowie pustą łajbą, ale potem właściciel statku dowiózł dodatkowy ładunek oliwy i nic nie mogłem na to poradzić.

Wespazjan spojrzął w dół i zobaczył po obu stronach dwa duże ładunki amfor tkwiące końcówkami w okrągłych otworach do magazynowania i tylko jakieś dziesięć stóp wolnej przestrzeni pomiędzy nimi.

- Chyba dałoby się tutaj zmieścić konie?

- Nie idzie o miejsce, tylko o ciężar. Jak wprowadzicie konie, statek się bardziej zanurzy, a to wcale nie jest dobre, szczególnie że jest zima i sztormy pojawiają się z nienacką.

- Ale mamy przecież ładny spokojny dzień, prawie bezchmurny.

- Teraz taki jest, ale jak długo taki będzie? Nie wypłynę na morze przeciążonym statkiem, to pewne, nie za dwieście pięćdziesiąt denarów.

- Aha, więc o to chodzi, co? A za ile wypłynąłbyś w morze przeciążonym statkiem?

- Za pięćset i to moje ostatnie słowo.

- I te dodatkowe pieniądze pomogą nam utrzymać się na powierzchni? Nie sądzę. A jeśli zdecydujemy się pojechać drogą?

- Jakbyście chcieli jechać drogą, to już byście to zrobili, ale z jakiegoś tam powodu nie możecie, więc wybieracie podróż statkiem zimową porą. Tak sobie myślę, że chcecie dostać się do Genui chyłkiem, więc uważam, że należy mi się większe honorarium. - Kapitan uśmiechnął się lodowato, jakby mówił: wybór należy do was.

Wespazjan widział, że negocjacje do niczego nie doprowadzą.

- Wygląda na to, że trzymasz nas za jaja. Porozmawiam z przyjaciółmi.

Na plaży Tertulla stanowczym tonem wyraziła swoje zdanie.

- Jeśli popłyniecie z takim nieuczciwym łotrem, to albo was zamorduje, ograbi i wrzuci ciała do morza, albo odda was władzom portowym w Genui, przedtem też oczywiście ograbiwszy.

- Ciekawe, ilu ich tam jest - zainteresował się Magnus. - Policzyłeś ich, panie?

- Pewnie sześciu lub siedmiu poza nim, a może więcej.

- Cóż, nie bardzo mi się podoba taka ciasnota ponad dwa dni i dwie noce. Lepiej już wsiadajmy na konie.

- Nie możemy - powiedział Wespazjan, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji. - Nawet gdybyśmy mieli czas, by przejechać tę odległość na przełaj, a przecież go nie mamy, bo te dranie już nas widziały. Kiedy dopłyną do Genui, powiedzą każdemu, kto im zapłaci albo ich zastraszy, jak wyglądamy i gdzie nas widzieli. Zaprowadzą ich prosto do domu babki, a potem to już sprawa prostej dedukcji, by doprowadzić ich do mnie i reszty rodziny.

- Masz rację, Wespazjanie - powiedziała Tertulla, wzdychając. - Potrzebujesz jednak kogoś, kto ten statek poprowadzi.

- Mariuszu, pamiętasz dość z czasów we flocie, żeby nim pozęgłować?

- Sądzę, że tak, jeśli tylko popłyniemy wzdłuż brzegu.

Tertulla uśmiechnęła się ponuro.

- Wygląda mi na to, że kapitan podpisał właśnie wyrok śmierci na siebie i załogę.

- Obawiam się, że tak, Tute. Magnusie, przejdziemy się na pomost.

Ja wyciągnę do niego rękę z sakiewką, ty go powalisz, kiedy po nią sięgnie. Sekstusie i Mariuszu, zostajecie na plaży, żeby nie nabrał podejrzeń. Kiedy tylko padnie, ruszajcie jak najszybciej za nami na statek. Trzeba załatwić to szybko, zanim poszukają broni. Nie wyrzucajcie ciał za burtę, zrobimy to później, daleko stąd.

- Pójdę z wami - powiedział Attalus. - Zwiększy to troszkę nasze szanse.

- To może tylko zmniejszyć szanse - zadrwiła Tertulla. - Będiesz wszystkim włożył w drogę i dasz się zabić.

- To byłoby prawdziwe wybawienie dla nas obojga. - Ruszył za Wespazjanem i Magnusem w stronę pomostu.

Tertulla uśmiechnęła się, widząc odwagę starego przyjaciela, a potem z podziwem odprowadzała wzrokiem wnuka. Chłodno i rozsądnie kalkulował i przewidywał; była pewna, że potrafi przetrwać w tym świecie.

Kapitan czekał, rozmawiając spokojnie z jednym z marynarzy, kiedy Wespazjan i Magnus się zbliżali.

- To co ma być? - spytał od niechcienia, jakby obsługiwał gości w gospodzie.

- Czteryście - odparł Wespazjan.

- Powiedziałem, że pięćset to moje ostatnie słowo.

- No to nie mamy wyboru, prawda? - powiedział Wespazjan, wyciągając ku niemu sakiewkę ze złotymi monetami.

- Na to wygląda - powiedział kapitan, wpatrując się łapczywie w ciężką sakiewkę.

To była ostatnia rzecz, jaką widział.

- Rzeczywiście, wilku morski, nie mieliśmy wyboru - rzucił Magnus, wyciągając miecz z serca mężczyzny.

Załogant zamarł, nie pojmując, dlaczego kapitan osuwa się na pomost. W tym samym momencie kolano Wespazjana wylądowało w jego kroczu, mężczyzna zgiął się wpół, wystawiając kark pod ostrze Attalusa, które wbiło się aż po kręgosłup; marynarz był martwy, nim zdążył pomyśleć, co się dzieje.

Wespazjan wyciągnął *gladius*, skoczył na dziób statku i odrąbał prawą rękę pierwszemu człowiekowi, na którego się natknął; ten padł na pokład, a wrzask, jaki podniósł, chwytając się za tryskający krwią kikut, zaalarmował pozostałych członków załogi. Mając za sobą Magnusa i Attalusa, Wespazjan przeskoczył stos amfor i ruszył dalej, i wylądował na plecach starego siwego marynarza, który wyciągał właśnie miecz z otwartej skrzyni z bronią. Zdzielił go rękojęścią w tył czaszki, rozłupując ją jak orzech. Krzyk Attalusa kazał mu

odskoczyć w lewo, dzięki czemu uniknął ciosu topora, którym wymachiwał jakiś wytatuowany potwór, odziany jedynie w brudną szarą przepaskę biodrową. Drab warknął niczym dzika bestia, kiedy topór nie sięgnął celu, za to przeciął gładko rząd amfor. Trysnęła oliwa. Wespazjan chwycił się czegoś z obawy przed poślizgnięciem. Usłyszał wrzask pędzących pomostem Sekstusa i Mariusza, którzy po chwili wskoczyli na pokład przez nadburcie na rufie. Po jego prawej ręce Magnus rozplątał właśnie jakiegoś rudego Celta i cisnął nim w tamtego potwora, który chciał go odepchnąć, ale poślizgnął się na rozlanej oliwie i wylądował na tyłku. Wrzeszczący Celt przeleciał mu nad ramieniem, po drodze zostawiając swoje wnętrzności na jego brzuchu. Przez chwilę gość siedział tylko i wpatrywał się zdumiony w szare jelita, które zdawały się wypływać z jego własnego brzucha, nim doszedł do wniosku, że to jednak nie jego wypatroszono; spojrzał w górę akurat w odpowiednim momencie, by zauważyć, jak sztylet Attalusa wchodzi mu w prawe oko. Chrapliwy ryk bólu odbił się echem od nadmorskich skał, kiedy Attalus przekręcał ostrze w lewo i w prawo, zmieniając jądro mózgu w galaretkę; dźwięk urwał się raptownie, kiedy Attalus poderwał nóż do góry, przecinając mózg na pół.

Wespazjan rozejrzył się wokół. Sekstus i Mariusz zabezpieczyli rufę i opierali się teraz o nadburcie, chwytając oddech; u ich stóp leżały dwa ciała. Magnus ruszył ostrożnie do przodu po śliskich deskach i spokojnie podciął Celtowi gardło, przerywając jego wycie. Jedynym dźwiękiem zakłócającym odgłos fal łagodnie bijących o burtę był cichy, jednostajny jęk okaleczonego mężczyzny z krwawiącym kikutem ręki.

- Zajmę się nim - powiedział Magnus, starając się utrzymać pionową postawę na lekko kołyszącym się pokładzie.

- Dzięki, Magnusie - odparł Wespazjan, jakby mężczyzna zaproponował mu właśnie łyk wody. - Mariuszu i Sekstusie, przynieście tamte ciała tutaj na dół i wytrzyjcie oliwę, zanim ktoś zrobi sobie krzywdę. - Położył dłoń na ramieniu Attalusa. - Dziękuję za ten ostrzegawczy krzyk, przyjacielu, jestem pewien, że z przyjemnością opowiesz swojej pani wieczorem, że nie miałyby już wnuka, gdyby nie ty.

- Opowiem, panie - powiedział Attalus z uśmiechem - i każdego wieczoru w przyszłości; choć myślę, że ona zepsuje mi całą uciechę, przypominając, że w ogóle nie znalazłbyś się w niebezpieczeństwie, gdybym porządnie wykonał swoją robotę i załatwił godnego zaufania kapitana.

Wespazjan się roześmiał.

- Masz zapewne rację. Chodźmy i pokażmy jej, że żyjemy.

Zeszli z pokładu i zobaczyli, że Tertulla wciąż stoi na plaży i kurczowo zaciska dłonie.

- Ojciec byłby z ciebie dumny - powiedziała, kiedy podeszli do niej. - Walczysz jak mężczyzna, który wie, że zwycięży. To znak męża opatrnościowego, takiego, który zawsze ocaleje.

- Mało brakowało, abym nie ocalał, Tute. Gdyby nie Attalus, leżałbym tam rozcięty na dwoje.

- Więc po tych wszystkich latach wreszcie się na coś przydałeś - powiedziała, obdarzając uśmiechem swojego przyjaciela.

- Na to wygląda, pani, co daje mi nad tobą zdecydowaną przewagę.

Gdy się tak przekomarzali, Wespazjan poszedł dopilnować załadunku koni. Kiedy już dało się je namówić, by weszły na prowizoryczny trap, a stamtąd na pokład, i kiedy złożono zapasy w małej kabinie, Mariusz oznajmił, że jest gotowy ruszyć w rejs.

Przy pożegnaniu Tertulla wzięła wnuka na bok i przeszła się z nim plażą. Kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu pozostałych, ujęła jego dłonie i przytrzymała.

- Nie będzie mnie tutaj, kiedy wrócisz - powiedziała, spoglądając mu w oczy z czułością.

Wespazjan otworzył usta, by zaprotestować, ale położyła mu palec na wargach.

- Nic, co powiesz, nie zrobi najmniejszej różnicy. Wiem, że pozostało mi niewiele dni, a ciebie nie będzie kilka lat.

Wespazjan wiedział, że według wszelkiego prawdopodobieństwa babka ma rację, powiedział to właściwie już jego ojciec, sugerując, by ją odwiedził; jednak przyznanie, że tak jest, czyniło ten fakt nieuniknionym. Poczł, że do kącików oczu napływają mu łzy. Objął ją.

- Nie płacz jeszcze - ofuknęła go łagodnie. - Zostaw łzy na czas, kiedy mnie zabraknie. Bądź wdzięczny losowi, że dał nam sposobność ostatniego pożegnania. Niewielu ludziom dane jest to szczęście.

- Będzie mi ciebie brakować, Tute - powiedział Wespazjan, ocierając oczy. - Tutaj, w Kosie, spędziłem z tobą najszcześniejsze chwile w życiu.

- I nie ma powodu, byś w przyszłości nie miał ich więcej. Zostawiłam posiadłość w całości tobie. Twój ojciec zrozumie. Ma już dwa majątki do zarządzania i nie byłby mi wdzięczny za dodatkowe obciążenie. A jeśli chodzi o Sabinusa, jego nigdy to miejsce nie interesowało i uciekał stąd najszybciej jak mógł.

- Co nie znaczy, że nie będzie zazdrosny i nie znajdzie jakiegoś sposobu, żeby się na mnie odegrać.

- Cóż, to sprawa między wami. Ja robię jedynie to, co uważam za słuszne. W testamencie daję wolność wszystkim swoim niewolnikom i proponuję, by pozostali w posiadłości i prowadzili ją pod nadzorem Attalusa aż do twojego powrotu. A kiedy wrócisz, Attalus przekaze ci pewne dokumenty, które chcę, żebyś miał. Poczyłałam też znaczący zapis dla niego, by nie żył w ubóstwie na starość, tak więc nie będzie dla ciebie ciężarem.

- Nigdy nie byłby dla mnie ciężarem, Tute, bo zawsze będzie mi przypominał ciebie.

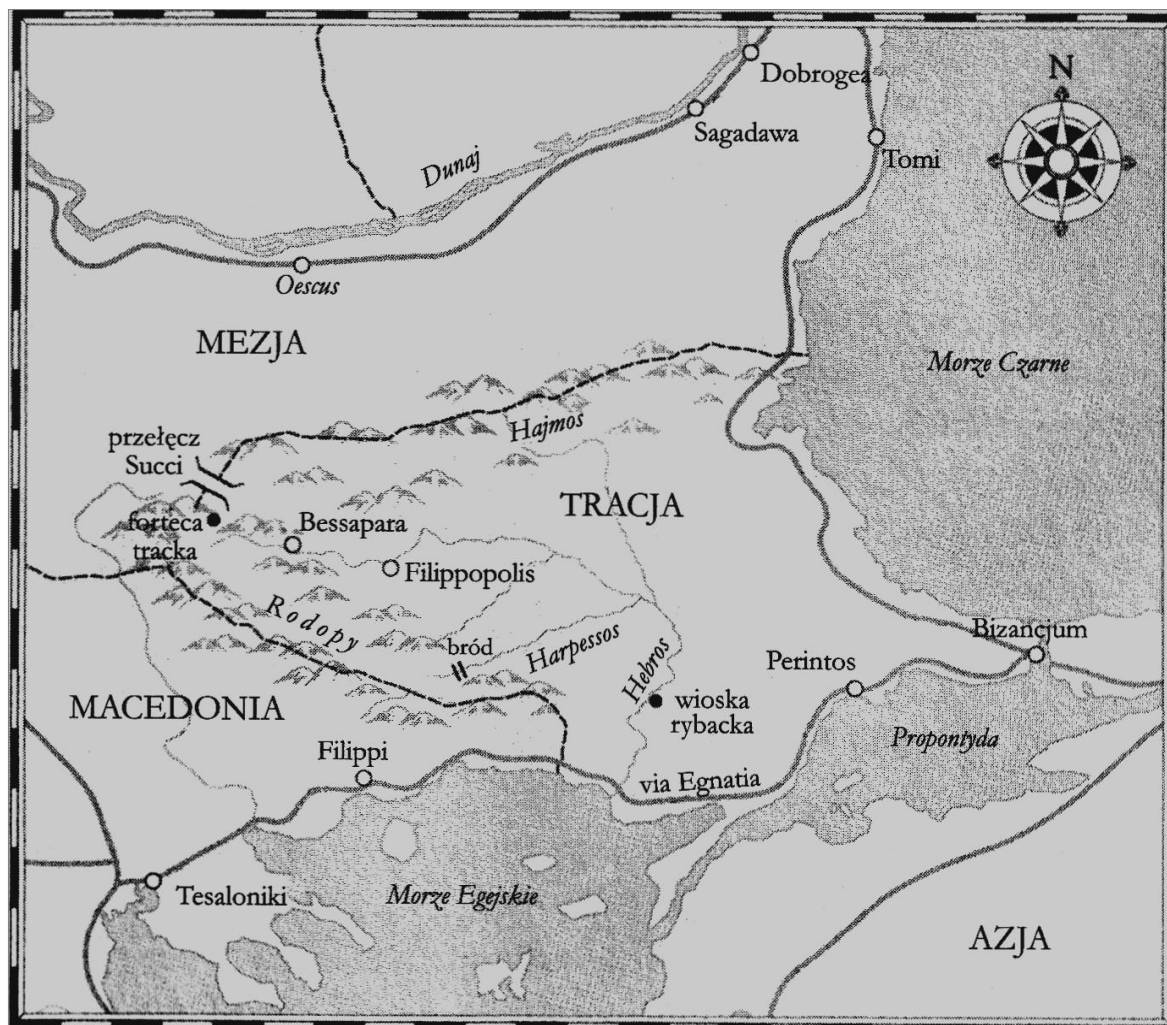
Tertulla przytuliła wnuka, po czym stanąwszy na palcach, pocałowała go w usta.

- Pamiętaj, rób to, co uważasz za właściwe dla siebie i dla Rzymu, a spełnisz swoje przeznaczenie, które jest wspanialsze, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić. - Zwichrzyła mu włosy, tak jak to robiła, kiedy był dzieckiem, i uśmiechnęła się do niego. - Musisz już iść, czekają na ciebie. Żegnaj, mój skarbie.

Wespazjan wszedł na pokład, kiedy Magnus i Sekstus podnosili żagiel. Mały stateczek ruszył z miejsca, a stojący przy sterze Mariusz skierował go dziobem w morze. Wespazjan stał na rufie i patrzył, jak Tertulla maleje z każdą chwilą. Kiedy była zaledwie małą kropeczką na plaży, osunął się na kolana i rozszlochał, oplakując swoją ukochaną babkę, która choć jeszcze żyła, dla niego już umarła.

CZEŚĆ IV

TRACJA, WIOSNA 26 R.



Rozdział dziewiętnasty

- A co teraz ten dupek zamierza? - warknął Magnus, spoglądając z obrzydzeniem na Gnejusza Domicjusza Korbulona, dowódcę prowadzącego kolumnę oddziałów posiłkowych. - Jeśli znowu zmienimy dzisiaj kierunek, podniosę bunt.

- Trzeba podlegać wojskowej dyscyplinie, by móc się buntować - przypomniał Wespazjan przyjacielowi, obserwując, jak Korbulon wdaje się w kolejną burzliwą wymianę zdań z miejscowymi przewodnikami. - A ponieważ udajesz mojego wyzwolenca, czyli jesteś cywilem, to jest oczywiste, że wszystko, co powiesz czy zrobisz, zostanie zlekceważone, szczególnie przez kogoś tak dobrze urodzonego i aroganckiego jak Korbulon.

Magnus chrząknął, zdjął swoją stożkową czapkę, *pileus*, będącą oznaką wyzwolenca, i otarł pot z czoła.

- Nadęty dupek - mruknął.

Pięć dni wcześniej przekroczyli granicę pomiędzy prowincjami Macedonią i Tracją. Przez trzy dni *via Egnatia* prowadziła ich pośród kwitnących sadów i świeżo obsianych pól wąskiej nadmorskiej równiny, wciśniętej pomiędzy złowrogie, zasnuwane chmurami góry Rodopy od północy a iskrzące się w wiosennym słońcu, cudownie lazurowe, ale zdradliwe Morze Trackie od południa.

Korbulon otrzymał rozkazy, które czekały na niego w Filippi na macedońskiej granicy, by jak najszybciej spotkał się z armią Poppeusza Sabinusa w Bessaparze, nad rzeką Hebros, na północnym zachodzie Tracji, gdzie północne pasmo Rodopów przylega do łańcucha górskiego Hajmos. To tutaj Poppeusz przygwoździł trackich buntowników w górskiej fortecy, kilkanaście dni wcześniej pokonawszy ich główne siły w bitwie. Korbulon przeklinał swojego pecha. Chciał się dowiedzieć szczegółów o tej bitwie, tymczasem posłaniec z wieściami o zwycięstwie już zdążył wyruszyć do Rzymu.

Młodemu i ambitnemu patrycjuszowi bardzo zależało na pośpiechu. Chciał dotrzeć na miejsce, zanim bunt zostanie ostatecznie zduszony, i zdążyć jeszcze okryć się chwałą.

Spotkali się z przewodnikami i zeszli z drogi na wschodnim krańcu Rodopów, kierując się teraz na północny wschód bezdrożami pogórza, by obchodząc później góry od północy, dostać się do punktu docelowego. Znajdowali się na ziemiach plemienia Celatetów, pod rządami marionetkowego króla Remetalkesa. Lud ten pozostał lojalny wobec Rzymu

głównie z nienawiści do swoich północnych sąsiadów, Besów i Dejów, którzy rok wcześniej zbuntowali się przeciwko poborowi do rzymskiej armii.

Wespazjan rzucił uśmiech Magnusowi, kiedy obserwowali, jak Korbulon ryczy na tubylczych przewodników, zawraca konia i jedzie wzdłuż kolumny w ich kierunku, czyli na czoło złożonej z czterystu osiemdziesięciu rekrutów pierwszej kohorty.

- Myślę, że nasz szacowny dowódca lada chwila popchnie kolejne plemię do powstania - powiedział, spoglądając na czerwoną twarz trybuna mijającego właśnie straż przednią w sile stu dwudziestu jeźdźców galijskich oddziałów pomocniczych. - Jeśli dalej będzie tak postępował, to wylądujemy w drewnianych klatkach zawieszonych nad ich świętym ogniem.

- Myślałem, że tylko Germanie i Celtowie to robią - mruknął Magnus, unosząc z siodła zdrętwiałe pośladki.

- Ci barbarzyńcy pewnie tak samo obrzydliwie zabawiają się jeńcami. Miejmy nadzieję, że Korbulon swoją arogancją nie zmusi ich, by poćwiczyli sobie na nas.

- Trybunie - rzucił Korbulon, zrównując się z Wespazjanem - zatrzymujemy się tutaj na noc. Te rude lisie syny odmawiają dzisiaj dalszego marszu. Każ ludziom zbudować obóz.

- Tak jest.

- I trybunie... - dowódca zerknął na Wespazjana znad długiego wydatnego nosa, który dominował w jego pociągłej, kościstej twarzy - ...powiedz centurionowi Faustusowi, żeby tej nocy podwoił strażę. Nie ufam tym draniom, wydaje mi się, że robią, co mogą, żeby nas spowolnić.

- Myślałem, że są lojalni wobec Rzymu.

- Jedyna lojalność, jaką znają te dzikusy, to lojalność wobec ich paskudnych, pazernych plemiennych bożków. Nie powierzyłbym im ich własnych babek.

- Rzeczywiście wygląda na to, że idziemy jakąś okrężną trasą.

- Nie starają się doprowadzić nas do celu. Za każdym razem, kiedy nalegam, żeby kierować się na północny zachód, po mili czy dwóch znajdują jakiś pretekst, by skrócić na północny wschód. Zupełnie jakby chcieli nas doprowadzić zupełnie gdzie indziej.

- Na przykład tutaj? - Wespazjan podniósł wzrok na skaliste stoki po lewej, a potem spojrzał w dół, na gęsty las iglasty, który ciągnął się pod nimi daleko jak okiem sięgnąć. - Nie wybrałbym takiego miejsca na obóz, zdecydowanie zbyt odizolowane.

- Też tak uważam, ale nic nie wskóramy. Do zachodu słońca pozostało niewiele ponad trzy godziny i bez przewodników moglibyśmy nie znaleźć lepszego miejsca, więc jesteśmy

skazani na to tutaj. Przynajmniej jest mnóstwo drewna, więc zagoń do niego ludzi, bo tej nocy chcę mieć obóz otoczony palisadą. Będziemy postępować tak jak na wrogim terytorium.

Wespazjan patrzył za swoim przełożonym jadącym dalej wzdłuż kolumny. Był siedem lat starszy od Wespazjana i przez ostatnie trzy lata należał do sztabu Poppeusza; przedtem przez rok służył nad Renem. Choć on także miał plebejskie korzenie, jednak jego rodzina od dwóch pokoleń posiadała rangę senatorską i on sam zachowywał się z arogancją człowieka urodzonego w uprzywilejowanej sferze. Odesłanie go do Italii, razem z Faustusem, starszym centurionem, *primus pilus*, IV legionu *Scythica*, by zabrał stamtąd kolumnę rekrutów, przez co ominął go początek kampanii, zraniło jego dumę. Jego niecierpliwość odbiła się na nieszczęsnych rekrutach, których podczas tych siedemdziesięciu dni marszu bezwzględnie karano chłostą za najdrobniejsze błędy czy przewinienia, a nawet zdarzyła się jedna egzekucja. Ten gość był, jak słusznie stwierdził Magnus, dupkiem, ale nawet Wespazjan, mimo swojego mizernego doświadczenia, zauważył, że dowódca ma rozwinięty instynkt wojskowy.

- Centurionie Faustusie! - zawołał.

- Tak jest, dowódco!

Faustus stanął na baczność, grzechocząc *phalerae*, odznaczeniami w kształcie metalowych krążków, noszonymi na specjalnej uprzęży na wierzchu kolczugi, przyznanymi mu podczas ponad dwudziestu dwóch lat służby. Poprzecznie ustawiony grzebień jego hełmu sterczał tak samo sztywno, jak stał jego właściciel.

- Każ ludziom zbudować obóz z palisadą i wyznacz podwójną wartę.

- Tak jest! *Bucinator*, graj rozkaz „Rozbijać obóz”.

Trębacz podniósł do ust długi na cztery stopy róg z kielichowatą czarą i zagrał serię wysokich dźwięków. Rezultat był natychmiastowy: legioniści dwóch kohort zdjęli z ramion kije z tobołkami oraz oszczepy, *pila*, po czym centurioni swoimi laskami z winorośli, a zastępcy pokrzykiwaniem podzielili ich na grupy robocze; jedne do kopania rowów, inne do ubijania ziemi; jeszcze inne do cięcia pali. Oddziały galijskiej jazdy z frontu i tyłu kolumny utworzyły obronny krąg, chroniący pracujących. Na zewnątrz tego kręgu jednostki tesalskiej lekkiej kawalerii oraz piesi łucznicy patrolowali okolicę. Służba i niewolnicy rozładowywali zwierzęta juczne, zaganiali je do zagrody i niwelowali teren, podczas gdy saperzy mierzyli i wyznaczyli linię na prostokątną palisadę oraz miejsce na każdy z dwustu *papiliones*, ośmioosobowych namiotów.

Zaledwie kilka chwil zajęło kolumnie marszowej przeobrażenie się w pracowity rój. Każdy człowiek zajął się wyznaczonym mu zadaniem, poza tuzinem trackich przewodników,

którzy przysiedli na piętach, otulając się swoimi płaszczami z niefarbowanej wełny i wciskając na uszy dziwaczne czapy z lisiego filtra, chroniące ich przed ostrym górskim powietrzem. Obserwowali z posępnymi minami, jak obóz nabiera kształtów, i szeptali coś w swoim niezrozumiałym języku.

*

Kiedy słońce zaszło, przemęczeni legioniści zaczęli przygotowywać swój wieczorny posiłek w bezpiecznym kwadratowym obozie o boku 360 stóp. Wszyscy wykonali ciężką pracę. Każdy z nich albo wykopał ponad cztery stopy rowu, szerokiego na pięć stóp, trzy stopy głębokiego, usypując ziemię na dwie stopy wysoko po wewnętrznej stronie okopu, by inni ją ubili, albo też ściął tyle drzew i ociosał na pięciostopowe pale, żeby starczyło na cztery stopy palisady; a wszystko to po szesnastu milach marszu w ciężkim, nierównym terenie. Przysiedli w ośmioosobowych grupkach, przy dymiących ogniskach, obok skórzanych namiotów, narzekając na mozół świeżo poznanego wojskowego życia. Silny zapach ich potu zabijał tę jeszcze bardziej mdłą woń niewybrednego wojskowego jadła, które bulgotało w kociołkach. Nawet ich codzienna porcja wina nie wywołała chęci do śmiechu czy lekkich pogaduszek.

Wespazjan siedział przed swoim namiotem, słuchając ich zrzędzenia, podczas gdy Magnus gotował na kolację gulasz z wieprzowiny i ciecierzycy.

- Założę się, że w tej chwili wielu z nich żałuje wstąpienia do legionu - zauważył, pociągając łyk wina.

- Przywykną - powiedział Magnus, wrzucając do kociołka posiekany dziki tymianek. - Najcięższe jest pierwsze dziesięć lat... potem już leci.

- Odsłużyłeś pełne dwadzieścia pięć lat?

- Zaciągnąłem się, kiedy miałem piętnaście lat, i odsłużyłem jedenaście w Piątym *Alaudae* nad Renem, potem przeniosłem się do miejskiej kohorty. Oni muszą odsłużyć tylko szesnaście lat, więc miałem szczęście... wyszedłem już po kolejnych pięciu. Nigdy jednak nie awansowałem na zastępcę centuriona. Głównie dlatego, że nie umiem pisać, choć trzeba przyznać, że regularne kary za udział w bójkach też mi nie pomogły. Kiedy zwolniono mnie przed czterema laty, wydawało mi się sensowne z przywary uczynić cnotę, zostałem więc pięściarzem. Więcej pieniędzy, ale bardziej boli. - Pomasaował kalafiorowate ucho, by podkreślić swoje słowa. - A ci smarkacze tak jęczą tylko dlatego, że pierwszy raz musieli budować solidny obóz po całodniowym marszu. Po jednym sezonie w polu przywykną. To znaczy, jeśli przeżyją.

Wespazjan zgodził się z tym. Od chwili kiedy dołączyli do kolumny, dziesięć mil za Genuą, pokonywali dwadzieścia mil dziennie po dobrych drogach, w bezpiecznej Italii, obozując, gdzie im przyszła ochota, aż dotarli do portu w Rawennie. Stamtąd, wszyscy, po długim oczekiwaniu na statki transportowe, przepłynęli Adriatyk i pożeglowali wzdłuż wybrzeża Dalmacji do Dyrrachium, na zachodnim brzegu Macedonii. Ruszyli via Egnatia przez Macedonię, stawiając jedynie warty wokół obozu. Dopiero teraz nadeszła pierwsza noc, kiedy można było powiedzieć, że znajdują się w pewnym niebezpieczeństwie. Żołnierze, wielu równie młodych jak on, dowiedzą się wkrótce, że lepiej być zmęczonym i bezpiecznym wewnątrz obozu niż wypoczętym i martwym na otwartym polu.

Wrócił myślami do dnia, w którym z Magnusem dołączył do kolumny. Wcześniej zeszli z tamtej łajby wraz z końmi, na zachód od Genui. Mariusz i Sekstus pod osłoną nocy wpłynęli do przystani, gdzie stateczek zostawili, by prawowity właściciel mógł sobie go kiedyś odebrać, i dopiero wtedy ruszyli drogą lądową z powrotem do Rzymu. Wespazjan i Magnus ruszyli na przełaj, aż znaleźli się w odległości mili od punktu rekrutacyjnego, mieszczącego się poza murami miasta. Tam, na pobliskich wzgórzach, czekali dwa dni, aż kolumna wyruszy. Wtedy podążali za nią via Aemilia Scauri, dopóki nie nabrali pewności, że nie ma wśród żołnierzy żadnych pretorianów, a potem dołączyli do niej, jakby właśnie przybyli z Genui. Korbulon zrugął go niemiłosiernie za spóźnienie. Nie umniejszyło to ulgi, jaką odczuwał, wydostawszy się bezpiecznie z Italii, i jak miał nadzieję, poza zasięg łap Sejana i jego pacholków.

Wespazjan westchnął, myśląc o ironii swojej sytuacji, bo im bardziej oddalał się od człowieka, który mógłby go zabić, tym dalej był od osoby, która go kochała. Dotknął amuletu od Cenis i pomyślał o jej pięknej twarzy i upajającym zapachu. Magnus wyrwał go z tych marzeń.

- Wcinaj, panie - powiedział, podając mu miskę parującego gulaszu.

Pachniał smakowicie i Wespazjan, uświadomiwszy sobie, jak bardzo jest głodny, rzucił się najedzenie.

- Gdzie się nauczyłeś tak dobrze gotować?

- Jak nie masz kobiety, która by ci gotowała, to się musisz nauczyć, inaczej będziesz musiał się zadowolić byle gównem. - Drewnianą łyżką Magnus wrzucił do ust sporą porcję potrawy. - Większość tych młodych ludzi, których tu widzisz, pod koniec służby będzie niezgorzej kucharzyła. Chyba że postanowią wlec ze sobą kobietę, ale to na ogół straszne utrapienie w trakcie kampanii, bo one ciągle jęczą i narzekają. W porządku, jeśli stacjonujesz

w stałym obozie i za murami wybudujesz jej miłą wygodną chałupkę, a ty możesz tam wpadać, by sprawić sobie nieco popołudniowej przyjemności, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Wiem, wiem - odparł Wespazjan, sam odczuwając potrzebę odrobiny przyjemności.

Dalsze rozmyślenia na ten temat powstrzymał dźwięk rogu.

- To „Wszyscy oficerowie do namiotu dowódcy”, lepiej już idź tam, panie. Dopilnuję, żeby ci nie ostygło.

Wespazjan podał Magnusowi swoją miskę, wymamrotał podziękowanie i powłókł się zmęczonym krokiem do *praetorium*, pomieszczenia dla dowódcy, usytuowanego pośrodku obozu, przy *via Principalis*, ulicy przecinającej cały obóz na dwie części.

*

- Witam wszystkich. - Korbulon, rozejrzał się po zebranych. W słabym świetle widział rzymskich prefektów dwóch pomocniczych galijskich jednostek jazdy, dwunastu centurionów, po sześciu z każdej kohorty, włącznie z Faustusem, który jako najwyższy rangą, pełnił funkcję prefekta obozu. Grupę uzupełniał Wespazjan oraz Marek Korneliusz Gallus, drugi właśnie przybyły trybun wojskowy.

- Mam nadzieję, że jesteście najedzeni i odświeżeni, bo mamy przed sobą długą noc.

Rozległ się cichy pomruk potwierdzenia, choć większość z obecnych, tak jak Wespazjan, nie zdążyła dokończyć posiłku.

- Istnieje duże prawdopodobieństwo ataku na kolumnę albo dzisiaj nocy, albo w ciągu kilku najbliższych dni. Nasi przewodnicy okazali się nieprzydatni i nie możemy im zaufać. Umieściłem ich pod strażą i kazałem stracić, gdyby do takiego ataku doszło. A to oznacza, że musimy znaleźć drogę do obozu Poppeusza bez niczyjej pomocy. Ani centurion Faustus, ani ja nie podróżowaliśmy tędy w ubiegłym roku w drodze powrotnej do Genui, jako że wyruszyliśmy bezpośrednio z Mezji, zanim Poppeusz przeniósł swoje legiony do Tracji. Chciałbym, by zgłosił się ktoś, kto ma już jakieś doświadczenia z Tracji.

- Wodzu! - Jeden z centurionów drugiej kohorty wystąpił do przodu.

- Centurion Ecjusz. Słuchamy.

- Melduję, że służyłem w Piątym *Macedonica* pod Publiuszem Welleuszem pięć lat temu, kiedy bunt podnieśli Odrysowie, a my wtedy musieliśmy uporządkować ten tracki bałagan. Wkroczyliśmy z Mezji, tak jak Poppeusz, i zdruzgotaliśmy ich pod murami Filippopolis. Po drodze przeszliśmy przez Bessaparę. Całkiem nieźle poznałem tę krainę, bo stacjonowaliśmy tam prawie rok, czyszcząc teren z buntowników. To okropny, podły lud, choć Marek Fabiusz, zastępca dowódcy czwartej centurii drugiej kohorty, miałby w tej

sprawie odmienne zdanie. Miał tu przez pięć lat miejscową kobietę, mówi nawet ich językiem.

- Doskonale, dziękuję ci, Ecjuszu. Jakie postępowanie byś zaproponował?

- Pomiędzy dwudziestą a trzydziestą milą na północ stąd trafimy na rzekę Harpessos. Nie jest zbyt szeroka, ale o tej porze bardzo bystra, bo niesie wody z topniejącego w górach śniegu; wciąż jest jednak na tyle płytka, by można przebyć ją w bród. Kiedy już będziemy po drugiej stronie, możemy podążać zgodnie z jej biegiem na północny zachód do Filippopolis i dalej do Bessapary. To dłuższy szlak, jednak bez zaufanych przewodników, którzy zabraliby nas bezpośrednią trasą przez góry, bezpieczniejszy.

Korbulon rozważył te informacje, próbując zestawić późniejsze przybycie z możliwością niedotarcia na miejsce w ogóle, a ponieważ nie podobało mu się ani jedno, ani drugie, zakończył odprawę.

- Dziękuję wszystkim. Decyzję podejmę rano. Tymczasem dopilnujcie, by wasi ludzie spali na zmiany. Chcę, by połowa centurii stała pod bronią przez całą noc. Jak już powiedziałem, to będzie długa noc. Żegnam.

*

- Dziękuję, Magnusie - powiedział Wespazjan, biorąc od towarzysza miskę wciąż jeszcze ciepłego gulaszu i ponownie zasiadając do jedzenia.

- Co ten dupek miał do powiedzenia? Pewno wypuścił mnóstwo bzdziń. - Magnus ryknął śmiechem, ubawiony swoim niewybrednym dowcipem.

- No cóż, prawdę mówiąc, przyznał, że nie wie, jak się dostać... - Wespazjan przerwał, słysząc szcęk broni, krzyki i wrzaski dochodzące od głównej bramy po drugiej stronie obozu. Chwycili miecze i popędzili w stronę tego tumultu, przebijając się przez kłębowisko przejętych rekrutów dwóch kohort, formujących w ciemnościach szyk, poganianych przez pokrzykujących centurionów i ich zastępców. Kociołki fruwały w powietrzu, ludzie potykali się o kołki i linki od namiotów, podczas gdy centurie, które zgodnie z rozkładem obowiązków właśnie odpoczywały, pędziły po leżące w porządku ułożonych stosach włócznie. W biegu wkładali hełmy i przypinali miecze, zaciągając rzemienie przy *lorica segmentata*, pancerzach z pasów z kutego żelaza, które zdążyli już na noc zrzucić.

Obok bramy, otwartej i huśtającej się na wietrze, płonął wóz z paszą dla zwierząt. Przy świetle, jakie rzucał ogień, Wespazjan zobaczył jakieś pół tuzina leżących na ziemi ciał. Na miejscu był już Korbulon i wrzeszczał na młodego legionistę, który robił, co mógł, by stać na baczność, mimo że krew z rany zadanej mieczem pod prawym okiem zalewała mu twarz.

- Jak śmiałeś ich wypuścić? Dlaczego nie zablokowałeś bramy, ty beżużyteczny worku gówna? Głową mi za to zapłacisz. Twoje imię?

Legionista otworzył usta, po czym osunął się zemdłony u stóp dowódcy. Korbulon wymierzył nieszczęśnikowi kopniaka w brzuch i natychmiast tego pożałował, ponieważ trafił w metalowy pancerz, boleśnie zadzierając sobie paznokieć przy dużym palcu.

- Trybunie Wespazjanie - wrzasnął dowódca, tłumiąc chęć złapania się za stopę i podskakiwania jak jakiś aktor w kiepskiej komedii. - Zabezpieczyć tę bramę! Chcę, by cała centuria stanęła przed nią w szyku.

- Co się stało, dowódco?

- Te podstępne Gorgonie syny zdołały zabić strażników, ukraść konie i wyrwać się na zewnątrz tą bramą, oto, co się stało. Co za bajzel, ale ja zamierzam złapać za jaja tego, kto tu dowodzi, kimkolwiek jest. A teraz zamknąć mi tę bramę i ugasić ogień!

Doszedłszy do wniosku, że nie warto mu przypominać, iż to on sam tutaj dowodzi, Wespazjan, z Magnussem tuż za plecami, ruszył, by wypełnić rozkazy. Usłyszał jeszcze, jak dowódca wykrzykuje do trybuna Gallusa, by rozkazał prefektom jazdy wydać swoim ludziom komendę „na koń”.

*

Ogień ugaszono i powrócił spokój. Obie kohorty ustawiono w szyku pomiędzy liniami namiotów a palisadą, po obu bokach obozu. Zabezpieczywszy bramę i zostawiwszy przy niej jedną centurię, pod komendą Faustusa, Wespazjan zajął się oględzinami leżących na ziemi ciał. Ściągając zwłoki młodego legionisty z ciała napastnika, usłyszał cichy dźwięk wdechu.

- Dowódco, tutaj!

- No, co tam znowu? - warknął Korbulon. Mniej więcej odzyskał już panowanie nad sobą.

- Ten Trak jeszcze żyje. - Wespazjan obrócił cuchnące ciało jednego z niegdysiejszych przewodników. Krew sączyła się z głębokiej rany w lewym barku. Cięcie omal nie pozbawiło go całego ramienia, a mimo to ten człowiek wciąż oddychał.

- No proszę, to dzisiaj pierwsza dobra wiadomość.

Zdyszany trybun Marek Gallus przyszedł złożyć meldunek.

- Dowódco, jeźdźcy zaraz będą w siodłach.

- Mam nadzieję. Chcę, by złapali tych sukinkotów.

- Tamci są już całkiem daleko - odezwał się Wespazjan - i znają teren, nie ma najmniejszych szans, by ich dopaść.

Korbulon popatrzył na Wespazjana, jakby miał za chwilę wybuchnąć sprowokowany impertynencją tego parweniusza, jednak wziął się w garść, kiedy dotarła do niego prawda tego stwierdzenia.

- Pewnie masz rację - przyznał z goryczą. - Każę im po prostu krążyć wokół obozu, nie ma sensu narażać dobrych żołnierzy, nawet Galów, bo wkrótce mogą nam się przydać. No dobrze, zajmijcie się tym jeńcem. Chcę, by za godzinę był w takim stanie, który pozwoli go przesłuchać, i sprowadźcie zastępcę centuriona, Fabiusza, żeby tłumaczył.

*

Wespazjan, Gallus, Fabiusz i dwaj strażnicy stanęli na baczność, kiedy Korbulon wszedł do pomieszczenia dowódcy. Ranny Trak leżał, pojękując, na ziemi, zbyt słaby z powodu upływu krwi, by warto go było wiązać. Ranę zaklejono mu smołą i przewiązano, przestał więc krwawić; nie mogło to co prawda uratować mu życia, ale dawało dość czasu na przesłuchanie.

- Fabiuszu, spytaj go, dokąd uciekali - rozkazał Korbulon - i czy na tych wzgórzach nie ma więcej takich, co nas szpiegują.

Zastępca centuriona przykląkł obok jeńca i powiedział kilka krótkich zdań w dziwnie śpiewnym języku Traków.

Mężczyzna otworzył oczy, najwyraźniej zdumiony, popatrzył przez chwilę na Fabiusza, jakby sprawdzał, kim jest, po czym splunął mu prosto w twarz.

- Faj! Ty brudny draniu! - Fabiusz wymierzył mu pięścią cios w usta, rozcinając obie wargi.

- Wystarczy, ja powiem, kiedy ma go zboleć - warknął Korbulon. - Chcę, żeby żył jak najdłużej. A teraz spytaj go ponownie.

Tym razem Fabiusz mówił ostrzejszym tonem i uważał, by być poza zasięgiem plwociny. Trak zachowywał spokój; na jego opuchniętych, zakrwawionych ustach pojawił się ponury uśmiezek i odwrócił głowę.

Wespazjan widział, że przesłuchanie jest bezcelowe; ten człowiek wiedział, że umrze i nie zyska niczego, mówiąc; im bardziej się opierał, tym większe prawdopodobieństwo, że jego dręczyciele stracą cierpliwość i zakończą jego męki.

- Zaczynam mieć tego dość - syknął Korbulon, stawiając lewą stopę na poranionym barku jeńca. - No, ty mały piździelcu, teraz gadaj do mnie. - Nacisnął mocno na ledwo opatrzoną ranę. Jeniec wrzasnął chrapliwie, a przez opatrunek zaczęła się sączyć krew. - No, ty śmierdzący dzikusie, gdzie się wybierałeś?

Trak popatrzył na stojącego nad nim młodego rzymskiego dowódcę zwięzonymi z nienawiści oczyma i unosząc głowę, zaczął wykrzykiwać coś głośno i gorzko w swoim dziwnym języku. Po kilku zdaniach okazało się, że wysiłek okazał się zbyt duży dla jego serca, bo jeniec wydał zduszony jęk, głowa opadła mu do tyłu, z martwym spojrzeniem utkwionym we wściekającym się Korbulonie.

- No, Fabiuszu, co on powiedział? - warknął dowódca.

- Nie wiem dokładnie - odparł z zakłopotaną miną mężczyzna.

- Co to znaczy, że nie wiesz dokładnie? Przecież mówisz ich ohydny językiem, czyż nie?

- Mówię, dowódco, językiem Odrysów, Besów i innych plemion z północy i zachodu.

- No tak, ale przecież ten człowiek należał do plemienia Celatetów. Nie mówią tym samym językiem?

- O to właśnie chodzi, że tak, choć jest kilka drobnych różnic, a tymczasem ten człowiek mówił dialektem, którego nigdy wcześniej nie słyszałem.

- W rozkazach, które otrzymałem, napisano, że nasi przewodnicy są z plemienia Celatetów. Skoro jesteś pewien, że ten nie, to gdzie są nasi prawdziwi przewodnicy i skąd się wziął ten tutaj?

- Domyślam się, że pochodzi ze wschodniej części tego kraju, tej za rzeką Hebros.

- To niemożliwe, plemiona wschodnie są lojalne wobec Rzymu - rzucił Korbulon.

- Były, dowódco, kiedy stamtąd odchodziłeś - powiedział cicho Wespazjan - a jeśli już tak nie jest?

Korbulon zmarkotniał, przetrawiwszy implikacje takiej możliwości.

- To by oznaczało, że po drugiej stronie rzeki może być jedno albo więcej zbuntowanych plemion i jeśli udamy się na wschód od Hebrosu, natkniemy się na nie, a jeśli pomaszerujemy na północny zachód, będą nam deptały po piętach.

- Tak to wygląda - stwierdził Wespazjan z ponurym uśmiechem - a wycofanie się do Macedonii byłoby jednoznaczne z niewykonaniem rozkazów. Myślę, że decyzję podjęto już za ciebie, dowódco.

Korbulon zerknął na swojego nowego trybuna i zrozumiał, że ma rację: nie mieli wyboru. Musieli przeć naprzód bez przewodników, ku obozowi Poppeusza na północnym zachodzie. Przez cały czas będą oglądać się za siebie, z obawy, że zobaczą kurz wzniesiony przez bojowe oddziały Traków, zbliżające się do niezaprawionych w boju rekrutów na tyłach.

- A niech to - wyszeptał.

Rozdział dwudziesty

Legionistów, którzy mieli szczęście się trochę przespać, obudzono przed świtem. Zanim wszyscy zapakowali swój ekwipunek do tobołków i umocowali je na kijach z poprzeczką, zjedli skromne śniadanie, złożone z suchego chleba, sera i oliwek. Kiedy nad horyzontem pojawiło się słońce, oświetlając głęboką czerwienią strzępiaste chmurki, *bucinatores* zagrali sygnał do zwijania obozu. Dwieście namiotów padło prawie równocześnie na ziemię, po czym sługi obozowe przymocowały je na grzbietach mułów, z których każdy niósł cały bagaż *contubernium*, ośmioosobowego oddziału mieszkającego w jednym namiocie. By zwiększyć szybkość marszu, Korbulon rozkazał zniszczyć dwa większe wozy, ciągnięte przez woły, i pozostawić je na miejscu. Tyle, ile się dało z zapasowej broni, odzieży, worków z ziarnem i innymi produktami, załadowano na zapasowe konie jazdy oraz na mniejsze, ciągnięte przez muły wozy, wiozące rezerwowe racje każdej centurii, a także namioty centurionów i inny ciężki bagaż; resztę zniszczono. Woły potraktowano jako ruchomy zapas mięsa; bez ciężkich wozów mogły nadążyć za kolumną.

Nad nimi mgły, oblepiające strome zbocza pogórza Rodopów, rozplynęły się niemal zupełnie pod koniec pierwszej godziny dnia, kiedy wrócili zwiadowcy lekkiej jazdy, wysłani jeszcze przed świtem. Zameldowali, że w okolicy nie zauważyli żadnych ruchów, wysłano więc ich ponownie, by szukali ewentualnych zasadzek, a potem pełnili stałą wartę podczas przemarszu narażonej na ataki kolumny.

Wreszcie Korbulon dał rozkaz wymarszu. *Cornicen* zadał w *cornu*, wykonany ze srebra i rogu instrument w kształcie litery G, który ciągnął się od jego ust, pod prawym ramieniem i w górę, do szerokiej czary głosowej skierowanej ku przodowi nad jego głową. Na ten sygnał chorążowie - *signiferi* - pochylili znaki osadzone na drzewcach ozdobionych metalowymi wieńcami i kolumna ruszyła.

Prowadziły cztery oddziały, każdy złożony z trzydziestu ludzi, należące do galijskiej jazdy pomocniczej, za nimi Wespazjan, ze starającym się jak najmniej rzucić w oczy Magnusem u boku, na czele pierwszej kohorty. Potem jechał trybun Gallus z drugą kohortą. Za nią posuwali się saperzy i medycy razem z wozami, na których leżeli niezdolni do marszu chorzy i ranni. Potem jechał tabor - trzydzieści zapasowych wierzchowców jazdy, dwieście jucznych mułów, każdy prowadzony przez obozowego sługę, dwadzieścia cztery wozy, jeden

na każdą centurię piechoty i każdą turmę jazdy oraz po jednym dodatkowym dla lekkiej jazdy, dla pieszych łuczników, saperów i wreszcie jeden dla dowódców. Kolumnę zamykały pozostałe cztery oddziały galijskiej jazdy. Całość rozciągała się na dwie trzecie mili.

Przez godzinę pokonali dobre dwie mile w kierunku północno-zachodnim. Na południu las się skończył, ustępując górskim łąkom o skąpej trawie, poprzecinanym tu i ówdzie rozpadlinami i poznaczonym kępami kosodrzewiny. Nigdzie nie było widać ludzkich siedzib, czy to zamieszkałych, czy porzuconych. Jedyłą oznaką życia były unoszone prądami powietrza dwa orły, jakby czuwały nad bezpieczeństwem ludzi maszerujących ze znakami ukształtowanymi na ich podobieństwo. Wywołały wybuch radości rekrutów, którzy machali do nich oszczepami i nazywali je duchami opiekuńczymi. Oficerowie zachęcali do takiego zachowania, a nawet sami do niego dołączali, wiedząc, że tego rodzaju dobry znak znakomicie podtrzyma morale żołnierzy.

- Widzisz to, Wespazjanie? - zawołał Korbulon, przekrzykując wesołe zawołania, kiedy cofał się wzdłuż kolumny. - Może bogowie są z nami, może Jowisz i Junona chronią swe dzieci przed złośliwością trackich bożków.

Wespazjan uśmiechnął się; choć nie był przesądny, jemu również dodał otuchy ten unoszący się w powietrzu podwójny symbol Rzymu.

- Miejmy nadzieję, dowódco, że zechcą nam towarzyszyć przez całą drogę, aż do celu. Ludziom będzie się znacznie lepiej maszerować z takimi przewodnikami.

- No właśnie, trybunie, byłoby to znacznie lepsze niż banda dzikich i nieokrzęsanych obdartusów, nie uważasz?

- W istocie, dowódco. - W tej samej chwili głęboki, głośny dźwięk rogu dał sygnał do zatrzymania się.

- Kto, na wszystkie furie, kazał się zatrzymać? - wrzasnął Korbulon, tracąc w jednej chwili dobry humor. - Trybunie, za mną.

Wespazjan ruszył galopem za dowodzącym na czoło kolumny.

- Co to ma znaczyć? Kto kazał się zatrzymać? - ryczał Korbulon.

- Ja, dowódco - odparł Sekstus Maurycjusz, prefekt jazdy galijskiej. - Jeden z naszych zwiadowców znalazł coś, co powinieneś, panie, zobaczyć.

- Gdzie on jest? Żeby mi tylko było to coś ważnego.

Zdenerwowany żołnierz lekkiej jazdy wystąpił do przodu.

- Uważałem, że to ważne, panie. - Ciężki akcent żołnierza zdradzał, że pochodzi ze słynącej z hodowli koni Tesalii.

- No więc, gdzie to jest?

- Tam, w wąwozie, panie - powiedział, wskazując ku południowi, gdzie jakieś dwieście kroków dalej nierówny, trawiasty teren ostro przecinała rozpadlina, jak gdyby jakiś Tytan zamachnął się potężnym toporem w mrocznych czasach, jeszcze przed pojawieniem się człowieka.

- No dobrze, prowadź.

Żołnierz zawrócił konia i ruszył galopem; Korbulon, Wespazjan i Maurycjusz pojechali za nim.

Na skraju wąwozu zatrzymali się i zajrzeli do środka. Było stromo, ale nie na tyle, by nie dało się zejść. Z dołu dochodził nieprzyjemny zapach. Wespazjan przesunął wzrokiem wzdłuż całej rozpadliny, aż zobaczył to, co przyciągnęło uwagę żołnierza. Około sześćdziesięciu kroków od nich, pomiędzy porzrzuconymi głazami, leżały dwa ciała.

- Zejdzmy i popatrzmy. Prefekcie, zostajesz tutaj. Trybun i żołnierze ze mną. - Korbulon pierwszy zaczął się opuszczać po nierównym stoku, obluzowane kamienie i sucha ziemia usuwały mu się spod nóg.

Dotarli do pierwszego ciała i z trudem powstrzymali torsje. Rozejrzawszy się wokół, stwierdzili, że ciało jest więcej, a nie tylko te dwa widoczne z góry. Były to truchła Traków, co dawało się rozpoznać po charakterystycznych lisich czapach i długich butach z miękkiej skóry.

- Co za smród. - Korbulon zakasłał. - Są martwi od kilku dobrych dni. Ilu ich jest?

Wespazjan obszedł miejsce dookoła, licząc rozdęte ciała, które przybrały już upiorny bladozielony odcień i pokryły się ciemnymi szarymi plamami. Kawalek dalej zobaczył, że ktoś się postarał porządnie ułożyć cztery ciała.

- Szesnastu, dowódco - zameldował.

- Sami Trakowie?

- Tak.

- I co o tym sądzisz?

- Uważam, że nasz problem został rozwiązany.

- Czemu tak sądzisz, trybunie?

- Mieszkają tu dwa różne plemiona; tych dwunastu, tak niedbale tutaj pozostawionych, ma inne nakrycia głowy od tamtych czterech porządnie ułożonych. Są identyczne jak czapy naszych przewodników. Twoje rozkazy wyraźnie mówiły, że poprowadzi nas dwunastu przewodników z plemienia Celatetów. Myślę, że to jest właśnie tamta prawdziwa dwunastka. Musieli zostać zaatakowani przez przeważające siły buntowników, z których czterech zabili, a potem dwunastu z tamtych podszyło się pod

naszych przewodników i czekało, by ruszyć z nami via Egnatia. Nigdy nie podawaliśmy w wątpliwość ich autentyczności, bo liczba się zgadzała.

Korbulon rozważał przez chwilę słowa młodego dowódcy, ale odór był tak nieznośny, że musieli się wycofać do swoich koni.

- Co przynajmniej oznacza, że plemię Celatetów jest wciąż lojalne - powiedział, kiedy dosiadali wierzchowców.

Wespazjan spojrział na przełożonego, zdumiony, że tamten nie pojął, co ta zasadzka oznacza.

- Może i tak jest, panie, ale skąd buntownicy wiedzieli o nadejściu naszej kolumny oraz o tym, gdzie dokładnie i z iloma przewodnikami mieliśmy się spotkać?

Korbulonowi zrzędała mina, kiedy dotarło do niego znaczenie tych słów.

- Na kosmate jądra Neptuna! Ktoś im to musiał powiedzieć. Z obozu Poppeusza. Ktoś, kto znał treść rozkazów. Mamy wśród nas zdrajcę, Wespazjanie.

- Niestety, na to wygląda.

*

- Zatem w armii jest zdrajca i dlatego nieprzyjaciel zna każdy nasz ruch - burknął Magnus, kiedy dowiedział się o makabrycznym znalezisku w rozpadlinie.

- Antonia i Azyniusz wysłali mnie tutaj, bo właśnie coś takiego podejrzewali, i okazuje się, że mieli rację.

Magnus popatrzył ze zdumieniem na młodego przyjaciela.

- Wysłano cię tu, byś dopadł zdrajcę? - parsknął. - A niby jak masz tego dokonać?

- Mam znaleźć dowody łączące go z Sejanem i zabrać je do Rzymu - odparł Wespazjan, starając się nie czuć zagubiony.

- A ja sobie myślałem, że to tylko mały wypad do prowincji, z jakąś drobną potyczką od czasu do czasu, żebyśmy się nie nudzili. Ale nie, okazuje się, że młody pan bawi się w dużą politykę z dużymi chłopcami, a moim zadaniem jest chronić go, kiedy oni zaczną grać ostro.

- Cóż, nie prosiłem cię, byś mi towarzyszył. - Wespazjan nie był zachwycony protekcjonalnym tonem Magnusa.

- Rzeczywiście, nie prosiłeś, ale czy miałem wybór po tym zdarzeniu na moście?

- Mogłeś udać się gdziekolwiek, nie musiałeś jechać ze mną.

- Też coś! Nie musiałem! Twój wuj nigdy by mi nie wybaczył, gdybym pozwolił, żeby coś ci się stało.

- Dlaczego? Co on ma do ciebie? - Wespazjan był szczerze zdziwiony.

- Zawdzięczam mu życie - powiedział Magnus i zamilkł.

- Mów dalej.

- Kiedy był pretorem, skazano mnie za morderstwo na arenę, ale ponieważ wyświadczyłem mu pewne przysługi, jeśli wiesz, co mam na myśli, pociągnął za odpowiednie sznurki, by mnie ułaskawiono. Możesz mi wierzyć, wydał sporo na łapówki i odszkodowanie dla rodziny zabitego. Tak więc, by spłacić ten dług, jestem tutaj i czuwam nad tobą... - Magnus przerwał raptownie i odwrócił wzrok.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że od początku zamierzałeś się ze mną wybrać?

Magnus wyglądał na zmieszanego.

- No nie, nie z tobą - wymamrotał - tylko za tobą. Gajusz wiedział, że nie pozwolisz mi sobie towarzyszyć, więc miałem trzymać się blisko, na wszelki wypadek, gdybyś wpadł w poważniejsze tarapaty.

- Przez cztery lata?

- No cóż, tak, cztery lata, których bym w ogóle nie miał, gdyby nie on. Jestem mu to winien. Zresztą on mi nie powiedział, że będziesz się zajmował jeszcze czymś innym poza odrobiną żołnierki. W każdym razie, kiedy Makron zobaczył mnie wtedy na moście, miałem pretekst, żeby przy tobie zostać. Wiedziałem, że nie będziesz mógł odmówić, więc ostatecznie wyszło całkiem nieźle, prawda?

- Skoro tak mówisz. - Wespazjan uśmiechnął się do niego. Był rozdarty pomiędzy wdzięcznością dla wuja za odbiór długu, by w ten sposób mu pomóc, a lekkim upokorzeniem, bo wuj najwyraźniej uważał, że sam sobie nie poradzi. - No dobrze, skoro już tę sprawę wyjaśniliśmy, to co o tym sądzisz?

- O czym?

- O wykryciu zdrajcy, oczywiście.

- Skłonny jestem uważać, że to ktoś ze sztabu Poppeusza, kto albo omawiał z nim rozkazy, albo je pisał, albo je przekazywał, ewentualnie jest to osoba, która kontaktowała się z Celatetami, aby załatwić u nich przewodników.

- Tyle to sam wymyśliłem - powiedział Wespazjan, wyraźnie rozczarowany.

- To po co mnie pytasz?

- Miałem nadzieję, że spojrzysz na to z innej strony.

- No to na mnie nie licz - odparł naburmuszony Magnus, który był całkiem zadowolony ze swojej analizy. - Moim zadaniem jest używać mięśni, a nie mózgu.

- Przepraszam, Magnusie.

Mężczyzna mruknął, przyjmując przeprosiny, i dalej jechali w milczeniu. Powietrze rozbrzmiewało stukotem setek kopyt i nabijanych ćwiekami butów. Była czwarta godzina dnia i słońce zaczęło palić; ludzie i konie oblewali się potem. Wespazjan rozluźnił czerwoną chustkę, którą nosił, by nie obcierał go pancerz. Spojrzał w niebo. Orły zniknęły. Poczł nagły lęk, po czym odrzucił to uczucie jako przesadną bzdurę; to oczywiste, że nie zamierzały przez cały czas towarzyszyć kolumnie, na pewno mają ciekawsze zajęcia. Mimo to przeszukiwał wzrokiem otwarte niebo w nadziei, że je gdzieś zobaczy. Przez prawe ramię dojrzał w oddali jakąś ciemną niewyraźną plamę, szybko zbliżającą się ku nim. Osłonił oczy przed ostrym światłem i spróbował wypatrzeć, co to takiego. Wreszcie dało się rozróżnić poszczególne duże ptaki. Inni też je zobaczyli i przez żołnierskie szeregi przebiegły zaniepokojone szepty.

- Co to za ptaki, Magnusie?

Magnus splunął przez ramię i zacisnął kciuk w pięści, by uchronić się przed złym urokiem.

- Gawrony nadlatujące ze wschodu. To nie jest dobry znak i na pewno zaniepokoi chłopców.

I rzeczywiście, kiedy ptaki przelatywały nad ich głowami, zaczęło się spluwanie i zaciskanie kciuków; rozległy się błagalne wołania do wszystkich możliwych bogów i zaczęli się nerwowo oglądać za siebie.- Patrzeć przed siebie - warknął centurion Faustus. - Zastępca, zapisać imię każdego, który się ogląda.

Kolumna parła naprzód w ponurym milczeniu. Opuszczali pogórze północnej strony Rodopów i wchodzili na łatwiejszy teren. Przed sobą, w odległości około dwunastu mil, widzieli dolinę, którą płynęła Harpessos. Tempo marszu jakby wzrosło, kiedy ludzie zaczęli myśleć o obozowaniu blisko chłodnej, oczyszczającej wody już za kilka godzin. Wkrótce zapomnieli o złych znakach.

*

Podczas południowego postoju Wespazjan i Magnus zsiadli z koni, żeby rozprostować nogi. Wszędzie wokół nich żołnierze osuwali się na ziemię, popijali z ulgą wodę z bukłaków albo pogryzali chleb i paski suszonego mięsa. Zapach moczu i kału tysiąca mężczyzn, którzy wreszcie sobie ulżyli, był przemożny.

Nagle ze wzgórz rozległy się krzyki. Wespazjan spojrzł w górę. Ze stoku zbiegali, niemal na łeb, na szyję, ich ludzie z oddziału lekkich łuczników, którzy na górze przeprowadzali zwiad. Biegli wprost do Korbulona, znajdującego się na czele kolumny.

Kolejny głęboki głos rogu oznajmił: „Starsi oficerowie, zameldować się u dowódcy”. Wespazjan przesunął się do przodu, by czekać na rozkazy.

Korbulon stał przed dyszącymi piechurami, podczas gdy ich oficer składał raport.

- Tam, na wschodzie, dobre dwadzieścia mil stąd, widać to z góry. - Mężczyzna przerwał, by zaczerpnąć powietrza, zdejmując przeciwsłoneczny skórzany kapelusz o szerokim rondzie i ocierając czoło wierzchem dłoni.

- Co takiego? Mów, człowieku! - Korbulon nie należał do najbardziej cierpliwych ludzi.

- Obłok kurzu i dym. Obserwowaliśmy to mniej więcej przez godzinę, dopóki nie nabrałem pewności; obłok kurzu się przesuwają, natomiast dym nie, wygląda mi to na przemieszczające się oddziały bojowe, palące wszystko po drodze.

- Jesteś pewien?

- Obserwowaliśmy to. Ten obłok kurzu sunie w naszą stronę - zapewniał go oficer.

Jego ludzie kiwali głowami i głośno przytakiwali dowódcy.

- Cisza! - krzyknął Korbulon, podnosząc ramię. - Rozejść się i dziękuję, dobrze się sprawiliście. - Zwrócił się do Maurycjusza. - Prefekcie, wyślij tam jeden patrol lekkiej jazdy. Chcę wiedzieć, z czym mamy do czynienia.

- Tak jest!

Korbulon gestem przywołał Wespazjana.

- Trybunie, skracamy południową przerwę. Każ zabić woły, a tusze załadować na wozy. Przed sformowaniem kolumny ludzie mają pobrać racje na pięć dni... być może będziemy musieli porzucić bagaż. Jeśli to bandy zbrojnych buntowników, musimy się przeprawić przez rzekę, zanim nas dogonią.

*

Tempo marszu wzrosło do najwyższego, przy jakim muły z taboru mogły nadążyć; nie można było pozwolić na rozerwanie kolumny. Korbulon wydał rozkaz, by każde okulałe zwierzę i każdy zepsuty wóz natychmiast porzucać razem z ładunkiem. Wespazjan wyliczył, że w tym tempie powinni dotrzeć do rzeki za trzy godziny, co daje im na jej przejście zaledwie trzy godziny dziennego światła. Będzie to zacięty wyścig z czasem, szczególnie jeśli tracki dowódca wysłał swoją jazdę, by ich atakowała, zmuszając kolumnę do wycofywania się w walce.

Po godzinie mieli już pogórze za sobą i maszerowali przez bujne łąki równiny, które miały ich doprowadzić do rzeki. Teraz widzieli już z tyłu chmurę kurzu wzbijanego przez zbliżających się Traków.

Żyzna równina upstrzona była pojedynczymi gospodarstwami i małymi wioskami; hodowla koni i owiec stanowiła podstawę dobrobytu tej względnie zamożnej części kraju. Ponieważ szybkość marszu była decydująca, Korbulon podążał w stronę rzeki w linii prostej, nie zawracając sobie głowy omijaniem większych osad; dla bezpieczeństwa wysłał tylko przodem jednostki jazdy galijskiej, z nadzieją, że instynkt go nie zawodzi i mieszkający tu lud wciąż pozostaje lojalny.

Jadący na czele pierwszej kohorty Wespazjan wyczuwał panujące wśród żołnierzy napięcie. Miał ochotę jeździć w tę i z powrotem wzdłuż centurii, by dodawać im otuchy, ale ponieważ brakowało mu charakteryzującej innych oficerów wrodzonej pewności siebie patrycjuszów, wydawało mu się, że nie podoła temu zadaniu. Nie zrobił jeszcze niczego, czym mógłby zdobyć zaufanie i szacunek żołnierzy, i czuł, że wydałby się im tylko nieopierzonym żółtodziobem, młodszym zresztą od wielu z nich. Zastanawiał się nad niedorzecznością systemu, który czyni młodego człowieka, bez żadnego wojskowego doświadczenia, takiego jak on, nominalnym dowódcą czterystu osiemdziesięciu żołnierzy, tylko dlatego że pochodzi z zamożnej rodziny. Jednak taki zwyczaj panował w Rzymie od samego początku, w taki sposób senat utrzymywał pozycję w społeczeństwie, a wielkość cesarstwa zdawała się wskazywać, że system ten działa. Postanowił zostawić obowiązek podnoszenia morale żołnierzy tym ludziom, którzy rzeczywiście tu dowodzili: centurionom. Wspierała go świadomość, że Faustus jest tuż za jego plecami. Słyszał, jak wykrzykuje do żołnierzy, chwali ich wysiłek, utrzymuje w szyku i gani guzdrały. Wespazjan wiedział, że kiedy dojdzie do pierwszej bitwy, czy to tutaj, czy nad rzeką, czy dalej na północ, to właśnie ludzie pokroju Faustusa zadecydują o tym czy przeżyją, czy zginą.

Niespokojne okrzyki kazały mu spojrzeć w prawo.

- Cisza w szeregach! - ryknął Faustus. - Patrzyć przed siebie i skoncentrować się na tym, by nie deptać po piętach idącym przed wami.

Na drugim końcu równiny, jakieś dwie mile od nich, widzieli pędzącą na złamanie karku w ich stronę niewielką grupę jeźdźców.

- Wygląda mi to na kłopoty - mruknął Magnus. - Dobre wieści nie podróżują tak szybko.

Ponownie rozległ się dźwięk rogu, jego głęboki ton słychać było wyraźnie, mimo hałasu maszerującej kolumny.

- To znowu „Starsi oficerowie zameldować się u dowódcy” - powiedział Magnus. - Miejmy nadzieję, że ten dupek zachowa spokój.

- Może i jest dupkiem - rzucił Wespazjan, wyjeżdżając z kolumny - ale odnoszę wrażenie, że do tej pory podejmował same właściwe decyzje.

- Przed nami jeszcze pięć mil, a potem rzeka do pokonania. Mnóstwo czasu, by coś spartaczyć.

Wespazjan podjechał na czoło kolumny, do Korbulona i Maurycjusza; wkrótce dołączyli do nich Gallus oraz Kwintus Cepion, prefekt zamykającej kolumnę jazdy galijskiej.

- Pewnie się dowiemy, jak blisko są Trakowie - powiedział Korbulon, z ponurą miną.
- Nasi zwiadowcy na pewno już ich sobie obejrzeni.

Jechali w milczeniu, obserwując zbliżający się oddziałek lekkiej jazdy. Wespazjan doliczył się sześciu ludzi oraz dwu koni bez jeźdźców i poczuł wędrujący po plecach i przedostający się do wnętrza chłód. Zaczęli ginać ludzie. Przygotował się, jak zgadywał, do najtrudniejszego dnia w swoim dotychczasowym życiu, czegoś nieporównywalnego z tamtą zasadzką na zbiegłych niewolników czy z ratowaniem Cenis, bo tym razem on miał się bronić, a stroną atakującą byli Trakowie.

Zwiadowcy podjechali do grupy oficerów i z cudowną zręcznością zakręcili wyczerpanymi wierzchowcami, by jechać w tym samym co oni kierunku.

- Dowódcu! Alkajos, tesalska lekka jazda pomocnicza - zameldował potężny, mniej więcej trzydziestopięcioletni mężczyzna o opalonej twarzy.

- Tak, tak, mów już. - Korbulon chciał jak najszybciej przejść do sedna.

- Pół godziny temu dostrzegliśmy główne siły Traków około dziesięciu mil na wschód stąd. Głównie piechota, jakieś trzy tysiące ludzi. Poruszają się szybko i zdecydowanie, przestali już palić wszystko po drodze. Wpadliśmy na jeden z ich konnych patroli, ale odparliśmy go, tracąc dwóch żołnierzy. Jednego z nich ranili i wzięli do niewoli. Niech bogowie ulżą mu w cierpieniach.

- Rzeczywiście. - Korbulon mógł odgadnąć, tak jak wszyscy inni, co czeka tego nieszczęśnika. - Powiadasz, że nie widziałeś większych oddziałów jazdy?

- Nie, dowódcu, tylko patrole.

- Na cycki Minerwy, musieli się domyślić, że podążamy ku rzece, i wysłali jazdę na północ, żeby stamtąd nam zagrażała. Maurycjuszu, weź swoje cztery turmy i opóźnij ich. Nie można pozwolić, by przeszkodzili nam w przeprawie przez rzekę. Za dobrą godzinę do niej dotrzemy.

- Tak jest, zrobimy wszystko, co trzeba. - Prefekt jazdy rzucił swojemu dekurionowi rozkaz i stu dwudziestu Galów, odłączywszy się od kolumny, popędziło w stronę rzeki.

Korbulon zwrócił się do Kwintusa Cepiona.

- Weź swoje oddziały i jedź równolegle do nas, pół mili od wschodniej strony, by chronić naszą flankę przed zagrożeniem ze strony wrogiej jazdy.

Cepion popędził na tyły kolumny.

- Gallusie, weź kilka koni dla saperów - mówił dalej Korbulon - niech przeciągną przez rzekę jak najwięcej lin. Jeśli nie mają dość ludzi umiejących pływać, mogą dobrać sobie ochotników spośród żołnierzy.

Trybun wyglądał na zadowolonego z przydzielonego mu zadania i pogalopował, żeby odnaleźć tymczasowych podwładnych.

Na Wespazjanie duże wrażenie zrobił spokój i umiejętność przewidywania młodego dowódcy. Wpłynęło to na niego kojąco; czuł, że wszystkie ewentualności zostały wzięte pod uwagę. Korbulon zwrócił się do niego.

- Każ przyprowadzić zwierzęta juczne pięćdziesiąt kroków na zachód od czoła kolumny. Teraz, kiedy straż tylna odjechała, nie możemy zostawić ich bez osłony. Niech opiekunowie mułów użyją wszelkich sposobów, żeby je pogonić. Nie chcę ich porzucać, chyba że okaże się to absolutnie konieczne.

Wespazjan uśmiechnął się w głębi duszy, kiedy odjeżdżał na tyły kolumny; wyglądało na to, że przeznaczone mu jest zawsze kręcić się koło mułów, w ten czy inny sposób.

Byli niecałe dwie mile od rzeki. Tabor zrównał się z dwiema kohortami, muły siłą zmuszono do przyspieszenia; na szczęście niewiele z nich się opierało czy poniosło. Wespazjan zajął miejsce przy Korbulonie, który jechał teraz na czele pierwszej kohorty; Magnus wycofał się na stosowną odległość po lewej stronie kolumny.

- Ludzie są coraz bardziej zmęczeni, Wespazjanie - powiedział cicho Korbulon, zerkając z niepokojem na wzbijany przez Traków obłok kurzu. - Tych wkrótce będzie już widać. Nie będziemy więc mogli się zatrzymywać po przeprawie przez rzekę, musimy iść naprzód i mieć nadzieję, że przeprawa zajmie tym dzikusom więcej czasu niż nam. Ale co potem? Zawsze będą poruszać się szybciej od nas... w jeden dzień nas dogonią.

- Może powinniśmy się zatrzymać i walczyć, podjąć ryzyko - odparł Wespazjan i ledwie to powiedział, pomysł przestał mu się podobać.

- Z dwiema kohortami weteranów i z tą jazdą, którą mamy, byłoby to rozsądne posunięcie, ale z tymi żółtodziobami, na otwartym terenie, nie mielibyśmy najmniejszych szans. Musimy przeprowić się przez rzekę, a potem znaleźć sposób na pokrzyżowanie planów nieprzyjacielowi.

Kiedy od rzeki dzieliła ich zaledwie mila, teren zaczął się łagodnie obniżać, tworząc płytką dolinę. Po jej bokach kępy buków i olch wynurzały się z gładkiego kobierca traw, na

których w normalnej sytuacji bielilyby się stadka owiec; dzisiaj było tu pusto. Wieści o nadchodzącej rzymskiej kolumnie przybyły już wcześniej do tej spokojnej doliny i pasterze, obawiając się zarekwirowania swoich zwierząt przez żołnierzy, zdążyli pognać je w bezpieczne miejsca.

Na samym dnie doliny biegła wartkim nurtem rzeka. Jej wody, niedawno zasilone topniejącym w wysokich górach na zachodzie śniegiem, płynęły kamienistym łozyskiem, z obu stron otoczonym odłamkami skalnymi. Brzegów czepiały się tylko najbardziej wytrzymałe drzewa; bystra rzeka wymyła spod nich ziemię, tworząc osobliwe łuki z ich obnażonych korzeni.

Po drugiej stronie rzeki Wespazjan zobaczył saperów stojących po pas w wodzie i przymocowujących liny mające pomóc kolumnie w przeprawie przez szeroką na sto stóp rzekę. Dwie były już gotowe, trzecią, uwiązaną do drzewa na tym brzegu, rozciągnięto na całą jej długość wzdłuż brzegu w górę rzeki. Wespazjan przyglądał się, jak saper obwiązuje się nią wokół klatki piersiowej i skacze do wody, a potem silnymi uderzeniami ramion płynie pod prąd, utrzymując linę przez cały czas napiętą. Rzeka odpychała go coraz dalej od brzegu. Natomiast napięta lina kierowała go na drugą stronę, aż wreszcie dotarł do spokojniejszego nurtu i już bez trudu dopłynął do brzegu, gdzie czekał kolega, żeby pomóc mu wyjść z wody.

Kiedy zbliżyli się do miejsca przeprawy, słońce zapadało się za masyw górski i w dolinie pociemniało, kiedy cień okrywał coraz dalej ziemię.

Czując oddech trackich wojowników na plecach i widząc możliwość umknięcia przed nimi, choćby na krótko, mniej opanowani rekruci próbowali wyrwać się z szeregu i biec do lin. Centurioni przywołali ich bezlitośnie do porządku, robiąc użytek ze swoich lasek z winorośli. Zapędzeni z powrotem na miejsce, stali przygwożdżeni zawstydzającymi spojrzeniami towarzyszy.

- Każdego, który będzie się pchał do przodu, zostawimy na tym brzegu. Przekaż to ludziom, centurionie, i daj znać Gallusowi, żeby się u mnie zameldował - zawołał Korbulon do Faustusa.

Kiedy groźbę Korbulona przekazywano sobie głośno wzdłuż kolumny, w lesie odległym o pół mili w dół rzeki, od wschodu, rozległa się wrzawa.

- Maurycjusz znalazł ich jazdę - domyślił się Korbulon. - Miejmy nadzieję, że będzie w stanie powstrzymać ją wystarczająco długo.

- A jak on się przeprawi? - spytał Wespazjan.

Korbulon nie odpowiedział.

Znajdowali się sto kroków od rzeki. Zamocowano właśnie trzecią linę i saperzy rozpoczęli pracę przy czwartej. Dwieście kroków na prawo od nich Cepion ustawił w szyku swoich galijskich jeźdźców, by chronić flankę, na wypadek gdyby Trakowie przedarli się przez kawalerię Maurycjusza.

Nadjechał Gallus.

- Dowódco - powiedział - rzeka ma cztery do pięciu stóp głębokości i nurt jest bardzo silny. Już straciliśmy jednego człowieka porwanego przez prąd. - Twarz oficera wyrażała zarówno nerwowość, jak i podniecenie, wywołane zapowiedzią jego pierwszej akcji bojowej.

- Dziękuję, trybunie. Panowie, kluczem jest szybkość i skuteczność - powiedział Korbulon do swoich dwóch młodych podwładnych. - Gallusie, druga kohorta przeprawi się pierwsza, razem z mułami jucznymi, i uformuje się na drugim brzegu frontem do nieprzyjaciela. Wespazjanie, twoja kohorta stanie tutaj w szyku, na dwie centurie głębokim, by osłaniać ich przeprawę oraz przeprawę oddziałów pomocniczych, jeśli jeszcze jakieś pozostaną. Przed ustawieniem swoich ludzi każ im złożyć tobołki przy linach. - Korbulon spojrział na zalesiony teren w dole rzeki, skąd wciąż dochodził szcęk oręża i krzyki rannych. - Jeśli nas zaatakują, będziemy się wycofywać w boju, centuria za centurią. Centuria Faustusa przeprawi się ostatnia. Odwołaj zwiadowców, nie są już tam potrzebni, wiemy, czego się spodziewać. Potem każ swojemu wyzwolencowi wjechać wozami do wody, w górę rzeki, za linami i tam je zostawić, tylko zaprzężone wozy, nie juczne muły. Miejmy nadzieję, że spowolnią prędkość wody i mniej ludzi porwie nurt.

- Rozkaz, dowódco! - odpowiedzieli obaj młodzi oficerowie.

- I jeszcze jedno - dodał Korbulon - jeśli nas zaatakują, a mnie nie uda się przeprawić, tnijcie liny, utrzymajcie szyk po tamtej stronie i nie pozwólcie im się przeprawić, to wasza jedyna szansa. Jeśli spróbujecie uciekać, dogonią was i posieką na kawałki.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Magnus nie był zachwycony swoim zadaniem i burcząc pod nosem, wprowadził wozy do rzeki. Muły starały się utrzymywać łąby nad powierzchnią, ale zwierzęta z jednego zaprzęgu wpadły w popłoch. Zerwały uprząż, a lodowaty nurt porwał je, woźnicę oraz ładunek, o mało nie zrywając jednej z lin. Pozostałe, być może utemperowane losem towarzyszy, pogodziły się z koniecznością wykonywania swojego zadania i stały cierpliwie.

Wespazjan siedział na koniu z tyłu drugiej centurii swojej kohorty, w środku rzymskiej linii; obok niego tkwił sygnalista kohorty z rogiem. Centurie ustawione były w szyku szerokim na dwudziestu ludzi i głębokim na czterech. Ich lewą flankę osłaniały cztery turmy Galów Cepiona, a prawą tesalska lekka jazda. Przed nimi w szyku rozproszonym usytuował się pięćdziesięcioosobowy oddział lekkich łuczników.

Za plecami Wespazjana Korbulon i Gallus ustawili drugą kohortę przed dwiema liniami umocowanymi w górze rzeki, a muły juczne przy dwóch pozostałych. Rozpoczęto przeprawę. Żołnierze, nie mogąc się doczekać, kiedy rzeka znajdzie się między nimi a nieprzyjacielem, brnęli w lodowatej wodzie z tarczami zarzuconymi na plecy, jedną ręką trzymając się wiszącej stopę nad powierzchnią liny, drugą ściskając kije z tobołkami i oszczepy.

Żołnierze dwóch pierwszych centurii przeprawili się bez przeszkód i przemoczeni stawali w szyku na drugim brzegu, kiedy ze stoku na wprost Wespazjana dobiegł donośny ryk, słyszalny tutaj pomimo hałasu pędzącej wody. Na szczycie wzgórza pojawiła się horda wojowników, których sylwetki widać było wyraźnie na tle przedwieczornego nieba. Ryknęli ponownie, uderzyli oszczepami w owalne tarcze, po czym zaczęli powoli schodzić równym krokiem ze zbocza.

Przez kohortę świeżych, niedoświadczonych legionistów przepełnęła fala strachu.

- Spokojnie, chłopcy! - zawołał Faustus ze swojego miejsca w pierwszym szeregu, tuż obok chorążego - pamiętajcie szkolenia. Trzymać pozycję, słuchać sygnałów rogu, rzucać *pila* na rozkaz, a potem zewrzeć tarcze, ciężar ciała przenieść na lewą nogę i dźgać przez szczeliny. W ten sposób złamiecie serca ich matek.

Z szeregów podniosły się nerwowe wiwaty.

- To nie są wiwaty! - ryknął Faustus. - Mnie to przypomina pisk stadka mezopotamskich pederastów, którym pierwszy raz szprycują tyłki. Dajcie mi tu wiwat godny Czwartego *Scythica*.

Podniesieni na duchu przez budzącego respekt Faustusa legionieści wydali gromki okrzyk i zaczęli uderzać rytmicznie włóczniami o tarcze. Hałas był ogłuszający, ale nie powstrzymał zbliżających się Traków.

Wespazjan obejrzał się na rzekę; teraz, kiedy Trakowie byli zaledwie o pół mili, tempo przeprawy znacznie przyspieszyło. Cztery centurie były już na drugim brzegu, a ostatnie dwie znajdowały się w wodzie. Wkrótce będą mogli zacząć wycofywać jego kohortę, ale na pewno nie przed starciem z nieprzyjacielem. Będzie to, jak powiedział Korbulon, wycofywanie się w boju; miał nadzieję, że jego żołnierze okażą się dość zdyscyplinowani, by przeprowadzić taki manewr.

A potem nastąpiła katastrofa. Muły z zaprzęgu najbliższego tamtego brzegu, zniecierpliwione hałasem i pędzącą wodą, ruszyły nagle w stronę suchego lądu. Zaskoczony szarpnięciem woźnica wpadł do wody i został porwany przez nurt, z lejcami wciąż owiniętymi wokół nadgarstków. Prąd pociągnął przerażone zwierzęta w prawo, przewracając je razem z wozem. Wszystko to razem runęło na legionistów uczeponych pierwszej linii, zabierając ich ze sobą. Żołnierze przy drugiej linii widzieli, co nadchodzi. Porzucili tłumoki i *pila*, żeby chwycić się również drugą ręką. Wóz, wierzgające muły i mężczyźni wpadali kolejno na legionistów przy drugiej linii, w płataninie rąk, nóg i lejców. Trzymali się z całych sił i przez chwilę ta lawina stanęła w miejscu, uwieszona u liny. Ci z przodu wygramolili się pospiesznie na brzeg, podczas gdy ci z tyłu wołali do towarzyszy, by się puścili, ale bez rezultatu. Z paskudnie nieuchronną konsekwencją napięta lina wyrwała drzewo o korzeniach latami podmywanych, do którego była przywiązana na drugim brzegu. Razem z całym obciążeniem opadła do wody i prąd poniósł to wszystko prosto na ostatnie z juczych mułów przy trzeciej linii. Woda porwała zwałone z nóg zwierzęta, a one zabrały ze sobą kolejne, przy czwartej linii. Ich opiekunowie uratowali się, puszczając lejce i powrozy i czepiając obiema rękoma wiszących wciąż lin.

Wespazjan patrzył, jak Korbulon i Gallus uwijają się, próbując przywrócić porządek na przeprawie, wkrótce jednak jego uwagę przykuły coraz głośniejsze okrzyki jego własnych ludzi oraz ich przeciwników. Trakowie znajdowali się w odległości zaledwie dwustu kroków. Ponieważ Korbulon był zajęty nad rzeką, do niego należało podawanie sygnałów. Znał teorię z lekcji, jakie dawał mu Sabinus, ale to było wiele miesięcy temu. Widział, jak to działa

podczas ćwiczeń, kiedy maszerowali z Italii, ale nigdy nie widział, jak się je przekazuje w sytuacji rzeczywistej. Wiedział, że najważniejsze jest wycucie czasu.

Łucznicy na przedzie wypuścili trzykrotnie raz za razem grad strzał na dużą odległość, powalając prawie osiemdziesięciu ze zбитych ciasno napastników, co ich nie zatrzymało.

- Rozluźnić szyk! - krzyknął do sygnalisty.

Niskie tony instrumentu w kształcie litery G przetoczyły się grzmotem po łące, jego głęboki dźwięk wybił się ponad zgłęb bojowych okrzyków. Natychmiast co drugi żołnierz w każdej centurii cofnął się za towarzysza po swojej prawej ręce, tworząc w ten sposób przejścia, w które wbiegali wycofujący się łucznicy.

- Zamknąć szeregi! - zawołał Wespazjan.

Zabrzmiął inny sygnał i wykonano odwrotny manewr.

Nieobciążeni pancerzami Trakowie wciąż przyspieszali. Byli już w odległości zaledwie stu kroków. Wespazjan wiedział, że to nastąpi już lada moment.

- Tarcze w górę! - rozkazał.

I znowu odezwał się róg. Trzy tylne szeregi podniosły mocno wypukłe, prostokątne tarcze i postąpiły do przodu, by osłonić nimi głowy żołnierzy przed sobą. Stworzyli dach z kawałków, który, jeśli mocno trzymany, chronił ludzi przed oszczepami, strzałami z łuków i pociskami z proc.

W odległości czterdziestu kroków od rzymskiej linii Trakowie wydali głośny okrzyk i cisnęli oszczepy. Setki zakończonych żelaznymi grotami pocisków wystrzeliło w powietrze i opadło łukiem na trzy centurie i jazdę na flankach. Z ogłuszającym łoskotem posypały się na obciążone skórą drewniane tarcze legionistów. Tymczasowy dach trzymał się twardo, czasem tylko rozległ się krzyk świadczący o tym, że jakiś niedoświadczony rekrut z fatalnym skutkiem zawiódł stojącego przed nim towarzysza. Powstałe wyrwy natychmiast wypełniono.

- Tarcze w dół!

Na sygnał żołnierze opuścili tarcze, odłamując od razu sterczące z nich oszczepy.

- Wziąć *pila*!

Tarcze i lewe nogi wysunęły się do przodu; prawe ramiona wychyliły do tyłu, a dłonie chwyciły mocno gładkie drzewce obciążonych ołowianą kulą oszczepów.

Dowódcy jazdy po obu stronach zgrali do perfekcji swój atak. Dając rozkaz do wyrzutu gradu oszczepów, ruszyli do ataku pod ich osłoną. Przebili się i odcięli flanki Traków, którzy nie zdążyli sięgnąć po swoją najgroźniejszą broń, zwaną *rhomphaia*, wąskie, długie na trzy stopy żelazne, lekko zakrzywione, ostre jak brzytwa ostrze, zamocowane w dwustopowej jesionowej rękojeści.

Ich obie flanki były teraz odizolowane i każda prowadziła oddzielną potyczkę z jazdą, natomiast siły główne ruszyły do przodu. Odrzucili tarcze na ziemię; nie były im bowiem potrzebne do tego, co zamierzali. Każdy z Traków płynnym ruchem sięgnął za głowę, by wyjąć z pochwy swoją *rhomphaia*, i nie zważając na nic, popędził przed siebie, trzymając we wzniesionych nad głową obu rękach przerażającą broń. Doprowadzeni do szaleństwa żądzą walki, z brodatymi twarzami wykrzywionymi wściekłością, wrzeszczeli wniebogłosy podczas tej szarży. Długie płaszcze wydymały się im za plecami; ciężkie skórzane buty do kolan młóciły trawę.

Starając się zachować spokój, Wespazjan patrzył na tę napływającą falę nienawiści, odliczając w myślach. Był to najważniejszy rozkaz i musiał być wydany w idealnie sprecyzowanym momencie.

Kiedy do zwarcia brakowało dwudziestu kroków, ryknął:

- Rzucić *pila*!

Popłynął dźwięk rogu. Trakowie zbliżyli się o kolejne pięć kroków, a w tym czasie legionieści zareagowali na sygnał. Jak jeden mąż żołnierze trzech centurii cisnęli ciężką broń. Oszczepy poleciały po niskiej trajektorii, prosto w zbliżającą się ścianę nieosłoniętych niczym ciał. W tym samym momencie każdy żołnierz wyciągnął miecz z pochwy wiszącej po prawej stronie, potem oparł swój ciężar na lewej nodze i przykucnął za tarczą. Ci z tylnych szeregów przycisnęli swoje tarcze do pleców towarzyszy przed nimi. Byli przygotowani do zderzenia.

Dziesięć kroków od rzymskiej linii ponad dwieście włóczni uderzyło w wyjąca cizbę. Odrzucały ludzi, jakby pociągniętych z tyłu niewidzialną liną. Groty z zadziarami przebijały żebra, serca i płuca, przesztywając ciała na wylot w fontannie szkarłatnej krwi. Ołowiane kule u podstawy żelźca roztrzaskiwały twarze i dziurawiły głowy, obryzgując strzępami mózgow ludźmi biegnących z tyłu.

Mimo to parli naprzód, przeskakując przez zabitych czy rannych towarzyszy, nie zważając na nic. Wrzaskiem rzucając wyzwanie zakutym w żelazo przeciwnikom, pchali się na sztywny mur tarcz i opuszczali ze świstem ostrza broni, próbując rozplatać hełmy żołnierzy kryjących się za tą osłoną.

W momencie zderzenia Rzymianie w pierwszym szeregu wysunęli tarcze do przodu i unieśli je. Ich wzmocnione brązem krawędzie wzięły na siebie uderzenia trackiej broni. W obłokach iskier odrywały się rękojeści i szczybiły ostrza. Wojownicy tracący odbijali się od żelaznych guzów rzymskich tarcz, co jednych pozbawiało tchu, inni natomiast tracili równowagę.

Szyk Rzymian nie został przerwany.

Potem krótkie, ostro zakończone miecze, przeznaczone do pchnięcia i wybebeszenia przeciwnika, wystrzeliły spomiędzy tarcz na wysokości pachwin. Ryki wściekłości zamieniły się we wrzaski bólu, kiedy żelazne główne przebijały jelita stojących teraz na pierwszej linii Traków. Otwierały się brzuchy, wylewając parującą zawartość na stopy zarówno napastników, jak i broniących się. Spadały oderżnięte genitalia, z przeciętych tętnic tryskała krew.

Nacisk tylnych szeregów uniemożliwił Trakom skuteczne użycie ich broni. Ci wojownicy przyzwyczajeni byli do starć na otwartej przestrzeni, typowo dla międzyplemiennych walk, gdzie było dość miejsca na wzięcie zamachu, by obcinać głowy i kończyny przeciwników. Tutaj było zupełnie inaczej.

Teraz zmagania bitewne ograniczyły się do szybkich pchnięć mieczem. Kilku niedoświadczonych legionistów pchnęło zbyt mocno i za daleko i poczuli przeszywające ukłucie bólu. Kiedy cofnęli szybko ramiona, zobaczyli tryskające krwią kikuty i padli z krzykiem na ziemię. Żołnierze za nimi deptali po nich, wiedząc, że pozostawienie szczeliny miałyby fatalne skutki dla nich wszystkich.

Szyk się nie zachwiał.

Nie mogąc uczynić wyłomu, Trakowie okrążyli nieosłonięte flanki dwóch zewnętrznych centurii; legioniści zaczęli ginąć, tracić głowy i kończyny. Z miejsca, w którym się znajdował, Wespazjan był w stanie ocenić zagrożenie.

- Czwarta i szósta centuria naprzód! - wrzasnął.

Zabrzmiał róg i żołnierze dwóch centurii z flank drugiej linii truchtem ruszyli do przodu, zwiększając szybkość po zetknięciu się z nieprzyjacielem. Centurioni wydali rozkaz ataku. Rzymianie najpierw rzucili swoje włócznie, następnie natarli z boku na Traków, tarczami powalając tych, którzy jeszcze trzymali się na nogach, a leżących na ziemi dobijali mieczami.

Trakowie zaczęli się cofać; manewr okrążenia im się nie udał, więc na razie stracili ducha. Kiedy się oderwali od przeciwnika, ujawniły się rozmiary ich strat. Ponad czterystu zabitych i umierających leżało na zalanej krwią ziemi, przed legionistami i wznoszącymi się dalej wzgórzami.

Z ust rekrutów, którzy pierwszy raz brali udział w bitwie, wyrwał się potężny okrzyk radości, kiedy zobaczyli cofających się przeciwników. Kilku zapaleńców próbowało ruszyć za nimi, ale krzyk centurionów, którzy wiedzieli, jakim szaleństwem jest niezdyscyplinowany pościg, zawrócił ich z powrotem do szeregu.

Korbulon zjawił się u boku Wespazjana.

- Pobiliśmy ich, dowódco - oświadczył Wespazjan z pewną dumą, choć był w pełni świadom, że jego własny *gladius* wciąż spoczywał, nieskazitelnie czysty, w pochwie.

- Raczej ich odpędziliście, ale powrócą. W takich dzikusach jest więcej brawury niż rozsądku. Czas się stąd wynosić. Dać sygnał „Wycofywać się frontem do nieprzyjaciela”. - Korbulon zwrócił się do centuriona niewykorzystanej dotychczas piątej centurii. - Wyślij swoich ludzi, żeby przynieśli rannych i uśmiercili tych, którzy nie mają szansy przeżyć. Nie zostawimy nikogo z naszych barbarzyńcom dla rozrywki.

Trzymani w ryzach okrzykami centurionów z pierwszego szeregu i ich zastępców z ostatniego, legionści zaczęli się wycofywać, krok za krokiem, zgodnie z tempem podawanym krótkimi dźwiękami rogu.

Jazda oderwała się od swoich walk na uboczu i przygalopowała, by chronić odwrót piechoty. Udaremnili wypady grupek zapalczywych Traków, którzy, rzucając oszczepami, próbowali przeszkodzić Rzymianom zebrać swoich rannych.

Powoli linia Rzymian cofnęła się na sto kroków od rzeki. Przed ich oczyma wojownicy trzeci zebrali porzucone tarcze i uzbroili się w oszczepy. Ponownie zaczęli się wprawiać w wojowniczy stan.

- Niedługo zbiorą się na odwagę i znowu spróbują - oświadczył Korbulon. - Wespazjanie, zabierz trzy centurie z tyłu oraz rannych do lin.

Ostatni łucznicy kończyli przeprawę, kiedy Wespazjan rozkazał czwartej, piątej i szóstej centurii ruszyć do pozostałych jeszcze trzech lin. Ludzi, którzy zdążyli już zebrać swoje tobołki, nie trzeba było poganiać, bo sami skakali do wody. Za nimi pozostałe trzy centurie utworzyły wypukłą ścianę, osłaniając liny przed nieprzyjacielem.

Kiedy ostatni żołnierze z tylnych centurii weszli do wody, rozległ się kolejny ogłuszający ryk. Wespazjan zakręcił w miejscu wierzchowcem; na stoku wzgórza, sześćset kroków od nich, Trakowie ruszyli powoli przed siebie.

- No to teraz dopiero nas czeka - powiedział Magnus, pojawiając się obok.

- Co ty tu robisz? Dlaczego nie jesteś przy wozach?

- A niby od kiedy ja się zajmuję wozami?

- Odkąd Korbulon zrobił cię za to odpowiedzialnym.

- Jak rzekłeś, nie dotyczy mnie wojskowa dyscyplina i nie zamierzam się przeprawiać przed tobą.

Korbulon podszedł do nich energicznym krokiem.

- Nie starczy nam czasu, by wszystkich przeprawić, zanim nas zaatakują. Trybunie, niech trzecia centuria przeprawia się na wszystkich trzech linach. Wysłałem jazdę, żeby

opóźniali atak. A ty - zwrócił się do Magnusa - przekaż, że tabor ma wydostać się z rzeki, po czym znajdź sobie tarczę i hełm. Domyślam się, że nie posłuchasz, jeśli każe ci się teraz przeprowić.

- Tak jest! - rzucił Magnus i oddalił się pospiesznie, kiedy Wespazjan właśnie zsiadał z konia.

Żołnierze pierwszej i drugiej centurii przyglądali się ponuro wysiłkom kawalerzystów, by spowolnić natarcie Traków. Obrzuceni chmurą oszczepów ciasno upakowanej hordy zawrócili konie i umknęli ku rzece.

- Cepionie, zabieraj swoich ludzi na drugą stronę! - wrzasnął Korbulon. - Niczego już tu nie wskórasz.

Galowie i Tesalczycy z ulgą rzucili się na swoich wymęczonych wierzchowcach do rzeki. Przeprowa była teraz trudniejsza, ponieważ tymczasowa barykada z wozów nie spowalniała już nurtu. Żołnierze trzeciej centurii też mieli duże kłopoty i przekraczanie rzeki zaczęło się ślimaczyć. Koledzy ustawieni w szyku na drugim brzegu zachęcali ich okrzykami, jednak nie obyło się bez ofiar. Kiedy Wespazjan odwrócił się, by dołączyć do Korbulona i reszty ludzi, zobaczył, jak prąd porwya dwóch legionistów, a ciężkie pancerze wciągają ich pod powierzchnię. Wiedział, że wszyscy nie zdążą przeprowić się na drugą stronę.

Trakowie byli niecałe trzysta kroków od nich i już biegli truchtem, nabierając impetu do ostatecznego starcia.

- Cóż, trybunie, postarajmy się, by nie dla wszystkich pierwsza akcja okazała się ostatnią - powiedział Korbulon do Wespazjana. - Weźmiemy na siebie ich uderzenie i kiedy już utrzymamy równowagę, tylne szeregi będą mogły odejść do lin.

- A co z resztą, panie?

- Muszą walczyć jak lwy. Trzeba spowodować, by nieprzyjaciel się od nas oderwał, a wtedy i my popędzimy do lin. Kiedy ostatni się już ich chwycą, tniemy je i prosimy bogów, by pozwolili nam dotrzeć do drugiego brzegu.

Pojawił się zaspany Magnus, z tarczą i hełmem. Prowadził za sobą muła ciągnącego wóz.

- Wygląda na to, że musimy nieźle dać im w kość, by mieć tu jakąkolwiek szansę. Mam nadzieję, że to pomoże - powiedział.

- Co tam masz? Kazałem ci zabrać cały tabor na drugą stronę! - krzyknął Korbulon, wściekły, że nie wykonano ściśle jego rozkazu.

- *Pila*, panie. - Magnus odrzucił skózaną płachtę.

Iskierka nadziei zabłysła w oku Korbulona.

- Na co czekasz, człowieku? Każ je rozdać.

Szybko rozkazali żołnierzom z tylnych szeregów chwycić po cztery oszczepy każdy i przekazać je dalej. Ciężar, jaki poczuli w rękach, podniósł ludzi na duchu i zaczęli uderzać nimi o tarcze. Za ich plecami, na drugim brzegu, ich koledzy robili to samo. Hałas zatrzymał na chwilę Traków. Dotarli już do długiego stosu zmasakrowanych ciał, który wyznaczał linię ostatniej potyczki, i byli już na tyle blisko, by dojrzeć *pila* w rękach nieprzyjaciół. Tego dnia już doświadczyli destrukcyjnej siły tej broni i nawet przy przewadze liczebnej, wynoszącej niemal dziesięć do jednego, musieli dodać sobie pewności siebie. Rozpoczęli więc kolejną rundę szyderstw i okrzyków, wprowadzając się w gorączkę bitewną.

- A gdyby tak ruszyć teraz, dowódcu, kiedy się zatrzymali. Może nam się uda?

- Nie, podziurawią nas w rzece oszczepami. Trzeba, żeby zasypali nas nimi, kiedy jesteśmy osłonięci tarczami. Chodź, trybunie, nam przystoi znaleźć się w pierwszym szeregu. Nie wątpię, że twój niesubordynowany wyzwoleniec zechce do nas dołączyć?

- To bardzo miłe zaproszenie, panie - powiedział uprzejmie Magnus. - Przydam się tam bardziej, niż gdybym się czaił gdzieś z tyłu.

Korbulon burknął coś i przecisnął się między dwoma rzędami legionistów na sam przód, do pierwszego szeregu.

Wespazjan stał pomiędzy Magnusem i Korbulonem w samym środku rzymskiego szeregu, patrząc, jak Trakowie wywołują u siebie żądzę krwi. Znaleźli rannego Tesalczyka, który leżał zbyt daleko, by towarzysze mogli go zabrać. Nieszczęsny jeńiec miał powrozy na nadgarstkach, a dwóch wojowników ciągnęło go za ramiona, aż stanął w pozie ukrzyżowanego. Wokół, wymachując swoimi *rhomphaiai*, tańczyła zgraja wyjących dzikusów.

- Nie odwracajcie oczu, chłopcy! - zawołał Korbulon. - Patrzcie i zapamiętajcie sobie, co oni robią z jeńcami.

Taniec przerwano i Trakowie zaczęli cichy monotony śpiew. Dźwięki potężniały, aż zagłuszyły wykrzykiwane przez jeńca błagania. Dwóch mężczyzn stanęło za nim. Śpiew raptownie się urwał. *Rhomphaiai* przecięły powietrze. Nogi nieszczęśnika upadły na ziemię, ale on sam nie padł, tylko krzyczał, rozciągnięty i utrzymywany w miejscu powrozami, niczym jakieś suszące się na sznurku upiorne pranie. Krew płynęła strumieniami z ran w żalostnej imitacji kończyn, które właśnie stracił. Kolejny błysk żelaza i odcięto mu ręce; wyfrunęły w powietrze na końcach powrozów, rozpryskując makabryczne łuki krwi. Pozbawione kończyn ciało spadło na obcięte nogi. Podeszło dwóch kolejnych wojowników i podniosło tryskający krwią tułów. Wciąż żywy Tesalczyk spoglądał w osłupieniu na swoich

towarzyszy broni, odległych zaledwie o sto kroków. Jeszcze jeden błysk i jego głowa potoczyła się po ziemi.

Trakowie ruszyli do ataku.

- Tarcze w górę! - ryknął Korbulon.

Wespazjan poczuł, jak tarcza stojącego za nim legionisty przesuwają się ponad jego głowę i łączy pod kątem prostym z górną krawędzią jego własnej tarczy, pozostawiając na wprost oczu jedynie wygiętą wąską szczelinę. W tym drewnianym dusznym pudle oddechy żołnierzy stały się ciężkie i przyspieszone, kiedy usiłowali pokonać narastającą panikę. Zapach potu, strachu i moczu wypełnił nozdrza Wespazjana, kiedy głęboko oddychał gorącym powietrzem. Czas wydawał się zwalniać, kiedy odtwarzał w myślach ćwiczenia z mieczem przy palu, jakim poddawał go Sabinus w rodzinnym domu, tak teraz odległym. Spłynął na niego spokój. Był gotów do walki. Nie zamierzał umierać. Jakikolwiek los go czekał, nie była nim śmierć z rąk bandy dzikusów. Mocno uchwycił swoje *pilum*. Pierwszy nieprzyjacielski oszczep uderzył w jego tarczę. Mięśnie lewej ręki napięły się pod wpływem wysiłku, gdy utrzymywały tarczę w miejscu. Wszędzie wokół słyszał trzaski oszczepów spadających na szeregi Rzymian. Ludzie stękali przez zaciśnięte zęby od wysiłku utrzymywania tarcz pod takim gradem. Tu i tam rozległ się krzyk. Raptem wszystko się skończyło.

- Tarcze w dół!

Wespazjan szybko pochylił się do przodu i odłamał długą na cztery stopy broń wciąż tkwiącą w jego tarczy. Słyszał świst strzał nad głową; to łucznicy wspomagali ich z drugiego brzegu.

- Wziąć *pila*!

Chwycił prawą ręką oszczep u góry drzewca, tuż za ołowianą kulą, i odchylił do tyłu ramię, przenosząc cały ciężar ciała na prawą stopę.

- Rzucić *pilum*!

Wespazjan z całych sił cisnął ciężką broń w pędzącą ku niemu zbitą masę ciał. Nie miał czasu oglądać rezultatów. Sięgnął błyskawicznie po miecz, gładkim ruchem wyciągając go z pochwy. Poczuł, jak tarcza z tyłu napiera na jego plecy. Przygotował się na zderzenie. Słyszał krzyki rannych Traków. Mężczyźni padali, podcinając biegnących za nimi, tych z kolei tratowali inni, pędzący jak szaleńcy, byle dotrzeć do rzymskich szeregów.

Przykucnięty za murem tarcz, dojrzał niewyraźny kształt spadającego na niego metalowego ostrza. Uniósł tarczę i wysunął do przodu. Trackie ostrze odbiło się od jej krawędzi, a chwilę później wymachujący tą bronią wojownik wpadł na żelazny guz tarczy,

łamiąc sobie żebra i tracąc dech. Lewe ramię Wespazjana zadrżało od uderzenia, ale wytrzymało. Przenosząc prawie cały ciężar ciała na lewą nogę, pchnął mieczem przez szczelinę pomiędzy tarczą swoją i Magnusa. Czuł, jak ostrze wchodzi w miękkie ciało. Przekręcając nadgarstek w prawo i w lewo, rozerwał wnętrzości wrzeszczącego przeciwnika, po czym cofnął miecz i dźgnął ponownie, kiedy inny zajął miejsce tamtego.

Obok niego Magnus dźgał raz za razem, uchylając się przed morderczymi zamachami świszczącego żelaza, wykrzykując wszystkie przekleństwa, jakie tylko znał, podczas gdy przed nim rósł stos ciał.

Trakowie próbowali obejść flanki centurii z prawa i lewa, ale padali pod gradem strzał łuczników z drugiego brzegu.

Szyk nie został złamany.

- Tylny szereg do lin! - wrzasnął Korbulon, kiedy stwierdził, że napór na ścianę tarcz słabnie.

Wespazjan czuł, że zmniejsza się nacisk na jego plecy, kiedy ostatni żołnierz z jego rzędu oderwał się ku rzece i bezpieczeństwu.

- A teraz pchajcie, sukinkoty! - ryknął Korbulon. - Zepchnijcie tych drani z powrotem do piekła.

Gigantycznym wysiłkiem legionieści wysunęli do przodu tarcze i odrzucili nieprzyjaciół. Przekroczyli pierwsze ciała, jakie mieli przed sobą, a legionieści z drugiego szeregu raz jeszcze przebijali mieczami leżących. Zdarzało się bowiem, że żołnierz ginął z ręki ранego przeciwnika, który wbijał mu nóż w pachwinę, kiedy ten nad nim przechodził. Kiedy linia Rzymian przesuwiała się do przodu, Trakowie zbili się jeszcze ciaśniej, bo ich tylne szeregi wciąż naciskały, podczas gdy przednie spychane były do tyłu. Powstał chaos, kiedy rzymskie miecze wbijały się w te ściśnięte, nieopancerzone ciała. Niektórzy zabici pozostawali w pozycji stojącej, ze zwieszonymi dziwacznie głowami, ściśnięci pomiędzy guzami tarcz i swoimi towarzyszami; inni osuwali się na ziemię, stając się kolejnymi celami dla zakrwawionych mieczy legionistów.

Potem Wespazjan niewiele pamiętał z tego, co działo się w tym krótkim okresie zmagania; umysł się wyłączył, a kontrolę przejęły instynkt i ciało. Nie słyszał poszczególnych dźwięków, do jego uszu dochodził tylko nieustanny, równomierny ryk, który jego mózg bardzo szybko odciał, jako jeszcze jedną rozpraszającą przeszkodę. Pamiętał jedynie uczucie radosnego podniecenia, kiedy mechanicznie dźgał, obracał mieczem, cofał go, podczas gdy linia Rzymian, której był nieodłączną częścią, parła do przodu, druzgocąc wszystko przed sobą. Zabijał raz za razem z łatwością; zabijał, by on sam i jego koledzy pozostali żywi.

Nagle przez linię Traków od prawa do lewa przepłynęła fala zaskoczenia. Od wschodu pojawiło się dla nich nowe zagrożenie.

- Maurycjusz! - zawołał Korbulon. - Chwała bogom.

Nieoczekiwane przybycie galijskich oddziałów pomocniczych nadzwyczajnie podniosło legionistów na duchu. Ci młodzi ludzie, którzy przebudzili się rano jako niedoświadczeni rekruci, teraz mieli pewność siebie zahartowanych w boju zabójców. Ze świeżą energią wzięli się do dzieła, błyskali mieczami, tłukli tarczami, powalali wszystko, co stało im na drodze, spychając powoli przeciwników na stok, podczas gdy ich galijscy sprzymierzeńcy podjechali z lewej strony, tnąc nieprzyjaciela długimi kawaleryjskimi mieczami.

Za ich plecami żołnierze drugiej kohorty wydali radosny okrzyk, wskazując rękoma na niebo. Nad ich głowami złowieszcze stado gawronów, które tego rana wyprowadziło ich tak z równowagi, wracało teraz na wschód, ścigane przez dwa orły. Na moment wszyscy znieruchomieli i patrzyli w górę, kiedy dwa wielkie ptaki runęły na stado, chwytając w szpony dwie ofiary. Wzniosły się potem z krzykiem i upuściły ptaki, które w trzepocie piór spadły prosto na pole bitewne.

Trakowie odwrócili się i uciekli. Jazda ruszyła w pościg.

- Stać! - krzyknął Korbulon. - Niech uciekają. Maurycjuszu, osłaniaj nasz odwrót. I nie spóźniaj się więcej! - Korbulon uśmiechnął się z ulgą do prefekta jazdy, który odwzajemnił jego uśmiech i zaczął ustawiać w szereg swoich osiemdziesięciu mniej więcej żołnierzy, jacy mu jeszcze pozostali; oni też mieli za sobą ciężką walkę.

Wespazjan odetchnął głęboko i razem z towarzyszami wzniósł głośny okrzyk zwycięstwa.

- To była prawdziwa bitwa w porównaniu z tymi potyczkami miejskiej kohorty - oświadczył zasapany Magnus.

- To taki rodzaj walki, jaka daje satysfakcję - odparł Wespazjan. Twarz miał czerwoną z ekscytacji i od krwi. - Skoro tak walczy świeżo szkolona kohorta, to znaczy, że może jednak bogowie są po naszej stronie.

- Co tam bogowie, to było...

Głos Korbulona przerwał Magnusowi w połowie zdania.

- Druga centuria do przeprawy. Pierwsza osłania w szyku.

*

Zaczęło zmierzchać, kiedy żołnierze drugiej centurii weszli do rzeki, a Korbulon, ich centurion i jego zastępca, poganiali ich okrzykami.

Faustus z ponurą twarzą zameldował się u Wespazjana, który stał z Magnusem, spoglądając na wzgórze. Za stosami ciał, widocznymi w bladym świetle wieczoru, Trakowie wciąż tam tkwili i od nowa zaczynali swój poprzedzający atak rytuał.

- Wszystkimi rannymi już się zajęto, panie, w sumie jest ich dwunastu, oraz siedmiu zabitych.

- Dziękuję, centurionie. Niech ludzie zbiorą swoje tobołki.

- Tak jest.

- Pierwsza centuria do lin. Wespazjanie, Faustusie, ruszajcie na osobne liny - rozkazał Korbulon, kiedy ostatni żołnierze drugiej centurii rozpoczęli przeprawę. - A ty, Maurycjuszu, przeprawiaj się powyżej nas, konie spowolnią nieco nurt.

Kiedy jazda wjechała do wody, od strony Traków rozległ się potężny ryk. Trzeci już raz tego samego dnia puścili się pędem w dół stoku.

Legioniści wpadli w panikę; tyle dokonali w minionych kilku godzinach i uznali, że dać się zabić teraz byłoby niezgodne z wolą bogów. Zaczęli się przepychać, by jak najszybciej dopaść liny.

- Spokojnie, chłopcy, spokojnie! - ryknął Faustus, dzieląc kilku po karku. - Nie zapominać mi teraz o dyscyplinie.

Wespazjan obejrzał się; Trakowie pokonali już połowę odległości, a w kolejce do każdej liny czekało wciąż co najmniej piętnastu ludzi.

- Kiedy dam rozkaz, ciąć liny! - zawołał Korbulon.

Ludzie weszli do wody; nad ich głowami szybowały strzały wypuszczane przez wspierających ich łuczników z północnego brzegu. Kiedy Trakowie byli pięćdziesiąt kroków od nich, stało się oczywiste, że nie wszystkim dopisze szczęście.

- Ciąć liny!

Wespazjan rozumiał, że Korbulon dobrze wie, co robi; ważniejsze było uniemożliwienie Trakom przeprawy niż uratowanie kilkunastu ludzi, włącznie z nim samym. Tak to bywa z losem; w końcu czekała go jednak śmierć z rąk tych dzikusów. Wiedział, że ma obowiązki wobec większej sprawy, nie wobec siebie. Ciął mieczem konopny powróż, posyłając uczepionych żołnierzy w bystry nurt. Potem odwrócił się i stanął przodem do nieprzyjaciół. Zatrzymali się dziesięć kroków od niego.

- Do mnie, do mnie! - wołał Korbulon ze swojego miejsca, gdzie stał obok dwóch śmiertelnie przerażonych rekrutów.

Wespazjan podbiegł do niego razem z Magnusem i dwoma żołnierzami, którzy nie zdążyli się przepawić. Dołączył do nich Faustus z trzema innymi.

- No dobrze, chłopcy - powiedział Korbulon posępnym głosem - drogo sprzedamy swoje życie.

Ruszył do ataku. Pozostali poszli za nim. Wpadli na Traków, siekąc i kłując, nie napotkali jednak żadnych kontrciosów, jedynie uderzenia drewnianymi rękojeściami *rhomphaiai*. Kiedy padał i zaczęła ogarniać go ciemność, Wespazjan uzmysłowił sobie, że tym razem Trakowie nie chcieli zabijać. To miało nastąpić później.

Rozdział dwudziesty drugi

Wespazjan się ocknął. Było ciemno. Czuł w oku coś lepkiego i chciał to wytrzeć, ale okazało się, że ręce ma mocno związane za plecami. Potem przypomniał sobie uderzenie w głowę, które go powaliło. Krew, pomyślał, to tylko krew z rany.

Gardło miał suche i bolała go głowa; prawdę mówiąc, bolało go całe ciało. Jęknął, kiedy zaczął odczuwać ból.

- Witamy wśród przytomnych, panie, choć nie sądzę, żebyś się miał z czego cieszyć. Bo ja na pewno nie mam.

Wespazjan odwrócił głowę. Zobaczył obok siebie Magnusa.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał bezsensownie; przecież znał odpowiedź.

- Jesteśmy gośćmi u Traków. A po tym, co im zrobiliśmy, niezbyt mile widzianymi, jak sądzę.

Wespazjan zaczął odzyskiwać widzenie. Wszędzie wokół pojawiały mu się coraz wyraźniejsze, jarzące się pomarańczowe plamki: ogniska obozowe. W ich świetle widział skulone na ziemi postaci śpiących. Stopniowo wzrok przyzwyczaił mu się do tego oświetlenia. Bliżej siebie zobaczył kratę z żerdzi; spojrzął w górę, to samo. Wsadzono ich do drewnianej klatki. Oprócz nich było tam jeszcze dwóch innych. Wyteżył wzrok i zobaczył stroje wojskowe Korbulona i Faustusa, obu wciąż nieprzytomnych.

- Gdzie są inni? - zapytał, myśląc o pozostałych legionistach.

- Nie wiem. Odzyskałem przytomność chwilę przed tobą, nie zdążyłem połączyć i zorientować się, jak wyglądają nasze kwatery. - Magnus nie stracił poczucia humoru i Wespazjan się uśmiechnął.

- Odpocznij, panie - dodał mężczyzna - w tej chwili nie możemy nic zrobić. Powrozy są mocno związane. Próbowałem je rozluźnić, ale zdarłem sobie tylko skórę z nadgarstków. Będziemy musieli poczekać, aż gospodarze je sami rozwiążą, potem dopiero przyda nam się spryt.

Wespazjan wiedział, że Magnus ma rację... jeśli ich rozwiążą, muszą być wypoczęci i czujni. Zamknął oczy i zapadł w niespokojny sen.

O świcie w obozie zaczął się ruch. Wespazjan obudził się i zobaczył, że w klatce jest Trak i poi jeńców owczym mlekiem. Kiedy nadeszła jego kolej, pił łapczywie ciepły napój, tłumiąc obrzydzenie, jakie większość Rzymian odczuwała do mleka w jego naturalnej formie. Czuł, jak płyn wypełnia mu żołądek, i uświadomił sobie, że nie jadł nic od południowego postępu poprzedniego dnia.

- Skoro zwracają sobie głowę karmieniem, to na pewno nie po to, żeby nas od razu pozabijać - zauważył Korbulon. Włosy miał zlepione wyschniętą krwią, a prawe oko podpuchnięte i sine.

- Zabijamy was, kiedy my gotowa - warknął Trak łamaną łaciną, zamykając drzwi klatki.

- Cóż za przemili gospodarze - mruknął Magnus.

Trak spiorunował go wzrokiem i odszedł, pozostawiając na straży trzech innych, uzbrojonych w oszczepy.

- Powiedz swojemu człowiekowi, żeby ich nie prowokował - syknął Korbulon. - Jeśli mamy zachować siły na ucieczkę, nie powinniśmy się narażać na pobicie.

Wespazjan spojrział na Magnusa, który skinął głową i uśmiechnął się lekko.

- Nasi ludzie na pewno są wyczerpani - powiedział Faustus, spoglądając ponad ramieniem Wespazjana.

Młodzieniec się odwrócił. Pół mili od nich, na północnym brzegu rzeki, pierwsza i druga kohorta stały w szyku, z jazdą na obu flankach. Kawalek dalej, w zagrodzie, zobaczył tabor.

- Solidny żołnierz z Gallusa, nie wpadł w panikę - stwierdził Korbulon. - Teraz Trakowie nie ośmielą się przeprować, będą musieli się wycofać, chyba że zechcą tu zostać i odżywiać się korzonkami i jagodami.

- A ponieważ nasi łucznicy nie dają im podejść do rzeki, to za dzień czy dwa zabraknie im wody - zauważył Faustus.

Na stoku opadającym ku rzece kręcili się Trakowie, zbierając swoich zabitych i składając ich na ogromny, naszpikowany drewnem kopiec. Rzymian zostawiono, by gnili w słońcu.

- Dranie! - rzucił ze złością Faustus. - Żeby tak zostawiać naszych chłopców. Już i tak nie jest dobrze, bo nie mają monety dla przewoźnika.

- Myślę, że postąpilibyśmy tak samo, centurionie - powiedział Korbulon.

- A poza tym oni mają innych bogów niż my - zauważył Magnus. - Osobiście wolałbym nie wylądować w trackiej wersji Hadesu, a wy?

- Szczególnie że nie mówimy ich językiem - rzucił dowcipnie Wespazjan.

Wszyscy się odwrócili i popatrzyli na niego; siedział z nieruchomą twarzą i błyskiem w oku. Nawet Korbulon, mimo całej patrycjuszowskiej dostojności, nie mógł powstrzymać śmiechu.

*

Ranek mijał, a ponieważ z górnych partii stoku uprzątnięto już zabitych, Trakowie musieli się zbliżyć do rzeki, gdzie rząd zmasakrowanych ciał wyznaczał pozycję tej ostatniej bitwy, przy linach. Grupa zbierająca zabitych wysunęła się do przodu, machając gałązką na znak rozejmu. Dotarli na trzydzieści kroków od brzegu, kiedy spadł na nich grad strzał wypuszczony przez rzymskich łuczników. Kilkunastu padło na ziemię, naszpikowanych grotami; ich krzyki niosły się w górę zbocza. Reszta wycofała się pospiesznie na bezpieczną odległość; kilku ze strzałami sterczącymi z barków.

- To ich dopiero wkurzy - zauważył Magnus.

Korbulon był zadowolony.

- Doskonale. Nie mogą się spodziewać, że pozbierają swoich zabitych w ramach rozejmu, a naszych zostawią. To tak nie działa.

- Przeklęte dzikusy! - rzucił Faustus.

W innej części obozowiska, pięćdziesiąt kroków na prawo od nich, rozległy się podniesione głosy; wybuchł jakiś gorący spór. Wysoki, siwowłosy Trak, z długą, rozwidloną brodą, sięgającą niemal zaokrąglonego brzucha, spierał się z jakimś niższym mężczyzną o szurzej twarzy i ogolonej głowie. Pomiędzy nimi na składanym stołku siedział młody mężczyzna, po dwudziestce. Ze spokojem człowieka obdarzonego autorytetem słuchał sporu coraz bardziej rozwścieczonych przeciwników, ani razu nie spoglądając na żadnego z nich; przez cały czas miał oczy utkwione w ciała zabitych nad rzeką. Ten ze szurzą twarzą wrzeszczał, włożył rękę do torby wiszącej mu na ramieniu, wyciągnął ludzką głowę i wymachiwał nią brodatemu mężczyźnie przed nosem. Dla młodego człowieka to najwyraźniej ostatecznie rozsądziło ten spór, w tę czy tamtą stronę; wstał i wydał kilka rozkazów czekającym obok wojownikom, którzy natychmiast popędzili, by je wykonać.

- Co oni, do cholery, zamierzają? - spytał Magnus.

- Myślę, że byliśmy właśnie świadkami konfliktu interesów doradcy wodza i jego kapłana - oświadczył Korbulon, dodając z krzywym uśmiechem: - Bardzo przypomina to kłótnię Sejana z naczelną westalką, tyle że tym razem wygląda na to, że to westalka wygrała.

- To nie jest jego kapłan - powiedział Faustus. - Ich kapłani wędrują po kraju, od plemienia do plemienia. Nie należą do nikogo z wyjątkiem ich bogów.

Z dalszej części obozu dobiegły kolejne wrzaski, a po kilku chwilach wojownicy wrócili, prowadząc pięciu młodych mężczyzn z powrozami na szyjach i związanymi z tyłu rękoma. Rdzawoczerwony kolor ich tunik natychmiast ujawnił ich tożsamość.

- To nasi chłopcy - powiedział Wespazjan. - Co oni z nimi zrobią?

- Coś, co według mnie na nic się nie zda - odparł Korbulon.

Przerażonych legionistów zaprowadzono na skraj obozowiska, gdzie ustawilo się pięćdziesięciu Traków z tarczami. Z powrozami na szyjach zapędzono Rzymian przed szereg, który zaczął schodzić ze stoku, a grupa zajmująca się zbieraniem zabitych tuż za nim.

- Dalej, Gallusie, zrób, co musisz, i wkurz tych drani - szepnął Korbulon, jakby mówił sam do siebie.

Szereg dotarł do zabitych Traków, minął ich i się zatrzymał. Jeńcy padli na kolana; ich krzyki i błagania niosły się wokół. Grupa pochówkowa zajęła się zbieraniem ciał. Rzymianie na drugim brzegu zaczęli uderzać włóczniami o tarcze. Widać było Gallusa przejeżdżającego przed frontem żołnierzy z podniesionym wysoko ramieniem. Zatrzymał się pośrodku, odwrócił ku Trakom i opuścił ramię. Pięćdziesiąt strzał popędziło nad taflą wody i uciszyło jeńców; Rzymianie po drugiej stronie rzeki umilkli.

- Dobra robota, Gallusie - powiedział Korbulon.

- Przecież on zabił naszych chłopców, dowódcu. - Wespazjan nie krył oburzenia.

- Oczywiście, a gdyby oni byli rozsądni, to sami by go o to błagali. Bardzo możliwe, że za jakąś godzinę każdy z nas pomyśli, że chętnie znalazłby się na ich miejscu.

Kolejny grad strzał załomotał o ścianę tarcz, potem następny spadł na ludzi za nią, ciągnących ciała w górę stoku, powalając wielu z nich. Reszta porzuciła swoje brzemie i umknęła.

Utraciwszy żywą osłonę, Trakowie zaczęli się wycofywać, chowając się za swoimi tarczami, a że nie byli zdyscyplinowani jak regularni żołnierze, robili to mało dokładnie, zostawiając dziury, które łucznicy bezlitośnie wykorzystywali; niewiele więcej jak połowa wróciła.

Po prawej stronie Wespazjana człowiek o szurzej twarzy miotał przekleństwa i potrząsał odciętą głową w stronę Rzymian, podczas gdy młody wódz siedział nieruchomo, z zaciśniętymi pięściami na kolanach. Człowiek o rozwidlonej brodzie powiedział coś do niego, a wódz skinął głową i odprawił go. Kapłan zawodził, patrząc, jak tamten schodzi stokiem do pozostałych przy życiu członków grupy pochówkowej.

Tym razem Trakowie zabrali rzymskich poległych, którzy leżeli na wyższych partiach wzgórza, i wzniesli dla nich osobny stos. Na drugim brzegu rozległy się radosne okrzyki.

Korbulon wyglądał na zadowolonego.

- Wydaje mi się, że ten wódz ma doradcę, któremu nie brak manier. Miałby teraz pod swoją komendą więcej ludzi, gdyby od razu go posłuchał, a nie tego obrzydliwego kapłana.

- Wolałbym nie znaleźć się blisko niego - powiedział Magnus - mam jednak okropne przeczucie, że być może się z nim spotkamy, jeśli nie znajdziemy sposobu, by się stąd wyrwać.

Wespazjan spiorunował Magnusa wzrokiem.

- Lepiej byłoby, gdybyś zatrzymał te myśli dla siebie.

- A jednak on ma rację - powiedział Faustus, ponawiając próbę rozluźnienia więzów.

Na dole pozostały już tylko ciała leżące nad samą rzeką. Grupa pochówkowa ponownie zbliżyła się do nich, niosąc gałązkę rozejmu. Najpierw zabrali poległych Rzymian, włącznie z zabitymi ostatnio jeńcami, a potem zajęli się rozplątywaniem ciał Traków. Żadna strzała nie zakłóciła ich pracy. Jednego z zabitych potraktowano ze szczególnym szacunkiem i umieszczono na osobnym niewielkim stosie.

W końcu teren oczyszczono całkowicie z ciał i odciętych członków; jedynie ciemnoczerwone plamy na trawie oraz tu i ówdzie leżące wnętrzności znaczyły miejsca, gdzie padli ludzie.

Trakowie podpalili rzymski stos bez najmniejszej ceremonii, po czym poświęcili uwagę własnym poległym.

Kapłan o szurzej twarzy stanął przed zgromadzonymi Trakami i zaintonował serię krótkich monotonnych zaśpiewów, na które zebrani reagowali z coraz większą gorliwością. Nawet strażnicy stojący wokół klatki dołączyli do nich. W tym czasie wódz podszedł do mniejszego stosu, ułożonego tylko dla jednego wojownika. Śpiewy potężniały i gwałtownie się urwały. Wódz błagalnym gestem rozłożył ramiona i wydał okrzyk wyrażający najgłębszy ból.

- Nic dziwnego, że tak im zależało na odzyskaniu tych ciał, które leżały nad rzeką - zauważył Korbulon. - Wygląda na to, że ich wódz stracił tam członka rodziny.

- Albo kochanka - zasugerował Magnus.

- Nie, oni nie są tacy jak Grecy - wyjaśnił Faustus. - Z moich obserwacji wynika, że dla nich ważne są kobiety, chłopcy i owce... choć niekoniecznie w tej kolejności czy osobno.

Tłum Traków rozstąpił się i wyciągnięto kolejnego, opierającego się z całych sił mężczyznę w rdzawoczerwonej tunice.

- Ilu ich jeszcze mają? - spytał Wespazjan.

- Jeśli wszyscy przeżyli, to jeszcze jednego. Potem już tylko nasza czwórka - odparł Faustus.

Kapłan kontynuował nieustanny łańcuszek modłów i lamentów. W tym czasie z zakneblowanego legionisty zdarto odzienie i rozłożywszy go na ziemi, przymocowywano do kołków wbitych pomiędzy dwoma stosami. Dziesięciu nagich do pasa jeźdźców zaczęło okręzać wijącą się ofiarę; każdy miał przełożoną przez siodło kłodę drewna albo wielki kamień. Kapłan wyciągnął zza pasa nóż i wznosił go ku niebu. Pierwszy jeździec podniósł kłodę i cisnął nią w Rzymianina. Zmiażdżyła mu klatkę piersiową. Drugi zrobił to samo, a potem na nieszczęśnika spadł kamień i kolejna kłoda, masakrując jego ciało. Żołnierz umarł, zanim przygniótł go ostatni z kamieni.

Wespazjan obserwował, co się odgrywa na jego oczach; bez trudu odgadł, co nastąpi za chwilę. Położył dłoń na wisiorku, który dała mu Cenis, kiedy kapłan wysunął się do przodu, wymachując nożem. Chwycił genitalia legionisty jedną ręką i błysnąwszy ostrzem, odciął je. Trakowie ryknęli. Wtedy kapłan zademonstrował ociekający krwią fragment ciała wodzowi, który wziął go w obie dłonie i podniósł nad mniejszym stosem pogrzebowym. Odmówił po cichu jakieś własne modły i złożył tę makabryczną ofiarę na klatce piersiowej swojego krewniaka. Między nasączone oliwą bierwiona włożono pochodnię i stos buchnął płomieniem.

- Dziwne rzeczy tu wyprawiają - powiedział Magnus, czyniąc znak mający odpędzić zły urok. - O co tu chodziło?

Wespazjan milczał, myśląc o historii, którą opowiedziała mu Cenis, kiedy dawała mu ten wisiorek.

- To jak z *Metamorfoz* Owidiusza - powiedział Korbulon, ale nie rozwinął dalej tej myśli. Literackie uwagi, które ewentualnie zamierzał poczynić, przerwał wrzask dochodzący od wielkiego stosu.

Drewnianą klatkę, podobną do ich własnej, stawiano na ogromny kopiec, siedmiuset, a może nawet większej liczby ciał. Uwięziony był w niej legionista w rdzawoczerwonej tunice. Wiedział, jaki los go czeka, ale był przecież bezradny. Kiedy klatka znalazła się na szczycie kopca, kapłan rozpoczął kolejne zawodzenia. Mężczyźni z pochodniami otoczyli stos. Uwięziony legionista wykrzykiwał błagania do bogów, do swoich towarzyszy broni, do matki. Przekrzykiwał głos kapłana o szczerzej twarzy, który nie zważając na nic, robił swoje.

Po drugiej stronie rzeki żołnierze pierwszej i drugiej kohorty uderzyli trzykrotnie włóczniami o tarcze, po czym zaintonowali hymn do Marsa. Smętne głosy śpiewające gromko ten starodawny hymn płynęły po zboczu do ich towarzysza i niosły mu ukojenie.

Zaprzestał bowiem krzyków, uniósł się na kolana i pochylił głowę, powierzając się opiece bogów zaświatów.

Na znak kapłana wciśnięto pochodnie w podstawę stosu. Buchnęły płomienie, pożerając wpierw włosy, tuniki i płaszcze poległych, zanim zajęły ciała. Te nabrzmiewały, skóra pokrywała się pęcherzami, skwierczała i pękała. W powietrzu rozchodził się zapach smażonej wieprzowiny, kiedy topił się tłuszcz, sącząc płonące kropelki, które znikwały, opadając w szalejący niżej ogień. Żar się zwiększał; nie było dymu, jedynie płomienie. Pełzły coraz wyżej, aż ogarnęły w końcu najwyższą warstwę ciał.

Żołnierz w klatce pozostał nieruchomy, jakby odnalazł spokój w śpiewie swoich kolegów. Jęzory płomieni sięgnęły po niego. Włosy miał już opalone i wtedy jego klatka piersiowa zaczęła gwałtownie podrygiwać... ale nie z bólu. Nie mógł oddychać; ogień strawił cały tlen. Stracił przytomność, kiedy zaczęła tlić się jego tunika. Płuca się zapadły. Oszczędzony mu został koszmar płonienia żywcem.

Rzymianie nie przerwali śpiewu.

Ogień ogarnął już cały stos. Wespazjan odwrócił wzrok; wypuścił powietrze, uświadamiając sobie, że bardzo długo wstrzymywał oddech. Żaden z jego towarzyszy nie odezwał się ani słowem. Cóż można powiedzieć? Wszyscy zajęci byli myślami o śmierci, tym, w jaki sposób stawia jej czoło, i pragnęli, by, kiedy przyjdzie ich czas, umieli wykazać się taką siłą jak ten młody legionista.

*

Trakowie zaczęli zwijać obóz. Nie trwało to długo; nie mieli ze sobą dobytku.

Czterech jeńców wyciągnięto brutalnie z klatki i bezceremonialnie rzucono na zaprzężony w muły wóz.

- Wygląda na to, że dla nas wszystko, co najlepsze - powiedział Wespazjan. - Myślałem, że będziemy musieli maszerować. Teraz wszyscy nam będą zazdrościć.

Korbulon skinął głową, doceniając tę próbę żartowania z ich sytuacji, podczas gdy wszyscy czterej, ciągle ze związanymi rękoma i nogami, usilnie starali się zmienić pozycję leżącą na siedzącą.

- Przydałoby się coś do jedzenia - powiedział Magnus. - Kiepską mają tu obsługę. Gdzie się podziała miła pulchna dziewczyna, która przyjęłaby nasze zamówienie?

Wóz szarpnął. Ruszyli. Kolumna podążała z boczem w górę, pozostawiając trzy płonące stosy, a obok nich rozciągniętego na ziemi, wykastrowanego legionistę.

Rzymianie przestali śpiewać i zaczęli szydzić.

- Poppeusz będzie zadowolony, kiedy dostanie tych ludzi. Pokazali charakter. Nie zhańbią Czwartego *Scythica* ani Piątego *Macedonica* - powiedział Korbulon z uśmiechem.

- Wobec tego musimy tam koniecznie być, żeby zobaczyć jego minę - powiedział Faustus.

Jednakże pomysł ucieczki wydał się absurdalny, skoro otaczali ich strażnicy, a ręce i nogi mieli związane. Zapadło milczenie.

Kolumna wynurzyła się z doliny i ruszyła na południowy wschód. Wlokła się kilka mil pod palącym południowym słońcem. Warunki na wozie zaczęły się pogarszać, kiedy naturalnym potrzebom coraz trudniej było się opierać. Choć przyzwyczajeni do znojów, uważali to za niegodne tak leżeć obok siebie w zapaskudzonych ubraniach, niczym transportowani do kopalń niewolnicy.

Wespazjan, aby uniknąć spojrzeń współtowarzyszy w tych poniżających okolicznościach, spędzał czas, wyglądając na świat z tyłu wozu. Kiedy przesuwiał wzrokiem po grzbiecie ostatniego wzgórza, z którego zjechali, zobaczył tam samotnego jeźdźca. Wkrótce dołączyło do niego kilku innych, a potem jeszcze więcej, aż cała ich setka spoglądała z tego punktu obserwacyjnego za znikającą kolumną, odległą o trzy czy cztery mile.

- Korbulonie! - szepnął Wespazjan, by nie przyciągać uwagi strażników. - To nasi Galowie z oddziałów pomocniczych, jestem tego pewien. Popatrz. Na pewno Gallus podąża nam na ratunek.

- Jeśli tak, to znaczy, że jest głupcem. - Korbulon uśmiechnął się smutno. - Nawet nie wie, czy jeszcze żyjemy. Nie, obawiam się, że wysłano ich, by sprawdzili, czy Trakowie rzeczywiście się wycofują, żeby Gallus wiedział, czy bezpiecznie jest ruszyć naprzód, nie obawiając się pościgu.

Kiedy to mówił, jeźdźcy zawrócili konie i zniknęli za grzbietem wzgórza.

- Obawiam się, że już ich więcej nie zobaczymy - dodał.

Wespazjan zwrócił ponownie oczy na wzgórze, z całych sił pragnąc, by pojawiły się tam ich kohorty. Wiedział jednak, że to daremne. Korbulon miał rację: nie zobaczą już więcej swoich towarzyszy, których obowiązek wzywał na północ.

Byli zdani jedynie na siebie.

Rozdział dwudziesty trzeci

Tłukli się w tym wozie przez dwa dni. Regularnie sprawdzano im więzy; wszelkie próby ich rozluźnienia wykrywano i w brutalny sposób ich odwracano. Od czasu do czasu zlewano też wodą wewnątrz wozu, splukując odchody, w których leżeli. Nie dostawali prawdziwego jedzenia, jedynie owcze mleko, co chwilowo gasiło głód, albo też skórki czerstwego chleba, wciskane im bezceremonialnie wprost do ust. Bolały ich stawy i słabli z każdą godziną.

Śpiąc tylko chwilami, Wespazjan spędzał całe dni i noce na pisaniu w głowie listów do Cenis, przysięgając sobie, że dożyje chwili, kiedy je rzeczywiście napisze. Pisał o swojej dla niej miłości i o tym, że pierwszy raz doznał tego uczucia w momencie, w którym zobaczył ją przed bramą Kolińską. Pisał, jak się o nią bał, kiedy usłyszał, że jest więźniem Liwilli, i o swojej dumie, że mógł być członkiem ratującej ją grupy. Obiecał, że zdobędzie dość pieniędzy, by kupić jej wolność. Jednak przede wszystkim obiecał, że zawsze będzie ją kochał. Kiedy zabrakło mu tematów, komponował jej odpowiedzi; były przepelnione miłością do niego oraz dumą z jego osiągnięć i sukcesów i zawsze pisane na woskowych tabliczkach, które wydawały mu się przepojone jej zapachem.

W ten sposób rozmyślaniami zabijał czas. Inni czynili podobnie, rozmowy bowiem były bezcelowe, jako że zawsze prowadziły do jednego tematu, a mianowicie ucieczki, podkreślając jedynie beznadziejność ich położenia. Zatem jednomyślnie milczeli, by zachować tę siłę ducha, jaka jeszcze w nich pozostała.

Zostawili za sobą Rodopy i zeszli do szerokiej doliny, przez którą płynęła powolna rzeka Hebros. Choć ziemia była żyzna, niewielką jej część uprawiano, resztę porastały lasy, jako że mieszkające w głębi lądu plemiona trackie bardziej interesował rozbój niż rolnictwo czy hodowla. Świadczyły o tym spalone osady, które znaczyły szlak wyprawy wojennej sprzed kilku dni.

W dolinie zmienili kierunek marszu na wschodni. Obrali leśne bezdroża. Wysyłali przodem zwiadowców, by wypatrzyli ewentualne zasadzki w gęstym poszyciu, urządzone przez plemiona wciąż lojalne wobec Rzymu i pragnące zemścić się za splądrowane osady. Jednak na żadne się nie natknęli.

Rano, trzeciego dnia, las się przerzedził i pojawił się wąski pas porośniętej krzakami ziemi, za którym płynął Hebros. Leniwe, brunatne wody, niosące osady, które bystre dopływy

splukiwały z gór wraz z topniejącym śniegiem, wijącą się wstęgą przecinały płaski teren i coraz bardziej podmywały brzegi. Niedaleko widać było skupiska zarośniętych krzakami wysepek; z wody pomiędzy nimi wystawały gęsto rosnące trzciny.

Na przeciwległym brzegu, odległym o sto kroków, znajdowała się wioska rybacka. Kiedy Trakowie wyłonili się z lasu, spuszczone tam na wodę flotyllę łódek. Ponad pięćdziesiąt małych łodzi rybackich i tratw z bali, obsadzonych przez młodych chłopców, zaczęło pokonywać rzekę; chłopcy pokrzykiwali, ścigając się, bo każdy chciał pierwszy dotrzeć do drugiego brzegu.

- Zatem w taki sposób się przeprawili - powiedział cicho Korbulon. - Kiedy wrócimy tu z karną ekspedycją, zniszczymy wszystkie łodzie, jakie tylko znajdziemy. Nie żebym zamierzał zostawić przy życiu kogokolwiek, kto mógłby ich użyć.

Wespazjan uśmiechnął się w duchu; zgadywał, co Korbulon wałkował w myślach przez cały ten czas.

Pierwsze łodzie dopłynęły do brzegu i wesołe okrzyki niektórych chłopców zamieniły się w lamenty, kiedy usłyszeli o ojcach i braciach, którzy już nigdy nie powrócą.

Trakowie rozpoczęli załadunek. Naciągnięto worki na łby mułów, a wóz z jeńcami wtoczono na bardzo chwiejną tratwę, co wyraźnie czuli. Chłopcy stanowiący jej załogę rzucali na jeńców gniewne spojrzenia. Jeden miał łzy w oczach. Wespazjan zastanawiał się, czy zabił krewnego tego chłopca, i stwierdził, że chciał, by tak właśnie było.

Tratwa ruszyła i młodzieniec, wiedząc, że tak związani nie mieliby w wodzie najmniejszej szansy, w myślach wzywał na pomoc Posejdona, który choć był bogiem greckim, w tych okolicznościach wydawał się najodpowiedniejszy, by mógł utrzymać ich na powierzchni.

Wszędzie wokół nich małe łódki podskakiwały na rzece, każda obciążona siedmioma albo ośmioma mężczyznami. Niektórzy byli w dobrym humorze, zadowoleni z powrotu do domu, reszta jednak siedziała w milczeniu, pamiętając o przyjaciółach i krewnych, którym szczęście nie dopisało.

Muły z zasłoniętymi oczyma ryczały żałośnie podczas przeprawy.

Ta chmara łódek i tratw trzykrotnie płynęła w tę i z powrotem, nim zakończono przeprawę; do żadnych wypadków nie doszło. Wespazjan podziwiał sprawność, z jaką przeprowadzono tę operację. W niczym nie przypominało to sposobu, w jaki ci ludzie walczyli.

Kiedy już wszyscy zgromadzili się na wschodnim brzegu, około trzydziestu mężczyzn pochodzących z tej wioski pożegnało kolegów i wróciło z chłopcami do domów. Reszta

uczestników wojennej wyprawy ruszyła dalej. Trwała ponura wędrówka przez robiącą wrażenie bezkresnej, porośniętą trawą równinę po wschodniej stronie Hebrosu.

Co jakiś czas małe grupki wojowników odrywały się od kolumny, by udać się do swoich domów, na północ albo południe, do wiosek i małych osad, które widać było w oddali. Późnym popołudniem w głównej grupie zostało ich mniej niż czterystu.

- To już znacznie lepiej - powiedział Magnus, który nabrał ducha, widząc topniejącą liczbę otaczających ich wojowników. - Jeśli potrwa to dłużej, to zostaniemy tylko my i strażnicy, a wtedy zobaczymy, jacy z nich twardziele.

- A jak zamierzasz się rozwiązać? - spytał Korbulon, wracając do podstawowego problemu.

- A, oczywiście.

Zamilkli, po chwili jednak ciszę przerwał dźwięk galopujących koni. Nie wiadomo skąd pojawiło się jakichś dwudziestu jeźdźców. Kolumna się zatrzymała.

- A skąd ci się tu wzięli? - spytał Faustus, nie dostrzegając nigdzie w pobliżu śladów ludzkich siedzib.

Jeźdźcy pojechali na czoło kolumny, gdzie powitali wodza; po wymianie kilku słów jeden z nich podjechał do ich wozu.

Przyglądał im się przenikliwie niebieskimi oczyma. Brakowało mu czubka nosa. Długa, zaniedbana ruda broda całkowicie zachodziła mu na usta i zakrywała całą dolną połowę twarzy; górę czaszki miał łysą. Z uszu zwisały mu ogromne złote koła. Uznał Korbulona za najwyższego rangą i zwrócił się do niego całkiem porządną łaciną.

- Czy to ty jesteś człowiekiem odpowiedzialnym za śmierć mojego najmłodszego syna?

Korbulon był zaskoczony, nie miał przecież najmniejszego pojęcia, ilu wojowników zabił podczas bitwy.

- Nie jestem odpowiedzialny za niczyją śmierć. Nie ja zaatakowałem.

- Ale ty dowodziłeś rzymską kolumną. To ty wprowadziłeś ją na tracką ziemię.

- Tracja jest prowincją rzymską i mamy wszelkie prawo tutaj przebywać. Lepiej, żebyś o tym pamiętał, kiedy masz ze mną do czynienia.

Trak roześmiał się; nie był to miły dźwięk.

- Wasza arogancja mnie zdumiewa. Nawet będąc jeńcami, związanymi i unurzanymi we własnym gównie, ciągle traktujecie innych z wyższością. No cóż, powiem ci tyle, Rzymianinie, ja uznaję cię za odpowiedzialnego i ty za to zapłacisz.

Splunął Korbulonowi w twarz, zawrócił konia i odjechał pędem, a pozostali jeźdźcy za nim. Kilkaset kroków dalej zniknęli w zagłębieniu terenu, zupełnie niewidocznym w tym morzu traw. Kolumna ruszyła za nimi i zjechała do prawie okrągłej niecki, o średnicy około dwustu kroków i głębokiej na pięćdziesiąt. Na jej dnie znajdował się duży obóz z ponad pięciuset namiotami. Był tak dobrze ukryty, że armia mogłaby przemaszerować ćwierć mili od niego i w ogóle go nie zauważyć.

*

Zapadła noc. Rozpalono ogniska, których z powodu dymu nie wolno było palić w dzień. Obracano owce na rożnach; zapach pieczonego mięsa unosił się nad obozem. Zaczęto pić i nastrój Traków z ponurego, typowego dla pokonanych wojowników, zmienił się w brawurę ludzi odurzonych alkoholem. Wspominano i upiększano bohaterskie czyny, chęlpiono się i poprzysięgano zemstę. Wybuchwały bójki. Brutalnie gwałcono wrzeszczące młode niewolnice i niewolników i pito jeszcze więcej kiepskiego wina. Kiedy już stracono w picciu wszelki umiar, bójki nabrały poważniejszego charakteru. Narastał zgiełk.

Wespazjan z towarzyszami siedział w samym centrum tego chaosu. Wciąż mieli swoje stroje wojskowe na obrzydliwie poplamionych tunikach. Rozwiązano im ręce, żeby mogli jeść z miski chrząstki i ogryzać resztki z baranich kości. Pilnowało ich czterech wojowników, popijających ciągle wino z bukłaków.

- Zupełnie jak dzień targowy w Suburze - zauważył Magnus, z ustami pełnymi na wpół przeżutego tłuszczu.

- Tyle że tu aż tak bardzo nie śmierdzi - zauważył Korbulon, zresztą zgodnie z prawdą.

- Myślę, że w tych strojach świetnie byśmy tam pasowali - powiedział Wespazjan, unosząc kraj brudnej tuniki.

- Nasz zapach też byłby na miejscu - wtrącił Faustus. - Pachnielibyśmy lepiej niż większość tamtejszych dziwek.

Magnus uśmiechnął się i żuł dalej; był zdecydowany przełknąć ten kawał tłuszczu.

Kompletnie pijany Trak potknął się o nogi strażników i wymiotując, zatoczył się w stronę Wespazjana.

- Uważaj, panie. - Magnus odciągnął przyjaciela z drogi pijanego.

Mężczyzna padł na ziemię, wyrzucając z siebie zawartość żołądka.

Wespazjan cofnął się przed fetorem; oczy mu się lekko rozszerzyły, kiedy zobaczył, że przy upadku Trakowi wysunął się sztylet z pochwy; leżał teraz na ziemi, o stopę od jego uda. Strażnicy odłożyli bukłaki i stanęli na chwiejnych nogach, rzucając cień na ziemię tam,

gdzie leżał sztylet. Zaczęli krzyczeć do otumanionego mężczyzny, ale ten nie reagował. Magnus, który również dostrzegł pojawiającą się sposobność, pomachał do strażników i wykonał kilka gestów oznaczających picie. Strażnicy wybuchnęli śmiechem. Wespazjan zbliżył powoli nogę do sztyletu. Strażnik przeszedł nad nim, żeby odciągnąć kolegę. Nadepnął na sztylet, ale go nie zauważył; robiąc krok do przodu, żeby unieść pijanego, odepchnął stopą sztylet, który znalazł się jeszcze bliżej Wespazjana. Magnus zaczął pokazywać na siebie, gestykulować do pozostałych strażników; jeden z nich wzruszył ramionami, podniósł bukłak i mu go rzucił. Wespazjan uniósł udo i podsunął pod nie sztylet.

- Mocne - oświadczył Magnus, wykrzywiając twarz po głębszym łyku. Wychylił się do przodu i podał bukłak Korbulonowi, pytając cicho: - Widziałeś, panie?

- Tak, widziałem. - Korbulon pociągnął łyk. - Poczekamy, aż się spiją do nieprzytomności... co nie potrwa długo, skoro piją coś takiego. - Podał wino Faustusowi, który nabrał go do ust i omal się nie zakrztusił.

Kiedy skończyli jeść, strażnicy ponownie związali im ręce. Wespazjanowi udało się przyciskać nogą sztylet, chociaż oznaczało to trzymanie stopy w wymiocinach.

Zaczęli czekać na swoją szansę. Pierwszy raz w tej małej grupce zapanował optymizm. Udawali, że śpią, obserwując ukradkiem, jak strażnicy dalej piją. Wszędzie wokół odgłosy bójek, awantur i chędożenia cichły stopniowo, kiedy upojeni Trakowie padali jak kłody obok ognisk. W końcu ostatni ze strażników osunął się na plecy i zaczął chrapać, z bukłakiem prawie pustym na piersi.

Wespazjan leżał na boku i ostrożnie przysuwał związane dłonie do sztyletu. Wkrótce jego palce dotknęły rękojeści i zacisnęły się na niej. Przetoczywszy się na drugi bok, przysunął się do Magnusa, trzymając sztylet mocno w obu dłoniach.

- Będziesz mi musiał pomóc. Zbliź więzy do ostrza.

Magnus podciągnął w górę ramiona, aż poczuł zimne ostrze tuż nad nadgarstkiem, po czym przesunął się do przodu, aż spoczęło ono na skórzanych więzach.

- Chyba tak dobrze, panie, wyczuwasz? - szepnął.

- Tak. A teraz nie ruszaj się i nie krzycz, jeśli cię skaleczę.

Magnus skrzywił się, jakby mówił „też coś”.

Leżeli odwrócenii do siebie plecami, podczas gdy Wespazjan piłował rzemienie. Korbulon i Faustus czujnie się rozglądali, ale obóz był jak wymarły. Przecinanie nie trwało długo. Kiedy tylko Magnus miał wolne ręce, wziął sztylet i poprzecinał więzy towarzyszom. W kilka chwil wszyscy byli wolni.

- Co teraz? - zapytał.

Korbulon masował nadgarstki.

- Zabić strażników, zabrać ich miecze i płaszcze, a potem wynosić się stąd. Ktoś ma lepsze propozycje?

- Mnie to odpowiada.

Jeden ze strażników się poruszył. Zastygli. Mężczyzna obrócił się na bok, podciągnął tunikę i oddał mocz tam, gdzie leżał. Zasnął, nie zawracając sobie głowy poprawianiem odzienia.

- Ruszajmy - powiedział Korbulon i wyciągnął rękę do Magnusa. - Daj mi ten sztylet.

- Za pozwoleniem, panie, ale to robota w moim stylu... to znaczy, jeśli chcesz, żeby zrobić to po cichu.

Korbulon skinął głową; wystarczyło spojrzeć na Magnusa, by się domyślić, że szybkie i bezgłośnie uśmiercanie to dla niego żadna nowość.

Magnus podczołgał się cicho do obnażonego strażnika. Już po chwili człowiek miał wybałuszone oczy, podcięte gardło, a usta przyciśnięte silną lewą ręką Magnusa. Szarpał się przez moment, po czym znieruchomiał.

Pozostałych trzech spotkało to samo.

Owinięci w płaszcze i z mieczami w pogotowiu, szli za Korbulonem przez obóz. Posuwali się zygzakiem pomiędzy ogniskami, trzymając się, tam gdzie to było możliwe, bardziej ocienionych miejsc. Podcinali gardło każdemu Trakowi leżącemu na ziemi, zbyt pijanemu, by zdołał dotrzeć do ogniska czy namiotu. Wkrótce ognisk było coraz mniej i dotarli na skraj obozowiska.

- Musimy mieć konie, jeśli chcemy dotrzeć do rzeki, zanim zauważą naszą nieobecność - wyszeptał Korbulon. - Przepatrzymy zewnętrzne granice obozu. Jakies konie muszą tam być.

Na zewnątrz mogli poruszać się znacznie szybciej; księżyc zaszedł i ich płaszcze zlewały się z atramentowym stokiem. Biegli truchtem po równej trawie, wypatrując w ciemnościach straży. Żadnych nie było.

Po przebyciu ćwierci okręgu Wespazjan się zatrzymał.

- Dowódco - syknął - tutaj.

Dwadzieścia kroków dalej, na obrzeżach obozu, sylwetki koni majaczyły na tle gasnących ognisk. Tuż za nimi widoczne były ciemne kształty czterech czy pięciu namiotów. Wokół nich nie widać było żadnego ruchu; wartownicy, jeśli w ogóle jacyś byli, spali.

- Nie mamy czasu ich siodłać, ale musimy znaleźć uzdy - szepnął Korbulon. Spojrzał w ciemności na Wespazjana. - Trybunie, pójdziesz ze mną, muszą być jakieś w jednym z tych

namiotów. Wy - zwrócił się do Faustusa i Magnusa - przyprowadzicie cztery konie, spotkamy się wszyscy tutaj.

Centurion i jego towarzysz zaczęli się skradać wzdłuż rzędu stojących koni.

Wespazjan poszedł za Korbulonem szukać namiotu z uprzężą. Niepokoilo go, kiedy konie nerwowo parskały i grzebały nogami za jego plecami.

- Skąd mamy wiedzieć, w którym namiocie to trzymają? - mruknął.

- Będziemy musieli zajrzeć do wszystkich - odparł Korbulon, podkradając się do najbliższego. Ujął jego połę po prawej stronie i gestem pokazał Wespazjanowi, że ma uchwycić lewą. Bardzo delikatnie, z gotowymi do uderzenia mieczami, rozchylili je.

- Witamy.

Ostre końce dwóch włóczni naciskały na ich gardła. Skamienieli. Wespazjan poczuł, że robi mu się niedobrze.

- Na waszym miejscu rzuciłbym miecze.

Powoli opuścili ręce i miecze upadły na ziemię. Wespazjan wyczuł za sobą obecność kolejnych mężczyzn.

- Teraz się cofnijcie.

Cofali się, a ostrza włóczni kaleczyły ich do krwi. Wojownicy, którzy ich zatrzymali, wyszli z namiotu, a za nimi pojawił się ten brodaty, łysy jeździec spotkany poprzedniego dnia.

- Czy naprawdę sądzicie, że jestem taki głupi? - warknął, ze zmrużonymi z nienawiści oczyma. - Że ja, Koronus, nie wiem, jak zachowują się moi ludzie, i nie jestem przygotowany? Oczywiście zamierzali się upić, a wy oczywiście musieliście spróbować uciec i potrzebowaliście koni. Bawiło mnie obserwowanie waszych wysiłków. Wystarczyło wziąć dziesięciu trzeźwych, zaufanych ludzi i umieścić z dala od pokus głównego obozu, by mieć pewność, że nie zabraknie was tu jutro, bo mam w związku z wami pewne plany. Związać ich.

Wespazjan poczuł, jak szorstkie dłonie chwytają go za nadgarstki. Po raz kolejny wzięto mu ręce z tyłu skórzanymi rzemieniami. Nie opierał się; byłoby to daremne. Przywleczono Magnusa i Faustusa; krew płynąca z rozcięcia na lewym ramieniu Faustusa świadczyła o tym, że użyto siły.

- Zatem do jutra - pożegnał ich Koronus. - Dowiedziecie się wtedy, ile kosztuje śmierć moich synów.

*

Resztę nocy spędzili uwiązani przy koniach. Wespazjan nie spał. Paliła go wściekłość, że się nim zabawiają. Umożliwienie ucieczki, a potem schwytywanie i wszystko to spowodowane umiejętnością przewidywania jakiegoś dzikusa, było już wystarczającym upokorzeniem; szyderstwa natomiast piekły nieznośnie. Nie należało w ogóle ruszać się z miejsca, ale to z kolei byłoby innego rodzaju upokorzeniem. Koronus, wiedząc, że nie próbowali uciec, wyszydziłby ich tchórzostwo. Myśli te krążyły mu po głowie i rano był kompletnie wyczerpany, podjął jednak postanowienie, że w przyszłości, jeśli jeszcze będzie jakąś miał, nigdy nie będzie postępował w sposób oczywisty, przewidywalny, bo skoro coś jest oczywiste dla niego, to znaczy, że jest takie również dla innych.

Krótko po świcie odcięto ich i postawiono na nogi. Zobaczył, że jego towarzysze wyglądają tak, jak on się czuje; żaden z nich nie zmrużył tej nocy oka.

Zawleczono ich na środek obozu, gdzie oczyszczono krąg ziemi z namiotów i ognisk; wokół stały setki wiwatujących wojowników. Na jeńców posypały się razy i kopniaki.

Trakowie, którzy starali się otrząsnąć ze skutków przepicia, roztaczali wokół smród przetrwanego alkoholu, wymiocin i potu.

- Wygląda na to, że mamy służyć tu za rozrywkę - mruknął Magnus.

- Chyba nie jestem w odpowiednim nastroju - odparł Wespazjan, robiąc unik przed wymierzoną w jego skroń ręką miecza.

Dotarli na środek prowizorycznej areny, gdzie czekał na nich Koronus. Obok niego stał młody wojownik, który dowodził wojenną wyprawą. Wespazjan widział, że są podobni, i uzmysłowił sobie, że musi to być starszy syn i tym samym brat człowieka zabitego kilka dni temu nad rzeką.

Koronus podniósł rękę i zgiełk wokół areny natychmiast ucichł. Zaczął przemawiać; jego słowa były niezrozumiałe, jednak z ostrego tonu głosu i agresywnej gestykulacji Wespazjan domyślił się, że właśnie oskarża ich o przeróżne zbrodnie. Mowa zakończyła się rykiem zgromadzonego tłumu i gardłowym okrzykiem, którego nie było potrzeby tłumaczyć. Oznaczał śmierć.

Brodacz zwrócił się do nich płynną łaciną.

- Zgromadzenie plemienne skazało was na śmierć...

- Na jakiej podstawie? - zawołał Korbulon. - I kto nas bronił?

- Oskarżonym o obrazę naszych bogów nie przysługuje prawo do obrony.

Korbulon zamierzał się spierać, doszedł jednak do wniosku, że jest to bezcelowe, i zachował spokój.

- Moim zadaniem jako ich przywódca - ciągnął mężczyzna - jest wybranie sposobu, w jaki umrzecie. - Obdarzył ich uśmiechem, w którym nie było radości, po czym odwrócił się do zgromadzonych i coś zawołał. Ich reakcja wyrażała aprobatę dla jego wyboru. Ponownie przeszedł na łacinę. - Każdy z was dostanie miecz i tarczę, a ten, który na koniec utrzyma się na nogach, dostanie konia i pół godziny przewagi nad pogonią. Jeśli go schwytemy, zostanie wbity na pal, jeśli nie, to znaczy, że ma szczęście.

Cztery miecze i tarcze rozmieszczono w równych od siebie odstępach na skraju areny. Rzymian zaprowadzono na jej środek, gdzie przecięto im więzy.

- Jeśli któryś z was odmówi walki, wszystkich wbijemy na pale. Radzę wam dać dobre przedstawienie, godne Rzymu, a być może jednemu z was uda się jeszcze to miasto zobaczyć.

Koronus zajął miejsce pośród tłumu. Czterech Rzymian zostawiono ustawionych plecami do siebie pośrodku areny.

- Co robimy? - spytał Faustus.

- Walczymy - odparł Korbulon. - I walczymy porządnie, żeby jeden z nas miał szansę przeżycia. Pozostali zginą szybką śmiercią. Mogło być gorzej.

- Kto walczy z kim? - spytał Wespazjan; nie chciał walczyć z Magnusem.

- Walczymy jak popadnie. Brać miecze, rozpoczniemy tutaj.

Odwrócili się i popatrzyli na siebie, nie było nic więcej do powiedzenia. Wiedzieli, że mają obowiązek wobec całej grupy dobrze walczyć i dobrze umierać; innego wyjścia nie było.

Wespazjan wykrzywił twarz, doskonale widząc ironię tej sytuacji, i ruszył na skraj areny, by wziąć miecz i tarczę. Nigdy nie był na walkach gladiatorów. Zawsze tego chciał, a teraz, kiedy miał wreszcie taką szansę, to on sam miał stoczyć walkę. To będzie jego pierwszy i ostatni występ; wiedział, że zginie. Nie było sposobu, by on, szesnastoletni młodzieniaszek, miał być ostatnim stojącym o własnych siłach, jednak zanim padnie, zrobi wszystko, co w jego mocy, by pomóc jednemu z towarzyszy umrzeć szybko i łatwo.

Zgiełk przybierał na sile, w miarę jak w zakładach stawiano coraz więcej pieniędzy. Wespazjan zastanawiał się leniwie, czy ktoś stawia na niego. Pomyślał o Cenis i wyciągnął srebrny amulet, który od niej dostał. Zaciskał go w dłoni i prosił Posejdoną o opiekę.

Puścił amulet, a ten zakołysał się na jego szyi, kiedy Wespazjan pochylił się, by wziąć miecz. Stojący blisko Trak szarpnął za rękaw sąsiada i wyciągnął rękę. Młodzieniec wziął tarczę. Zgiełk zmienił się w cichy szum; coraz więcej ludzi wyciągało ręce. Robią zakłady, który z nas umrze pierwszy, pomyślał. Włożył amulet pod tunikę, odwrócił się i poszedł w stronę towarzyszy.

Zatrzymali się pięć kroków od środka areny. Korbulon popatrzył kolejno na każdego z nich.

- Nie prosić o litość. Zadawać szybką śmierć. Teraz już wszystko jest w rękach bogów.

Pozdrowili się i zajęli pozycje do ataku.

W tłumie zapanowała kompletna cisza.

Wespazjan oddychał ciężko, dłonie zaczęły mu się pocić, a serce waliło jak szalone. Przesunął wzrokiem od Magnusa do Korbulona i Faustusa i zobaczył, że ich oczy są ledwie widoczne ponad krawędzią tarcz. Zaczęli krążyć wokół siebie, czekając, aż ktoś wykona pierwszy ruch.

Za swoimi plecami usłyszał kilka pojedynczych krzyków. Coś tam się działo. Nie zaczęliśmy wystarczająco szybko walczyć, wbijają nas na pale, pomyślał i skoczył do przodu, uderzając tarczą o tarczę Korbulona. Wymierzył miecz w jego gardło, Korbulon sparował, ostrza zetknęły się z metalowym chrzęstem i zazgrzytały, osuwając się po sobie, aż dotarły do rękojeści. Wespazjan poczuł, jak coś tnie powietrze za jego plecami, kiedy naciskał miecz Korbulona swoim mieczem. Magnus atakuje Faustusa, pomyślał; ale gdzie podział się cały ten harmider, gdzie zachęcanie do walki? Korbulon zrobił krok w lewo i kiedy cofnął miecz, Wespazjan stracił równowagę. Zachwiał się, jednak zdążył unieść tarczę i zablokować wymierzony w jego kark cios.

Upadł i przetoczył się po ziemi. Korbulon skoczył ku niemu z uniesioną tarczą, wyciągniętym przed siebie mieczem celując w jego gardło.

- Stać!

Rozkaz łatwo było usłyszeć, ponieważ jedynymi dźwiękami były ich zdyszane oddechy i szczęk broni. Widownia milczała jak zaklęta.

Zamarli, Korbulon nad Wespazjanem, Faustus, stawiając czoło Magnusowi.

Wespazjan obejrzał się. Koronus i jego starszy syn wyszli przed tłum i kroczyli ku nim w eskorcie tuzina uzbrojonych wojowników.

- Rzucić broń! - zawołał Koronus.

Cztery miecze upadły na ziemię i cztery tarcze poszły ich śladem.

Trak odsunął Korbulona i nachylił się nad Wespazjanem.

- Pokaż mi, co nosisz na szyi.

Wespazjan wyjął srebrny amulet.

- Skąd to masz?

- Dała mi go moja kobieta, kiedy opuszczałem Rzym.

- Skąd ona go miała?

- Od swojej matki. Powiedziała mi, że to symbol jej plemienia.

Koronus przyciągnął do siebie Wespazjana.

- To jest rzeczywiście symbol plemienia - warknął. Wbił spojrzenie w Wespazjana. -
Mojego plemienia, Cenów.

- Moja kobieta ma na imię Cenis - powiedział szybko Wespazjan, przekonany, że
zginie najbardziej bolesną śmiercią za świętokradztwo. - Opowiedziała mi historię Kajneusa,
ale powiedziała, że on pochodził z Tesalii, nie z Tracji.

- On był z Tesalii, ale to do tej krainy zbiegł jego syn, Koronus, kiedy Kajneus zginął
w walce z centaurami.

- Widziałem, jak nad rzeką twoi ludzie odtwarzali jego śmierć.

- Robimy tak, kiedy umiera członek naszego królewskiego rodu - powiedział cichym
głosem Trak. Rozluźnił uścisk, w którym trzymał Wespazjana. - Mój najmłodszy syn miał na
imię Ceneus. Mój najstarszy, tutaj obecny... - wskazał ręką młodego dowódcę wyprawy
wojennej - ma na imię Koronus i tak to już jest od czasu, kiedy pierwszy Koronus założył
nasze plemię i nazwał je po swoim ojcu. - Mężczyzna cofnął się, puszczając tunikę
Wespazjana. - Jak miała na imię matka Cenis?

- Nie wiem. - Wespazjan nie odrywał oczu od jego twarzy; wiedział, że od tego, co
powie, zależy jego życie. - Wiem tylko, że była niewolnicą w domu Antonii, bratowej cesarza
Tyberiusza. Umarła, kiedy Cenis miała trzy latka. Antonia ją wychowywała. Jest dla niej jak
matka.

- Ile lat ma Cenis?

- Chyba osiemnaście.

Koronus skinął powoli głową.

- To by oznaczało, że jej matka miałaby trzydzieści kilka lat, gdyby żyła. Skaris!

Do przodu wystąpił starszy mężczyzna z siwą, rozwidloną brodą, którego widzieli nad
rzeką, kiedy spierał się z kapłanem. Koronus porozmawiał z nim na uboczu. Jego eskorta
otoczyła Rzymian, trzymając włócznie w pogotowiu. Dopiero teraz Wespazjan zauważył, że
każdy z mężczyzn ma na szyi ten sam co on wizerunek, tyle że wykonany z drewna lub
kamienia. Koronus odwrócił się ponownie do Wespazjana, najwyraźniej usatysfakcjonowany
tym, co powiedział mu Skaris.

- Wstań, Rzymianinie. Wygląda na to, że mówisz prawdę.

Wespazjan podniósł się i spojrzał na towarzyszy, którzy stali bez najmniejszego ruchu, starając się pojąć, co się dzieje, choć nie śmieli mieć nadziei na to, że wyjdą z tej sytuacji cało.

Koronus kazał eskortie odsunąć się, po czym powiedział kilka zdań do tłumu. Zewsząd dochodziło potakiwanie i ludzie zaczęli się rozchodzić. Kiedy skończył, wyciągnął rękę do Wespazjana, który ją ujął.

- Moją najmłodszą siostrę i jej małą córeczkę wzięto w niewolę przeszło trzydzieści lat temu. Ponieważ należała do królewskiego rodu, nosiła srebrny wizerunek Kajneusa. To musi być właśnie ten, który ty dostałeś. Twoja kobieta, Cenis, jest wnuczką mojej siostry. Podarowała ci ten amulet z miłości, by cię chronił. Nie skrzywdzimy ani ciebie, ani twoich przyjaciół. Jesteście pod ochroną plemienia Cenów i możecie odejść wolno.

Wespazjan patrzył na niego, nie wierząc własnym uszom.

- Nie zapomnę ci tego, Koronusie, i nie omieszkam powiedzieć Cenis, z jakiego jest ludu. Pewnego dnia pojawi się, by wam podziękować.

- Tak będzie, jeśli bogowie pozwolą. Jednak zanim odjedziecie, zjedzcie ze mną posiłek.

Poprowadził ich przez obóz do swojego namiotu. Wszyscy odprowadzali wzrokiem czterech Rzymian, wykrzykując coś w swoim dziwnym języku i robiąc przyjazne gesty.

*

Kiedy już zasiedli przy jadłach i trunku, Koronus wznosił toast.

- Niech Posejdon trzyma dłonie nad swoim ludem i ochrania ich oraz ich przyjaciół. - Wypił. Wespazjan, Magnus i Faustus poszli za jego przykładem, ale Korbulon nie. Koronus spojrzał na niego i pokręcił głową. - Sądzę, że nie chcesz wypić, bo chciałbyś tu wrócić i z nami walczyć. Mam rację? - zapytał.

- Jesteś wrogiem Rzymu, byłby to zatem mój obowiązek. - Korbulon odstawił kielich.

Jego przyjaciele wymienili zakłopotane spojrzenia, obawiając się, że ten arogancki młody patrycjusz zaprowadzi ich z powrotem na arenę.

Koronus uśmiechnął się.

- Wrogiem Rzymu, powiadasz? To nie jest zgodne z faktami, bo ja robię jedynie to, czego sobie Rzym życzy, i za co sowiec mi płaci.

- Zapłacono ci, byś atakował naszych żołnierzy - rzucił szyderczo Korbulon.

- Zapłacono mi, bym zaatakował plemię Celatetów, a potem waszą kolumnę na ich terytorium. Dlaczego? Nie wiem. Ale mogę wam to udowodnić. - Wydał jakieś polecenie dwóm strażnikom. - Ponad miesiąc temu - ciągnął Trak - przybył pewien kapłan z czterema

Rzymianami i eskortą złożoną z greckiej jazdy. Przywieźli mi skrzynię i powiedzieli, że będę mógł ją sobie zatrzymać, jeśli zrobię to, o co prosi Rzym. Jak wiecie, wykonałem zadanie i kosztowało mnie to życie wielu ludzi, włącznie z życiem mojego syna. Była to wysoka cena, zbyt wysoka, ale byłaby znacznie wyższa, gdybym odmówił. Rzymianie dali mi to jasno do zrozumienia.

- Kim był ten kapłan? - spytał Wespazjan, pewien, że odpowiedź go nie zaskoczy.

- Ma na imię Rotekes, śliski typek, ale cieszący się przychylnością bogów i szacunkiem plemion. Był z moimi ludźmi nad rzeką.

- Więc ten kapłan jest zarazem agentem Rzymu? - zapytał Korbulon, któremu nie mogło się pomieścić w głowie, że tak cudacznie wyglądający człowiek działa na rzecz cesarstwa.

- Jest kapłanem, w Tracji może wędrować sobie, gdzie tylko zechce, nikt nie wyrządzi krzywdy ani jemu, ani jego towarzyszom. Kto by się lepiej nadawał do przenoszenia wiadomości... czy darów?

- Kto go wysłał? - zapytał Wespazjan.

- Rzym.

- Tak, ale kto w Rzymie?

- Czy to ważne? Rzymianie towarzyszący mu mieli cesarską pieczęć... dla mnie to wystarczający dowód władzy.

- Jak wyglądali ci Rzymianie? - dopytywał się Wespazjan.

- Trzej z nich nosili wspaniałe stroje wojskowe, bardzo ozdobne, czwarty był cywilem, postawnym mężczyzną z ciemniejszą karnacją i długimi czarnymi włosami i małą bródką. To on mówił.

Wespazjan i Magnus wymienili spojrzenia.

Poły wejścia do namiotu uchyliły się i weszło czterech niewolników, niosących bardzo ciężką skrzynię. Postawili ją i wyszli.

- Zobaczcie sami, przyjaciele. Zobaczcie, czym Rzym mi zapłacił za pozbawienie was życia.

Korbulon podszedł do skrzyni. Nie była zamknięta na klucz; otworzył ją i wciągnął powietrze. Wespazjan dołączył do niego i zajrzał do środka. Otworzył szeroko oczy. Wypełniono ją srebrnymi denarami, większą ich ilością, niż widział kiedykolwiek w życiu. Zanurzył w nich rękę i nabrał garść, pozwalając im opadać z brzękiem na stos. Na każdej monecie widniała głowa Tyberiusza; każda była tak świeża i czysta, jakby dopiero co opuściła mennicę.

Rozdział dwudziesty czwarty

Pięć dni jechali wzdłuż Hebrosu, na północny zachód, popędzając konie do granic wytrzymałości, zatrzymując się jedynie, by coś zjeść czy się przespać. Koronus dał im eskortę na przejazd przez swoje ziemie, zawróciła jednak natychmiast, kiedy dotarli do terytorium Odrysów. Choć Odrysowie nie występowali obecnie przeciwko Rzymowi, nie zapomnieli brutalnego stłumienia ich buntu przed czterema laty. Wespazjan i jego trzech towarzysze trzymali się z dala od osad, korzystając z prowiantu, w jaki zaopatrzyli ich Cenowie, i mętnej, ale nadającej się do picia wody z rzeki.

Towarzysze Wespazjana wypytywali go niezmordowanie o to, jak wszedł w posiadanie amuletu, który zapewnił im ochronę i przyjaźń plemienia Cenów, którego setki członków, w tym najmłodszego syna wodza, pozbawili życia własnymi rękoma. Wespazjan jednak nie mógł powiedzieć im już nic więcej, doprowadzając każdego z nich do snucia własnej teorii.

- Kwestia szczęścia - oświadczył Magnus - po prostu szczęśliwy traf.

- Wola bogów - stwierdził Korbulon. - To nam wyraźnie pokazuje, że każdemu człowiekowi szykują jakiś ostateczny los, ale zanim on się wypełni, lubią się nami pozabawiać.

- Cenis najpewniej ma zdolność przewidywania - doszedł do wniosku Faustus. - Wiedziała, kiedy będzie zagrazać ci niebezpieczeństwo, i dała ci ten amulet, żeby cię ocalił.

- I szczęśliwym trafem miała go przy sobie - stwierdził Magnus przekonany o słuszności swojej teorii.

Wespazjan uśmiechnął się w duchu. Każda z tych teorii była w jakimś stopniu słuszna, ale było jeszcze coś decydującego, i była to miłość. Można nazwać to wolą bogów, szczęśliwym trafem, zdolnością przewidywania, ale bez miłości, jaką do niego czuła, Cenis nigdy by mu nie dała tej jedynej pamiątki po matce.

Wespazjan miał jednak inne zmartwienia. Nie wątpił, że wypełniona denarami skrzynia pochodziła od Sejana, który na dodatek posłużył się cesarską pieczęcią. I że Azyniusz oraz Antonia mieli rację: Sejan dla własnych celów finansował rebelię. Zlikwidowanie maszerujących posiłków dla legionów pozwoliłoby mu udać się do senatu i w imieniu cesarza zażądać bardziej energicznych działań w Tracji, więcej legionów dla ukarania

Cenów, i bez wątpienia pozwoliloby mu odzyskać podstępem skrzynię z pieniędzmi. To z kolei, podburzyloby kolejne plemiona, zaostarzając problem. Mialby więcej czasu i okazji do przechwycenia purpury, podczas gdy armia zajęta byłaby gdzie indziej.

Młodzieniec wiedział, że Korbulon zamelduje Poppeuszowi o tej skrzyni pełnej denarów, skąd się wzięła i co opłacała. Ich rozmowa zostanie zapisana przez sekretarza, a potem skopiowana przez innych. Nie potrwa długo, nim wieści o tym odkryciu dotrą do uszu agenta Sejana, który niewątpliwie powiadomi o tym swojego pana, ostrzegając go o niebezpieczeństwie wykrycia intrygi. Agent zapewne się przyczai, dopóki nie otrzyma dalszych instrukcji, co może nastąpić dopiero za dwa lub trzy miesiące, a w tym czasie on, Wespazjan, nie będzie ani trochę bliżej odkrycia jego tożsamości.

Pewny, że Korbulon nie miał nic wspólnego z planem, który przecież mógł doprowadzić do jego własnej śmierci z rąk Cenów, pewnego wieczoru, kiedy Magnus i Faustus poili w rzece konie, postanowił choć częściowo mu się zwierzyć.

- Czy zastanawiałeś się, Korbulonie, kto mógł zapłacić za to, żebyśmy zginęli my i nasi żołnierze?

Korbulon, z kościstą twarzą oświetloną z jednej strony przez małe ognisko, które właśnie rozpalili, popatrzył na niego sponad swojego długiego wąskiego nosa.

- Zaprzęta to moje myśli dużo bardziej niż to, że miałeś ten amulet we właściwym miejscu i we właściwym czasie.

- I do jakiego wniosku doszedłeś?

Korbulon rozejrzał się, by sprawdzić, czy wciąż są sami.

- Nie mogę uwierzyć, że to cesarz, choć wysłannicy mieli cesarską pieczęć. Cóż miałby zyskać, wybijając dwie własne kohorty?

- Właśnie. Ale skoro to nie cesarz, to kto inny ma dostęp do cesarskiej pieczęci i do takiej ilości świeżo bitych pieniędzy?

Korbulon opuścił wzrok i pokręcił głową.

Wespazjan postanowił zmienić podejście.

- Co zamierzasz uczynić, kiedy już dotrzemy do Poppeusza?

- Oczywiście zamelduję o wszystkim, co widzieliśmy.

- Czy to jest w naszym interesie? Ostatecznie ten, kto zapłacił Cenom, by nas zabili, może być blisko Poppeusza i w ten sposób dowie się, że jego spisek został wykryty i, co istotniejsze, kto go wykrył.

Korbulon przyglądał się Wespazjanowi w świetle ogniska, jakby go na nowo oceniał.

- Masz rację - wycedził. - A ja cię uważałem za smarkatego trybuna najniższej rangi. Teraz widzę, że jest w tobie coś więcej, niż sądziłem, Wespazjanie. Zatem, skoro mamy uniknąć uwagi... - przerwał i spojrzał prosto w oczy Wespazjana - ...Sejana?...

Wespazjan skinął głową.

- ...Powiniennem złożyć Poppeuszowi meldunek w cztery oczy, bez żadnych protokołów i świadków - podsumował Korbulon.

- Uważam, Korbulonie, że twój pomysł jest słuszny.

Korbulon wciąż patrzył na Wespazjana. Miał dziwne uczucie, że ten pomysł wcale nie był jego.

Wróciwszy znad rzeki, Magnus przysiadł się do Wespazjana.

- Pogawędziłeś sobie z tym dupkiem, panie? - spytał szeptem.

- O co ci chodzi? A w ogóle to on wcale nie jest takim dupkiem. Tam, przy przeprawie, uratował życie wielu żołnierzom.

- Rozumiem. A chodzi mi o to, do czego przekonałeś tego wcale nie takiego dupka w sprawie tej skrzyni z denarami.

- Skąd wiedziałeś, że zamierzam z nim o tym rozmawiać?

- To chyba oczywiste, prawda? Im więcej ludzi się dowie, że o tym wiemy, tym gorzej dla nas. Mam nadzieję, że powiedziałeś mu, by zameldował rzecz dyskretnie, jeśli wiesz, co mam na myśli?

- Rzeczywiście, tak powiedziałem. Przekonałem go, by zameldował o tym Poppeuszowi w cztery oczy.

- Doskonała robota, panie. To był świetny pomysł.

Wespazjan usiłował dojrzeć w ciemności twarz Magnusa, zastanawiając się, czyj to właściwie był pomysł.

*

Wieczorem piątego dnia przybyli do otoczonego murem miasta Filippopolis, siedziby trackiego króla Remetalkesa i jego matki, królowej Tryfeny. Tutaj, od komendanta niewielkiego rzymskiego garnizonu, wielokrotnie odznaczanego starego centuriona, odbywającego ostatnie kilka miesięcy swojej wieloletniej służby, dowiedzieli się, że zwycięstwo Poppeusza było imponujące, ale nie decydujące i że jego obóz polowy odległy jest o jeszcze jeden dzień jazdy, i że Gallus przeprowadził tędy kolumnę rekrutów cztery dni wcześniej.

Postanowili spędzić noc w garnizonie i skorzystali z małej, ale doskonale funkcjonującej łaźni. Ostatni raz doświadczyli takiego luksusu w Filippi, przed czternastoma

dniami. Zanim udali się na przyzwoity nocny wypoczynek, komendant garnizonu zapewnił im solidny gorący posiłek i dostarczył niezgorszych kobiet, też pierwszych od czasu Filipi.

O świcie następnego ranka, znacznie odświeżeni na ciele i duchu, mieli właśnie wyruszyć z eskortą turmy iliryjskiej jazdy, pod dowództwem sympatycznego prefekta jazdy, młodego patrycjusza, Publiusza Juniusa Cezeniusza Petusa, kiedy przed stajniami pojawił się komendant garnizonu.

- Trybunie Wespazjanie, jest tutaj posłaniec z pałacu. Królowa Tryfena prosi, byś ją przed odjazdem odwiedził.

- Na cycki Minerwy - warknął Korbulon. - To może nas opóźnić o cały dzień. Prowadź, centurionie.

- Posłaniec nie pozostawił żadnych wątpliwości, panie. Tylko trybun.

Korbulon zmierzył Wespazjana gniewnym spojrzeniem.

- Czego ona może ode mnie chcieć? - spytał zaintrygowany Wespazjan.

- Lepiej uważaj, kolego - zachichotał Petus. - To zadziorne stworzenie i bardzo ładne.

Podobno lubi młodych byczków, takich jak ty. Powodzenia.

Wespazjan dostosował się do jego tonu.

- Załatwię to najszybciej jak się da - oświadczył.

- W takim razie nawet nie zauważymy twojej nieobecności.

Odprawiał go śmiech i sprośne żarciki z jurności, o której brak, po minionej nocy, nie miał powodów się martwić.

Posłaniec poprowadził go wąskimi ulicami starodawnego miasta, starszego od samego Rzymu, do królewskiego pałacu na szczycie największego z trzech wzgórz.

Wpuszczono ich bez zwłoki. Zaprowadzono Wespazjana do prywatnych apartamentów, a tam do niewielkiego pokoju na pierwszym piętrze, z oknem wychodzącym na wschód. Przez to jedyne okno wpadały promienie słoneczne wczesnego poranka, oświetlając złotym światłem zaskakująco skromne pomieszczenie. Ściany były tylko bielone, a podłoga z nawoskowanych desek. Pod oknem stało proste drewniane biurko, tak stare, jakby mogło rozlecieć się pod ciężarem choćby jednego zwoju. Dwa krzesła i stół pośrodku izby były nowsze od biurka.

Wespazjan podszedł do okna i spojrzął ku wschodzącemu słońcu.

- Taki sam widok oglądał Aleksander każdego ranka, kiedy się tutaj budził - usłyszał za sobą spokojny głos.

Odwrócił się i odszedł od okna. W drzwiach stała wysoka, szczupła trzydziestokilkuletnia kobieta, w niewyszukanej stoli w kolorze kości słoniowej, która

podkreślała, choć nie w sposób ostentacyjny, krzywiznę bioder i bujność piersi. Gęste, czarne włosy miała wysoko upięte. Z obu stron bladej twarzy, w której uwagę zwracały pomalowane czerwoną ochrą pełne usta, spływały na ramiona po trzy pukle. Przejrzyste błękitne oczy, delikatnie podkreślone sadzą, skrzyły się w łagodnym słonecznym świetle.

- Tu mieszkał, kiedy przybył, by zabrać mój lud na podbój wielkiego imperium perskiego. Wybrał ten pokój właśnie dlatego, że okno wychodzi na wschód. - Wdzięcznym krokiem podeszła do starego biurka i musnęła je dłonią. - Każdego ranka siedział tu, załatwiając korespondencję i spoglądając ku ziemiom, które miał podbić.

Wespazjan patrzył na prosty mebel z podziwem, odczuwając w tym pokoju bliskość historii. Kobieta przez krótką chwilę dzieliła z nim ten moment pełnego szacunku milczenia, po czym podeszła do krzesel.

- Nie sprowadziłam cię jednak tutaj, Wespazjanie, na lekcję historii. Jestem Tryfena, oficjalnie królowa tego kraju, w rzeczywistości zaś marionetka cesarza i senatu.

- Pani, jestem zaszczycony spotkaniem z tobą - powiedział Wespazjan, wdzięczny za tę lekcję historii, jakiej mu udzieliła.

- Dobrze, że przez mojego pradziadka, Marka Antoniusza, jestem przede wszystkim obywatelką Rzymu, w przeciwnym bowiem razie musiałabym kryć się w górach razem z buntownikami. - Usiadła i gestem pokazała, by zrobił to samo. - Moich ludzi zmuszono do tej rewolty. Kiedy przybył tu Aleksander, szukając żołnierzy, przywiózł ze sobą pieniądze na żołd i prosił wyłącznie o ochotników. Przeszło pięć tysięcy odpowiedziało na jego wezwanie. Większość z nich nie wróciła. Teraz, prawie trzysta lat później, mamy nowego pana: Rzym. Aż do ubiegłego roku Rzym zadowalał się tym, że nasi wojownicy służą w naszej armii, pod naszym dowództwem, utrzymując spokój w granicach królestwa. Potem nastąpiły dwie zmiany: najpierw z Mezji przybyli rzymscy dowódcy z żądaniem, by naszą armię przekształcić w kohorty pomocnicze, które mają służyć w Mezji. A potem nasi kapłani zaczęli podżegać plemiona do buntu przeciwko temu nowemu posunięciu, zachęcając wodzów pieniędzmi, rzymskimi denarami, których nagle jakby mieli w nadmiarze.

- Skąd pochodziły?

- Z tego, co mówią moi informatorzy, rozdawane były przez Rotekesa, przywódcę naszych kapłanów, ale od kogo on je dostawał, nie wiem, mogę jedynie zgadywać.

- Dlaczego miałby zachęcać waszych ludzi do walki, którą musieli przegrać?

- Trakowie to dumny, waleczny lud. Służyli innym narodom jedynie jako najemnicy, nigdy jako poborowi. Uznają bowiem to drugie za rodzaj niewolnictwa. Nie było trudno ich podburzyć. Łatwo wyjaśnić, dlaczego Rotekes to zrobił: nienawidzi mnie i mojego syna.

Nienawidzi monarchii, ponieważ to my władamy Tracją... zgoda, w imieniu Rzymu, ale jednak władamy. On uważa, że gdybyśmy zniknęli, władzę przejęliby kapłani, których podobnie jak nas, nie obowiązuje plemienna lojalność, a Rotekes jest naczelnym kapłanem.

- Jednak Rzym wciąż byłby władzą zwierzchnią.

- Oczywiście, że tak, i właśnie tego ten idiota nie rozumie... tylko mój syn i ja zapewniamy Tracji autonomię, zapobiegamy jej przyłączeniu do Rzymu.

- Zatem gdyby bunt się powiódł, Rzym zaanektowałby Trację i jej ludność podlegałaby automatycznie poborowi, jeśli natomiast się nie powiedzie, Rzym i tak zyska prawo poboru. W obu wypadkach przez jakiś czas legiony będą tutaj miały pełne ręce roboty, pacyfikując kraj.

- Właśnie, a Rotekes przez swoją żądzę władzy i niezdolność rozumienia polityki mimowolnie szykuje katastrofę. Sejan dobrze to rozegrał.

- Jesteś, pani, pewna, że to on za tym stoi?

- Antonia jest moją krewną i przyjaciółką, prowadzimy regularną korespondencję, wiem zatem o jej lęku przed Sejanem. Powiedziała mi, co według niej on może zyskać, destabilizując Trację. W ostatnim liście poprosiła, bym cię odnalazła, kiedy będziesz udawał się do obozu Poppeusza, i bym ci w miarę możliwości udzieliła potrzebnej pomocy.

- Antonia jest wielce życzliwa, pani.

- Rzeczywiście... dla przyjaciół. - Tryfena się uśmiechnęła. - Nie jestem w stanie pomóc ci bardziej konkretnie, ale mogę ci ostrzec: trzy dni temu przejechało tędy czterech mężczyzn. Zatrzymali się tylko, by zmienić konie. Mieli ze sobą papiery z cesarską pieczęcią. Byli to pretorianie... w każdym razie trzech z nich. Czwarty nie mógł być pretorianinem, bo miał za długie włosy.

Wespazjan skinął głową.

- A czy miał też niewielką bródkę i bardzo ciemną karnację?

- Chyba tak. Znasz go?

- Spotkaliśmy się raz, krótko. Nie było to przyjacielskie spotkanie. Ma na imię Hazdro. Gdyby tędy wracał, to Antonia będzie ci wdzięczna, jeśli każesz go zabić. Umieścił w jej domu szpiega.

- Zobaczę, co się da zrobić - odparła, widząc go nagle w innym świetle. Miała podziw dla mężczyzny, który potrafił, mając poważny powód, bez skrupułów kazać kogoś zabić.

Wstała i klasnęła w dłonie. Weszła niewolnica z małym zwojem, który podała swojej pani.

- Jej list zawierał również to. - Tryfena podała mu zwój. - Zostawię cię samego, byś to przeczytał. Kiedy skończysz, ktoś cię stąd wyprowadzi. Niech bogowie ci sprzyjają, Wespazjanie.

- I tobie, pani.

Wyszła z pokoju, pozostawiając Wespazjana samego z listem, pierwszym, jaki kiedykolwiek w życiu otrzymał. Serce tłukło mu się w piersi jak szalone, kiedy łamał pieczęć; szybko poszukał podpisu: Cenis.

*

Niedługo potem opuścił pałac, czując się lekko, jakby nie miał najmniejszych zmartwień. Słowa Cenis były wszystkim tym, a nawet czymś więcej, niż sobie wymarzył w odpowiedzi na swoje wymaginowane listy, układane w głowie podczas długiej podróży na wozie, kiedy Cenowie wzięli ich do niewoli.

Po powrocie towarzysze niewłaściwie odczytali wyraz jego twarzy.

- Wygląda na to, że waszemu przyjacielowi udało się spotkanie z królową Tryfeną. - Petus się roześmiał. - Sądząc po jego minie, była tam też obecna Wenus.

Wespazjan wzruszył ramionami, nie odezwał się ani słowem, tylko dosiadł konia.

Kiedy wyjechali z bram miasta, Magnus zrównał się z nim.

- I co? - zapytał.

- Hazdro przejeżdżał tędy trzy dni temu, z trzema pretorianami.

- To dlatego masz taką wniebowziętą minę. Raz ścisnąłeś mu jaja i już na zawsze jesteś jego.

- Bardzo zabawne.

- Też tak myślałem. Więc królowa była urodziwa, co?

- Owszem, była, i miała też dla mnie list od Cenis.

- Aha, to wszystko tłumaczy. - Magnus uśmiechnął się do przyjaciela.

Wespazjan nie był w nastroju do rozmów i ruszył z kopyta.

*

Ranek był bezchmurny i zimny; od północy, znad pokrytych śniegiem szczytów gór Hajmos, dmuchał wiatr, zmuszając ich do owijania się szczelnie płaszczami. Z nozdrzy wierzchowców wydobywały się kłęby pary, kiedy wjeżdżali coraz wyżej, raz stępa, raz galopem. Przed sobą mieli północny kraniec Rodopów, gdzie Poppeusz trzymał buntowników w potrzasku.

- Szykuje się kolejna bitwa, Petusie? - spytał Wespazjan.

Prefekt jazdy uśmiechnął się, oczy rozbłysły mu w blasku coraz intensywniejszego światła słonecznego.

- Poppeusz już od miesiąca próbuje wyciągnąć ich na zewnątrz, ale bez skutku. Nasi szpiedzy donoszą, że buntownicy są podzieleni na trzy faksje. Jedni chcą zdać się na naszą łaskę, do czego może dojść albo i nie. Inni chcą wypaść z twierdzy, zabiwszy najpierw swoje kobiety oraz dzieci, i zginąć w walce, wykończywszy tyłu z nas, ilu zdążą. I jest wreszcie całkowicie fanatyczna grupa, której członkowie chcą pozabijać kobiety i dzieci, a potem popełnić zbiorowe samobójstwo. - Roześmiał się; inni mu zawtórowali. - Mówiąc już całkiem poważnie, Poppeusz stara się nie dopuścić do tego ostatniego rozwiązania. Pojawienie się zbyt wielu fanatycznych męczenników nie jest rzeczą dobrą. Prowadzi więc tajne negocjacje z niejakim Dinasem, przywódcą pierwszej grupy, namawiając go, żeby przemówił do rozumu pozostałym. Problem w tym, że nie możemy im tak po prostu okazać łaski, byłby to bowiem niedobry sygnał dla innych. Paru trzeba będzie ukrzyżować, obciąć ręce czy wylupić oczy, w przeciwnym razie bunt podnosiliby wszyscy pod byle pretekstem, myśląc sobie, że jak przegrają, to wrócą w jednym kawałku do swoich wiosek, a cnota ich żon pozostanie nietknięta. Będą żyć spokojnie, aż trafi się kolejna okazja do rebelii.

- Rzeczywiście - zgodził się z jego wywodem Korbulon. - To trudna sytuacja. W jaki sposób wywiera na nich nacisk? Czy zbudował umocnienia oblężnicze?

- Zrobił wszystko, co mógł. Mamy tam ponad cztery mile rowów i wałów, ale twierdza jest zbyt wysoko i nie można jej całkowicie otoczyć. Wysyłamy więc patrole i próbujemy zatrzymać dostawy, nocą jednak udaje im się prześlizgnąć do środka. Jedynie wody mają za mało, na górze jest tylko jedno źródło. Mimo to mogą tam tkwić całymi miesiącami, a im dłużej to trwa, tym większa jest szansa, że dołączą do nich inne plemiona, i pewnego dnia może się okazać, że to my jesteśmy otoczeni.

- A wzięcie ich szturmem? - spytał Wespazjan.

Petus wybuchnął śmiechem; Wespazjan się zaczerwienił.

- Wybacz, drogi kolego. - Petus zdołał opanować wesołość i pojednawczo dotknął ramienia Wespazjana. - Właśnie tego by ci dranie chcieli. Całą zimę wzmacniali mury, kopali rowy i szykowali pułapki, okropne doły z ostrymi palami. Sam o mało nie wpadłem do takiego, kiedy ostatni raz wybrałem się tam na zwiad. Nie, to miejsce jest prawie nie do zdobycia, stracilibyśmy cztery kohorty, żeby dostać się do bramy, a dwie więcej, żeby się przez nią przedrzeć. A od tyłu wyrastają pionowe skały. Nawet gdyby udało się z nich spuścić, to pozostałoby tak niewielu żołnierzy, że po dotarciu na dół zostaliby zmasakrowani.

- Musimy ich więc tam trzymać i mieć nadzieję, że albo nabiorą rozumu i wyjdą, żeby się poddać czy walczyć, albo zaczną bić się pomiędzy sobą i odwalą za nas całą robotę.

- Przynajmniej się nie spóźniliśmy. - W głosie Korbulona słychać było ulgę; przez całą drogę z Italii dręczyła go myśl, że walka się zacznie, zanim dotrze na miejsce.

- Nie, nie spóźniliście się, trudno jednak odgadnąć, na co konkretnie zdążyliście.

Jechali jakiś czas w milczeniu, pokonując milę za milą, wspinając się coraz wyżej. W południe zrobili sobie krótką przerwę. Posilali się chlebem i wędzoną szynką, a konie pasły się na mizernej trawie. Kiedy znowu ruszyli w drogę, natknęli się na jakieś trzydzieści czy czterdzieści dużych wypalonych kręgów na ziemi.

- Tutaj ich pobiliśmy - oświadczył z dumą Petus. - To ślady po ich stosach pogrzebowych. Zabiliśmy ponad połowę drani, tracąc nie więcej niż sześciuset naszych chłopców. Tamtych musiało być na początku ze trzydzieści tysięcy, a wszyscy wrzeszczeli i wyli, i pokazywali tyłki, i każdy wymachiwał tym długim, paskudnym ostrzem.

- *Rhomphaia* - zupełnie zbędnie wyjaśnił Korbulon.

- Właśnie. Okropna broń. Jednym takim ostrzem obcięto mojemu wierzchowcowi nogi. Mnie spotkałby taki sam los, gdyby nieszczęsne zwierzę nie zważyło się na dzikusa i nie przycisnęło go do ziemi. Zdążyłem się zerwać i przebić drania. Byłem wściekły... ten koń był niczym dar bogów. - Petus poklepał szyję swojego obecnego wierzchowca, jakby chciał pokazać, że nie chce w żadnym razie go urazić.

Kawałek dalej Wespazjan zobaczył pozostałości niedawnych zmagania bitewnych: wystrzelone strzały, odrzucone hełmy, połamane miecze, oszczepy i tarcze. Tu i ówdzie leżały niespalone zwłoki, niemal do kości odarte z ciała przez wilki i sępy; strzępy gnijących łachmanów przyłgnęły do poszarpanych kończyn. W oddali, po obu stronach pola bitwy, sterczały niezliczone ciemne kopce jak wielkie kretowiska. Petus zauważył jego spojrzenie.

- Konie - powiedział. - Jesteśmy mniej więcej pośrodku naszej linii, na obu flankach jazda toczyła zacięte boje. Wzięliśmy za mało jeńców, by mogli spalić wszystkie martwe konie, więc je po prostu zostawiliśmy. Gdzieś tam jest i mój, biedaczysko... prawdziwy dar bogów. - Pokręcił ze smutkiem głową i ponownie poklepał po szyi swojego wierzchowca.

Minęli pole bitwy i dotarli do opuszczonego obozu.

- To był nasz pierwszy obóz. Kiedy przenieśliśmy się na obecną pozycję, przekazaliśmy go królowi Remetalkesowi dla jego armii lojalnych Traków. Choć, mówiąc szczerze, należało rozpuścić ich do domów, bo nie zajmowali się niczym innym jak łupiestwem i pijaństwem. Byli zupełnie bezużyteczni.

- Byli? - spytał Korbulon.

- Buntownicy widzieli w nich większych wrogów niż w nas. Kilka nocy po bitwie napadli na jeden z naszych pomocniczych obozów. Rzuciliśmy się wszyscy, żeby odeprzeć ich atak, nie wiedząc, że chodziło im tylko o odwrócenie naszej uwagi. Główne ich siły okrążyły nas z daleka i runęły na lojalnych Traków, którzy oczywiście byli zbyt pijani tym swoim obrzydliwym wínkiem, by cokolwiek zrobić. Doszło do masakry. Wyrżnięto prawie wszystkich, przeszło dziesięć tysięcy ludzi, razem z rodzinami, jeńców nie brano. A przecież to i tak nie wpłynie na wynik wojny. Remetalkes jadł w tym czasie kolację z naszym dowódcą, więc ocalał, chociaż to właśnie on był ich głównym celem. Wciąż snuje się po naszym obozie, zbyt przestraszony, by go opuścić i wrócić do Filippopolis. No bo wyobraźcie sobie, jak go powita własna matka po tym, jak stracił całą armię.

*

Dotarli do obozu Poppeusza na godzinę przed zmierzchem. Wybudowano go na ostatnim płaskim kawałku pogórza Rodopów. Wespazjan się zdumiał. Obóz był ogromny, kwadrat o boku mili, otoczony głębokim na sześć stóp rowem i wysokimi na dziesięć stóp fortyfikacjami z ziemi i drewna. Co sto kroków stały wysokie na trzydzieści stóp drewniane wieże, mieszczące balisty zdolne miotać strzały i kamienie na ćwierć mili. Skoszarowano tu IV legion *Scythica* i V *Macedonica* oraz pięć jednostek jazdy pomocniczej, trzy kohorty pomocnicze piechoty, dziesięć mniejszych jednostek lekkich łuczników, procarzy i oszczepników oraz niewolników do obsługi ich wszystkich. Dwieście kroków przed obozem ciągnęła się długa na cztery mile linia obronna, utworzona z wału i rowu, mająca odgradzać nieprzyjaciela. Oddalała się łukiem i szła pod górę do miejsca, gdzie miękka ziemia przechodziła w granitowe, pionowe skały, nie pozwalając poprowadzić jej wyżej. Ten pas umocnień również wyposażono w wieże. Sto kroków od każdego z obu boków głównego obozu zbudowano po jednym mniejszym obozie, mniej więcej takim jak ten, który kolumna Wespazjana postawiła w noc poprzedzającą bitwę nad rzeką.

- Po co są tamte dwa? - spytał Wespazjan.

- Nie czytałeś Cezara, drogi kolego? Buduj mniejsze obozy w zasięgu pocisków z głównego, a nieprzyjaciel nie będzie cię mógł otoczyć, nie wystawiając się na zagrożenie od tyłu. Ci tutaj nie mają dość ludzi, by nas otoczyć, nie ma ich tam, na górze, więcej jak dwanaście, trzynaście tysięcy.

Uniósł rękę; wszyscy podnieśli wzrok. Jakieś trzysta stóp wyżej Wespazjan zobaczył twierdzę Traków otoczoną morzem namiotów. Z daleka wyglądała na niewielką, ale domyślił się, że musi być ogromna, skoro pomieściła tych wszystkich mężczyzn razem z ich kobietami i dziećmi.

- To twardy orzech do zgryzienia - oświadczył zamyślony Magnus. - Rozumiem, dlaczego dowódca woli siedzieć tutaj i czekać, aż tamci zejdą.

- Ale jak długo jeszcze? - spytał Korbulon. - Jeśli plemiona za naszymi plecami powstaną, może pojawi się dość wojowników, by otoczyć wszystkie trzy obozy. A najbliższe legiony stacjonują setki mil stąd, w Ilirii. Byłaby to paskudna sytuacja.

- No właśnie - zgodził się Petus. - Bardzo nieprzyjemna.

Wjechali do obozu przez porta Praetoria. Petus odpowiedział na oddane mu przez centuriona honory wojskowe wesołym machnięciem ręki.

- Dobry wieczór, Aulusie. Trybun Flawiusz Wespazjan i jego wyzwoleniec Magnus, trybun Korbulon i centurion Faustus, którego, jak sądzę, znasz.

Aulus otworzył szeroko oczy.

- Faustusie, ty stary psie, już uznaliśmy cię za martwego. Słyszeliśmy, że dostałeś się w łapy Traków. Prawdę mówiąc, wyciągnęliśmy już twój fundusz pogrzebowy i zrobiliśmy dodatkowo zrzutkę dla twojej rodziny w Ostii. Trzeba będzie odzyskać tę forszę.

- Przyda mi się lista tych, którzy dali i ile dali, bo przynajmniej się dowiem, kto tak naprawdę jest moim przyjacielem. - Faustus się roześmiał.

- Zrobię ci ją od ręki. Jedna chwila, jest dość krótka.

- Amator owiec!

- Dziwka żeglarzy!

- To bardzo miłe tak sobie tu stać i wymieniać uprzejmości ze starymi przyjaciółmi - wtrącił się Petus - ale jednak musimy zameldować się u dowódcy. Gdzie go znajdziemy?

- W pretorium, prefekcie. Cieszę się, że cię widzę, Faustusie.

Kiedy się oddalali, Wespazjan zauważył, że nie licząc zdawkowego wojskowego pozdrowienia, Aulus nie zrobił nic, by wyrazić radość z powrotu Korbulona.

W obozie panował nieopisany ruch i zgiełk; przebywały tam przecież tysiące mężczyzn. Na przestrzeni stu kroków pomiędzy bramą a pierwszymi z jakichś dwóch tysięcy namiotów musztrowano centurie, przy akompaniamencie okrzyków i wrzasków centurionów i ich zastępców. Brygady robocze zakopywały stare latryny i kopały nowe. Oficerowie zbierali i instruowali nocne patrole lekkiej piechoty. Jeźdźcy z turm, które właśnie zakończyły patrole dzienne, zsiadali z koni, a niewolnicy zabierali je do oporządzenia.

Wespazjan chłonął to wszystko, starając się robić wrażenie nonszalanckiego. Jechali główną ulicą obozu, via Praetoria, mijając niekończące się rzędy ośmioosobowych namiotów. Po prawej stronie kwaterował IV *Scythica*, a po lewej V *Macedonica*. Przed każdym z tych skórzanych namiotów niewolnicy zajęci byli rozpalaniem ognisk, by przygotować wieczorny

posiłek. Legioniści mający już wolny wieczór siedzieli w grupkach, czyszcząc broń, broni czy inny sprzęt lub grając w kości. Zewsząd dochodziły głosy spierających się bądź dowcipkujących ludzi; od czasu do czasu wszczynano bójki, bardzo szybko ucinane przez zastępców centurionów. Wespazjan zobaczył co najmniej dwóch delikwentów prowadzonych ze związanymi z tyłu rękoma, przy akompaniamencie szyderstw innych żołnierzy.

Zbliżali się do centrum obozu i w tej części, należącej do oficerów sztabowych i trybunów, namioty były większe. Na skrzyżowaniu via Praetoria i via Principalis, w samym środku obozu, stało pretorium, kwadratowy namiot z czerwonej skóry o boku pięćdziesięciu stóp, wysoki na piętnaście, z czarnymi i złotymi ozdobami, w którym mieściła się kwatery główna Poppeusza.

Petus odprawił swoją turmę, po czym zsiadł z konia i podszedł do dwóch legionistów strzegących wejścia. Wespazjan i jego towarzysze szli za nim. Wartownicy oddali im honory wojskowe.

- Prefekt jazdy Petus, trybuni Korbulon i Wespazjan oraz centurion Faustus proszą o przyjęcie przez dowódcę - powiedział Petus.

Jeden z wartowników wszedł do środka, by ich zaanonsować.

- Z czego wynika, że ty nie jesteś zaproszony - szepnął Wespazjan do Magnusa.

- To mi odpowiada, panie, nigdy nie przepadałem za wysokimi dowódcami. Dopilnuję, by umieszczono konie w stajni.

Wkrótce powrócił wartownik z jakimś dobrze ubranym niewolnikiem.

- Jestem Kratos, sekretarz dowódcy. Legat przyjmie was bezzwłocznie. Proszę za mną.

Wprowadził ich do krótkiego korytarza z pokrytymi skórą ścianami, po czym skręcił w drzwi po lewej stronie i wszedł do małego przedpokoju z marmurową posadzką, oświetlonego tuzinem lampek oliwnych. Pod ścianami stało kilka krzeseł.

- Proszę spocząć.

Kratos zaklaskał dwukrotnie, ostro, i pojawiło się czterech niewolników o znacznie niższej randze, a każdy z nich niósł miskę z ciepłą wodą i ręcznik, by przybysze mogli odświeżyć ręce i twarze. Potem zjawiono się dwóch kolejnych niewolników z kielichami, winem i wodą.

- To nie potrwa długo - powiedział Kratos, uklonił się i wyszedł.

Wespazjan popijał wino i wpatrywał się w marmurową posadzkę, opierając się chęci sprawdzenia, czy jest prawdziwa.

- Całe pretorium ma marmurowe podłogi - oświadczył Korbulon. - Poppeusz ceni sobie wygodę. Rozkłada się posadzkę na kwadraty o boku pięciu stóp i umieszcza w drewnianych ramach. Do ich przewożenia trzeba pięciu zaprzęgniętych w woły wozów, jednak on się nie może bez nich obyć. Byłoby poniżej jego godności zajmować się ważnymi sprawami na skórkach czy dywanach.

- To przecież musi kosztować fortunę - zauważył Wespazjan.

- Och, tym bym się nie przejmował. Legat jest nieprzyzwoicie bogaty. Choć to dość świeże bogactwo - oświadczył pogodnie Petus. - Kopalnie srebra w Hiszpanii. Gość nie ma powodów do zmartwień.

Kratos zjawił się ponownie, kiedy wypili mniej więcej połowę wina. Wyprowadził ich z powrotem na korytarz i na jego końcu weszli w kolejne drzwi. Znaleźli się w głównym pomieszczeniu namiotu, tymczasem odnieśli wrażenie, jakby weszli do pałacu oświetlonego mnóstwem lampek oliwnych. Dach wspierał się na marmurowych kolumnach o pięknie wykończonych podstawach. Ściany zdobiły wytworne tkaniny i umieszczone na drewnianych tablicach freski. Luksusowe meble, pochodzące ze wszystkich stron cesarstwa i nie tylko, ustawiono tak, by tworzyły różnej wielkości enklawy do siedzenia, pozostawiając jednak wolny sam środek pokoju. W lewym rogu, pod przeciwległą ścianą, wokół niskiego stołu rozmieszczono trzy wielkie wygodne łoża, natomiast w prawym rogu ustawiono pod kątem solidne biurko z ciemnego drewna, które całe zarzucone było zwojami.

Kratos zostawił ich pośrodku pokoju, a sam usiadł dyskretnie za małym biurkiem, tuż po lewej stronie biurka swojego pana, i zaczął ostrzyć pióro.

Otworzyły się drzwi i do środka wkroczył Poppeusz Sabinus. Wespazjan zdołał jakoś powstrzymać okrzyk zdumienia, kiedy stawał na baczność z hełmem pod lewym ramieniem. Poppeusz miał zaledwie pięć stóp wzrostu. Choć z siwiejącymi skrońmi, ponadpięćdziesięcioletni, wyglądał jak dziecko w wojskowym stroju legata. Nic dziwnego, że tak bardzo dbał o widoczne znamiona swojej wysokiej pozycji.

- Witam, panowie, to prawdziwa niespodzianka. Co oczywiście nie dotyczy ciebie, Petusie, bo ty zaskoczysz mnie dopiero wtedy, kiedy przestaniesz być takim gadatliwym bęcwałem.

- Oczywiście, dowódco - powiedział prefekt i to była jego jedyna reakcja na zniewagę.

Wespazjan zastanawiał się, czy Kratos zanotował tę uwagę swojego pana.

Poppeusz usiadł za biurkiem i kazał im się zbliżyć.

Stanęli w jednym szeregu przed filigranowym dowódcą. Nie poprosił, by usiedli; skoro i tak zawsze musiał patrzeć w górę na ludzi, najwyraźniej wołał to robić, demonstrując władzę, usadowiwszy się za wielkim biurkiem.

- Złóż raport, prefekcie, byle krótko - rozkazał.

- Przeprowadziliśmy wczoraj patrol okolicy pomiędzy naszym obozem a Filippopolis, nie zobaczyliśmy nic szczególnego, powtórzyliśmy patrol dzisiaj, nie zobaczyliśmy nic szczególnego poza czterema rzekomo martwymi ludźmi, legacie! - Petus zdołał utrzymać się na cienkiej linii dzielącej wojskową zwięzłość od bezczelnej kpiny.

Poppeusz zmarszczył brwi. Było oczywiste, że nienawidzi tego przyjaznego młodego patrycjusza; równie jasne było, że Petusowi jest to obojętne. Wiedział, że skoro pochodzi ze starego patrycjuszowskiego rodu Juniuszów, człowiekowi nowemu, takiemu jak Poppeusz, trudno będzie go dotknąć.

- Doskonale, prefekcie - oświadczył Poppeusz, starając się zachować godność. - Jesteście wolni.

- Tak jest! Dziękuję! - zagrzemiał Petus swoim najbardziej centurionowym głosem, zrobił w tył zwrot i elegancko odmaszerował.

Poppeusz skrzywił się, ale szybko się opanował i przeniósł powoli wzrok z Korbulona na Faustusa, aż wreszcie utkwiał swoje bystre, czarne oczy w Wespazjanie.

- Słucham, trybunie. Meldujcie.

- Legacie, *tribunus augusticlavius* Tytus Flawiusz Wespazjan zgłasza się na służbę w Czwartym legionie *Scythica*.

- Aha, młody protegowany Marka Azyniusza Agryppy. Napisał list do legata Pomponiusza Labeona, usilnie rekomendując twoją osobę. Jak sądzisz, dlaczego tak bardzo mu zależało, by Pomponiusz przyjął cię do siebie?

- Pragnąłem uzyskać przydział, który pozwoli mi uczestniczyć w walkach, a nie tylko pełnić służbę na pograniczu.

- Zawzięty wilczek, co? Ze wsi, sądząc po akcencie. Cóż, będziesz miał okazję zobaczyć tu trochę akcji, ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego Azyniusz ci pomógł? Kim jesteś dla niego?

- Mój wuj, Gajusz Wespazjusz Polio, jest jego klientem - skłamał Wespazjan; mógł to być dość przekonujący powód, dla którego Azyniusz wspomagałby jego karierę.

Poppeusz wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym, najwyraźniej usatysfakcjonowany odpowiedzią, skinął głową.

- No cóż, miło mi cię tu widzieć, trybunie. Zameldujesz się potem u Pomponiusza Labeona, w kwaterze głównej Czwartego. Pomponiusz wyznaczy ci obowiązki, których zresztą nie będzie wiele. Nie zapominaj, że jesteś tutaj, żeby się uczyć.

- Tak jest, legacie.

Poppeusz przeniósł swoją uwagę na Faustusa.

- No cóż, centurionie, bardzo się cieszę, że cię widzę, i jestem przekonany, że zarówno sam Pomponiusz, jak i żołnierze, i dowódcy Czwartego ucieszą się z odzyskania swojego najwyższego rangą centuriona, oczywiście poza pełniącym obecnie jego obowiązki.

- Dziękuję, legacie.

Poppeusz zwrócił się do Korbulona.

- Trybunie, nurtuje mnie pytanie, jak udało wam się ująć z życiem. Trybun Gallus był przekonany, że wzięto was do niewoli. Proszę o raport.

Korbulon zaczął od momentu, kiedy opuścił kwaterę główną Poppeusza w Mezji i ruszył do Genui przed sześcioma miesiącami. Zrobił to najkrócej, jak się dało, podając jedynie najbardziej istotne szczegóły. Napomknął jednakże o spóźnieniu Wespazjana, co spowodowało, że Poppeusz uniósł brwi i popatrzył przenikliwie na młodzieńca. Pochwalił Wespazjana za jego walkę nad rzeką i opowiedział szczegółowo, w jaki sposób amulet Cenis ocalił im życie, choć pominął to, że Cenis jest niewolnicą Antonii. Nie wspomniał o pełnej denarów skrzyni.

Po niemal półgodzinie zamilkł.

Poppeusz dłuższą chwilę siedział zamyślony, po czym, ku zaskoczeniu Wespazjana, odprawił ich, nie zadając nawet jednego pytania dotyczącego buntu Cenów. Kiedy się odwracali do wyjścia, odezwał się Korbulon.

- Dowódco, proszę o rozmowę na osobności. W cztery oczy. - Rzucił spojrzenie w stronę Kratosa.

- Rozumiem - powiedział powoli Poppeusz. - To bardzo nieprzepisowe, trybunie.

- To, co mam do powiedzenia, przeznaczone jest wyłącznie dla twoich uszu.

- Dobrze. Dziękuję, Kratosie.

Kratos odłożył pióro i wyprowadził Wespazjana i Faustusa.

Było już ciemno, kiedy wyszli z namiotu. Magnusa nie było nigdzie widać.

- Lepiej zameldujmy się u Pomponiusza, trybunie - przypomniał mu Faustus. - Tędy dojdziemy do kwatery głównej Czwartego.

Godzinę później, po długim oczekiwaniu i krótkim spotkaniu z mocno podpitym i zupełnie niczym niezainteresowanym Pomponiuszem, Faustus zostawił Wespazjana przy

kwaterach dla trybunów. Był tam już Magnus, zdążył zająć namiot, a teraz przyrządzał wieczorny posiłek.

- Udało mi się dorwać trochę świeżej wieprzowiny, nieco soczewicy, cebuli i jeszcze to.

Rzucił Wespazjanowi bukłak z winem. Młodzieniec usiadł przy ognisku i z zadowoleniem nalał sobie kubek.

- Jak tam legat? - spytał Magnus, wrzucając pokrojoną w kostkę wieprzowinę do rondla z gorącą oliwą i mieszając, kiedy zaczęła skwierczeć.

- Wysłuchał raportu Korbulona i kazał nam odejść. W ogóle nie interesował go bunt Cenów.

- Może dowiedział się tego, co mu potrzebne, od Gallusa.

- Tak, możliwe, ale ja na jego miejscu chciałbym poznać jak najwięcej szczegółów.

- Ale to nie byłeś ty, a legat ma problem tutaj, na miejscu, a nie z Cenami... ci są daleko stąd.

Zanim Wespazjan zdążył mu odpowiedzieć, pojawił się Korbulon.

- Muszę z tobą porozmawiać, Wespazjanie - oświadczył.

- Siadaj, proszę, i napij się wina.

- Na osobności.

- Magnus jest w porządku, wie wszystko o naszych sprawach.

Korbulon spojrział na byłego pięściarza i przypomniawszy sobie, jak obszedł się z trackimi strażnikami, zdołał pokonać swoje arystokratyczne uprzedzenia. Usiadł na stołku i wziął podany przez Wespazjana kubek.

- Powiedziałem Poppeuszowi o trackich denarach i o tym, skąd je mieli - rzekł cicho, jakby ktoś mógł ich podsłuchać w tej monotonnej wrzawie panującej, kiedy dwadzieścia tysięcy ludzi spożywa wieczorny posiłek. - Powiedziałem, że tylko ja je widziałem, że was nie było w namiocie i nic nie wiecie.

- To zapewne dobre posunięcie, trybunie - oświadczył Magnus, wrzucając do rondla cebulę.

Korbulon spojrział na niego spode łba, nieprzyzwyczajony, by ktoś o tak niskiej pozycji wdawał się z nim w rozmowę.

- Cóż, owszem, sądziłem, że tak będzie najlepiej. Poppeusz dopytywał się, czy na pewno tak było, ale myślę, że mi wierzy, bo nalegałem na rozmowę bez świadków, a poza tym, dlaczego miałbym kłamać?

- W takim razie, dlaczego skłamałeś? - zainteresował się Wespazjan.

- Waśnie zacząłem mówić Poppeuszowi o skrzyni, kiedy z tyłu, z sypialnej części namiotu, wyszedł jakiś niewolnik. Poppeusz kazał mu się wynosić, a on wybiegł głównym wejściem. Wtedy dostrzegłem za drzwiami Kratosa i jakiegoś innego człowieka. Podśluchiwali. Tego drugiego znalazłem z Rzymu. A potem przypomniałem sobie, jak Koronus opisywał tego czwartego Rzymianina, tego, który przywiózł skrzynię... potężnie zbudowany, ciemna karnacja, długie czarne włosy i mała bródka. To musiał być ten sam człowiek... wyzwolenc Sejana, Hazdro.

Wespazjan rzucił Magnusowi ostrzegawcze spojrzenie; mężczyzna nieznacznie skinął głową i zaczął dolewać wody do garnka.

- Mów dalej - zachęcił trybuna Wespazjan.

- No cóż, jeśli to wyzwolenc Sejana dostarczył pieniądze Cenom, żeby zapłacić im za zlikwidowanie posiłków dla Poppeusza, to dlaczego jest teraz tutaj? I dlaczego Kratos pozwala mu słuchać poufnej rozmowy?

- Sądzisz zatem, że Kratos jest w zмовie z Hazdronem? - spytał zaintrygowany Wespazjan.

- Jest taka możliwość. Hazdro wygląda na człowieka mającego dostęp do takich pieniędzy, które kupią mu lojalność każdego niewolnika. Jeśli tak jest, to Poppeuszowi i mnie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo z powodu tego, co wiemy. Doszedłem więc do wniosku, że najlepiej ochronię siebie i was, skoro już wiem, że Kratos i Hazdro podsłuchują, jeśli nie powiem nic o powiązaniu tej sprawy z Sejanem i o tym, że wiem, kto dostarczył pieniądze Cenom, i zataję, że ktoś oprócz mnie je widział. - Korbulon opróżnił kubek.

- Mądrze pomyślane, Korbulonie - powiedział Wespazjan, podając mu bukłak.

- Co powiedział Poppeusz w związku z tą skrzynią? - spytał Magnus, dodając soczewicę i lubczyk do bulgoczącej potrawy.

Korbulon popijał wino i zastanawiał się przez chwilę.

- Kazał mi przysiąc, że nikomu nie powiem. Bardzo mu zależy, by utrzymać to w tajemnicy, podczas gdy on będzie prowadził własne śledztwo, które nie zaprowadzi go zresztą daleko, jeśli jest w to wpłątany Kratos. - Pociągnął z kubka i pokręcił głową. - Grecki drań - wybuchnął. - Jestem pewien, że jest związany z Hazdronem i Sejanem i postara się zakamufłować próbę zabicia nas wszystkich.

Rozdział dwudziesty piąty

Poranna odprawa u Pomponiusza, dla oficerów IV legionu *Scythica*, pasowała do nazwy, mianowicie, dowódca bardzo szybko ich odprawił. Wespazjana wyznaczono do towarzyszenia Petusowi na patrolu poza linią umocnień obronnych.

- Jestem zaskoczony, że w ogóle o tobie pamiętał - zachichotał Petus, kiedy przejeżdżali przez porta Principalis na czele dwóch turm należących do iliryjskich oddziałów pomocniczych. - Zeszłego wieczoru musiałeś zrobić niezłe wrażenie na tym pijanym głupcu.

- Ledwie na mnie spojrział - odparł Wespazjan. Było mu to obojętne i teraz z przyjemnością zostawiał za sobą obozowy harmider i zapach.

Przejechali kilkaset kroków od obozu do głównej bramy długiego na cztery mile obwałowania. Petus swoim zwyczajem pomachał wesoło do centuriona straży i podał hasło. Brama się otworzyła i wyjechali.

- Nie wiem, czego oczekuje tu od nas Pomponiusz - powiedział, zwalniając trochę. Jechał teraz stępą, kiedy podłoże stało się bardziej nierówne. - To nie jest teren dla jeźdźców: za stromo i za dużo skał. Ale ludzie będą mieli zajęcie, a konie trochę ruchu. Podjedźmy bliżej do fortecy Traków. Naprawdę robi wrażenie, warto rzucić okiem.

Wspinali się dobrą godzinę i budowla stawała się coraz większa, aż wreszcie można już było dostrzec jej szczegóły. Ciemnobrązowe ściany, które z daleka Wespazjan uznał za drewniane, w rzeczywistości były murami z kamienia, uzyskanego z góry, na której twierdza stała. Zrobiło to wielkie wrażenie na Wespazjanie.

- Lizymach, jeden z dowódców Aleksandra, zdobył Trację i w chaosie, jaki zapanował po śmierci Macedończyka, został jej królem - wyjaśniał mu Petus. - Wybudował tę warownię przed trzema wiekami, by strzegła północnych granic przed napadami jeszcze dzikszych trackich plemion z drugiej strony gór Hajmos. Wdzierali się przełęczą Succii, znajdującą się jakieś dziesięć mil na północ stąd, by plądrować dolinę Hebrosu. Jednakże twierdzy nie byli w stanie zdobyć, a nie mogli posuwać się dalej z obawy przed odcięciem od swoich.

- Dlaczego Lizymach po prostu nie opanował tej przełęczy i jej nie utrzymał? - spytał Wespazjan.

- Bo jest za wysoko i trudno zachować ciągłość dostaw do fortyfikacji usytuowanych w takim miejscu.

W twierdzy, odległej teraz o nieco ponad milę, zaczął się jakiś ruch. Otwarto wrota i na zewnątrz zaczęli wysypywać się ludzie.

- A to dopiero dziwne - zauważył Petus. - Gdyby szykowali się do ataku, wysłaliby przodem jazdę, a my, żeby się uratować, musielibyśmy zmykać za nasze umocnienia. Tymczasem widzę tylko piechotę.

Wespazjan przyjrzał się stale rosnącemu tłumowi.

- Chyba są między nimi kobiety i dzieci - powiedział.

- Masz rację. Wygląda na to, że się poddają. Poślę wiadomość do legata. - Prefekt odwrócił się i wydał szybko rozkaz po grecku; czterech jeźdźców odłączyło się od reszty i ruszyło w dół stoku.

W końcu zatrzaśnięto bramę. Co najmniej trzy tysiące ludzi szło teraz w ich stronę. Prowadziło ich dwóch mężczyzn na mułach. Wyższy z nich, sędziwy, z krótko przyciętymi siwymi włosami i długą siwą brodą, trzymał gałązkę oliwną, oznaczającą kapitulację. Drugiego mężczyznę Wespazjan natychmiast rozpoznał.

- A co, na Jowisza, ten tutaj robi?

- Nie ma co wzywać Jowisza. To Roteles, jeden z ich kapłanów. Znasz go?

- Oglądałem prowadzoną przez niego ceremonię. Składanie ofiar z Rzymian sprawia mu wielką przyjemność.

- Nie wątpię. To obrzydliwy typ. Pojawił się jakieś siedem dni temu i od tamtej pory Poppeusz wysyła go w tę i z powrotem, by negocjował z Trakami ich kapitulację. Wygląda na to, że przynajmniej częściowo mu się udało.

Starzec zatrzymał się dziesięć kroków od dwóch Rzymian i uniósł nad głowę gałązkę oliwną.

- Jestem Dinas, naczelnik plemienia Dejów! - zawołał, żeby słyszało go jak najwięcej jego ludzi. - Prowadzę wszystkich, którzy chcą zdać się na łaskę Rzymian.

- Witamy cię, Dinasie - odparł Petus, równie donośnym głosem. - Będziemy eskortować was do obozu.

*

Minęły dwie godziny, nim ta powolna kolumna, złożona z wojowników, kobiet, dzieci, starych i młodych, zdrowych i chorych, dotarła do bramy w umocnieniach. W tym czasie Poppeusz, powiadomiony o ich przybyciu, ustawił dziesięć kohort, po pięć z każdego legionu, na wolnej przestrzeni pomiędzy umocnieniami i obozem głównym.

Widok był imponujący i miał zarówno zastraszyć poddających się, jak i zniechęcić do próby ucieczki tych, którzy mieli takie plany.

Brama się otworzyła i Petus, z Wespazjanem u boku, poprowadził przez nią swoją jazdę i zatrzymał się przed Poppeuszem. Filigranowy legat siedział na białym jak śnieg wierzchowcu przed frontem żołnierzy. Ubrany był w stosowny dla jego rangi szykowny wojskowy strój. Miał wypolerowany, srebrny, misternie tłoczony kirys, długi, ciemnoczerwony wełniany płaszcz, starannie rozłożony na końskim zadzie, nagolenice z brązu i takież hełm, ze srebrnymi wstawkami na osłonach policzków i wysokim pióropuszem z farbowanych na czerwono strusich piór. Za nim, również na białym koniu i odpowiednio wystrojony, siedział zniewieściały dwudziestoletni młodzian. Na głowie miał złotą opaskę.

- Dowódcu, Dinas, naczelnik plemienia Dejów, jest gotów poddać się Rzymowi - zameldował Petus.

- Dziękuję, prefekcie. Zabierz swoich ludzi i ustaw ich w szyku na prawym skrzydle, żeby nie zawadzali.

Petus nie okazał najmniejszych oznak, że mogło go urazić tak szorstkie potraktowanie, zawrócił konia i odjechał na swoją pozycję.

Trakowie przekraczali powoli bramę, rozchodząc się w lewo i w prawo. Niektórzy, przerażeni pokazem rzymskiej siły, padli na kolana i błagali o litość; odważniejsi stali w ponurym milczeniu, oczekując swojego losu. Kiedy wszyscy już przeszli i zamknięto bramę, Dinas, w towarzystwie Rotekesa, podszedł do Poppeusza i wyciągnął do niego gałązkę oliwną. Poppeusz odmówił jej przyjęcia.

- Ludu Dejów! - zawołał głośnym, świdrującym głosem, niosącym się szeroko i daleko. Kapłan, głosem równie ostrym, tłumaczył jego słowa na język Traków. - Wasz przywódca jest gotów do kapitulacji. Nie mogę jej przyjąć w sposób bezwarunkowy. Zbuntowaliście się przeciwko królowi państwa sprzymierzonego z Rzymem, Remetalkesowi. - Gestem wskazał młodego człowieka za swoimi plecami. - Akt ten pociągnął za sobą śmierć wielu rzymskich i wielu lojalnych trackich żołnierzy. Nie może ujść bezkarnie.

Cichy jęk popłynął ze zgromadzonego tłumu Traków.

- Na mój rozkaz żołnierze mogliby zaatakować i odebrać życie wam wszystkim. Jednak Rzym jest miłosierny. Rzym nie żąda śmierci choćby jednego z was. Rzym żąda jedynie, byście sami poświęcili dwustu spośród siebie. Połowa z nich straci dłonie, a połowa oczy. Kiedy to się dokona, przyjmę gałązkę oliwną. Macie pół godziny na podjęcie decyzji, zanim wydam rozkaz do ataku.

Z tłumu rozległo się bolesne zawodzenie. Poppeusz odwrócił się do nich tyłem, by pokazać, że nic nie jest w stanie zmienić jego decyzji.

Dinas opuścił głowę i wrócił do swoich ludzi. Zaczął coś do nich mówić w ich własnym języku. Tymczasem legionieści, pod wodzą Aulusa, przynieśli pięć żelaznych koszy z rozpalonym ogniem i pięć pieńków, które ustawili na ziemi przed Trakami.

Popołudniowe światło powoli przygasało. Wespazjan obserwował to wszystko ze swojej pozycji na prawej flance. Około trzydziestu starców i o połowę mniej starych kobiet wystąpiło na ochotnika do przodu. Dinas szedł teraz przez tłum z opaską na oczach, losowo dotykając ludzi gałązką oliwną. Większość tych, których dotknął, spokojnie dołączała do grupy ochotników, niektórych jednak, wrzeszczących, siłą trzeba było wyciągać z tłumy. Oszczędzano jedynie dzieci. Ostatecznie dwie grupy ofiar stanęły przed koszami i pieńkami.

Dinas wyszedł z tłumy, by do nich dołączyć.

- Zrobiliśmy, jak kazałeś, wodzu! - zawołał do Poppeusza. - Poprowadzę swoich ludzi i będę pierwszy. Zabierzcie mi oczy.

- Jak sobie życzysz. - Poppeusz spojrział na Aulusa. - Centurionie, możecie zaczynać - powiedział.

Aulus wydał rozkaz i dwóch legionistów chwyciło mocno Dinasa za ramiona, przytrzymując je z tyłu, podczas gdy trzeci wyjął z ognia rozżarzony do czerwoności żelazny pręt i podszedł do starego przywódcy. Po chwili było już po wszystkim. Dinas wygiął plecy w łuk, ale nie wydał żadnego dźwięku. Odprowadzono go. Szedł z wysoko uniesioną głową, z wciąż jeszcze dymiącymi, osmalonymi oczodołami. Jego ludzie milczeli.

Wyprowadzono na przód pięć osób i zmuszono do klęknienia przed pieńkami. Legionieści owiązali im przeguby powrozami i wyciągnęli ich ręce do przodu, tak że leżały na gładkiej powierzchni, a dłonie zaciskały się na krawędzi pieńków. Inni legionieści przytrzymywali ich za barki. Cała piątka buntowników odwróciła głowy, kiedy kolejni żołnierze opuszczali miecze na ich nadgarstki. Padając do tyłu, mężczyźni wyli z bólu, z ich kikutów tryskała krew, a dłonie pozostawały wciąż zaciśnięte na pieńkach. W tłumie kobiety zaczęły krzyczeć i zawodzić.

Natychmiast przyżegano rany smolnymi pochodniami, po czym okaleczonych mężczyzn odciągano na bok.

Krzyki i zawodzenia przybrały na sile, kiedy do koszy z żarem przyprawiono pięcioro starych mężczyzn i kobiet. Wespazjan patrzył z kamienną twarzą na błysk rozżarzonych do czerwoności prętów. Kiedy kolejnych pięć ofiar przywleczono do pieńków, usłyszał za swoimi plecami donośny głos Magnusa, przebijający całą tę wrzawę.

- Panie, panie, musisz natychmiast jechać. - Magnus wstrzymał konia z poślizgiem kopyt.

- O co chodzi? - spytał Wespazjan zadowolony, że może odwrócić uwagę od makabrycznego spektaklu.

Magnus podjechał bliżej i ściszył głos.

- Azyniusz właśnie przybył do obozu, chce cię natychmiast widzieć.

Wespazjan spojrzał zdumiony na przyjaciela.

- Azyniusz tutaj? Jak?

- Normalnie, konno. Jedziesz czy nie?

- Tak, oczywiście.

Wespazjan zwrócił się do Petusa.

- Prefekcie, muszę się zająć pewną niecierpiącą zwłoki sprawą, jeśli pozwolisz.

- Oczywiście, drogi kolego, żałuję tylko, że nie mogę ci towarzyszyć. W cyrku w Rzymie okaleczanie to moja najmniej ulubiona część igrzysk. Zazwyczaj wykorzystuję ten czas, żeby rozprostować nogi, zanim pokażą coś w moim guście, takiego jak polowanie na dzikie zwierzęta. Uwielbiam to. Ruszaj już. - Petus odprawił go machnięciem ręki.

*

Słońce skryło się za górami, pogrążając obóz w głębokim cieniu, rozjarzając zaś bursztynem i złotem wiszące nisko chmury.

Magnus poprowadził Wespazjana do dużego namiotu w pobliżu pretorium, który zawsze był gotowy na przyjęcie dostojników. Jego wejścia strzegło teraz dwóch z jedenastu liktorów, którzy stanowili oficjalną eskortę prokonsula w drodze do jego prowincji. Wespazjana i Magnusa bezzwłocznie wpuszczono do wnętrza.

Azyniusz siedział na sofie, ze stopami zanurzonymi w misce z ciepłą wodą i z kielichem wina w ręce. Z tyłu kręciło się kilku niewolników z lnianymi ręcznikami i z dzbanami pełnymi parującej wody.

- Wespazjanie, musimy porozmawiać. - Azyniusz odprawił niewolników. Magnus, pojmując aluzję, wycofał się razem z nimi. Prokonsul gestem poprosił młodzieńca, by usiadł naprzeciwko niego na składanym stołku. - Na pewno jesteś zaskoczony, widząc mnie tutaj.

- To miłe zaskoczenie, panie, mam ci mnóstwo do opowiedzenia.

- Wszystko w swoim czasie. Wpierw ja ci powiem, co mnie sprowadza do tego zadupia. - Opróżnił kielich, po czym dolał sobie wina z dzbana stojącego na niskim stoliku obok niego. - Przesadzony raport Poppeusza o zwycięstwie nad zbuntowanymi plemionami skłonił senat, by przyznać mu zaszczyt odbycia triumfu. Chyba raczej przedwcześnie, bo z tego, co słyszę, przyjmuje on tylko kapitulację niewielkiej części buntowników, pozostali wciąż ze swojej fortecy rzucają wyzwanie Rzymowi. Tak czy owak, zrobiono to. Cesarz

odniósł się do tego z zadowoleniem, żądając, by Poppeusz powrócił bezzwłocznie do Rzymu na ceremonię. Myślę, że Tyberiuszowi jak zwykle zależy na tym, by oddzielić odnoszącego sukces wodza od jego zwycięskiej armii i sprowadzić do Rzymu, gdzie może mieć na niego oko. Pomponiusz Labeo ma przejąć dowodzenie. Miałem właśnie wyjechać z Rzymu do mojej prowincji, Bitynii. Wolałbym Syrię, ale, co mnie nie zaskoczyło, ta żyła złota trafiła się sojusznikowi Sejana. Senat poprosił, bym zboczył nieco z drogi i osobiście zawiózł legatowi szczęśliwą nowinę. Wydaje im się, że przekazanie wieści przez byłego konsula połaskocze ego wodza i osłodzi odwołanie. - Azyniusz kolejny raz pociągnął z kielicha, po czym, uświadomiwszy sobie, że pije sam, gestem zachęcił Wespazjana, by się poczęstował. - W normalnych okolicznościach wykręciłbym się od takiego uciążliwego zadania, jednakże twój brat, Sabinus, zwrócił moją uwagę na pewien interesujący szczegół. Dwa miesiące temu ludzie posługujący się cesarskim upoważnieniem zabrali z mennicy trzy skrzynie. W sumie zawierały one pięćdziesiąt tysięcy denarów. Pieniądze miały iść na żołd dla legionów, tutaj w Tracji. Samo w sobie nie było to niczym szczególnym. Jednakże w rejestrze Sabinus wyczytał, że jest to już druga taka płatność w ciągu dwóch miesięcy. Wydało mu się to podejrzane, wobec czego porównał ilość denarów wybitych tamtego miesiąca z ilością sztab srebra znajdującego się w skarbcu. Wygląda na to, że twój brat zna się na księgowości. Ten, kto go jej nauczył, może być z siebie dumny.

Wespazjan uśmiechnął się na myśl o wielu godzinach, jakie poświęcił bratu, zmuszając go do opanowania podstaw rachunkowości; najwyraźniej jego wysiłki nie były daremne, mimo braku gorliwości ucznia.

- Coś cię tu bawi? - zdziwił się prokonsul.

- Nie, Azyniuszu. Proszę, mów dalej.

- Kiedy Sabinus sprawdził liczbę monet, odkrył, że jest akurat o pięćdziesiąt tysięcy denarów za dużo, tymczasem rachunki skarbu się bilansują i nie ma żadnych dowodów na to, że zabrano te skrzynie. Innymi słowy, było tak, jakby te pieniądze nigdy nie istniały; idealna sytuacja dla potajemnego finansowania buntu. Dlatego pomyślałem sobie, że przywiezienie nowin od senatu dla Poppeusza da mi sposobność wyśledzenia drogi tych nieistniejących skrzyń.

Azyniusz przerwał i ponownie napełnił swój kielich.

- Ktoś musiał uzupełnić brakujące srebro - zaryzykował przypuszczenie Wespazjan.

- Właśnie. Kto jednak ma dojście do takiej ilości? Sejan jeszcze się tak nie wzbogacił, by tyle oddać.

Wespazjan zastanawiał się przez chwilę.

- Oczywiście, Poppeusz! - Niemal wykrzyknął te słowa. - Petus wspomniał, że rodzina Poppeusza wyciągnęła fortunę z hiszpańskich kopalń srebra. Na pewno użył własnego srebra, by sfinansować zawartość tej skrzyni.

- Poppeusz agentem Sejana? - zawołał Azyniusz, nie wierząc własnym uszom.

Wespazjan opowiedział wszystko, co się wydarzyło od czasu jego przybycia do Tracji, i to, co usłyszał od królowej Tryfeny i Korbulona.

- Jak mogłem być taki głupi? - wymamrotał Azyniusz. - Teraz to wszystko ma sens. Sejanowi i Poppeuszowi udało się wywołać kryzys, którego nie da się z nimi powiązać. Będzie twierdził, że wysłał do Tracji oficerów rekrutacyjnych, bo potrzebował więcej żołnierzy do obrony północnej granicy Mezji i tym samym działał w najlepszym interesie cesarstwa. Nie ma żadnego dokumentu czy namacalnego dowodu, który łączyłby któregoś z nich z pieniędzmi użytymi do przekupienia naczelników plemion, by podnieśli bunt. Ze skarbu nie zniknęły żadne pieniądze. Poppeusz działa szybko, by opanować rozprzestrzenianie się buntu w tym czasie, gdy agenci Sejana przekupują inne plemiona, by podniosły bunt, zagrażając naszym szlakom lądowym do wschodnich prowincji. Poppeusz wychodzi z tego jako bohater, a Sejan dostaje to, czego mu potrzeba, kolejne odwrócenie uwagi od jego manipulacji w Rzymie, i to za jaką cenę? Darmowe srebro wykopane w górach Hiszpanii. Błyskotliwe pociągnięcie.

- Ale dlaczego zadali sobie trud przerobienia srebra na monety? Czemu nie użyli surowego srebra?

- Nie wiem. Może sądzili, że trudniej prześledzić drogę monet niż sztab srebra. Ostatecznie rodzin z dostępem do kopalń srebra jest zaledwie garstka.

Z zewnątrz słychać było zgodny tupot żołnierzy wracających do obozu, a potem rozkazy do rozejścia się.

- Jest jedna osoba, która mogłaby połączyć obydwu z tymi pieniędzmi.

- Wiem, kapłan Rotekes, ale jak go znaleźć? A nawet gdybyśmy mogli, musielibyśmy zabrać go do Rzymu, by zeznawał przed senatem, i nawet wtedy byłoby to słowo barbarzyńcy przeciwko słowu prefekta pretorianów oraz namiestnika.

- On tu jest.

- Rotekes jest tutaj? Dlaczego?

- Pełnił rolę pośrednika pomiędzy Poppeuszem i buntownikami.

Azyniusz roześmiał się.

- Co za dwulicowość... najpierw podburza ich do buntu, potem przekonuje do poddania się. Na co liczy?

- Dla mnie to też nie ma sensu.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać z tym oślizłym zasańcem. Może nam powie, gdzie są pozostałe skrzynie. Jestem pewien, że ty i Magnus zdołacie bez wielkiego trudu go tutaj sprowadzić. Tymczasem dam Poppeuszowi znać, że przybyłem, i poczekam, żeby sprawdzić jego reakcję. To, w jaki sposób zechce się ze mną zobaczyć, czy w cztery oczy, czy oficjalnie, powie nam, jak bardzo się czuje pewny.

*

Magnus czekał na Wespazjana przed namiotem, pośród zgiełku rozchodzących się do swoich kwater kohort. Wypolerowane do połysku zbroje i hełmy legionistów odbijały migotliwe płomienie pochodni zapalonych wzdłuż via Principalis i via Praetoria. Ludzi, którzy dopiero co byli świadkami poddania się jednej czwartej nieprzyjaciół, opanował optymistyczny nastrój. Uznali, że bitwa, jeśli do niej w ogóle dojdzie, będzie znacznie łatwiejsza.

- I właśnie dlatego Azyniusz chce, byśmy przyprowadzili mu Rotekesa na przesłuchanie - poinformował Wespazjan przyjaciela, kiedy już zdał mu ze wszystkiego relację.

- To będzie sama przyjemność - oświadczył z uśmiechem Magnus. - A potem chętnie poderżnę mu gardło.

- Na razie nie było mowy o zabijaniu. On może się jeszcze przydać.

- Ale byłoby to rozsądne, nie? Jeśli zostawi się go przy życiu, poleci wypaplać Poppeuszowi, że prokonsul wie o skrzyniach, i Poppeusz dla własnego bezpieczeństwa będzie musiał zabić Azyniusza.

- Masz rację. Pewnie rzeczywiście dobrze byłoby się go pozbyć. Wpierw jednak trzeba go znaleźć.

- To akurat jest proste. Widziałem, jak wracał z Poppeuszem, są w pretorium. Ale niełatwo go będzie dopaść, bo wygląda na to, że załatwił sobie obstawę z czterech Traków spośród tych, którzy się dzisiaj poddali. Będzie nam potrzebne małe wsparcie.

- Komu możemy zaufać?

- W zasadzie Korbulonowi, choć on może uważać, że więcej zyska, pozostając lojalny wobec Poppeusza, niż łącząc swój los z Azyniuszem. Gallusa nie znamy wystarczająco dobrze, więc zostaje nam Faustus. Jak mu powiesz, że jego własny dowódca chciał jego śmierci, to pójdzie z nami i przyprowadzi ze sobą kilku godnych zaufania chłopców.

- Miejmy nadzieję, że masz rację. Zostań tu i miej oczy otwarte na tego kapłana.

*

Niedługo potem Wespazjan dołączył do Magnusa, razem z Faustusem i wyglądającymi na twardzieli dwoma legionistami z pierwszej kohorty.

- Jeszcze nie wyszedł, panie - szepnął Magnus. - Witam, Faustusie, masz ochotę na małą zemstę?

- Kutas! Nekrofil! Amator kóz! - Faustus nie przestawał rzucać obelgami od chwili, gdy Wespazjan poinformował go o zdradzie Poppeusza. Aż się rwał do pomocy.

Jakiś czas później Rotekes wyszedł z pretorium w otoczeniu swojej nowej ochrony. Ruszyli szybkim krokiem via Principalis w stronę Wespazjana i jego towarzyszy, którzy przyczaili się w mroku, kiedy kapłan ze swoją świtą przechodził obok.

- Będziemy się poruszać równolegle do nich - szepnął Wespazjan, kierując się ku wąskiemu przejściu pomiędzy pierwszym i drugim rzędem namiotów.

Mniej więcej po stu krokach Trakowie skręcili w lewo; Wespazjan zatrzymał się i wskoczył w lukę pomiędzy dwoma namiotami; inni poszli jego śladem. Z ciemności obserwowali, jak Rotekes skręca na ścieżkę przed nimi i zatrzymuje się przed strzeżonym przez dwóch Traków, bogato wyglądającym namiotem. Po krótkiej rozmowie z wartownikami kapłan i jego ludzie weszli do środka.

- To namiot króla Remetalkesa - szepnął Faustus do ucha Wespazjanowi.

Wespazjan poprowadził szybko swoich ludzi do wejścia i zatrzymał się, żeby posłuchać. Z wnętrza dobiegł charakterystyczny wysoki głos Rotekesa. Inny głos, Remetalkesa, jak założył, brzmiał dużo spokojniej. Nagle rozległ się ostry dźwięk wyciąganych z pochew mieczy, a zaraz potem, niemal natychmiast, zduszone okrzyki i głuchy łomot dwóch ciał padających na ziemię.

- Za mną! - zawołał Wespazjan, wyciągając miecz i wskakując do namiotu.

Rotekes trzymał króla za włosy i do gardła przyciskał mu sztylet. Podniósł krzyk, jego ludzie odwrócili się, a Wespazjan wbił miecz między żebra najbliższego stojącego, kręcąc nadgarstkiem, kiedy broń przedzierała się przez kości, ścięgna i mięśnie, by przebić płuca. Człowiek wydał głośny jęk, przerwany wypływającym mu z ust strumieniem krwi, po czym padł na podłogę, tonąc we własnej posoce. Pozostali trzej nie mieli czasu na obronę. Już wkrótce leżeli na podłodze obok swojego kamrata i wcześniej pomordowanych królewskich strażników.

- Poderżnę mu gardło, jeśli się zbliżysz - ostrzegł Rotekes. - Odsuń się na bok.

Wespazjan podniósł rękę do góry, zatrzymując swoich towarzyszy. Patrzył na szczerzą twarz kapłana, który wściekle obnażał starte żółte przednie zęby, popychając do przodu przerażonego Remetalkesa.

- Jeśli go zabijesz, zginiesz - oświadczył Wespazjan. - Ale jeśli go puścisz, być może przeżyjesz.

- Nie możesz mi nic zrobić, jestem kapłanem - wypiszczał Rotekes.

Wespazjan i jego towarzysze popatrzyli po sobie i jak jeden mąż ryknęli śmiechem.

- Myślisz, że obchodzą nas twoi zasrani bogowie? - rzucił Faustus, rozkoszując się niepewną miną Rotekesa. - Z przyjemnością poderżnę ci gardło przed ich ołtarzami i nie spędzi mi to snu z powiek, ty obrzydliwa kupo rzygowin.

Mężczyzna odciągnął do tyłu głowę króla i mocniej przycisnął ostrze, przecinając skórę. Młody człowiek spoglądał błagalnym wzrokiem na Wespazjana.

- Różnij - powiedział spokojnie Wespazjan. - Dla nas on nic nie znaczy, natomiast dla ciebie oznacza szansę życia.

Przekrwione czarne oczy kapłana biegały nerwowo po namiocie; pięć mieczy czekało, by odebrać mu życie. Zawył, odepchnął swoją niedoszłą ofiarę i padł, kuląc się, na podłogę. Faustus kopniakiem wytrącił mu sztylet, a kolejny kopniak wymierzył w splot słoneczny, pozbawiając mężczyznę tchu i tym samym powstrzymując jego skomlenie.

- To za chłopców, których pomordowałeś w rzece, ty piździelcu, ale jeszcze nieźle oberwiesz, zanim z tobą skończymy.

- Naprawdę pozwoliłbyś mu mnie zabić? - spytał zdyszczanym głosem Remetalkes.

- Nie miałbym wyboru - odparł zgodnie z prawdą Wespazjan. - Trzymał ci nóż przy gardle. Jeśli nie zabiłby cię tutaj, zrobiłby to natychmiast po wydostaniu się na zewnątrz, bo zakładam, że właśnie w tym celu tu przybył.

- Tak. Oskarżył mnie o uzurpowanie sobie kapłańskiej władzy i obrazę bogów.

- Przekłęci Trakowie - burknął Magnus. - Wygląda na to, że to ich ulubione oskarżenie. Kara śmierci i żadnej możliwości obrony, jak przypuszczam.

- W naszym prawie nie ma obrony przed takim oskarżeniem.

- Jakbyśmy tego nie wiedzieli.

- Sprawdźcie, czy nie ma ukrytej broni, a potem zabierzcie ten worek gówna do Azyniusza - powiedział Wespazjan, wymierzając kolejnego kopniaka łapiącemu z trudem powietrze kapłanowi, łamiąc mu przy okazji ze dwa żebra. - Lepiej będzie, jak z nami pójdiesz - dodał, kiwając głową w stronę młodego króla.

*

Kiedy Wespazjan i jego towarzysze przybyli do namiotu Azyniusza, były konsul zdążył już zmyć z siebie kurz podróżny i niewolnik układał na nim właśnie fałdy togi. Rzucili Rotekesa do jego stóp. Kapłan jęczał, trzymając się za popękane żebra.

- Dobra robota - powiedział Azyniusz, odprawiając niewolnika, który wycofał się na tyły namiotu, do jego sypialnej części. - Ufam, że żaden z was nie poniósł uszczerbku.

- Nie, ale dopadliśmy go w ostatniej chwili - odparł Wespazjan. - Właśnie szykował się do zabicia swojego króla.

- Remetalkesie, dzięki bogom jesteś teraz bezpieczny. Nie poznałbym cię. - Azyniusz podsunął młodemu Trakowi swoje ramię. - Nie widziałem cię od czasu, kiedy byłeś małym chłopcem, w domu pani Antonii. Jak się miewa twoja matka?

- Dobrze, senatorze, dziękuję.

- Miło mi to słyszeć. W drodze powrotnej zamierzam złożyć jej swoje uszanowanie. Zbyt się spieszyłem, by uczynić to, podróżując w tę stronę.

Dochodzący z podłogi głośny jęk ponownie przyciągnął uwagę senatora.

- Centurionie, każ rozciągnąć tę kreaturę na plecach.

- Tak jest! - Faustus wydał stosowne rozkazy.

Azyniusz wyciągnął sztylet i wcisnął go do ust Rotekesa. Kapłan szarpał się wściekle, ale nie mógł nic zdziałać przeciwko dwóm chłopcom Faustusa, którzy trzymali go mocno za nadgarstki oraz kostki u nóg.

- Masz do wyboru, kuglarzu, albo użyć języka, żeby odpowiedzieć na pytania, albo go stracić.

W oczach mężczyzny widać było przerażenie; do tej pory nigdy nie był tą stroną, której zadawano ból. Skinął skwapliwie głową.

Azyniusz cofnął sztylet.

- Kto dostarczył pieniądze, których użyliście, by zachęcić plemiona do buntu przeciwko królowi i Rzymowi?

Kapłan odpowiedział natychmiast. Mówił powoli, najwyraźniej pęknięte zębra utrudniały mu oddychanie.

- Wysoko postawiony Rzymianin. Nie znam jego imienia. Zrobiono to w ubiegłym roku, przez pośredników.

- To nie wystarczy. - Azyniusz ponownie wcisnął sztylet do ust kapłana, rozcinając jeden kącik. Krew popłynęła po policzku Rotekesa. - Spróbuj jeszcze raz.

- Pośrednicy powiedzieli, że działają w imieniu konsula, Marka Azyniusza Agryppy.

Azyniusz zawahał się, nie dowierzając własnym uszom.

- To jest... - zaczął Wespazjan, jednak Azyniusz mu przerwał.

- Kim byli ci pośrednicy? - pytał dalej, odzyskawszy panowanie nad sobą.

- Trzech było pretorianami, ale ich przywódca był cywilem, potężnie zbudowanym mężczyzną o ciemnej cerze i długich włosach. - Z oczu kapłana zaczęły płynąć łzy, mieszając się na policzkach z krwią.

- Czy powiedzieli wam, dlaczego Azyniusz chce tu buntu?

- Mówili coś o osłabieniu pozycji cesarza. Buntury miały wybuchać w całym cesarstwie, żeby legiony zajmowały się ich gaszeniem, a wtedy przywrócono by republikę. - Mówił niewyraźnie, z powodu rany w kąciku ust.

- I zapewnili was, że wasz bunt się powiedzie?

- Tak, powiedzieli, że w Mezji wybuchnie powstanie i że stacjonujące tam dwa legiony będą przykute do miejsca i nie pospieszą z pomocą królowi. I my będziemy mieli wolną rękę.

- A wy im wierzyliście?

- Tak. Z Mezji przybyli oficerowie rekrutujący, domagając się, by nasi ludzie służyli tam w rzymskiej armii. Sprawiało to wrażenie, że legiony już mają kłopoty. Zobaczyłem w tym sposobność pozbycia się ciemniejącej nas monarchii i powrotu do dawnego życia, do niezależnych plemion zjednoczonych pod opieką naszych bogów.

- A ty jako naczelny kapłan byłbyś ich królem, tyle że bez używania tego imienia.

- Pragnąłem tego, co najlepsze dla Tracji i jej bogów! - wykrzyknął niemal Rotekes, pomimo nękającego go bólu.

- Zatem kiedy przybyły legiony i bunt zaczął wygasać, ty zgłosiłeś się u Poppeusza, oferując mu swoje usługi... dlaczego?

- Po tym, jak Cenom nie udało się zatrzymać posiłków dla Poppeusza, uświadomiłem sobie, że nie możemy wygrać, więc przyszedłem tutaj, by negocjować kapitulację, zanim sprawy zajdą za daleko.

- Bardzo szlachetnie. Dlaczego Poppeusz ci ufał?

- Powiedziałem mu o pieniądzach Azyniusza. Zgodziłem się pojechać z nim do Rzymu i zeznawać w senacie przeciwko Azyniuszowi, w zamian za moje życie.

Azyniusz pokręcił głową.

- Doskonale - szepnął, uśmiechając się, zanim znów spojrzał na kapłana. - Zatem Poppeusz jest bardzo zadowolony, że to ty, jego nowy przyjaciel, prowadzisz za niego negocjacje z buntownikami?

- On je utrudnia, wysuwa za dużo żądań i warunków. Nie sądzę, by chodziło mu o kapitulację, on pragnie zwycięstwa.

- A ty wciąż pragniesz śmierci króla?

- Jeśli w ogóle miałyby wyniknąć z tego cokolwiek dobrego, to byłaby tym śmierć Remetalkesa - syknął Rotekes, wbijając spojrzenie w młodego króla, a jego zakrwawioną szczurzą twarz wykrzywiła fanatyczna nienawiść.

Azyniusz cofnął się i popatrzył na Magnusa oraz dwóch legionistów.

- Ogłuszcacie go, zwiążcie i trzymajcie przy nim straż w mojej sypialni.

Ochoczo się do tego zabrali.

- Wygląda na to, że Sejan i Poppeusz okazali się zbyt przebiegłi nawet dla mnie - powiedział Azyniusz do Wespazjana. - Zrobienie ze mnie pomysłodawcy i podżegacza to mistrzowskie posunięcie, którego w ogóle nie przewidziałem. Teraz jest oczywiste, dlaczego użyli monet. Łatwiej mnie z nimi połączyć niż ze srebrnym kruszczem.

Wespazjan wpatrywał się w niego, nie wiedząc, co ma o tym wszystkim myśleć.

- Och, dajże spokój, chyba mu nie wierzysz, co? - spytał ostro Azyniusz.

- Nie, pewnie, że nie - odparł Wespazjan, przypominając sobie słowa Koronusa o tym, że Rotekesowi podczas wizyty u Cenów towarzyszył Hazdro i kilku pretorianów.

- Dobrze - wysapał Azyniusz - bo nie mam czasu bronić się przeciwko nieuzasadnionym oskarżeniom stawianym przez niskich stopniem trybunów.

- A przez królów, Azyniuszu? - spytał Remetalkes.

- Czy królów. Będę się bronił w senacie, ale jeśli chcecie jakichś dowodów, zadajcie sobie pytanie, dlaczego nie kazałem Magnusowi zabić tego zdrańca, hę? On będzie zeznawał przeciwko mnie, jeśli tylko dostanie taką możliwość, a co więcej, z jego punktu widzenia to zeznanie będzie samą prawdą, więc jeśli poddadzą go torturom, co, jak się spodziewam, uczynią, jego opowieść będzie brzmiała tak samo. Cóż zatem zyskuję, utrzymując go przy życiu?

Remetalkes popatrzył na Azyniusza i wzruszył ramionami.

Azyniusz ze zdesperowaną miną padł na sofę.

- Żeby podeprzeć opowieść kapłana, Sejan sprokuruje dokumenty świadczące o tym, że to ja dałem pozwolenie na zabranie pieniędzy ze skarbcza. Nawet jeśli kapłan będzie martwy, te dokumenty wystarczą, by mnie skazać. Jeśli natomiast zabiorę go przed senat, zobaczą, że nie obawiam się jego oskarżeń. Będę kontrolował sytuację i udowodnię, że tamci pośrednicy to pretorianie i wyzwoleniec Sejana, Hazdro, ludzie, nad którymi, o czym wie dobrze każdy senator, nie mam żadnej kontroli. Najważniejszy świadek Sejana zostanie wykorzystany przeciwko niemu. Dlatego muszę zabrać go do Rzymu, żywego.

Remetalkes wyglądał na przekonanego.

- Będę ci towarzyszył i zeznawał na twoją korzyść.

- To nie będzie konieczne, wystarczy list. Powinieneś wrócić do Filippopolis i zacząć naprawiać... - Azyniusz nagle zamilkł.

Na zewnątrz namiotu słychać było jakiś tumult, po czym odrzucono poły przy wejściu. Do środka wkroczył Poppeusz, lekceważącym machnięciem ręki reagując na próby liktorów, by go zatrzymać.

- Dobry wieczór, Azyniuszu - powiedział słodkim głosem. - Co za niespodzianka. Czemu zawdzięczam przyjemność goszczenia cię w moim obozie?

- Poppeuszu - odparł Azyniusz, podnosząc się i dając znak liktorom, by wrócili przed namiot. - Jestem tutaj na prośbę senatu i cesarza.

- Bez wątplenia masz wiadomości dla króla oraz tego młodego trybuna?

- Król Remetalkes i trybun Wespazjan są, jak wiesz, moimi osobistymi przyjaciółmi. - Azyniusz przerwał; od strony fortyfikacji dobiegał ledwie słyszalny zgiełk. - Są tu, by złożyć swoje uszanowanie.

Wespazjan wyprężył się przed legatem, który zignorował zarówno jego, jak i dalekie krzyki.

- Centurion Faustus jest również starym znajomym? - spytał Poppeusz, spoglądając podejrzliwie na żołnierza.

- Nie mów głupstw, legacie. - Azyniusz nie krył oburzenia. - Centurion zapewnia bezpieczeństwo królowi, bo wygląda na to, że jego ochrona gdzieś zniknęła.

Wydawało się, że to wyjaśnienie zadowala Poppeusza.

- Jakie zatem wieści masz dla mnie z Rzymu i co jest tak ważne, że przynosi je aż były konsul?

- Miałem nadzieję na oficjalną audiencję, wodzu.

- Każę sekretarzowi zapisać nasze spotkanie na rano, a tymczasem byłbym zobowiązany za krótką informację.

Azyniusz zerknął w stronę, z której dochodziły hałasy, niewątpliwe odgłosy walki.

- Nie przejmowałbym się tym, Azyniuszu - uspokoił go Poppeusz. - To tylko jeszcze jeden wypad garstki buntowników kryjących się w górach, nic poważnego.

- Doskonale. W uznaniu twojego niedawnego chwalebego zwycięstwa nad trackimi buntownikami, senat przyznał ci prawo do odbycia triumfu, co cesarz z przyjemnością zatwierdził. - Azyniusz przerwał, kiedy Poppeusz obdarzył go pełnym zadowolenia uśmiechem. - Cesarz prosi - dodał - żebyś natychmiast wrócił do Rzymu, by przyjąć zaszczyty.

- Wrócić natychmiast do Rzymu? - wybuchnął Poppeusz. - Dlaczego?

- Twój raport stwierdza, że bunt został zmiażdżony. Rzekłbym, że nieco przedwcześnie - oświadczył Azyniusz, wskazując ręką w stronę narastającego zgielku na zewnątrz obozu. - Cesarz uważa, że najwyraźniej nie pozostało tutaj dla ciebie już nic do zrobienia, więc nakazał natychmiastowy powrót do Rzymu. Pomponiusz Labeo ma bezzwłocznie przejąć twoje obowiązki.

- Pomponiusz Labeo na moim miejscu! To twoja robota - warknął Poppeusz, mierząc w Azyniusza oskarżycielsko palcem.

- Moja? Ja jestem jedynie posłańcem niosącym dobre wieści w drodze do swojej prowincji. - Teraz z kolei Azyniusz przybrał zadowoloną minę. - Nie mam najmniejszego wpływu na życzenia cesarza czy senatu. Sądzę natomiast, że twój przesadzony raport przyniósł ci to szczęście.

Poppeusz zacisnął pięści i przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby zamierzał uderzyć Azyniusza.

Nagle pojawienie się Korbulona przerwało napięcie.

- Wodzu! - powiedział zdyszonym głosem. - Dzięki bogom, że cię odnalazłem. Nasz wał obronny jest atakowany w kilku miejscach i przynajmniej w jednym nieprzyjacielowi udało się przedrzeć. Wygląda na to, że Trakowie rozpaczliwie próbują wyrwać się z pułapki i rzucają na nas wszystkie oddziały, jakie im jeszcze pozostały.

Poppeusz patrzył na niego w osłupieniu.

- Niech żołnierze formują szyk. Dowódcy natychmiast do pretorium.

Korbulon wybiegł.

- Trybunie, centurionie, wracajcie do swojego legionu! - rzucił Poppeusz, odwracając się ku wyjściu.

- Już za późno, żeby rzeczywiście zasłużyć sobie na te zaszczyty, legacie - oświadczył miękkiem głosem Azyniusz. - Pozbawiono cię dowództwa.

Poppeusz zatrzymał się w wejściu i rzucił mu wściekłe spojrzenie.

- Mam gdzieś twoje rozkazy! - powiedział. - Dokończymy tę rozmowę później.

Wyszedł zamaszystym krokiem, kiedy cały obóz rozbrzmiewał dźwiękami rogów wzywającymi do broni.

Azyniusz wzruszył ramionami.

- Odmowa wykonania bezpośredniego rozkazu cesarza i senatu... mam nadzieję, że on wie, co robi. To późniejsze spotkanie będzie ciekawe.

Odprawił szybko Faustusa i jego dwóch żołnierzy, po czym wezwał swoich pozostałych liktorów. Zjawili się natychmiast.

- Trzeba przyznać, że ten atak to wyjątkowo sprzyjający zbieg okoliczności - oświadczył prokonsul, uśmiechając się promiennie do Wespazjana. - Daj mi tu Magnusa.

Magnus, którego obowiązki strażnika przejęło dwóch barczystych liktorów, wynurzył się z sypialnej części namiotu.

- Ruszamy, panie? Bo z tego, co słyszę, szykuje nam się trochę walki.

- Zostajesz ze mną, Magnusie - rzucił Azyniusz. - Mam zadanie, które znakomicie pasuje do twoich umiejętności.

Wespazjan przerwał protesty Magnusa.

- Nic mi nie będzie, przyjacielu, nie ma potrzeby wciąż mnie niańczyć na polu bitwy. Zrób, o co prosi.

- Skoro tak mówisz - odparł Magnus szorstko. - Co mam zrobić, panie? - spytał niechętnie Azyniusza.

- Chcę mieć wszystkie listy, jakie mogą połączyć Poppeusza z Sejanem. Teraz, kiedy nie licząc niewolników, obóz prawie opustoszał, jest najlepszy moment, by włamać się do pretorium.

Rozdział dwudziesty szósty

Wespazjan i Magnus wyszli w mrok nocy. Zaczęło padać. Obóz rozbrzmiewał krzykami ustawiających żołnierzy centurionów oraz ich zastępców. Via Principalis i via Praetoria roily się od legionistów. Stali centuriami, wkładali pancerze i zapinali hełmy, niektórzy jeszcze przeżuwali ostatnie kęsy przerwanej kolacji. Większość ludzi znała swoje miejsce, gdyż wiele razy uczestniczyła w ćwiczeniach; tylko nowo przybyli obrywali od centurionów kijami, kiedy usiłowali znaleźć swoje pozycje w ciemnościach, miejscami tylko lekko rozjaśnionych światłem pochodni.

- Włamać się do głównianego pretorium - gderał Magnus. - Łatwo mu mówić, ale jak ja mam to zrobić?

- Jego korespondencja osobista będzie zamknięta na klucz w skrzyni, w części sypialnej, więc wytnij dziurę z tyłu namiotu i będziesz na miejscu - zasugerował Wespazjan.

- A potem muszę rozwalić tę skrzynię.

- Weź łom.

- Jesteś równie okropny jak Azyniusz, ale jest jeden problem, o którym żaden z was nie pomyślał: skąd będę wiedział, które listy są od Sejana? Nie umiem czytać.

Wespazjan znieruchomiał.

- Żartujesz? - spytał.

- Ani trochę.

- Czemu nie powiedziałeś?

- Powiedziałem ci wieki temu. W każdym razie aż do tej chwali nie przyszło mi do głowy, że może to stanowić jakiś problem.

Z pretorium zaczęli wychodzić rządkiem starsi oficerowie. Wespazjan pokręcił głową.

- Muszę iść zameldować się Pomponiuszowi. Bierz po prostu wszystko, co ma cesarską pieczęć czy jest podpisane imieniem zaczynającym się literą „S”. To ta pokręcona, przypominająca trochę węża.

- To mi dopiero dużo pomoże, na pewno. Wyjdą z tego niezłe jaja.

Po drugiej stronie via Principalis odrzucono połę namiotu. W świetle pochodni pojawiło się czterech mężczyzn; trzech z nich nosili stroje gwardii pretoriańskiej. Czwarty był ubrany po cywilnemu; miał włosy do ramion.

- Hazdro - wyszeptał Wespazjan.

Tamci czterej weszli do pretorium, nie zwracając najmniejszej uwagi na wartowników.

- Na jaja Jowisza, teraz tam jest pełno pretorianów. Co mam robić?

- Nie wiem, po prostu się postaraj. Do zobaczenia później. Powodzenia.

- Taa, tobie też. - Magnus poklepał Wespazjana po ramieniu.

Wespazjan przeszedł przez ulicę, przemykając się pośród gotowych do wymarszu centurii. Przepchnął się między końmi Czwartego, przygotowanymi przed namiotem dowództwa dla dowódców, i wślizgnął się na odprawę tuż przed powrotem Pomponiusza z pretorium.

Zebrani oficerowie wyprężyli się jak struny, kiedy ich dowódca pojawił się w namiocie.

- Spocznijcie - powiedział Pomponiusz. Kiedy doszedł do przeciwległej strony namiotu, odwrócił się i wsparł wydatny zadek na krawędzi biurka. - Ci dranie zebrali się wreszcie na odwagę, by rozpocząć walkę. - Na jego czerwonej twarzy o kwadratowej szczęce i świńskich oczkach pojawił się zdradzający ekscytację uśmiech. - Mamy utrzymać wał na prawo od bramy, Piąty będzie po naszej lewej. Kohorty sił pomocniczych będą ochraniać nasze flanki. Nie ma żadnych szczególnych rozkazów; po prostu reagujcie na zaistniałe okoliczności i wybijcie ich do nogi. Musimy działać szybko, więc wracajcie do swoich jednostek. Trybunie Wespazjanie, weź konia i trzymaj się mnie, będziesz moim łącznikiem.

*

Wespazjan czekał na grzbiecie przydzielonego mu konia, podczas gdy Pomponiuszowi pomagano dosiąść jego rumaka. Padał ulewny deszcz, wciskał się pod pancerze i wsiąkał w tuniki przy ciepłej skórze; para z tysięcy mokrych, pocących się mężczyzn zastąpiła w powietrzu dym z ognisk przyduszonych przez wodę. Równomierne serie zgrzytów, brzdęknięć i łoskotów wskazywały, że mimo słoty artyleria na wieżach zwróconych przodem do atakujących zaczęła ostrzeliwać napastników. Wypuszczano żelazne pociski i okrągłe kamienie, na oślep, z grubsza w stronę nieprzyjaciela, ze świadomością, że dopiero poranne światło pokaże, jak dalece ten ostrzał był skuteczny.

Poppeusz i Korbulon wyszli razem z pretorium i szybko dosiedli koni. Legat uniósł teatralnym gestem ramię i energicznie wyrzucił je przed siebie. Róg zagrał sześć głębokich, donośnych dźwięków oznaczających „Naprzód”. Powtórzyły je rogi wszystkich kohort w obozie. Otwarto bramy z trzech stron obozu, chorążowie dwukrotnie pochylili znaki i pierwsze kohorty ruszyły szybkim marszem.

- Za mną, Pomponiuszu! - zawołał Poppeusz, spiął konia i popędził naprzód wzdłuż kolumn legionistów.

Wespazjan ruszył za grupą dowodzenia.

*

Trakowie przypuścili atak na długim na milę odcinku, koncentrując się na bramie. Mimo deszczu drewniana palisada płonęła w kilku miejscach, a blask bijący od wyrzucającego w górę snopy iskier ognia ukazywał toczące walki na śmierć i życie postaci. W dwóch miejscach, na prawo od bramy, Trakowie przełamali obronę i dwie naciskane przez nich kohorty zmuszone były do wykorzystania kilku cennych centurii, by ich powstrzymać.

Poppeusz podjechał galopem do bramy, zsiadł z konia i wbiegł po schodkach na pomost. Drewniane ściany dudniły od nieustannego gradu pocisków z proc i strzał z łuków. Powitał go dowodzący centurion. Za jego plecami żołnierze, których było zdecydowanie za mało, biegali w tę i z powrotem, rozpaczliwie odpychając drabiny od ściany, przecinając przerzucane górą liny i ciskając włócznie w zbitą cizbę napastników.

- Raport, centurionie! - rzucił krótko Poppeusz, wykrzykując te słowa, by dały się usłyszeć przy hałasie wywołanym zgiełkiem bitewnym i ulewnym deszczem.

- Tak jest, legacie! Pojawili się nie wiadomo skąd jakieś pół godziny temu. Musieli urządzić skuteczną zasadzkę na nasze wysunięte patrole, bo nie dostaliśmy żadnego ostrzeżenia. - Drgnął lekko, kiedy wypuszczony z procy pocisk zagwizdał mu koło ucha. - W sześciu miejscach wypełnili rów gałęziami i trupami i dopadli samej ściany. Obalili ją w kilku miejscach bosakami, a w kilku innych podpalili. Jest nas tu zbyt mało, możemy ich tylko powstrzymywać.

Błyskawica rozświetlająca niebo ukazała na chwilę szkody dokonane w wale obronnym.

- Dobra robota! - krzyknął Poppeusz, uświadomiwszy sobie, że zdążyli się zmobilizować w ostatnim momencie. - Wytrzymajcie, zaraz dostaniecie posiłki. - Spojrzał w dół, gdzie Pomponiusz czekał przy schodkach. - Legacie, każ swoim czterem kohortom wzmocnić te dwie tu na górze, na prawo od bramy; potem ustaw dwie w szyku na dole przy bramie, żeby były gotowe do wypadu pod moją komendą...

Nad ich głowami rozległ się podwójny trzask grzmotu, zmuszając go do zamilknięcia, kiedy głuche dudnienie odbijało się wielokrotnym echem o góry.

- Chcę, by pozostałe dwie kohorty zajęły pozycję przy ścianie, tuż za miejscem głównego uderzenia - mówił po chwili. - Niech wezmą sobie deski, żeby mogli przedostać się przez rów, a potem niech obluzują palisadę na szerokość dwudziestu ludzi. Poczekajcie, aż

zrobimy wypad przez bramę, zwalcie palisadę, przejdźcie przez rów i uderzcie w bok tych sukinsynów. Każę Piątemu zrobić to samo z ich drugiej flanki. Zmiażdżymy ich pomiędzy sobą.

- Moi ludzie będą gotowi do akcji! - odkrzyknął Pomponiusz, zawracając konia. - Trybunie Wespazjanie, ruszaj do legionu. Powiedz pierwszemu centurionowi, Faustusowi, że trzecia i czwarta kohorta mają sformować kolumnę przy bramie. Piąta, szósta, ósma i dziesiąta mają dołączyć do siódmej i dziewiątej na szczycie umocnień, osobiście dopilnuję ich rozmieszczenia. Ty i Faustus weźmiecie pierwszą i drugą kohortę i wszelką jazdę, jaką zdołacie zebrać, by przygotować atak z flanki. Zamelduj, kiedy wszystko będzie gotowe.

Wespazjan pogalopował w zacinającym deszczu, by zanieść rozkazy Faustusowi. Natychmiast przekazano je każdej z kohort za pomocą systemu sygnałów granych na rogach oraz ruchów rąk. Obserwując to szybkie rozmieszczanie sił legionu, Wespazjan zrozumiał, że wiele jeszcze musi się dowiedzieć o tajemniczym świecie centurionów. Daleko po swojej lewej stronie widział, jak ledwie widoczni w deszczu i mroku, chwilami tylko oświetleni błyskawicą żołnierze V legionu *Macedonica* obsadzają swoją część obwarowania; potrzeba zabezpieczenia go z każdym zwalonym kawałkiem stawała się coraz bardziej paląca.

Jechał na czele pierwszej kohorty, mającej regulaminową, podwójną obsadę, blisko tysiąc żołnierzy. Faustus biegł zdyszany obok niego, kiedy w szybkim tempie przemieszczali się wzdłuż ściany fortyfikacji. Za nimi podążała druga kohorta oraz Petus i jego *ala*, skrzydło złożone z czterystu osiemdziesięciu jeźdźców oddziałów pomocniczych. Schody prowadzące na szczyt wału zaroily się legionistami z innych kohort. Następujące szybko jedna po drugiej błyskawice zdawały się spowalniać ich wspinaczkę, ukazując ją jako ciąg zatrzymywanych co chwilę ruchów. Kolejny łoskot grzmotu przetoczył się nad ich głowami, powodując, że niektórzy mimowolnie schylili głowy, jakby bardziej obawiali się wymyślanego gniewu Jowisza niż prawdziwego zagrożenia nieustannym gradem nieprzyjacielskich pocisków.

W końcu zgiełk przestał narastać; to było apogeum ataku Traków. Wespazjan zeskoczył z konia i gestem przywołał Faustusa. Wspięli się jakimiś nieużywanymi schodkami na pomost. Na dole obie kohorty się zatrzymały. Przemoczeni legionieści czekali na rozkazy, bez wątplenia zastanawiając się, co robią z dala od miejsca, w którym toczy się walka.

Wespazjan zdjął hełm i ostrożnie wysunął głowę. Widok zapał mu dech w piersi; pierwszy raz w życiu zobaczył wielką bitwę. Przez wypełniony drewnem i trupami rów tysiące trackich wojowników rwało się ku wyniosłym rzymskim obwarowaniom. Rzucali drabiny na ścianę i wdrapywali się do góry z brawurą ludzi, którzy już uważają się za martwych i dlatego nie mają nic do stracenia. Ich łucznicy i procarze celowali w miejsca, w

których stały drabiny, zmuszając obrońców do krycia się, dopóki wojownicy nie dotarli na szczyt, po czym wstrzymywali osłonowy ostrzał, by nie trafiać we własnych ludzi. Dochodziło już do zawziętych walk wręcz, najczęściej kończących się zrzuconiem atakujących z drabin, a oni z wrzaskiem znikali wśród swoich towarzyszy dwadzieścia stóp niżej. Wtedy grad pocisków spadał na obrońców, którzy nie zdążyli się schylić, roztrzaskując im czaszki, wbijając się w oczy, gardła i ramiona, odrzucając ich do tyłu niczym szmaciane lalki, pod nogi towarzyszy, którzy teraz musieli zająć ich miejsca.

Główne siły Rzymian zdołały przybyć na czas i wypełnić większość wyrw. Napastnicy, którzy zdążyli się przedrzeć, teraz albo leżeli już martwi w błocie, albo walczyli w odizolowanych, coraz mniejszych grupach do ostatniego wojownika. Poddanie się nie wchodziło w rachubę; przybyli tu zabijać i ginać.

W kilku miejscach, w pobliżu bramy, wciąż płonął ogień, podsycany bukłakami z oliwą. Płomienie oświetlały pchaną przez mrowie ludzi, przypominającą ogromny namiot konstrukcję, która zbliżała się powoli do bramy.

- Mają taran - powiedział Faustus, dołączając do Wespazjana. - Lepiej bierzmy się do roboty.

- Dość zobaczyłem - oświadczył Wespazjan, chowając głowę i wkładając hełm. - Najbliższa walka toczy się co najmniej sto pięćdziesiąt kroków stąd. Przymocujcie liny do czubka każdego z pali i wrzucie ziemię wokół ich podstawy, by je obluźować. Potem każ ludziom rozebrać pomost, desek mogą użyć do pokonania rowu.

- Tak jest. - Faustus odwrócił się, by odejść.

- Faustusie, każ ludziom nisko trzymać głowy. Nieprzyjaciel nie ma prawa nas zauważyć.

- Jasne, że nie. Nie chcielibyśmy zepsuć im niespodzianki, prawda? - Faustus wyszczerzył zęby w uśmiechu i pospieszył do swoich podkomendnych.

Legioniści z pierwszej i drugiej kohorty z entuzjazmem zabrali się do roboty, cieszyła ich bowiem perspektywa niespodziewanego uderzenia z flanki na Traków, co mocno skróciłoby front ich natarcia. Po kwadransie powrozy tkwiły uwiązane u szczytów pali, na mającym sześćdziesiąt stóp długości odcinku palisady, a pomost został już całkowicie rozebrany.

Wespazjan popędził, by złożyć meldunek Pomponiuszowi, którego zastał w towarzystwie centurionów z ósmej kohorty przy wypełnianiu ludźmi ostatniej wyrwy w umocnieniach. Pociski Traków zbierały obfite żniwo wśród obrońców, którym na nierównym, błotnistym gruncie trudno było utrzymywać solidny szyk żółwia. Leżące wokół liczne ciała

zabitych i martwych Rzymian świadczyły o celności znajdujących się w odległości trzydziestu kroków trackich łuczników i procarzy.

- Uderzenie z flanki gotowe, panie! - wrzasnął Wespazjan do dowódcy.

- I najwyższy czas. - Wyglądało na to, że Pomponiuszowi ulżyło. - Ci dranie nie ustąpią, dopóki nie zginą, więc zrobmy im tę przyjemność, nim zdążą zabić więcej naszych chłopców. Zamelduj o sytuacji Poppeuszowi przy bramie, a potem dołącz do mnie na flance.

- Tak jest! - Wespazjan pognął konia.

*

Brama drżała od powtarzanych uderzeń tarana z żelazną głowicą. Wewnątrz stały cztery kohorty gotowe do wypadu. Poppeusz wysłał wszystkich łuczników na pomosty po obu jej stronach, by ostrzeliwali obsadę tarana i czające się za nim dziesiątki wojowników, gotowych wdrzeć się do środka, kiedy machina wykona swoje zadanie. Wespazjan przedarł się przez szeregi łuczników do filigranowego dowódcy, którego mimo jego skromnej postury łatwo było rozpoznać po hełmie z wysokim pióropuszem. Łucznicy obsypywali nieustającym gradem strzał zmasowanego poniżej nieprzyjaciela, którego szeregi zaczynały się chwiać. Jednakże okryty grubą skórą taran całkowicie chronił obsługujących go ludzi. Uderzał bezlitośnie i uparcie w bramę, a każde uderzenie osłabiało jej konstrukcję i powodowało, że pomost trząsł się pod nogami Wespazjana.

- Ten drań, kapłan, na pewno wiedział, że mają taran, kiedy przyszedł tu dzisiejszego popołudnia - rzucił wściekle Poppeusz, kiedy Wespazjan zbliżył się do niego. - Łotr nie pisał ani słowa. Każę wyrwać mu język, kiedy dostanę go w ręce. Lepiej, żebyś miał dla mnie dobre wiadomości, trybunie.

- Tak jest, dowódco, jesteśmy gotowi na prawej flance. - Wespazjan cofnął się, kiedy u jego stóp padł łucznik, tryskając krwią z gardła, w którym tkwiła strzała.

Poppeusz nogą zepchnął ciało z pomostu.

- Świetnie. Wracaj na pozycję i powiedz Pomponiuszowi, że kiedy tylko nasi łucznicy zmuszą ich do cofnięcia się na odpowiednią odległość, otworzymy bramę i damy im to, co oni zaplanowali dla nas. Tego, że brama stoi otworem, kiedy oni usiłują ją staranować, nie będą się spodziewać. - Potarł dłonie, po czym odwrócił się do łuczników, rozkazując im maksymalnie zwiększyć częstotliwość strzałów, nie zwracając najmniejszej uwagi na spadające na nich nieprzyjacielskie pociski.

Pomimo wszystkich zdradzieckich postępów Poppeusza Wespazjan podziwiał jego spokój pod ostrzałem. Nie krył się na tyłach, wydając rozkazy, które by posyłały jego

żołnierzy na śmierć. Dowodził z przodu, jak każdy rzymski dowódca, który oczekiwał, że jego ludzie będą dla niego walczyć i ginąć.

Młodzieniec oddał mu honory, niezauważone przez legata, odwrócił się i pomaszerował pomostem spokojnym, miarowym krokiem, starając się zachować równie zimną krew jak dowódca.

Żołnierze pierwszej i drugiej kohorty stali w pogotowiu. Kolejna błyskawica rozdarła niebo, złocąc na moment ich wypolerowane pancerze i wywołując w szeregach niezliczone błyski odbić. Zimny deszcz spływał z hełmów na karki rwących się do walki legionistów. Reagowali z humorem na zachęty centurionów, którzy chodzili wzdłuż szeregów, sprawdzając rynsztunek, chwając ich odwagę i przypominając poprzednie bitwy oraz wspólnie dokonane wyczyny.

Pod ścianą ustawiła się cała centuria. Mężczyźni trzymali powrozy w rękach, gotowi obalić palisadę. Żołnierze innej centurii stali nieco dalej z deskami wyrwanymi z pomostu, gotowi przerzucić je przez rów w odpowiedniej chwili. Samotny obserwator spoglądał z parapetu ku głównej bramie, dobrze widocznej w świetle pożarów, czekając na jej otwarcie dla Poppeusza i jego ludzi.

Wespazjan stał obok Pomponiusza w pierwszym szeregu prowadzącej centurii. Po prawej stronie majaczyła jazda Petusa. Serce biło mu coraz szybciej, kiedy myślał o tym, że ma zabijać bez wahania i bez cienia żalu. Napinał i rozluźniał mięśnie ramienia trzymającego tarczę, by mu nie zeszywniało, i raz jeszcze sprawdził, czy jego miecz gładko wychodzi z pochwy.

- Musimy przejść przez tę wyrwę bardzo szybko - powtórzył mu po raz kolejny Pomponiusz. - Ale nie tak szybko, żeby potykać się o jakieś rozrzucone pale.

Wespazjan zerknął na dowódcę, trzydzieści lat starszego od siebie, i przekonał się, widząc napięcie na jego kościstej twarzy, że czekanie męczy również Pomponiusza, nie tylko jego.

- Przeszli, dowódco - zawołał obserwator.

- Wydajcie rozkaz, centurionie! - krzyknął Pomponiusz do Faustusa.

- Przygotować się, chłopcy! - ryknął Faustus.

Powrozy się napięły.

- Na trzy ciągnąć, jakbyście ściągali Nubijczyka ze swojej matki. Raz, dwa, trzy!

Sześćdziesiąt stóp palisady zważyło się jednocześnie na ziemię. Żołnierze nie przestali ciągnąć, oczyszczając z większości pali ścieżkę dla czekających legionistów. Kiedy centuria z deskami ruszyła naprzód, Pomponiusz wydał rozkaz do natarcia. Zabrzmiały głębokie

dźwięki rogu i kohorty ruszyły wolnym biegiem pod górę, po nierównej, wciąż najeżonej zwalonymi palami ziemi, a potem w dół, świeżo przerzuconym przez rów drewnianym mostem.

Nim większość Traków zdołała uświadomić sobie nowe zagrożenie na flance, pierwsza kohorta pokonała już dwieście kroków, a druga zdążyła przejść przez wyrwę w palisadzie. Za nimi wysuwała się jazda, by ustawić się po ich prawej stronie.

Pomponiusz kazał się zatrzymać i uformować szyk głęboki na dwie centurie po lewej. Tysiąc pięciuset legionistów jak jeden mąż zwróciło się przodem ku nieprzyjacielowi.

Fala przerażenia przebiegła przez tłum Traków. Wiedzieli już o wypadzie przy bramie; nowe zagrożenie oznaczało, że będą walczyć na dwóch frontach, jednocześnie obsypywani pociskami ze szczytu umocnień. I wtedy, ze stoku góry, dobiegł przeciągły, przeszywający krzyk setek kobiecych głosów. Światło błyskawicy oświetliło na chwilę zbocze i wszystko stało się oczywiste. Przybyły trackie kobiety, zabrawszy ze sobą dzieci, by żyć lub umrzeć ze swoimi mężczyznami.

Widok ten wlał ogień w żyły wojowników. Porzucili wysiłki zdobycia umocnień i jednym wirującym, chaotycznym manewrem odwrócili się w stronę przybyłego nieprzyjaciela.

- Naprzód! - krzyknął Pomponiusz, a jego głos z podniecenia wzniósł się o oktawę.

Dźwięk rogów poniósł się nad rzymską linią, znaki pochyliły się i z łoskotem włóczni uderzanych o tarcze legioniści ruszyli do przodu.

Sto kroków dalej, widoczni zaledwie jako ciemniejsze cienie na tle upstrzonej ogniami ciemności, Trakowie wydali mrożące krew w żyłach wycie i ruszyli na Rzymian. Kolejna seria błyskawic ukazała, jak pędzą, wymachując nad głowami *rhomphaiai*, dzidami i oszczepami, rozchlapują kałuże, rozbryzgują błoto, przy czym wielu ślizga się, pada i zalewa ich fala podążających za nimi.

Wespazjan słyszał wokół okrzyki centurionów, zagrzewających swoich żołnierzy do równania linii i nieustannego posuwania się do przodu. Zaczęły na nich spadać pierwsze strzały i oszczepy, powalając kilku pechowców. Nie padł jeszcze rozkaz podniesienia tarcz, nie było na to czasu, obie strony zbyt szybko zbliżały się do siebie. Kolejnym rozkazem miało być „Rzucić włócznie z marszu”. Kiedy się rozległ, legioniści z trzech przednich podwójnych centurii pierwszej kohorty i trzech przednich centurii drugiej kohorty wzięli zamach, odliczyli trzy kroki i cisnęli *pila* w niebo, po czym natychmiast, maszerując w tym samym rytmie, wyciągnęli miecze. Ponad siedemset oszczepów spadło na zbliżającą się ciżbę wyjących, przepełnionych nienawiścią wojowników, przebijając hełmy z brązu i żelaza, jakby były

skorupkami jajek, przytwierdzając ludzi do ziemi w kałużach krwi, innych rzucając siłą uderzenia do tyłu. Zdarzało się, że długie, ostre jak brzytwa groty, przebijając kogoś na wylot, stercząc z pleców, trafiały biegnącego z tyłu, rzucając spiętych ze sobą żelazem mężczyzn w błoto, gdzie rozpaczliwie miotali się w ostatnich chwilach życia.

Wespazjan poczuł, jak zimne powietrze łaskocze go w gardle, kiedy przebiegał kilka ostatnich kroków. Tarczę miał uniesioną i spoglądał ponad jej krawędzią. Po jego lewej stronie Pomponiusz sapał ciężko, zmęczony tą szarżą, i młody człowiek zastanawiał się, jak ktoś o takiej tuszy znajduje dość sił, by walczyć w pierwszym szeregu. Myśl ta wyparowała mu z głowy pod wpływem uderzenia, które wstrząsnęło jego ciałem, kiedy obie strony wpadły na siebie. Choć nie tak liczni, ciężsi i ciaśniej ustawieni Rzymianie odrzucili Traków, zwalając z nóg znajdujących się na przodzie wojowników. Pokonali jeszcze kilka kroków, zanim, z wciąż nienaruszoną ścianą tarcz, stanęli w miejscu.

Potem zaczęło się zabijanie z bliska. Śmiertelnie groźne, kłujące ostrza rzymskiej maszyny wojennej rozpoczęły systematyczną robotę, wyskakując z błyskiem spomiędzy prostokątnych tarcz, ozdobionych emblematem IV legionu *Scythica* w postaci krzyżujących się błyskawic i głowy kozła. Pierwszym ciosem Wespazjana było mocne pchnięcie wymierzone w gardło leżącego u jego stóp osłupiałego Traka. Trysnęła krew, ochlapując młodemu trybunowi nogi. Szybko jednak skupił uwagę na wrzeszczącej w ciemności hordzie. Ostrza *rhomphaiai* świszczały w nocnym powietrzu, z mroku wyskakiwały groty włócznie; było prawie niemożliwością wiedzieć, z kim się walczy. Trzymał mocno tarczę w jednej linii z tymi po obu swoich stronach i dźgał raz za razem, czasami czując sztywność drewnianej tarczy, czasami miękkość przeszywanego ciała, a kiedy indziej trafiając w próżnię. Nagle usłyszał krzyk po prawej stronie. Legionista tuż obok padł na ziemię, o mało nie pozbawiając go równowagi; krew z głębokiej rany na szyi ochlapała dzierżącą miecz rękę i bok twarzy Wespazjana. Starczyło mu przytomności umysłu, by skulić się za swoją tarczą i ugodzić w brzuch Traka wpychającego się już w powstałą lukę. Mężczyzna zgiął się wpół; guz tarczy legionisty z drugiego szeregu, który zrobił krok do przodu nad martwym towarzyszem, by wypełnić wyrwę, natychmiast odrzucił do tyłu jego głowę. Wespazjan poczuł ramię legionisty przy swoim ramieniu i dalej dźgał mieczem przed sobą.

Nie przestawał ani na chwilę, podczas gdy rzymska linia posuwała się powoli do przodu, nieświadomy niczego poza wolą przeżycia. Tarczą odbijał ciosy wymierzone z ciemności, wbijał i obracał miecz w ciele przeciwnika, skupiając się bez reszty na tej walce. Rzęsisty deszcz, mieszając się z krwią, którą miał ochlapaną twarz, zalewał mu oczy i musiał ciągle mrugać. Jego broń zaczęła coraz częściej trafiać w próżnię; Trakowie się wycofywali.

Pomponiusz wykorzystał tę chwilę, by wydać rozkaz „Zmienić pierwszą linię”. Co drugi rząd żołnierzy zrobił krok w prawo, łącząc się w jeden z sąsiednim rzędem i tworząc przejścia, przez które ruszyli szybko do przodu żołnierze tylnych centurii z każdej kohorty. Kiedy już zastąpili zmęczonych towarzyszy, utworzyli jednolitą ścianę z tarcz. Róg zagrał znowu sygnał do ataku. Ruszyli za cofającym się nieprzyjacielem i kiedy byli już blisko, rzucili swoje włócznie. Ponad siedmiuset obciążonych ołowiem oszczepów pofrunęło w stronę Traków. Tego już było za dużo. Ci, którzy mogli, rzucili się do ucieczki; pozostali leżeli w błocie pola bitwy, zmasakrowani i krwawiący. Pojękiwali żałośnie, kiedy resztki ich życia wsączały się w ojczystą ziemię, której wolność, podobnie jak ich istnienie, na zawsze już została odebrana.

*

Wespazjan otarł krew z twarzy i odetchnął głęboko zimnym wilgotnym powietrzem, uspokajając się po przeżytej euforii i strachu. Pomponiusz kazał powstrzymać drugie natarcie i odwołał jazdę Petusa, nim została sama, odizolowana od reszty wojsk. Sprowadził także dziesiątą kohortę, ponieważ powierzony jej odcinek obwarowań został oczyszczony z nieprzyjaciela, drogą okrężną, przez wyrwę w ścianie. Obecnie wydawał centurionom i Petusowi rozkazy dotyczące ostatniego, decydującego uderzenia.

- Faustusie, weź pierwszą, drugą i dziesiątą kohortę i równo, miarowo nacieraj. Zepchnij nieprzyjaciela na ludzi Poppeusza przy bramie. Po drodze dobijaj wszystkich ich rannych. W miarę oczyszczania kolejnych odcinków fortyfikacji niech broniące ich kohorty drogą okrężną dołączają do ciebie. Ja wezmę jazdę Petusa i odetnę nieprzyjacielowi drogi ucieczki w górę, do fortecy. Jakies pytania, centurionie?

- Nie, legacie. - Faustus wtopił się w zasłonę deszczu, wydając rozkazy podległym mu centurionom.

- Petusie, dwa zapasowe wierzchowce dla trybuna i dla mnie. Dopadnijmy ich, nim zdolają się przegrupować.

- Z przyjemnością, dowódcu. - Prefekt jazdy uśmiechnął się, błyskając w mroku białymi zębami.

Zanim dosiedli koni i wymienili prostokątne tarcze piechoty na owalne tarcze jazdy, trzy kohorty Faustusa, dozbrojone we włócznie, przywiezione z obozu przez niewolników na wozach zaprzęzonych w muły, zaczęły przeć do przodu. Śpiewali przy tym hymn zwycięstwa IV legionu *Scythica* i uderzali oszczepami w tarcze, w rytmie zgodnym z tempem natarcia. Słyszalni pomimo szumu deszczu i widziani od czasu do czasu w blasku rozświetlających

niebo błyskawic, spychali Traków do tyłu, aż ci oparli się o swoich towarzyszy, na których z kolei nacierali z przeciwnej strony ludzie Poppeusza.

Wespazjan trzymał się blisko Pomponiusza i Petusa, kiedy jazda pomocnicza podążała jak cień za natarciem piechoty, blokując wszelkie próby zajścia legionistów z flanki, gotowa też uderzyć z boku na próbującego wycofać się wroga.

- Wiedzą, że nie będzie dla nich litości, jeśli się poddadzą - powiedział Wespazjan - więc dlaczego nie zakończą sprawy, przeprowadzając zmasowany atak?

- Zrobią to - zapewnił go Pomponiusz. - Teraz, kiedy są zgrupowani, użyją niewielkich sił, by powstrzymać kohorty Poppeusza, natomiast największe siły rzucają na naszych chłopców, żeby się przebić.

Walkę wręcz prowadzono teraz w pobliżu płonących fragmentów palisady, gdzie ogień dalej tak szalał, że obracał gęsty deszcz w obłoki pary. Światło pożarów oświetlało wciąż liczną hordę Traków, którzy formowali się do ostatniego, desperackiego natarcia. Wespazjan oceniał, że musi ich być naprzeciwko co najmniej trzy tysiące; nie wiedział, w jakim położeniu znalazł się V legion *Macedonica*.

Z potężnym rykiem, który zagłuszył śpiew i bębnienie w tarcze legionistów, Trakowie ruszyli do ataku. Tak jak przewidział Pomponiusz, tylko niewielka ich część uderzyła na kohorty wychodzące przez bramę, reszta, ponad dwa tysiące wojowników, rzuciła się na IV legion *Scythica*.

Wespazjan patrzył, jak Trakowie posyłają w powietrze ogromną liczbę oszczepów i strzał z łuków. Zniknęły one z pola widzenia, kiedy wzniosły się ponad światło płomieni i pojawiły ponownie, opadając na rzymskie szeregi. Tym razem jednak Rzymianie mogli bez przeszkód osłonić się tarczami od góry, co znacznie zniwelowało siłę i skuteczność tego ataku. Mimo to w szeregach pojawiło się wiele luk, kiedy zabójcze pociski trafiły w cel. Legioniści z traskiem opuścili tarcze i w chwilę później powietrze przeszyły ich włócznie, nisko lecące, przez cały czas oświetlone płomieniami i dobrze widoczne w drodze do celu. Spadły na atakujących Traków, powalając wielu z nich, ale nie odstrasżając żadnego. Rzucili się na rzymskie linie niczym wrzeszczące furie, tnąc bezlitośnie i nie oczekując litości, walcząc z takim bestialstwem i gwałtownością, że nawet z odległości kilkuset kroków Wespazjan niemal fizycznie odczuwał każdy zadany przez nich cios.

- A teraz uderzymy w ich flankę! - zawołał Pomponiusz. - Petusie, daj rozkaz do ataku.

Petus skinął głową i *liticen* podniósł długi na pięć stóp brązowy *lituus*, róg z wygiętą do góry czarą w kształcie dzwonu, i przyłożył wargi do ustnika. Wydał przenikliwy, wysoki

sygnał i czterystu osiemdziesięciu ludzi z oddziału pomocniczego linią głęboką na czterech jeźdźców ruszyło powoli naprzód. Po dwudziestu krokach zabrzmiał kolejny sygnał i konie poszły stępa. Pięćdziesiąt kroków od nieprzyjacielskiej linii ostatni sygnał pognął je galopem. Chmura oszczepów opadła na niechronioną flankę Traków. Wespazjan wpadł koniem w masę ciał, trając każdego na swojej drodze i szlachtując tych, którzy jeszcze trzymali się na nogach. Znowu czuł owo uniesienie - bliskie radości - towarzyszące walce, dopóki z tyłu nie dotarło do niego przeraźliwe, przenikliwe wycie. Zerknął za siebie i dojrzał jakieś nowe, świeże siły uderzające na tyły jazdy.

To trackie kobiety ruszyły do ataku.

Zignorowane jako bierni widzowie i zapomniane po tym, jak pierwszy raz zjawily się na stoku, teraz, kiedy jazda zaatakowała, zostawily dzieci pod opieką starców i w ciemności zbliżyły się niepostrzeżenie. Za broń miały noże, kije z utwardzonymi w ogniu czubkami i własne gołe ręce. Całe ich setki spadły na niespodziewającą się niczego jazdę. Wślizgnęły się pomiędzy szeregi żołnierzy niczym jakieś upiorne harpie i nie zważając na własne bezpieczeństwo, skupione jedynie na wyrządzeniu jak największych szkód, przecinały koniom ścięgna stawu skokowego, dźgały je w zady albo brzuchy, by stawały dęba, zrzucając jeźdźców, albo same ściągały mężczyzn z siodeł. Ci, którzy znaleźli się na ziemi, natychmiast znikali pod falą najeżoną zębami, zakrzywionymi w szpony palcami i prowizoryczną, ale zabójczą w ich rękach bronią. Wyli z bólu, kiedy wydrapywano im oczy, gryziono i rozrywano na sztuki.

Wespazjan zawrócił wierzchowca w ostatnim momencie, tuż przed tym, jak pierwsze kobiety dotarły do czołowego szeregu. Błyskawicznym cięciem z góry pozbawił ręki kobietę, mierzącą nożem w jego udo, a potem wbił czubek ostrza w jej oko. Wszędzie wokół niego żołnierze odwracali się tyłem do trackich wojowników i zawracali wierzchowce, by stawić czoło temu nieprzewidzianemu zagrożeniu, rżnąc tego dziwaczego, oszalałego, długowłosego nieprzyjaciela. Było już jednak za późno. Wróg zdążył przeniknąć do całej jednostki. Większość żołnierzy musiała walczyć z kilkoma przeciwniczkami naraz, ponieważ ich przewaga liczebna była zdecydowana.

Kilka kroków na prawo zwarta grupa jakichś pięćdziesięciu żołnierzy pod komendą Petusa wciąż trzymała się mocno. Wespazjan zobaczył, jak Pomponiusz spada ze spłoszonego wierzchowca, kiedy próbował się przebić przez mrowie skąpanych we krwi kobiet do tej ścieśnionej i jeszcze bezpiecznej części jednostki. Trybun wezwał znajdujących się najbliżej żołnierzy i nie czekając na nich, pospieszył w stronę dowódcy. Zmuszał konia do stawiania dęba i wtedy przebiegające w powietrzu przednie kopyta roztrzaskiwały czaszki i obojczyki

kobiet stojących mu na drodze, po czym puszczał konia po ich leżących ciałach. Wspierany przez pół tuzina ludzi wyrąbał sobie ścieżkę do miejsca, w którym teraz klęczał Pomponiusz, otoczony przez wyjące kobiety. Kiedy Wespazjan był już blisko, rzuciły się na legata, obalając go na ziemię, okładając pięściami i starając się rozszarpać. Wespazjan zeskoczył z konia prosto w to kłębowisko i zaczął dźgać na oślep w odsłonięte plecy napastniczek, dziurawiąc płuca, przebijając nerki i otwierając żyły. Jego ludzie otoczyli go kordonem, podczas gdy on odrzucał bezwładne ciała, by wreszcie dotrzeć do Pomponiusza, wstrząśniętego, ale żywego.

- Możesz utrzymać się na nogach, dowódcu? - spytał szybko.

- Tak, nic mi nie jest, trybunie - odparł Pomponiusz, podnosząc się i łączywie chwytając powietrze. - Zawdzięczam ci coś więcej niż życie, zawdzięczam ci swój honor. Pomyśleć, że mogłem zginąć z rąk kobiet, i to w takich okolicznościach... co za hańba.

W tym momencie żołnierze Petusa zaczęli zorganizowane natarcie. W zwartym szyku, kolano przy kolanie, jeźdźcy sunęli do przodu, tratując końmi nieustępujące im kobiety. Dodało to animuszu innym grupkom tych, którzy przeżyli, bo zaczęli walczyć z zaciętością, która przewyższała nawet zaciętość ich zdesperowanych przeciwniczek. Powoli pojedyncze grupki połączyły się w całość, odrzucając kobiety do tyłu, zabijając tyle, ile się dało, po czym pozostali przy życiu żołnierze oddziału pomocniczego jazdy dokonali przegrupowania. Z pierwotnej liczby czterystu osiemdziesięciu ludzi pozostało stu sześćdziesięciu na koniach oraz dziewięćdziesięciu, pośród nich Wespazjan i Pomponiusz, pieszych. Niemal połowa leżała zmasakrowana na przesiąkniętej deszczem ziemi. Należało ich pomścić.

Teraz, kiedy główna bitwa wciąż toczyła się za nimi, a flanka IV legionu *Scythica* zabezpieczona była przez niedawno przybyłe dwie kohorty, uwolnione od obrony umocnień, żołnierze jazdy pomocniczej zaczęli spędzać kobiety w ciasno zbite stado. Kilkudziesięciu udało się wymknąć i pobiec w górę stoku do swoich dzieci, jednak ostatecznie większość znalazła się w okrążeniu. Stały teraz, w milczeniu oczekując swojego losu. Żadna nie padła na kolana, by błagać o litość; wiedziały, że po tym, co zrobiły, nie mogą jej oczekiwać. Umrą, jak umierają ich mężczyźni, na oczach swoich dzieci, buntownicze do samego końca.

Żołnierze zsiadli z koni i przy akompaniamencie ostrego zgrzytu metalu wydobyli miecze. Padł rozkaz do natarcia. Wespazjan zacisnął dłoń na rękojeści, podniósł owalną tarczę i ruszył ku znieruchomiałym kobietom. Nawet w chwili, kiedy jego miecz zanurzył się w gardle stojącej przed nim młodej dziewczyny, żadna kobieta nie poruszyła się ani nie wydała głosu. Stały tam tylko bezbronne, rzucając Rzymianom wyzwanie, by zabijali je z

zimną krwią. A oni je mordowali, systematycznie, mściwie, myśląc o swoich poległych towarzyszach.

Wespazjan wycinał drogę przed sobą bez współczucia, zabijając młode, stare, piękne i szpetne; nie robiło mu to różnicy. Przepelniała go nienawiść i okrutna furia. Nie czuł szaleńczej euforii jak podczas bitwy. Wyzwolilo się w nim to głęboko ukryte pragnienie, by zobaczyć, jak umierają ludzie należący do obcego plemienia czy wyznający innych bogów. Wiedział, że tylko poprzez ich śmierć on sam, zabójca, poczuje się oczyszczony i bezpieczny.

Kiedy ostatnie z kobiet padły pod ciosami ociekających krwią mieczy, żołnierze, których żądza zemsty została zaspokojona, odwrócili się. Nie wznosili radosnych okrzyków, nie obejmowali się z kolegami z ulgą i radością zwycięzców, którzy przeżyli. Po prostu dosiedli koni i w milczeniu czekali na rozkazy, niezdolni patrzeć jeden drugiemu w oczy. Ich duma została głęboko zraniona.

Rozdział dwudziesty siódmy

Wespazjan odebrał swojego wierzchowca i z jego grzbietu, u boku Pomponiusza, obserwował ostatnie stadium toczony poniżej w mroku przedświt bitwy. Główne siły IV legionu *Scythica* dotarły, walcząc, niemal do samej bramy, która była teraz zabezpieczona przez uczestniczące w wypadzie kohorty Poppeusza. Trakowie, miażdżeni pomiędzy dwoma zastępami ciężkiej rzymskiej piechoty, stawiali coraz mniejszy opór, w miarę jak coraz większa liczba wojowników padała pod ciosami mieczy nieustępliwych, wyćwiczonych legionistów. Po przeciwnej stronie bramy V legion *Macedonica* odtwarzał te zmagania w lustrzanym odbiciu. Jazda nie miała już nic do roboty; tracka rewolta została w końcu zduszona dzięki dowództwu człowieka, który przynajmniej częściowo odpowiadał za jej wybuch.

- Powinniśmy zameldować się u Poppeusza - powiedział spokojnie Pomponiusz - i pogratulować mu zwycięstwa. - Podniósł ramię i rozkazał jeździe ruszyć stępa ku bramie.

- To powinno być twoje zwycięstwo, legacie - odparł Wespazjan.

- Co masz na myśli? - spytał Pomponiusz, ruszając do przodu.

Wiedząc, że Azyniuszowi potrzebny jest potężny sojusznik w zbliżającej się konfrontacji z Poppeuszem, Wespazjan powiedział mu o tym, że wódz naczelny odmówił wykonania rozkazu cesarza i senatu, by natychmiast powrócić do Rzymu. Powiedział mu o Poppeuszowej i Sejanowej zdradzie i o udziale w niej Rotekesa oraz Hazdrona. Kiedy przejeżdżali przez zasłane trupami pole bitwy, które rozbrzmiewało teraz radosnymi głosami zwycięskich legionistów, złość Pomponiusza stopniowo narastała; nie tyle chodziło mu o dwulicowość Poppeusza, ile raczej o własną urażoną godność. Okrzyki wojsk na cześć zwycięskiego wodza należały się jemu, a nie Poppeuszowi. Mało że obrabowano go z chwały, to jeszcze niewiele brakowało, by zginął niechlubną śmiercią, rozdarty na kawałki przez zgraję dzikusek. Zanim dotarli do bramy, Pomponiusz kipiał oburzeniem. Widok Poppeusza jadącego pomiędzy szeregami wiwatujących żołnierzy, z uniesionym do góry hełmem, okazał się dla niego torturą.

- Falszywy wypierdek - wściekał się. - Zobacz, jak się pławi w chwale. Nie wykrzykiwaliby tak głośno na jego cześć, gdyby wiedzieli, że pomógł opłacić ten bunt i że ich towarzysze zginęli wyłącznie po to, by on mógł zaspokoić swoje ambicje.

Przy bramie, obok dymiących jeszcze szczątków tarana, pospiesznie ustawiono mównicę. Poppeusz tam właśnie skierował konia, jadąc przez ciżbę uniesionych radością legionistów. Jechał powoli, bo każdy żołnierz pragnął dotknąć wodza czy przynajmniej spojrzeć mu w oczy albo usłyszeć słowo pochwały. W końcu dotarł do mównicy i przeskoczył na nią prosto z grzbietu wierzchowca. Uniósł ramiona, teatralnym gestem wyrzucił je do przodu, a potem na boki, żeby włączyć w swoje zwycięstwo wszystkich obecnych. Żołnierze IV legionu *Scythica* i V *Macedonica* ryknęli z uznaniem. Hałas był ogłuszający. Zaczął się jako jednostajnie płynące fale dźwięku, by stopniowo przechodzić w rytmiczne skandowanie. Z początku trudno było wyłowić poszczególne słowa, unoszące się nad niewielką częścią tłumu, szybko jednak rosły w siłę, kiedy coraz większa liczba upojonych legionistów podjęła tę recytację. Wkrótce słowa zabrzmiały całkiem wyraźnie.

- Imperator! Imperator! Imperator!

Tysiące ludzi powtarzało to teraz jednocześnie, zgodnie z rytmem dżgając mieczami powietrze. Poppeusz stał samotnie na podwyższeniu, pośród morza twarzy oświetlonych pierwszymi promieniami słońca. Z głową odrzuconą do tyłu i szeroko rozpostartymi ramionami obracał się powoli, przyjmując dochodzące ze wszystkich stron okrzyki uznania.

Pomponiusz, unosząc brwi, zwrócił się do Wespazjana.

- Cóż za odważny wódz - zawołał ponad wrzawą - który pozwala swojej armii pozdrawiać się tytułem dziś przysługującym tylko cesarzowi.

- Pożałowałby tego, gdyby cesarz się dowiedział - odpowiedział mu, również głośno krzyżąc, Wespazjan.

- Gorzko by pożałował - mówił do siebie zamyślony Pomponiusz, zauważywszy powstałe w pobliżu podwyższenia zamieszanie.

Czterej liktorzy Azyniusza przepchali się od bramy przez tłum, zbliżyli do mównicy i teraz pomagali senatorowi wejść na podium. Ubrany w obramowaną purpurą togę prokonsula Azyniusz podszedł do Poppeusza i uściskał go. Ze swojego miejsca Wespazjan widział przylepiony do twarzy Poppeusza sztuczny uśmiech, kiedy legat zmuszony był odwzajemnić ten uścisk. Po chwili senator podniósł do góry prawą rękę Poppeusza. Potężny okrzyk radości zastąpił powtarzane w kółko słowa. Wtedy Azyniusz podszedł na skraj podwyższenia, wysuniętymi do przodu otwartymi dłońmi dał znak, że żąda ciszy. Wrzawa umilkła. Wyprostował się i przemówił.

- Żołnierze Rzymu. - Jego głos zabrzmiał donośnie w chłodnym powietrzu świtu. - Niektórzy z was mnie znają, ale tych, którzy mnie nie znają, informuję, że jestem Marek Azyniusz Agryppa - oznajmił. Tu i ówdzie rozległy się powitalne okrzyki. - Przybywam tutaj

z przesłaniem od waszego cesarza i senatu dla was i dla waszego zwycięskiego wodza. Z przesłaniem tak istotnym, że powierzono je człowiekowi w randze konsula.

Słowa te przyjęto jeszcze bardziej entuzjastycznymi owacjami. Twarz Poppeusza skamieniała, kiedy legat uświadomił sobie, że go wymanewrowano. Azyniusz poczekał, aż znowu zapadnie cisza, po czym mówił dalej.

- Dokonania waszego wodza zostały docenione. Senat przyznał mu prawo do triumfu, a cesarz z zadowoleniem potwierdził tę nagrodę dla swojego wyjątkowego i zaufanego sługi - powiedział senator bez cienia ironii w głosie.

Przez pole przetoczył się ryk aprobaty. Azyniusz napotkał wzrok Pomponiusza i przywołał go gestem. Wespazjan podążył za nim, przepychając się wierzchowcem przez rozkołysane masy legionistów aż do podstawy mównicy.

Azyniusz ponownie gestem uciszył żołnierzy.

- Legat Poppeusz proszony jest o natychmiastowy powrót do Rzymu, by odebrać nagrodę za wierną służbę. - Senator odwrócił się i uśmiechnął do Poppeusza, który stał porażony wściekłością, a jednocześnie bezsilny, podczas gdy prokonsul manipulował tłumem. - Cesarz jednak zastąpił go właściwym człowiekiem, dzielnym żołnierzem, którego wielu z was zna. Żołnierze Rzymu: cesarz daje wam Pomponiusza Labeona.

Legioniści Pomponiusza zdjęli go z konia i nie bez trudności postawili na podwyższeniu. Dowódca IV legionu objął Poppeusza, który stał przykuty bezsilnie do miejsca, podczas gdy obrabowywano go z jego chwili chwały. Potem Pomponiusz zwrócił się do żołnierzy, którzy zamilkli po raz kolejny.

- Poppeusz odniósł dzisiaj wielkie zwycięstwo i zasłużył na nagrodę. Ja uczynię wszystko, co w mojej mocy, by poprowadzić was tak jak on. On może wrócić do Rzymu ze świadomością, że jego żołnierze są w dobrych rękach. Dopilnuję, by wasze okrzyki „Imperator” podążyły za nim. Odbiją się one echem w senacie, jako hołd złożony jego dzisiejszym uczynom. Cały Rzym będzie wiedział, jak fetowaliście go wy, dzielni żołnierze Rzymu. Na Marsa Zwycięzcę przysięgam, że tak uczynię.

Kiedy znowu wybuchły owacje, Wespazjan zobaczył, jak po twarzy Poppeusza przesuwa się cień, kiedy legat uświadomił sobie, że posunął się zbyt daleko, godząc się na tytuł należny jedynie cesarzom.

Azyniusz dołączył do stojącego na skraju mównicy Pomponiusza i ponownie poprosił o ciszę.

- Żołnierze Rzymu, wasz udział w tym zwycięstwie nie pozostał niezauważony i zostanie on stosownie nagrodzony.

Kiedy to mówił, Magnus i siedmiu innych liktorów przepchnęło się do podwyższenia i wstawiło na nie dwie ciężkie skrzynie. Wespazjan zobaczył, że są większe, ale poza tym bardzo podobne do tej skrzyni, którą widział w obozie Cenów.

Teatralnym gestem Azyniusz uniósł wieka, by pokazać, że skrzynie wypełnione są po brzegi srebrnymi monetami. Krew odpłynęła Poppeuszowi z twarzy, otwierał i zamykał usta, bezskutecznie usiłując powiedzieć coś, co przerwałoby ten koszmar.

- Cesarz i senat postanowili - ciągnął gładko Azyniusz, radując się udręką swojego nieprzyjaciela - że w uznaniu waszych zasług w stłumieniu trackiego buntu każdemu legionście i każdemu żołnierzowi oddziałów pomocniczych zostanie wypłacona nagroda z cesarskiej szkatuły.

Ta wiadomość wywołała nieokiełznany wybuch radości. Wespazjan dotarł wreszcie do Magnusa.

- Czy to jest to, co myślę? - zapytał, zsiadając z konia.

- To zależy. Jeśli myślisz, że to oszczędności mojego życia - odparł Magnus z szerokim uśmiechem - to się mylisz, ale jeśli sądzisz, że to są te dwie pozostałe skrzynie Poppeusza, to masz rację.

- Gdzie je znalazłeś?

- Tkwiły sobie spokojnie tam, w kwaterze Poppeusza, kiedy włamałem się po te listy. Zostawienie ich na miejscu wydawało mi się wielkim marnotrawstwem, więc wróciłem do Azyniusza, który był uprzejmy wypożyczyć mi kilku swoich liktorów, by je stamtąd zabrać... jednak najpierw wziąłem kilka woreczków na pokrycie kosztów naszej podróży, jeśli wiesz, co mam na myśli?

- Chyba wiem. - Wespazjan roześmiał się, poklepując przyjaciela po ramieniu.

Azyniusz zaczął znowu przemawiać.

- Moje zadanie tutaj zostało wykonane - mówił dalej prokonsul - i mogę teraz kontynuować przerwana podróż do mojej prowincji. Przywiezienie wam cesarskiej nagrody było dla mnie zaszczytem. Jestem pewien, że legat Poppeusz zechce bezzwłocznie, zanim wyruszy do Rzymu, ją rozdzielić. Centurionowie, wręczcie swoim żołnierzom należną im nagrodę już tutaj, a wszyscy wrócą do obozu bogatsi. Chwała cesarzowi!

Kiedy senator ruszył na skraj podwyższenia, gdzie Wespazjan z Magnusem czekali, by pomóc mu zejść na dół, Poppeusz z wyrazem nieposkromionej nienawiści chwycił go za ramię.

- Drogo za to zapłacisz - syknął.

- Mój drogi Poppeuszu - odparł mu z zadowolonym uśmiechem Azyniusz - o co ci też może chodzić? Bo mnie się wydaje, że to ty właśnie drogo płacisz.

*

Wracając pieszo do obozu, Azyniusz był w wyśmienitym nastroju. Jego liktorzy torowali mu drogę pośród tysięcy żołnierzy spieszących, by jak najszybciej stanąć w szyku na usłanym ciałami zabitych polu, w swoich centuriach i kohortach, i odebrać obiecany szczodry dar. Kiedy ich mijał, zajęty ożywioną rozmową z Wespazjanem i Magnusem, pozdrawiali go wesoło.

- Twój człowiek świetnie się spisał, Wespazjanie - oświadczył, klepiąc Magnusa po plecach. - Mało że zdobył listy, to jeszcze wykradł Poppeuszowi te skrzynie. O takim wyczynie nie mogłem nawet marzyć. To całkowicie rozgromiło Poppeusza. Mam nadzieję, że nie rozdaje teraz pełnej zawartości skrzyń?

- Nie, panie - odparł Magnus. - Ujęto mały procent na pokrycie kosztów.

- Doskonale, zasługujecie na to. Muszę przyznać, że sam wziąłem kilka garści dla moich liktorów.

- A co z listami, Azyniuszu? - spytał Wespazjan.

- Magnusowi udało się znaleźć pół tuzina listów, które świadczą o tym, że Poppeusz i Sejan wplątani są w ten tracki spisek. Przed świtem wysłałem Remetalkesa z trzema z nich, teraz już na pewno ma za sobą kawał drogi do Filippopolis. Stamtąd królowa Tryfena dostarczy te listy Antonii, która doda je do wciąż rosnącej masy dowodów, jakie w stosownym czasie przedstawimy Tyberiuszowi. Tymczasem, jak sądzę, te trzy okażą się wystarczającym środkiem odstraszającym, który nie pozwoli Poppeuszowi i Sejanowi zaciągnąć mnie przed senat z oskarżeniem o zdradę. - Poklepał zawieszoną na szyi skórzaną torbę.

- Co zamierzasz zrobić z kapłanem?

- Och, myślę, że oddam go Poppeuszowi jako pożegnalny prezent - zachichotał Azyniusz. - Uważam, że są siebie warci, nie sądzisz?

- Poppeusz zapewne uzna, że zachowanie go przy życiu może być zbyt niebezpieczne.

- Na to właśnie liczę.

Dotarli do namiotu Azyniusza i senator zatrzymał się, by ich pożegnać.

- Wyjeżdżam bezzwłocznie. Nie chcę być tutaj, kiedy Poppeusz wróci i stwierdzi, że nie ma jego listów, a jeszcze mniejszą mam ochotę towarzyszyć mu w podróży, kiedy pod koniec dnia wyruszy w drogę. Skorzystaj z mojej rady, Wespazjanie, i zaszyj się gdzieś do czasu jego wyjazdu i do czasu całkowitego przejścia dowództwa przez Pomponiusza.

- Uczynię tak, Azyniuszu. Niech bogowie będą z tobą.

- Na pewno by byli, gdybym w nich wierzył. Powodzenia i do zobaczenia w Rzymie, za jakieś cztery lata. - Uścisnął Wespazjana, po czym zwrócił się do Magnusa. - Dzięki, przyjacielu, jestem twoim dłużnikiem i tego nie zapomnę.

- Zjawię się u ciebie w Rzymie, panie, kiedy będę potrzebował przysługi.

- Możesz na mnie liczyć. Tymczasem żegnaj.

Zatrzymując przy sobie czterech liktorów, by strzegli jego osobistego bezpieczeństwa, i dwóch, by pilnowali wejścia, Azyniusz odesłał pozostałych pięciu, by przygotowali się do drogi powrotnej, po czym wszedł do namiotu.

- No cóż, słyszałeś, co powiedział - rzucił Wespazjan, kierując się ku swojej kwaterze.

- Zniknijmy stąd na dzień czy dwa.

- Bardzo chętnie.

Nie uszli nawet dziesięciu kroków, kiedy zatrzymał ich szczepek broni i krzyk. Odwrócili się i zdążyli zobaczyć, jak tamtych dwóch strażników Azyniusza wbiega do jego namiotu.

- A niech to! - jęknął Wespazjan, wyciągając miecz, kiedy z namiotu dotarł jednoznaczny odgłos padających na ziemię ciał. Pozostali liktorzy też usłyszeli hałas i biegli z powrotem z wyciągniętymi mieczami. Nie myśląc o żadnej taktyce, Wespazjan, Magnus i pięciu liktorów wpadli do wnętrza namiotu.

- Zatrzymajcie się albo spotka go paskudny los - zawołał Hazdro.

Trzymał miecz na gardle Azyniusza, a lewą ręką naciskał na głowę prokonsula, zmuszając go, by ukląkł. Jego trzej towarzysze, pretorianie, stali przed nim, pośród ciał liktorów, z czubkami mieczy wymierzonymi w odległego o dwa kroki Wespazjana i jego towarzyszy. Za nim sekretarz Poppeusza, Kratos, trzymał w rękach trzy listy. W kącie leżał półprzytomny Remetalkes.

- Interesująca sytuacja - oświadczył Wespazjan, dysząc ciężko. - Mamy przewagę liczebną, jak zatem zamierzacie ująć stąd z życiem?

- Rzekłbym, że to dość proste. - Czarne oczy Hazdrona spoglądały złowrogo, a w kąciku ust igrał uśmieszek. - Prokonsul daje nam to, co chcemy, a w zamian za jego życie wy pozwalacie nam odejść.

- Nie pozwólcie im... - zaczął Azyniusz, ale uderzenie pięścią w bok głowy go uciszyło.

- Jeszcze jedno słowo i obetnę ci nos - rzucił Hazdro, potrząsając obtłuczoną dłonią. Pociągnął za skórzaną sakwę, wiszącą na szyi Azyniusza, i zerwawszy rzemień, rzucił ją Kratosowi. - Sprawdź - warknął.

Kratos szybko wyciągnął i przejrzał listy.

- Są tutaj wszystkie pozostałe - potwierdził, dodając je do tych trzech, które już wcześniej odebrał młodemu królowi.

- Spal je, żeby ten idiota, twój pan, znowu ich nie utracił.

Kratos rzucił listy do żelaznego kosza z żarem.

- Ratujcie je! - krzyknął Azyniusz, kiedy zajęły się płomieniem.

Przycisnął nagle szyję do Hazdrowego miecza i przesunął gardłem po ostrzu. Krew trysnęła wokół, kiedy ostrze przecięło miękką tkanę. Hazdro patrzył z niedowierzaniem na drgające ciało bezużytecznego już zakładnika, który osuwał się, gulgocząc, na jego zbrukane krwią stopy.

- Teraz! - krzyknął Wespazjan, rzucając się naprzód. Wpadł na najbliższego pretorianina, chwycił go za prawy nadgarstek, zmuszając do wyrzucenia miecza w powietrze. Błyskawicznym pchnięciem wbił ostrze w brzuch zaskoczonego mężczyzny i czując, jak krew spływa mu po ramieniu, pokręcił mieczem w jego trzewiach. Pretorianin zgiął się wpół i padł do przodu, przewracając Wespazjana. Wrzask bólu, tak blisko jego ucha, omal go nie ogłuszył, kiedy usiłował wyciągnąć swój zatopiony w jelitach przygniatającego go mężczyzny miecz. Magnus minął go pędem i rzucił się na Hazdrona, który poślizgnął się na krwi Azyniusza. Obaj upadli na ziemię, zmagając się w zapasach, bo z tej odległości miecze były bezużyteczne. Za ich plecami liktorowie rzucili się na dwóch ostatnich pretorianów, którzy padli pod gradem cięć i pchnięć, nieprzerwanych nawet wtedy, kiedy już uszło z nich życie.

Wespazjanowi udało się wydobyć spod wyjącej ofiary, zostawiwszy miecz tkwiący w jego brzuchu. Kątem oka dostrzegł wymykającego się ku wyjściu Kratosa.

- Brać go żywcem! - warknął do liktorów, odzyskując swój miecz. Stanął za Hazdronem, który siedział teraz okrakiem na Magnusie, zaciskając wielkie łapy na gardle szarpiącego się pięściarza. Wespazjan odwiódł ramię, w którym trzymał miecz. Oczy Magnusa na moment skupiły się na tym ruchu. Hazdro odwrócił głowę, a wyraz jego twarzy świadczył o tym, że wie, co nadchodzi. Potężnym, czystym cięciem Wespazjan oddzielił jego głowę od ramion, a ona, obracając się w fontannie krwi, wyfrunęła w powietrze. Odcięte długie włosy osunęły się po plecach. Tors zwałił się na Magnusa, zalewając mu twarz krwią z otwartych tętnic szyjnych.

- Czy to było konieczne? - spytał Magnus, parszając i odrzucając trupa na bok. - Właśnie miałem go zrzucić.

- Pomyślałem sobie, że lepiej na zimne dmuchać... - odparł Wespazjan, zdumiony tym, czego właśnie dokonał. - Z miejsca, w którym stałem, można było bowiem odnieść wrażenie, że masz pewne trudności. - Wyciągnął rękę, żeby pomóc wstać przyjacielowi, który wyglądał jak człowiek przeznaczony na ofiarę w jakimś szczególnie krwawym obrzędzie.

Popatrzył w dół, na Azyniusza, który leżał bez ruchu, z oczami wlepionymi martwo w kosz z żarem, gdzie bezcenne dokumenty zdążyły się już obrócić w popiół.

- A niech to lichu! - wykrzyknął, uzmysłowiwszy sobie wagę straty. Spojrzał ku Remetalkesowi, który siedział sztywno wyprostowany w kącie, z oczami utkwionymi w odciętej głowie Hazdrona. - Co się stało? Myślałem, że Azyniusz już kilka godzin temu wysłał cię w drogę.

Młody król oderwał wzrok od leżącej głowy.

- Tak zrobił, ale ci ruszyli za mną - mówił z trudem przez spuchnięte usta. - Zabili moją eskortę i sprowadzili mnie tutaj, byśmy razem poczekali na Azyniusza. Wiedzieli o listach. Kratos przyszedł tutaj tuż przed powrotem Azyniusza, żeby je zweryfikować. Potem zjawiliście się wy, to wszystko, co wiem.

Wespazjan zwrócił się do Kratosa, który przytrzymywany przez dwóch liktorów, kulił się ze strachu. Przytknął czubek miecza do jego podbródka.

- A więc? - zapytał.

- Zobaczyłem, że włamano się do kwatery mojego pana, ściana namiotu była rozcięta i zniknęły skrzynie ze srebrem, więc sprawdziłem jego korespondencję i stwierdziłem, że części brakuje. Moje podejrzenie natychmiast padło na Azyniusza, wobec czego poinformowałem Hazdrona. - Kratos mówił szybko, z przejęciem, chciał udzielić jak najwięcej informacji, wiedząc, że stawką jest jego życie. - Przyszliśmy tutaj, do namiotu Azyniusza, i w części sypialnej znaleźliśmy związanego Rotekesa, tego kapłana. To on podsłuchał, jak Azyniusz wyprawia Remetalkesa do Filippopolis.

- Ale przecież Rotekes nie wspomniał o listach.

- Nie, ale my po prostu założyliśmy, że wyjechał ze wszystkimi listami. Byłoby to logiczne posunięcie ze strony Azyniusza.

- Gdzie jest teraz kapłan?

- Wyjechał.

- Dokąd?

- Pojechał z Hazdronem i jego ludźmi pojmać Remetalkesa.

- Ale gdzie jest teraz?

- Nie wiem.

Wespazjan nacisnął lekko miecz, zmuszając przerażonego sekretarza, żeby jeszcze mocniej odchylił głowę.

- Przysięgam, że nie wiem! Kiedy wróciłem, żeby sprawdzić listy, które znaleziono przy królu, już go tutaj nie było.

- Uciekł, kiedy mnie schwytali - wychrypiął Remetalkes ze swojego kąta. - Chciał mnie zabić, ale kiedy Hazdro nie wyraził zgody, pogalopował dalej na swoim koniu. Hazdro nie miał czasu go gonić. Kiedy odkrył, że mam tylko połowę listów, chciał wrócić tutaj i znaleźć Azyniusza, żeby odzyskać resztę.

W oczach Wespazjana rozbłysła iskierka nadziei; jeśli się pospieszą, być może uda się uratować sytuację. Uśmiechnął się, patrząc na kulącego się Kratosa.

- Zatem poza nami jesteś jedyną osobą, która mogłaby powiedzieć Poppeuszowi, kiedy ten odkryje brak listów, że je zniszczono, prawda?

Kratos przełknął ślinę.

- Tak, ale ja nic nie powiem, przysięgam na życie.

- Nie wierzę ci. - Wespazjan wbił miecz przez podbródek Kratosa do jego mózgu. Oczy sekretarza wyszły z orbit ze zdumienia, a ciało oklapło. - Wyośmy się stąd, zanim wrócą żołnierze i Poppeusz - powiedział Wespazjan, wycierając krew z klingi w tunikę Kratosa. Spojrzał na liktorów. - Zabierzcie ciało swojego pana i pędźcie co koń wyskoczy do Filippopolis. Tam możecie go spopielić, ale uczynicie to po cichu. Potem, kiedy wrócicie do Rzymu, udajcie się do pani Antonii. Dopilnuję, by wasza lojalność została wynagrodzona. Remetalkesie, ruszaj z nimi, żeby im pomóc. Musimy się postarać, żeby śmierć Azyniusza jak najdłużej pozostała tajemnicą.

- Dlaczego? - spytał król, z trudem się podnosząc.

- Ponieważ kiedy Poppeusz odkryje brak listów, natychmiast zjawi się tutaj i... nie znajdzie Azyniusza i listów. Założy najgorsze i będzie miał do wyboru dwa rozwiązania: samobójstwo albo powrót do Rzymu i nadzieję, że jakoś to będzie. Żadne nie będzie dla niego szczególnie atrakcyjne. Nakłoń matkę, by napisała do Antonii i wszystko jej opowiedziała. Jeśli Antonii uda się przekonać Poppeusza, że to ona ma te listy, będzie mogła go szantażować, by dostarczał jej informacji o Sejanie, i wtedy ofiara Azyniusza nie pójdzie na marne.

- Co się jednak stanie, kiedy Poppeusz się dowie, że Azyniusz nie żyje?

- Nie będzie to już istotne, byle tylko się nie dowiedział, że zginął tutaj, co niechybnie nastąpi, jeśli usłyszysz, jak ciągle o tym rozprawiamy. Ruszajcie już!

Liktorowie podnieśli szybko ciało Azyniusza i przykryli je kocem. Wespazjan poprowadził ich pospiesznie przez pusty obóz do miejsca postoju koni, gdzie przywiązali ciało do grzbietu jednego z nich. Z oddali dobiegał gwar głosów żołnierzy odbierających swoją hojną nagrodę.

Patrząc na Remetalkesa i liktorów opuszczających pędem obóz i zabierających ze sobą dowód, który uspokoiłby Poppeusza, Wespazjan odczuł ogromną ulgę; brał udział w rozgrywce o bardzo wysokie stawki i chociaż zwycięstwo nie było całkowite, wciąż pozostawał przy życiu. Przypomniawszy sobie słowa matki, które kiedyś podsłuchał: „Bogini Fortuna będzie miała go w swojej pieczy, żeby przepowiednia się spełniła”. Pomyślał, że złoży Fortunie ofiarę dziękczynną, by zapewnić sobie jej dalszą przychylność i opiekę. Spojrzał na Magnusa i uśmiechnął się.

- Szybko, przyjacielu, jedźmy już - powiedział, wskazując na konia.

- Dokąd, panie?

- Najpierw poszukać wody, żebyś mógł się obmyć, a potem, jak radził Azyniusz, znikniemy na kilka dni, dopóki Poppeusz się stąd nie wyniesie.

- To brzmi dobrze, ale co potem?

Wespazjan wzruszył ramionami i pognął konia.

- Kto wie? Sądzę, że to, czego zażąda armia.

Od Autora

Książka niniejsza jest fikcją literacką, opartą na dziełach Swetoniusza, Tacyta i Kasjusza Diona. Większość występujących tu osób to postaci historyczne; z tych najważniejszych wyjątkami są: Magnus i jego kamraci, Rotekes, Hazdro, Faustus, Atallus, Koronus, Kratos i Pallo. Ponieważ mamy do czynienia z powieścią historyczną, a nie z historią, pozwoliłem sobie na dość swobodne potraktowanie kilku postaci. Z tego, co wiem, nie ma dowodów na to, że Korbulon czy Petus służyli w Tracji, w czasie kiedy przebywał tam Wespazjan; ponieważ jednak małżeństwa pomiędzy ich i Flawiuszów potomkami są faktem historycznym, pomyślałem, że nadarza się sposobność, by teraz wprowadzić obie postaci do opowieści. Jestem winien przeprosiny potomkom Poppeusza; jego udział w intrygach Sejana jest wyłącznie wytworem mojej wyobraźni i nie ma powodu, by podejrzewać, że był kimś więcej poza rzetelnym, choć niewyróżniającym się człowiekiem, tak jak przedstawia go Tacyt; co więcej, gdyby taki nie był, Tyberiusz nie zostawiłby go tak długo na stanowisku i nie przyznał mu w roku 26 prawa do triumfu za stłumienie buntu Traków.

Szczegóły dotyczące rewolty pochodzą od Tacyta i jej przebieg był taki, jak opisałem w powieści, z jednym wyjątkiem; wściekłego ataku trackich kobiet. Tacyt wspomina, że były one świadkami tamtej bitwy i zagrzewały swoich mężczyzn do walki. Pokusa była jednak zbyt wielka i zamiast zostawić je tam, jak stoją beczynnie, popchnąłem trackie kobiety do szaleńczego ataku na oddział jazdy.

Rzymski system podawania sygnałów wojskowych oparłem na dwóch wspaniałych książkach: *The Roman War Machine* Johna Peddiego i *The Complete Roman Army* Adriana Goldsworthy'ego. Wszelkie przeinaczenia są wyłącznie moim dziełem. By zbyt nie komplikować sprawy, pominąłem tubę - głównie dlatego, że współczesnemu człowiekowi słowo to przychodzi na myśl instrument wyglądający zupełnie inaczej niż w tamtym czasie - i do sygnalizacji na terenie obozu wykorzystywałem *bucina*, natomiast *cornu* do przekazywania komend podczas marszu czy bitwy; *lituus* zostawiłem tam, gdzie przynależał, mianowicie w oddziałach jazdy. Mam nadzieję, że puryści darują mi te nieścisłości.

Datowanie kolejnych szczebli kariery Wespazjana w całym cyklu powieści wziąłem z biografii cesarza pióra Barbary Levick, zatytułowanej po prostu *Vespasian*. Autorka zauważyła w niej słusznie, że Wespazjan przybył prawdopodobnie do Tracji wkrótce po stłumieniu

rebelii i spędził trzy czy cztery lata na nudnej służbie garnizonowej, ale czy w tym byłoby coś ciekawego? Pozwoliłem sobie przyspieszyć jego przybycie o kilka miesięcy, by mógł wziąć udział w działaniach wojennych.

Znaki towarzyszące narodzinom Wespazjana wzięte są ze Swetoniusza, który - jak większość Rzymian - entuzjazmował się takimi sprawami i przywiązywał do nich wielką wagę. Historyk przytacza reakcję Tertulli, która mówi synowi Tytusowi, że starcze zdziecinnienie dotyka go przed nią, skoro wierzył w znaki świadczące o czekającej jej wnuka wielkości; jak również uwagę matki Wespazjana, że pozostając w rodzinnej posiadłości, skazałby się na życie w cieniu brata, Sabinusa. Wspomina również srebrny kielich Tertulli i pisze, że Wespazjan zatrzymał go po jej śmierci i miał zwyczaj pić z niego zawsze przy uroczystych okazjach.

Dla zwięzłości używałem tylko jednego imienia postaci historycznych, kiedy już zostały wprowadzone, a dla jasności korzystałem z tego, które mi bardziej pasowało, by nie skończyło się tym, że mamy paru Tytusów czy Sabinusów.

Zarówno Cenis, jak i Pallas rzeczywiście należeli do domowników Antonii. Cenis była jej sekretarką, zatem znalazłyby zawartość tych zwojów, gdyby naprawdę istniały... a dlaczego miały nie istnieć? To, czy faktycznie pochodziła z plemienia *Caenii* - czy *Kaenii*, którą to pisownię widzimy na niektórych starych mapach - jest sprawą dyskusyjną, jednak mnie wydaje się to prawdopodobne.

Kiedy twierdzę, że Antonia była najpotężniejszą kobietą w Rzymie, to ściśle rzecz biorąc, nie jest to prawda. Liwia, wdowa po Auguście i matka Tyberiusza, jeszcze wtedy żyła, miała się świetnie i odgrywała znaczącą rolę w polityce, zmarła jednak w roku 29, przed powrotem Wespazjana z Tracji, postanowiłem więc ją tutaj pominąć. To właśnie za sprawą Antonii Wespazjan uzyskał pierwszy awans, po części dzięki swojemu związkowi z Cenis, który trwał aż do jej śmierci w 75 roku.

Przekonanie Antonii, że Gnejusz Kalpurniusz Pizon - prawdopodobnie za wiedzą Tyberiusza, Liwii lub Sejana - był odpowiedzialny za otrucie jej syna Germanika, podziela większość historyków świata rzymskiego; popełnienie samobójstwa przed zakończeniem procesu świadczyło zresztą o jego winie. W powieści *Ja, Klaudiusz* Robert Graves proponuje inną teorię; jeśli mają państwo ochotę zapoznać się z ciekawą koncepcją spiskową, polecam *Blood of the Caesars* Stephena Dando-Collinsa.

Nie zapisano nigdzie, kiedy i jak Wespazjan poznał Kaligulę; jednakże, za sprawą powiązań z Antonią, Wespazjan prawie na pewno się z nim spotkał.

Azyniusz był konsulem w roku 25 i rzeczywiście zmarł następnego roku, choć nie wiemy jak i gdzie; fakt ten jednakże okazał się użyteczny dla naszej fabuły. Jego sojusz z Antonią przeciwko Sejanowi jest przeze mnie wymyślony, co nie znaczy, że nie był prawdopodobny.

Tyberiusz odrzucił prośbę Sejana o zgodę na poślubienie Liwilli w roku 25, mimo to związek tych dwojga trwał nadal i towarzyszył dążeniu prefekta pretorianów do zdobycia najwyższej władzy.

Styl życia Gajusza jest całkowicie moim wymysłem, ale ponieważ nie istnieją żadne zapiski świadczące o tym, że miał potomstwo, mieści się w ramach prawdopodobieństwa i stanowi sympatyczną okazję do okraszenia książki obrazkami rzymskiej dekadencji.

Podziękowania należą się wielu osobom. Zacznę od mojego agenta, Iana Drurygo z Sheil Land Associates, który zechciał ze mną współpracować i zawsze miał pozytywne nastawienie, oraz Gai Banks i Emily Dyson z działu praw autorskich, które podjęły się ciężkiej pracy w moim interesie. Dziękuję Nikowi Cheethamowi z Corvus Books za wydanie mojej książki i za zatrudnienie Richendy Todd do jej redagowania; praca z nią okazała się wspaniałym przeżyciem. Wdzięczny jestem Emmie Gibson z Corvus Books za przeprowadzenie mnie przez cały proces wydawniczy, co było całkowicie nowym doświadczeniem.

Wraz ze zdobytą wiedzą zachowujemy w pamięci szczególnych pedagogów. Chciałbym podziękować trzem nauczycielom z Christ's Hospital School w Horsham: Richardowi Palmerowi za zapoznanie mnie z Williamem Szekspirem i Johnem Donne'em oraz pokazanie, jak czerpać radość z języka angielskiego; Andrew Husbandowi za zaszczepienie mi na całe życie - choć być może nie było to wtedy dla niego oczywiste - miłości do historii; i Duncanowi Noel-Patonowi, który pokazał mi, że ludzka wyobraźnia nie ma granic.

Z całego serca dziękuję mojej ciotce, Elisabeth Woodthorpe, i mojej siostrze Tanyi Potter, za entuzjastyczne nastawienie do mojej pracy i wsparcie.

Wreszcie, jestem bezbrzeżnie wdzięczny mojej dziewczynie, Anji Muller, która, kiedy sześć lat temu pierwszy raz wspomniałem o moim pomysle, ruszyła do sklepu i kupiła mi notatnik z podobizną Wespazjana na okładce, potem wydrukowała wszystko, co znalazła na jego temat w internecie - wyobrażacie to sobie! - wreszcie, w najuprzejmiejszych słowach, kazała mi przestać o tym gadać, tylko zabrać się do pisania. Kiedy w końcu posłuchałem jej rady, każdego wieczoru zasiadała i cierpliwie wysłuchiwała tego, co napisałem w ciągu dnia; dzięki, najdroższa.

Wespazjan podąży ścieżką ku władzy w kolejnym tomie cyklu.